



# SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Dwadzieścia pięć lat</i> .....	3
—	<i>Juliusz Mieroszewski — Nagroda „Kultury”</i> .....	11
—	<i>Sprawozdanie</i> .....	13
—	<i>Zniżkowa sprzedaż książek</i> .....	31
Czesław Miłosz:	<i>Wezwanie</i> .....	32
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	35
Witold Gombrowicz:	<i>„Pisarz i pieniądze”</i> .....	49
Kazimierz Wierzyński:	<i>Próg Persefony</i> .....	54
Czesław Miłosz:	<i>Aleksander Wat opowiada</i> .....	55
Aleksander Wat:	<i>Po 1918. Futuryści. Bruno Jasieński</i> .....	55
Aleksander Wat:	<i>Ku końcowi lat 20-tych. „Miesięcznik Literacki”</i> .....	64
Józef Wittlin:	<i>Zdrowa śmierć</i> .....	75
Grażyna Nowak:	<i>W miesiące wesele</i> .....	93

## ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Amerykańska „Ostpolitik” i wnioski</i> .....	115
Marcel Dupont:	<i>Natolina za grobem zwycięstwo</i> .....	126
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	132

## SĄSIEDZI

Nadieżda Mandelstam:	<i>Strach</i> .....	141
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	145
E. Żagiełł:	<i>Romas Kalanta</i> .....	151
Stefan Michnik:	<i>Kronika czeska i słowacka</i> .....	153

## K R A J

Ewa Wacowska:	<i>Polska klasa robotnicza</i> .....	156
Wojciech Rysak:	<i>Inteligencja polska: rzeczywistość czy mit</i> .....	178
Bohdan Brodziński:	<i>Gospodarka narodowa</i> .....	185

## O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Józef Łobodowski:	<i>Likwidatorzy Unii</i> .....	191
-------------------	--------------------------------	-----

## SPRAWY I TROSKI

Alicja Iwańska:	<i>Pełnoletnie UNESCO</i> .....	205
Jeanne Hersch:	<i>Narkotyki contra społeczeństwo</i> .....	212

## HISTORIA

Stanisław Lis-Kozłowski:	<i>Zbiory krzemienieckie</i> .....	218
--------------------------	------------------------------------	-----

## KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Dzisiejsze czasy</i> .....	223
Józef Lewandowski:	<i>„Przeżyte i przemysłane”</i> .....	227
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	229



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	230
---	----------------------------------	-----



I. Belman, I. M. Bocheński, O.P., T. Tamowicz:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	237
--	--------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	240
--------------	----------------------------	-----

# KULTURA

**Szkice • Opowiadania • Sprawozdania**

**PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1972**

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## WPLATA NA POSK

Pragnąc w miarę możliwości przyczynić się do budowy Centrum Kulturalno-Społecznego w Londynie, redakcja *Kultury* przekazuje POSK-owi wkład w sumie £.stg. 250.00. Zaznaczamy, że wszyscy współpracownicy *Kultury* są członkami POSK-u. Uważając działalność tej instytucji za jedną z najważniejszych na emigracji, apelujemy do Czytelników o pomoc dla niej.

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Bohomolec, Coleman, Alta (Kanada), po raz czwarty	F. 450,00
Dr Jan S. Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 50,00
W. Iwanowski, Milton, Mass (USA), po raz dwunasty	F. 9,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz piętnasty	F. 100,00
A. K. Ludwig, Springfield, Mass. (USA), po raz trzeci	F. 45,00
Prof. Witold J. Łukaszewski, Huntsville, Texas (USA), po raz piąty	F. 50,00
Bogdan Mieczkowski, Ithaca, N.Y. (USA), po raz szósty	F. 300,00
Juliusz Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz siódmy	F. 250,00
Zofia Szpakowska, Buffalo, N.Y. (USA) — pamięci Doktora Eugeniusza Szpakowskiego	F. 25,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA), po raz piąty	F. 5,00
W. Żytkowicz, Hartford, Conn. (USA)	F. 25,00

DZIĘKUJEMY!

BIBLIOTEKA  
BN  
M. ARKODOWA

P. 9786 Chr. Arch.

Imprimé en France.

## Dwadzieścia pięć lat

Dwadzieścia pięć lat bez jednej, nawet miesięcznej, przerwy wychodzi *Kultura*, która powstała jeszcze we Włoszech w ramach 2-go Korpusu i przywędrowała po pierwszym numerze do Francji, do Maisons-Laffitte, gdzie się dotychczas znajduje jej siedziba.

Dwadzieścia pięć lat życia dla każdego z nas to szmat czasu, a cóż dopiero dla pisma, w szczególności emigracyjnego. Jak ogarnąć w krótkim tekście zamierzenia, dokonania *Kultury*, której w przyszłości żaden historyk, nie tylko emigracji ale Polski, nie będzie mógł pominąć milczeniem. Cóż powiedzieć o ogromnej pracy placówki, która dzisiaj zdaje się nie mieścić w swoich ramach, o jej wielokierunkowej akcji politycznej i kulturalnej.

Dlaczego ja właśnie mam o tym pisać w jubileuszowym numerze, będąc od szeregu już lat na peryferii nawet najluźniej rozumianego „zespołu”? Może właśnie dlatego, bo pisać o tym mi będzie łatwiej, bez podejrzenia o megalomanię, czy fałszywą skromność.

Cóż powiedzieć o tym wciąż rosnącym organizmie z nieustannie rozbudowywanymi kontaktami w Polsce i Europie Wschodniej, z całą siecią przedstawicieli, korespondentów i abonentami w 59 krajach kuli ziemskiej.

Cóż wiem o tej pracy, której wszystkie nici tu się zbiegają? Tyle, że wracając nieraz późno z Paryża zastaję jeszcze Zosię Hertzową trzaskającą na swojej maszynie, jak zawsze nie znającą dnia, ani godziny w chwili gdy *Kultura* jej pracy potrzebuje, której inteligencja i pasja pracy wiąże całą organizację. Gdy wstaję rano i zastaję półpastkę przy śniadaniu na parterze to znaczy, że Zygmunt Hertz i Henryk Giedroyc już o świecie kierują w Paryżu ekspedycją pisma na cztery strony świata. Cóż wiem

więcej poza tym, że kiedy bym nie wracał w nocy okna Giedroycia zawsze się świecą — to jego uprzywilejowana godzina czytania przysyłanych rękopisów, bo w dzień zwykle waruje w swym przeładowanym do sufitu tekami i książkami gabinecie, bez dnia wakacji, czy odprężenia od dwudziestu pięciu lat; gdy obok jego brat, z precyzją szwajcarskiego zegarmistrza, notuje, wpisuje, przepisuje abonentów ze świata, z wciąż zmieniającymi się — jak to u emigrantów — adresami, sprawdzając przy tym nie zawsze regularnie wpływające wpłaty abonentów i jak tygrys pilnując nietykałnych kartotek.

Gdy wchodzimy do klasztoru słyszymy coraz to już z daleka szemranie monotonne modłów, tu dochodzi do uszu, godzinami szmer dwóch głosów — to czytanie korekt.

Dopiero od jakichś trzech lat Gustaw Herling-Grudziński jest znów tutaj z nami, dojeżdżając systematycznie co parę miesięcy z Neopolu. Od tego czasu, wracając z Paryża nocą, widzę jeszcze jedno oświetlone okno i czubek jego głowy, schylonej nad stertami rękopisów, czy nad własnymi dla *Kultury* tekstami.

Brakuje w tym opisie pisarza-publicyisty, którego nigdy tu wśród nas nie widzieliśmy, choć rola jego od pierwszej chwili była zasadnicza, chodzi o Juliusza Mieroszewskiego, zakorzenionego w Londynie, który w *Kulturze* prowadzi dział polityczny, ale o nim będę jeszcze mówił później.

Wolno chyba z okazji jubileuszu ujawnić, że śmierć niezmierzłego przyłączył do niej Rogera Raczyńskiego i Piotra Borkowskiego, obaj zamierzali nie tylko z nami współpracować ale i trwalej zaczepić o nasz miesięcznik swój los emigracyjny.

◆  
Každy uważny czytelnik *Kultury* wie, że chce ona być w pierwszym rzędzie pismem politycznym. O ile łatwiejsza byłaby jej pozycja, gdyby poszła po linii wyłącznie kultury i literatury, jak to jej nieraz doradzano.

Punktem wyjścia całej politycznej akcji naszego pisma była i jest próba przemyślenia, wykrystalizowania takiej linii działania, którą prowadzić powinniśmy wychodząc z pozycji nieprzyjęcia narzuconej nam z zewnątrz rzeczywistości politycznej w Kraju.

Wiedzieliśmy również, mając przykłady analogiczne przede wszystkim w naszej własnej emigracji w XIX wieku, jak wielkie formy organizacyjne trudne są do utrzymania na obczyźnie, jak szybko ulegają rozkładowi, w przeciwieństwie zaś słowo drukowane miało zawsze, i ma wciąż jeszcze w naszej części Europy, wielką, nieraz magiczną, siłę oddziaływania.

Po przegranej, którą przeżyliśmy, po załamaniu się całego układu dotychczasowego naszego kontynentu, czuliśmy potrzebę nowego przemyślenia sytuacji w atmosferze całkowitej wolności, bez balastu nawet najczcigodniejszych autorytetów, bez odruchów myślenia kategoriami państwa, które istnieć niezależnie przestało. Chcieliśmy wykroczyć poza te odruchy, które prowadzą do iluż niezliczonych tabu politycznych i chronicznie rozbijają, czy wprost uniemożliwiają jakąkolwiek akcję w nowym układzie sił.

Forma bardzo luźnego zespołu, specjalnie w okresie tworzenia się *Kultury*, stworzyła pismo otwarte, które dawało i daje głos ludziom, którzy nigdy w żadnej organizacji nie mogliby się pomieścić.

Jednocześnie obrona, aż do przesady, całkowitej niezależności pisma była dyktowana poczuciem, że mimo wszystkich katastrof Polska ma nadal pozycję specjalną w Europie Wschodniej, specjalną rolę do odegrania, niewspółmierną z jej aktualnymi możliwościami i statusem średniego, biednego kraju — rolę, którą wypracować musimy my, Polacy.

Od pierwszej chwili *Kultura* nastawiona była na Kraj. Sens *Kultury* rozumieliśmy w rozbudowywaniu i utrzymywaniu stałego kontaktu z Krajem, jedynej drogi oddziaływania na opinię w Polsce. Na tym odcinku nasza własna praca przechodziła coraz to przez fazy trudne i nawet dramatyczne. Walka reżymu z naszym pismem rosła zawsze w miarę uświadamiania, że posiada ono w Kraju kontakty i wpływy. Nie jeden nasz przyjaciel w Polsce poniósł ciężkie ofiary i lata więzienia za chęć współpracy czy przyjścia nam z pomocą w rozpowszechnianiu pisma.

Już wśród pierwszych naszych posunięć, podkreślających nasz związek z Krajem, było wydanie antologii noweli wojennej, obejmującej w dużym stopniu twórczość krajową, wydaliśmy również pierwsi książkę emigranta, który pojechał do Polski i swoje wrażenia przekazał z całkowitą swobodą (chodzi o książkę Janty-Połyńskiego „Wracam z Polski”). Do tej samej linii ścisłego kontaktu i znajomości sytuacji w Kraju należało wydanie przez *Kulturę* — przy najbliższej współpracy śp. Stanisława Gryziewicza pięciu Zeszytów Krajowych, sumy wiadomości o Polsce ówczesnej na wszystkich odcinkach.

Od początku przeciwstawialiśmy się również uchwale londyńskiego Związku Pisarzy, zakazującej pisania czy wydawania w Kraju, uważając że można, a nawet trzeba, drukować w Kraju, pod warunkiem niepoddawania się ciśnieniu cenzury. Przykładem w tej sprawie było stanowisko Gombrowicza. Uważaliśmy zawsze, że kontakt ze światem nauki, sztuki, w ogóle ze światem twórczym w Kraju jest konieczny — chodzi tu jednak

o autentycznych pracowników na polu kultury, a nie o pseudo-naukowców i propagandystów.

Próbę współpracy z Krajem podejmowaliśmy między innymi stale poprzez druk w *Kulturze* książek i artykułów stamtąd do nas docierających.

Mówiąc o politycznym obliczu naszego pisma pierwsze miejsce — nie dające się porównać z żadnym innym współpracownikiem — z wyjątkiem samego redaktora — zajmuje Juliusz Mieroszewski. Jego artykuły, pojawiające się od lat w każdym zeszycie, wywoływały coraz to w kraju i na emigracji, chyba najwięcej płodnych polemik, ale i gwałtownych krytyk. Zarzucano mu, jak w ogóle pismu, zmienność i profuzję różnych koncepcji od popierania każdej walki z komunizmem (Burnham i jego książka „Bierny opór, czy wyzwolenie”, okres wojny koreańskiej) do teorii ewolucjonizmu. Jeżeli zaś chodzi o sprawy krajowe — od bezkompromisowej walki z reżymem do stanowiska pozytywnego wobec Gomułki w 1956 roku aż do zamknięcia *Po prostu*, potem zaś do popierania procesów jakie ówczesny kryzys wywołał, nie tylko w społeczeństwie ale nawet w samym aparacie rządzącym; dalej szły próby poparcia rewizjonistów różnych odcieni, aż po okres ostatni, gdzie zarysowywać się zaczęły możliwości ruchów rewolucyjnych o podłożu socjalnym, wymagały one z naszej strony nowych przemyśleń i nowych kontaktów.

Zarzut zmian koncepcji politycznych stawiali *Kulturze* jakże często ludzie, którzy zachowywali się i zachowują tak jakby jedynie oczekiwali akcji tych czy innych potencjalnych sojuszników, czy wprost cudu — odroczonego chwilowo „wyroku sprawiedliwości dziejowej”. Ale nikt w *Kulturze* nie wierzył w nieuchronne nadejście takiego daru nieba, rozgrzeszającego bierność myśli, zastąpionej gestami szlachetnych protestów i tłumnych obchodów.

Polska polityka przedwojenna, do 1939 roku włącznie, wywodziła się w całości z 1863 roku, zaczynając od wybijającej się na czoło tej epoki postaci Józefa Piłsudskiego po jego zwolenników i przeciwników. Wszyscy oni byli tą epoką naznaczeni.

*Kultura* próbowała i próbuje przetłumaczyć politykę tamtego okresu, który zakończył się rokiem 39-tym, na język polityczny epoki po drugiej wojnie światowej. Linia *Kultury* już od dłuższego czasu wykrystalizowuje się na kanwie założeń następujących:

1) — Nie można liczyć na Zachód — tego nas nauczyła w pierwszym rządzie historia ostatnich 30-tu lat;

2) — Musimy przygotowywać grunt do normalizacji stosun-

ków z naszymi sąsiadami, a wśród nich w pierwszym rządzie z byłymi polskimi mniejszościami narodowymi.

Sprawy Litwy, Wilna, Ukrainy i Lwowa — nasze w tej sprawie stanowisko — wymagały od nas samych niełatwego przezwyciężenia. Nie ma polityki bez ofiar. Sprawy naszych stosunków z sąsiadami uważaliśmy zawsze za sprawy pierwszej wagi, dlatego poza stosunkiem naszym do Litwy, Białorusi i Ukrainy dążyliśmy do zainteresowania Polaków sprawami Czechosłowacji, do polityki bez urazów przeszłości z Niemcami. (Jeżeli chodzi o Ukrainę, tom „Rozstrzelane odrodzenie” wydany przez nas po ukraińsku w 1959 roku — odrodzenie zmiażdżone przez władze sowieckie — jest między innymi wyrazem naszego do Ukrainy stosunku);

3) — Dalszy rozwój sytuacji jest związany najściślej z rozwojem sytuacji w całym bloku wschodnim, a przede wszystkim w samej Rosji — musimy więc szukać porozumienia z liberalnymi opozycjami w Rosji. W tym zakresie *Kultura*, wydając na Zachodzie pierwszą Siniawskiego i Daniela, dając świetne polskie tłumaczenie Pasternaka oraz Sołżenicyna, wydając specjalne numery w języku rosyjskim, wykazała że z naszej strony wola porozumienia z tym nurtem rosyjskim nie była pustą deklaracją;

4) — Nie wolno nam lekceważyć znaczenia, jakie sytuacja w Polsce wywierać może również na Rosję. Młot Października, jak i grudniowe wypadki na Wybrzeżu w 1970 roku, wzmogły w Rosji sympatię i zainteresowanie Polską wśród sfer opozycyjnych. Mary McCarthy zestawiała w *New York Review of Books* *Kulturę* z *Kotokotem* Herzena. Czy to przesadny komplement? Pamiętamy jaką rolę odegrało to pismo w rozwoju ruchów wolnościowych w Rosji;

5) — Trzeba nie tylko znormalizować lecz wytworzyć z Rosją stosunki przyjazne, ale idąc nie drogą polityki Dmowskiego, która wiązała się z rosyjskimi sferami rządowymi, przekreślając istnienie dążeń wolnościowych narodów wchodzących w skład imperium rosyjskiego. Te próby zbliżenia z Rosją spotykają się z zarzutem licznych prometeuszowców zdrady tych narodów. Zapominają oni, że te kręgi świata rosyjskiego z którymi szukamy porozumienia, należą do środowisk liberalnych. Gdyby one miały dojść do władzy, musiałyby uznać dążenia wolnościowe narodów zamieszkujących Związek Sowiecki pod groźą gwałtownych ruchów odśrodkowych. W jakiej formie? Nie naszą rolą jest to dziś przesądzać.

Nieustannie zmieniająca się sytuacja międzynarodowa, jak również przesunięcia zachodzące w Kraju, żądają wciąż na nowo podejmowanej analizy. Liberalizm *Kultury*? Formuje on swój

program w ciągłych dyskusjach, dopuszczając liczne głosy krytyczne.

*Kultura* włączała się i zamierza się włączać we wszystko co wzbudzić może poczucie odpowiedzialności, co aktywizuje politycznie społeczeństwo. Każdy kryzys ustroju totalitarnego może być próbą krystalizacji trwałej opozycji. Ambicją *Kultury* jest być jednym z punktów zbiorczych tej opozycji, bynajmniej nie jedynym. *Kultura* przeciwstawia się odruchowo również wszystkim sądom i wyrokom skorupkowym, dając możliwość wypowiedzi i współdziałania we wspólnej walce nawet swoim przeciwnikom. Ktoś powiedział, że nie ma w Polsce potrzeby *Samizdatu* skoro istnieje *Kultura* i jej biblioteka. Stanowisko to uważamy za błędne. Ideałem *Kultury* byłoby stać się zapleczem polskiego *Samizdatu* w Kraju. Nawet zwięzła, nie wychodząca poza obiektywną informację o faktach, *Kronika bieżących wydarzeń*, systematycznie wydawana w ZSSR (mam w ręku już 22-gi zeszytek), staje się cennym spoiwem dla coraz szerszych kręgów obywateli sowieckich.

Londyński *Economist*, piszący o dysproporcji między kolosalnym aparatem represji w ZSSR i stosunkowo skromnym ruchem sowieckich dysydentów, zastanawia się skąd ta nerwowość, która robi takie wrażenie, jakby młot parowy uderzał w orzeszek i odpowiada — może ten młot wie o orzeszku więcej niż my wiemy?

U nas, w okresach względnej, a raczej pozornej stabilizacji, kiedy społeczeństwo zapadać zaczyna w narastający stan bierności, małe grupki nabierały za każdym razem coraz większego znaczenia. *Kultura* jest ich trybuną i adresem. Wszystkie znane dotychczas grupy ideowe opozycji wobec dzisiejszej władzy znalazły w końcu drogę do *Kultury*, mogły przemówić głośno z jej stronic, czy z książek przez *Kulturę* wydawanych. Z wypowiedzi emigrantów ostatniej fali 1968 roku — ludzi często wysoko postawionych w aparacie partyjnym — widać jak *Kultura* drażyła nawet te cytadele władzy. Co innego myśleć i wątpić, co innego zobaczyć własne myśli i wątpliwości w druku.

Ileż w ciągu ćwierćwiecza istnienia *Kultury* wydała dokumentów, ważkich tekstów z Kraju, przeważnie pod pseudonimami, aż po dokładną transkrypcję — z uściślającymi prawdę komentarzami — rozmów Gierka z robotnikami w Szczecinie, aż po dwa tomy tej miary i odwagi autora, piszącego pod pseudonimem Tomasz Staliński.

*Kultura* do niedawna docierała prawie wyłącznie do sfer intelektualistów, dziś — pod wpływem wypadków grudniowych, które w tej sferze przyjęte zostały postawą ostrożnego wyczekiwania (przeciwieństwo reakcji tychże sfer czeskich podczas wios-

ny praskiej), *Kultura* chce dotrzeć do inteligencji pracującej, która mogłaby jej zapewnić skromny choćby i cząstkowy kontakt z robotnikami.

Przeciwstawialiśmy się od pierwszej chwili każdemu w Polsce nacjonalizmowi, więc również i antysemityzmowi, który dziesięć lat później w 1968 roku próbował na nowo obudzić, hańbiąc imię Polski. Walczymy o Rzeczypospolitą bez fanatyzmu narodowego, staramy się rozwijać poczucie, że nie tylko Polska, ale cała Europa Środkowa i Wschodnia jest naszą szerszą ojczyzną. Czy tego rodzaju zamiary nie są szalone, czy dziś to jest możliwe, gdy Polska z jagiellońskiej stała się piastowska i chlopska, czy to jest romantyka? „Gdy mówią ci, że głową muru nie przebijesz, nie wierz temu”.

Każdy z nas, który przeżył świadomie ostatnie dziesiątki lat historii Europy, mógłby przeciwstawić sceptykom ileż zasadniczych przemian w nastrojach we wzajemnych stosunkach krajów do niedawna ze sobą „na zawsze” skłóconych, a dziś zgodnych! Ile przy tym dalekowzrocznych planów, uważanych za utopię już w naszym wieku, zdołało się na szczęście, czy nieszczęście ludzkości zrealizować.

Polska, o którą walczy *Kultura*, nie jest utopią.



Postawa i działalność polityczna *Kultury* wysuwana jest naturalnie na plan pierwszy w emigracyjnym czasopiśmie i domu wydawniczym *Kultury*, ale *Kultura* obchodzi swoje dwudziestopięcioletnie z poczuciem także innych dokonań. Historyk współczesnej literatury polskiej oceni kiedyś jak ogromna jej część mogła powstać i rozwijać się, w trudnych warunkach emigracyjnych dzięki *Kulturze*. Kto przejrzy wykaz „Biblioteki *Kultury*”, ten zobaczy ile pozycji z tej długiej listy należy dziś do trwałego dorobku piśmiennictwa polskiego, choć wiadomo przecież przez jakie zapory musi się przedzierać w drodze do kraju książka polska wydana na emigracji. Wydawali w *Kulturze* swoje książki Gombrowicz i Straszewicz, Wierzyński i Miłosz, Maria Czapska, Jerzy Stempowski, Łobodowski i Iwaniuk, Bobkowski i Tadeusz Nowakowski, Marek Hłasko, Mrozek, Herling-Grudziński, Jerzy Andrzejewski, Andrzej Stawar, powieściopisarz krajowy używający pseudonimu Tomasz Staliński, Zygmunt Haupt, Józef i Stanisław Mackiewiczowie, Leo Lipski, Józef Wittlin, Piotr Guzy, Pietrkiewicz, Swinarski, Parnicki i wielu innych.



Odnotowując ćwierćwiecze swego istnienia *Kultura* wspomina ze wzruszeniem i wdzięcznością tych współpracowników i przyjaciół, którzy odeszli na zawsze: w pierwszym rzędzie wspomina dwójkę ludzi — Jerzego Stempowskiego i Stanisława Vincenza. Byli więcej niż przyjaciółmi, obaj byli dla nas wzorem człowieczeństwa w pełnym znaczeniu tego słowa.

Każde nazwisko, które wymienię poniżej, to przyjaciele, których talenty, inteligencja, śmiałość, czy tylko bezinteresowna przyjaźń dały blask nie tylko piśmiu, ale naszemu życiu i naszym wysiłkom. Andrzej Bobkowski, Witold Gombrowicz, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Mackiewicz, Ryszard Wraga — który z nami współpracował i z którym potem rozeszliśmy się — Czesław Straszewicz, Bernard Singer, Marek Hłasko, Adam Uziębło, Jan Holcman, Aleksander Weissberg-Cybulski, Tadeusz Zajczkowski, Aleksander Wat, Wojciech Zaleski, Jan Bielatowicz, Jewhen Małaniuk.

Bez tych ludzi bardzo trudno by nam było stworzyć pismo i przetrwać te lata. Teraz, kiedy coraz bardziej przyłącza się do nas nowa fala z nowych pokoleń — te nazwiska trzeba przypomnieć.

Józef CZAPSKI

## Juliusz Mieroszewski : Nagroda "Kultury"

Ćwierćwiecze *Kultury* jest też prawie ćwierćwieczem publicystyki Mieroszewskiego na jej łamach. Po cóż więc — zdawałoby się — uzasadniać przyznanie nagrody pisarzowi politycznemu, od którego większość czytelników *Kultury* zaczyna lekturę naszego miesięcznika, który jak nikt inny usiłował poruszyć leniwe bajorko myśli politycznej na emigracji, z którym najzacieklej polemizuje się w polskiej prasie komunistycznej? I którego — co warto chyba dodać dla wskazania rodzimej małoduszności — nie raczyło dotąd zauważyć ani jedno z licznych jury emigracyjnych nagród pisarskich...

A jednak zwyczaj jest zwyczajem, każda nagroda musi posiadać swoją — krótką choćby motywację.

Na emigracji, ciężkiej z natury rzeczy do anachronicznych pojęć okresu międzywojennego, karmionej przez swoich komentatorów politycznych niegdyś tylko złudzeniami a dziś tylko resentymentami, Mieroszewski stworzył model żywego myślenia o sprawie polskiej. Nie w oparciu o to co było, o wieczne roztrząsanie minionych światła i cieni, lecz w kontekście zupełnie nowej sytuacji, jaka wyłoniła się na świecie i w kraju po ostatniej wojnie. Jego publicystyka jest wrażliwa na wszystko co się dookoła nas i u nas dzieje, na wszelkie zmiany zachodzące w polityce światowej i w problematyce polskiej, nie uznaje żadnych tabu i wstydliwych niedomówień, podbija (albo szokuje) czytelników odwagą i całkowitą niezależnością sądów. Słyszysz się często pod adresem Mieroszewskiego — zwłaszcza wśród emigrantów, którzy według słynnego określenia „niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli” — zarzut zmienności czy nadmiernej elastyczności ocen i koncepcji. Ale nikt z krytykujących nie potrudził się nigdy, by kolejne artykuły Mieroszewskiego

z różnych lat zestawić z treścią polityczną owych lat; okazałyby się wówczas, jak dalece przystawały one do istoty danego momentu historycznego. Jeżeli w ciągu ćwierćwiecza myślenie o sprawie polskiej nie było dla czytelników *Kultury* zajęciem jałowym lub wyłącznie odruchem patriotycznym, jeżeli widzieli jej miejsce, rolę i przyszłość — jest to w dużej mierze zasługą publicystyki Mieroszewskiego.

Jubileuszową nagrodę *Kultury* otrzymuje Mieroszewski w chwili, gdy grozi mu utrata wzroku. Warunki, w jakich powstają teraz jego artykuły, skłaniałyby do użycia słów wielkich i tak chętnie przez Polaków nadużywanych. Ale wystarczy może powiedzieć, że rasowy publicysta nie schodzi po prostu ze swojego publicystycznego posterunku.

## Sprawozdanie

W lipcu br. mija 25 lat od chwili powstania *Kultury*. Nie do mnie należy ocena naszej pracy, ponieważ jednak zapewne większość Czytelników nie orientuje się w naszej działalności, wydaje się celowe przedstawienie krótkiego sprawozdania za ten okres czasu.

### INSTYTUT LITERACKI

Projekt stworzenia Instytutu Literackiego powstał w 1945 r. na krótko przed zakończeniem działań wojennych. Zdając sobie sprawę, że wbrew rozpowszechnionym wówczas poglądom czeka nas długotrwała emigracja, zdecydowałem się wraz z gronem przyjaciół na stworzenie domu wydawniczego: wychodziłem z założenia, że najbardziej skutecznym środkiem działania będzie słowo drukowane. Koncepcja ta nie znalazła wówczas uznania, mimo miotania się między Londynem a Włochami.

Dom wydawniczy powstał jednak na początku 1946 roku w Rzymie, zarejestrowany jako Instytut Literacki — „Casa Editrice Lettere” w oparciu o własną drukarnię „Oggi”, która została nabyta dzięki pożyczce zaciągniętej z Funduszu Społecznego Żołnierzy. W pierwszym okresie, dzięki życzliwości Szefa Sztabu gen. Kazimierza Wiśniowskiego, Instytut otrzymał z 2-go Korpusu jednorazową pomoc w wysokości 100 funtów szterlingów w złocie jak również wszelkiego rodzaju sprzęt z demobilu. Koszty administracyjne były niewielkie gdyż wszyscy współpracownicy Instytutu byli żołnierzami, otrzymywali żołd i wyżywienie; ponadto drukarnia Instytutu w okresie 1946/47 wykonywała





szereg prac dla wojska i dla polskich instytucji emigracyjnych, jak np. Słownik polsko-angielski i angielsko-polski Stanisławskiego, oraz szereg broszur informacyjnych o krajach osiedleńczych, które miały na celu ułatwić żołnierzom adaptację na emigracji, itp.

Na początku swej działalności Instytut ograniczał się do wydawania książek, a *Kultura* miała być kwartalnikiem. Zeszyt Nr 1 ukazał się w Rzymie w lipcu 1947.

Okres urzędowania się na emigracji okazał się bardzo trudny i w pierwszym rządzie spowodował ogromny spadek czytelnictwa, tak niezmiernie żywego w czasie wojny. To zdecydowało o przeniesieniu Instytutu do Francji w końcu 1947 roku — gdzie warunki pracy, kontakty z Krajem i z głównymi ośrodkami emigracyjnymi były łatwiejsze — oraz do ograniczenia pracy Instytutu wyłącznie do wydawania *Kultury* jako miesięcznika.

Po sprzedaniu drukarni i spłaceniu zaciągniętych w wojsku pożyczek, Instytut został przeniesiony do Maisons-Laffitte pod Paryżem. Pierwszy paryski zeszyt *Kultury* (Nr 2/3) ukazał się na przełomie lat 1947/48 i od tego czasu *Kultura* wychodzi regularnie.

Współpracownicy Instytutu zdemobilizowali się w Calais, w marcu 1948 roku. Okres stabilizowania się był powolny i bardzo skomplikowany, w związku z tym do końca 1952 roku oprócz miesięcznika wydano zaledwie kilka książek i kilka zeszytów specjalnych. Dopiero z początkiem 1953 roku Instytut Literacki rozpoczął systematyczne wydawanie książek w serii pod ogólnym tytułem „Biblioteka Kultury”.

Na dzień 1 lipca 1972 roku ukazało się 299 numerów *Kultury* oraz 222 książki w „Bibliotece Kultury”.

Dla lepszego zorientowania Czytelników zamieszczamy poniżej szczegółową analizę naszej działalności wydawniczej.

#### REDAKTOR

#### NUMERY SPECJALNE „KULTURY”

##### W JĘZYKU POLSKIM

- I. *Numer Krajowy*, 1952: Instytucje polityczne. — Wymiar sprawiedliwości. — Rodzina. — Szkolnictwo i nauka. — Ruch wydawniczy. — Życie gospodarcze i zawodowe. (Str. 404).
- II. *Numer Krajowy*, 1952: Nowa konstytucja. — Partia i stronnictwa. — Armia. — Reglamentacja twórczości artystycznej. — Państwowy i prywatny przemysł i handel. — Rzemiosło. (Str. 240).

III. *Numer Krajowy*, 1952: Nowe wytyczne filozofii. — Teoria i historia literatury. — Nauki społeczno-ekonomiczne. — Biologia. — Literatura piękna. (Str. 400).

IV. *Numer Krajowy*, 1953: Energetyka i surowce. — Rolnictwo. — Hutnictwo. — Przemysły: chemiczny, elektroniczny, włókienniczy, metalowo-przetwórczy. — Transport. — Handel zagraniczny. (Str. 400).

V. *Numer Krajowy*, 1953: Położenie kościoła w Polsce. — Organizacja młodzieży. — Podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży. (Str. 160).

*Kultura* nr 253, 1968. — Zeszyt specjalny, poświęcony wydarzeniom w Czechosłowacji.

#### W JĘZYKU ROSYJSKIM poświęcone stosunkom polsko-rosyjskim

*Kultura* nr 1, 1960. (Str. 160).

*Kultura* nr 2, 1971. (Str. 240).

#### W JĘZYKACH CZESKIM I SŁOWACKIM

*Kultura*, 1969. — Numer specjalny, wydany w związku z okupacją Czechosłowacji przez wojska Paktu Warszawskiego.

#### BIULETYN PRASOWY W JĘZYKU NIEMIECKIM

W latach 1951/53 *Kultura* posiadała w Berlinie specjalnego korespondenta, śp. Jerzego Prądzyńskiego, który wydawał tam, od roku 1952, biuletyn prasowy SOF „Stimmen zu osteuropäische Fragen. Nachrichten. Kommentare. Presseauszüge”. Ogółem ukazało się 10 numerów Biuletynu w objętości przeciętnie 15 stron każdy.

#### KSIĄŻKI WYDANE W LATACH 1946-1952

(wykaz alfabetyczny)

- BIELATOWICZ Jan: *Brygada Karpacka*.  
 BIELATOWICZ Jan: *Passaggiata*.  
 BLUM Leon: *Na miarę człowieka*.  
 BURNHAM James: *Walka o świat*.  
 CHAŁASIŃSKI Józef — ULATOWSKI Jan: *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*.  
 CZAPSKI Józef: *Na nieludzkiej ziemi*.  
 FELSZTYN Tadeusz, dr: *Energia atomowa*.  
 GRYZIEWICZ Stanisław: *Srodki polityki gospodarczej*.  
 HORT Weronika: *Tułacze dzieci*.  
 HOSTOWIEC Paweł: *Il Calvario continua...*  
 HOSTOWIEC Paweł: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*.  
*Informator o Imperium Brytyjskim i krajach Ameryki Płn. i Płd.*  
 JANTA (-POŁCZYŃSKI) Aleksander: *Wracam z Polski 1948*.  
 KADEN-BANDROWSKI Juliusz: *La citta di mia madre*.  
 KADEN-BANDROWSKI Juliusz: *Miasto mojej matki*.

- KOESTLER Arthur: *Krucjata bez krzyża*.  
 KOWALIK Jan: *Polonica niemieckie za czas od 1 września 1939 do 31 grudnia 1948 roku*.  
 KOWALIK Jan: *Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)*.  
 KUKIEL Marian: *Księżę Adam (Czartoryski)*.  
 KUSZELEWSKA Stanisława: *Kobiety*.  
 MICIŃSKI Bolesław: *Portret Kanta i trzy essaye o wojnie*.  
 MICKIEWICZ Adam: *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego*. — (Pierwsza książka wydana przez Instytut Literacki).  
 MIRZWIŃSKI Henryk: *Etiudy*.  
 PIASECKI Sergiusz: *Jablusko*.  
 PIASECKI Sergiusz: *Nikt nie da nam zbawienia...*  
 PIASECKI Sergiusz: *Spojrzą ja w okno...*  
 PISKOR Aleksander: *Siedem ekscelencji i jedna dama*.  
 REYMONT Władysław St.: *Rok 1794 — trylogia (Ostatni Sejm Rzeczpospolitej, Nil desperandum, Insurekcja)*.  
 SIENKIEWICZ Henryk: *Legiony*.  
 SIEROSZEWSKI Waław: *Beniowski*.  
 STRUG Andrzej: *Dzieje jednego pocisku*.  
 STRUG Andrzej: *Mogila nieznanego żołnierza*.  
 SZPOTAŃSKI Stanisław: *Prometeusz*.  
 WAŃKOWICZ Melchior: *Klub trzeciego miejsca*.  
*W oczach pisarzy. Antologia noweli wojennej (1939-1945)*.

### BIBLIOTEKA „KULTURY” (Wykaz chronologiczny)

1. GOMBROWICZ Witold: *Trans-Atlantyk i Słub*.
2. ORWELL George: *1984*.
3. MIŁOSZ Czesław: *Zniewolony umysł*.
4. BURNHAM James: *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. MIŁOSZ Czesław: *Światło dzienne (Poezje)*.
6. STRASZEWICZ Czesław: *Turyści z bocianich gniazd*.
7. KORBOŃSKI Stefan: *W imieniu Rzeczpospolitej*.
8. ŁOBODOWSKI Józef: *Złota hramota*.
9. MIŁOSZ Czesław: *Zdobycie władzy*.
10. MIŁOSZ Czesław: *Dolina Issy*.
11. PANKOWSKI Marian: *Smagła swoboda*.
12. PARNICKI Teodor: *Koniec „Zgody narodów” (2 tomy)*.
13. KORBOŃSKI Stefan: *W imieniu Kremla...*
14. ARON Raymond: *Koniec wieku ideologii*.
15. GREENE Graham: *Moc i chwała*.
16. LIPSKI Leo: *Dzień i noc (Opowiadania)*.
17. CHCUIK Andrzej: *Smutny uśmiech (Opowiadania)*.
18. HERSCH Jeanne: *Polityka i rzeczywistość*.
19. MIŁOSZ Czesław: *Traktat poetycki*.
20. MACKIEWICZ Józef: *Kontra*.
21. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (1953-1956)*.
22. BOBKOWSKI Andrzej: *Szkice piórkami (Francja 1940-1944), (2 tomy)*.
23. ZAREMBA Paweł: *Historia Stanów Zjednoczonych*.
24. HERTZ Aleksander: *Amerykańskie stronnictwa polityczne (Mechanizm demokracji)*.
25. BELL Daniel: *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*.

26. WINCZAKIEWICZ Jan: *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*.
27. DŻILAS Milovan: *Nowa klasa wyzyskiwaczy*.
28. HŁASKO Marek: *Cmentarze. Następny do raj*.
29. MIŁOSZ Czesław: *Kontynenty*.
30. KOWALIK Jan: *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*.
31. REMBEK Stanisław: *W polu*.
32. FAST Howard: *Król jest nagi*.
33. WEIL Simone: *Wybór pism*.
34. CAMUS Albert: *Człowiek zbuntowany*.
35. BURNHAM James: *Revolucja menadżerska*.
36. KATELBACH Tadeusz: *Rok złych wróżb (1943)*.
37. ŁAWRYNENKO Jurij: *Rozstriliane wrodzennia (Antologia)*.
38. ŁOBODOWSKI Józef: *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński Św. Hordyńskiego*.
39. NOWAKOWSKI Tadeusz: *Syn zadźmionych*.
40. *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5-ty)*.
41. (Opracował MIŁOSZ Czesław): *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6-ty)*.
42. HŁASKO Marek: *Hrbitowy*.
43. KOWALIK Jan: *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”*.
44. PASTERNAK Borys: *Doktor Żiwago (Trzy wydania)*.
45. LEDNICKI Waław: *Glossy Krasiniego do apologetyki rosyjskiej*.
46. TERC Abram: *Sqd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. DÉRY Tibor: *Niki*.
48. SUKIENICKI Wiktor: *Kolumbowy Błąd (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7-my)*.
49. IWANIUK Waław: *Milczenia 1949-1959 (Poezje)*.
50. MIŁOSZ Czesław: *Rodzina Europa*.
51. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Skrzydła ołtarza*.
52. GUILLEY-CHMIEŁOWSKA Halszka: *Spotkania na galerii*.
53. CZAPSKI Józef: *O k o*.
54. GOMBROWICZ Witold: *Pornografia*.
55. LIPSKI Leo: *Piotruś*.
56. HUXLEY Aldous: *Nowy wspaniały świat poprawiony*.
57. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Thanka ziemi*.
58. KOT Stanisław: *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej*.
59. (Opracował MIŁOSZ Czesław): *Węgry (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8-my)*.
60. SWINARSKI Artur Marya: *Sasza i bogowie*.
61. CHCUIK Andrzej: *Rejs do Smithton — Stary ocean*.
62. CIOŁKOSZ Adam: *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska. Róża Luksemburg: Rewolucja Rosyjska (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 9-ty)*.
63. CZAYKOWSKI Bogdan i SULIK Bolesław: *Polacy w Wielkiej Brytanii*.
64. MOSTWIN Danuta: *Ameryko! Ameryko!*
65. HOSTOWIEC Paweł: *Eseje dla Kassandry*.
66. HERTZ Aleksander: *Żydzi w kulturze polskiej*.
67. STAWAR Andrzej: *Pisma ostatnie (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 10-ty)*.
68. TERC Abram: *Opowieści fantastyczne*.
69. IWANOW I.: *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. TERC Abram: *Fantastyczne Powieści*.
71. IWANOW I.: *Jest' li życie na Marsie?*
72. ZAREMBA Paweł: *Historia Polski. Cz. I*.
73. *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*.
74. CZERNIAWSKI Adam: *Topografia wnętrza (Poezje)*.

75. BRONIEWSKI Władysław: *Wiersze*.
76. CZAPSKI Józef: *Na nieludzkiej ziemi*.
77. MIŁOSZ Czesław: *Człowiek wśród skorpionów*.
78. SINGER Bernard: *Od Witosy do Ślawka*.
79. MIŁOSZ Czesław: *Król Popiel i inne wiersze*.
80. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi).
81. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik. Tom II (1957-1961)*.
82. DŻILAS Milovan: *Rozmowy ze Stalinem*.
83. MOND Jerzy: *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Października) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty).
84. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci).
85. WITTLIN Józef: *Orfeusz w piekle XX wieku*.
86. HAUPT Zygmunt: *Pierścień z papieru*.
87. HŁASKO Marek: *Opowiadania*.
88. CZAPSKA Maria: *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia.
89. JEDLIICKI Witold: *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 12-ty).
90. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty).
91. TERC Abram: *Lubimow*.
92. *We własnych oczach*. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.
93. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Drugie przyjscie oraz inne opowiadania i szkice*.
94. KOWALIK Jan: *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*.
95. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty).
96. HŁASKO Marek: *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii*.
97. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Kufer na plecach* (Poezje).
98. CZAYKOWSKI Bogdan: *Spór z granicami* (Poezje).
99. WITOS Wincenty: *Moje Wspomnienia*. (Trzy tomy).
100. KRYWICKI Walter G.: *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
101. BIELATOWICZ Jan: *Gaude Mater Polonia*.
102. MACKIEWICZ Stanisław: *Polityka Becka*.
103. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty).
104. SILONE Ignazio: *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
105. SUKIENNICI Wiktor: *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty).
106. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Ewolucjonizm*.
107. TERC Abram: *Mysli niespodziewane*.
108. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my).
109. IWANIUK Waclaw: *Wybór wierszy*.
110. PAWLIKOWSKI Michał K.: *Wojna i sezon*.
111. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Inny świat*.
112. GOMBROWICZ Witold: *Kosmos*. (Wyd. I).
113. LEWICKI Borys: *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
114. VINCENZ Stanisław: *Po stronie pamięci*.
115. MOSTWIN Danuta: *Olivia*.
116. MIŁOSZ Czesław: *Gucio zaszarowany* (Poezje).
117. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my).
118. PIETRKIEWICZ Jerzy: *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*.
119. GRZĘDZIŃSKI January: *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14).
120. ARŻAK Mikołaj: *Odkupienie i inne opowiadania*.
121. KOESTLER Arthur: *Fragmety wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
122. GARDER Michel: *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”).

123. GUZY Piotr: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*.
124. *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty).
125. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty).
126. TOPORSKA Barbara: *Siostry*.
127. *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty).
128. HŁASKO Marek: *Piękni, dwudziestolenni*.
129. LEWYCKI Borys: *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
130. MIHAJLOV Mihajlo: *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
131. FLEMMING George J.: *Polska mało znana*.
132. KUROIŃ J. i MODZELEWSKI K.: *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty).
133. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty).
134. LEDNICKI Waclaw: *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*.
135. CZERNIAWSKI Adam: *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje).
136. *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty).
137. FLEMMING George J.: *Czym to się je?*
138. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik III. Operetka*.
139. HERTZ Aleksander: *Refleksje amerykańskie*.
140. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty).
141. SCHERER Olga: *W czas morowy*.
142. ZAWADZKA-WETZ Alicja: *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty).
143. MIAZEK Bonifacy: *Ziemia otwarta* (Poezje).
144. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Polityczne neurozy*.
145. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty).
146. HERTZ Aleksander: *Szkice o ideologiach*.
147. SUKIENNICI Wiktor: *Legenda i rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty).
148. STALINSKI Tomasz: *Widziane z góry*.
149. SIERIEBRIAKOWA Galina: *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
150. ALLILUJEW Swietlana: *Dwadzieścia listów do przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
151. WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander: *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”).
152. TYRMAND Leopold: *Życie towarzyskie i uczuciowe*.
153. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty).
154. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Czarny Polonez* (Poezje).
155. DOBEK Czesław: *Drugi rzut i inne opowiadania*.
156. IWANIUK Waclaw: *Ciemny czas* (Poezje).
157. MITKIEWICZ Leon: *Z generałem Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-szy).
158. IWANSKA Alicja: *Świat przettumaczony*.
159. GUZY Piotr: *Stan wyjątkowy*.
160. KULSKI Julian: *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi).
611. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty).
162. SACHAROW Andrej: *Rozmyślania* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23).
163. ANDRZEJEWSKI Jerzy: *Apelacja*.
164. REALE Eugenio: *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty).
165. WYGODZKI Stanisław: *Zatrzymany do wyjaśnienia*.
166. GRYNBERG Henryk: *Zwycięstwo*.

167. *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty).  
 168. DE ROUX Dominique: *Rozmowy z Gombrowiczem*.  
 169. KOSZELIWEK Iwan: *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty).  
 170. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty).  
 171. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Sen mara* (Poezje).  
 172. *Polskie Przedwiośnie*. Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27-my).  
 173. MACKIEWICZ Józef: *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść).  
 174. BUSZA Andrzej: *Znaki wodne* (Poezje).  
 175. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Upiory rewolucji* (Eseje).  
 176. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty).  
 177. MIŁOSZ Czesław: *Widzenia nad zatoką San Francisco*.  
 178. MIŁOSZ Czesław: *Miasto bez imienia* (Poezje).  
 179. PREISS Paulina: *Biurokracja totalna*.  
 180. *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 28-my).  
 181. GOMBROWICZ Witold: *Ferdydurke* (T. I. „Dzieł Zebranych”).  
 182. KALINOWSKI Franciszek: *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii* (1940-1945).  
 183. BIENKOWSKI Władysław: *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 29-ty).  
 184. *Znasz-li ten kraj?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 30-ty).  
 185. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 17-ty).  
 186. GOMBROWICZ Witold: *Trans-Atlantyk* (T. II. „Dzieł Zebranych”).  
 187. SOŁŻENICYN Aleksander: *Krąg pierwszy* (Dwa tomy).  
 188. MROŻEK Sławomir: *Dwa listy i inne opowiadania*.  
 189. GOMBROWICZ Witold: *Pornografia* (T. III. „Dzieł Zebranych”).  
 190. AMALRIK Andrej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 31-szy).  
 191. GOMBROWICZ Witold: *Kosmos* (T. IV. „Dzieł Zebranych”).  
 192. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 18-ty).  
 193. BIENKOWSKI Władysław: *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 32-gi).  
 194. BOBKOWSKI Andrzej: *Coco de Oro*. Szkice i opowiadania.  
 195. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Modele i praktyka*.  
 196. NOWAKOWSKI Tadeusz: *Happy-End*.  
 197. *Głosy stamtąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 33-ci).  
 198. BURBA-KOCHAŃSKI O. N.: *List do emigranta* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 34-ty).  
 199. STALIŃSKI Tomasz: *Cienie w pieczarze*.  
 200. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 19-ty).  
 201. CZAYKOWSKI Bogdan: *Point-no-point* (Poezje).  
 202. *Poznań 1956 - Grudzień 1970* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35-ty).  
 203. SOŁŻENICYN Aleksander: *Oddział chorych na raka*.  
 204. GOMBROWICZ Witold: *Teatr* (T. V. „Dzieł Zebranych”).  
 205. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (I) 1953-1956* (T. VI. „Dzieł Zebranych”).  
 206. BIENKOWSKI Władysław: *Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36-ty).  
 207. BIENKOWSKA Danuta Irena: *Pieśń suchego języka* (Poezje).  
 208. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 20-ty).  
 209. BIENKOWSKI Władysław: *Socjologia kłeski* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37-my).  
 210. STEMPOWSKI Jerzy (HOSTOWIEC Paweł): *Od Berdyczowa do Rzymu*.

211. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (II) 1957-1961* (T. VII. „Dzieł Zebranych”).  
 212. SZPOTAŃSKI Janusz: *Satyra podziemna*.  
 213. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (III) 1961-1966* (T. VIII. „Dzieł Zebranych”).  
 214. (Opracowała WACOWSKA Ewa): *Revolta szczecińska i jej znaczenie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 38-my).  
 215. MIŁOSZ Czesław: *Prywatne obowiązki*.  
 216. MOSTWIN Danuta: *Ja za wodą, ty za wodą...*  
 217. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 21-szy).  
 218. GOMBROWICZ Witold: *Opowiadania* (T. IX. „Dzieł Zebranych”).  
 219. CHCIUK Andrzej: *Wizyta w Izraelu*.  
 220. *Sąd orzekł...* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 39-ty).  
 221. STALIŃSKI Tomasz: *Romans zimowy*.  
 222. SOŁŻENICYN Aleksander: *Krąg pierwszy* (Dwa tomy). (Wyd. 2-gie).

## BIBLIOTEKA „KULTURY” WEDŁUG ZAGADNIEŃ

## SERIA „DOKUMENTY”

- Nr 1 *O kulcie jednostki i jego następstwach*.  
 Nr 2 *Przemówienie I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21. X. 1956*.  
 Nr 3 *Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha*.  
 Nr 4 *Warszawa-Kijów*.  
 Nr 5 *Program Związku Komunistów Jugosławii*. Krytyka „Komunista”.  
 Nr 6 *Kultura Masowa* — Praca zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza.  
 Nr 7 SUKIENICKI Wiktor: *Kolumbowy Błąd* — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu”.  
 Nr 8 *Węgry*. Opracował Czesław Miłosz.  
 Nr 9 CIOŁKOSZ Adam: *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*.  
 Nr 10 STAWAR Andrzej: *Pisma ostatnie*.  
 Nr 11 MOND Jerzy: *Sześć lat temu...* (Kulisy polskiego Października).  
 Nr 12 JEDLIŃSKI Witold: *Klub Krzywego Koła*.  
 Nr 13 SUKIENICKI Wiktor: *Biała księga*.  
 Nr 14 GRZĘDZIŃSKI January: *Maj 1926*.  
 Nr 15 *Dialog polsko-niemiecki*.  
 Nr 16 *Sąd idzie!* Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela.  
 Nr 17 KUROŃ J. i MODZELEWSKI K.: *List Otwarty do Partii*.  
 Nr 18 *Schizmy*.  
 Nr 19 ZAWADZKA-WETZ Alicja: *Refleksje pewnego życia*.  
 Nr 20 SUKIENICKI Wiktor: *Legenda i Rzeczywistość*.  
 Nr 21 MITKIEWICZ Leon: *Z generałem Sikorskim na obczyźnie*.  
 Nr 22 KULSKI Julian: *Stefan Starzyński w mojej pamięci*.  
 Nr 23 SACHAROW Andrej: *Rozmyślenia*.  
 Nr 24 REALE Eugenio: *Raporty. Polska 1945-1946*.  
 Nr 25 *Wydarzenia marcowe 1968*.  
 Nr 26 *Ukraina 1956-1968*.  
 Nr 27 *Polskie przedwiośnie*.  
 Nr 28 *Komunizm z ludzką twarzą*.  
 Nr 29 BIENKOWSKI Władysław: *Motory i hamulce socjalizmu*.  
 Nr 30 *Znasz-li ten kraj?*  
 Nr 31 AMALRIK Andrej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?*

- Nr 32 BIEŃKOWSKI Władysław: *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?*  
 Nr 33 *Głosy Stamtąd.*  
 Nr 34 BURBA-KOCHAŃSKI O. N.: *List do emigranta.*  
 Nr 35 *Poznań 1956 - Grudzień 1970.*  
 Nr 36 BIEŃKOWSKI Władysław: *Drugi wyjścia.*  
 Nr 37 BIEŃKOWSKI Władysław: *Socjologia kłeski.*  
 Nr 38 *Rewolta szczyńska i jej znaczenie.* Opracowała Ewa Wacowska.  
 Nr 39 *Sąd orzekł...*

## SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

## ZESZYT 1-szy

Zawiera m.in. eseje poświęcone Aleksandrowi Lednickiemu; pracę Leona Mitkiewicza pt. *Powstanie Warszawskie; Nieznane exposé premiera Tomasza Arciszewskiego z 15. I. 1945 oraz Indeks nazwisk do trzech tomów Najnowszej Historii Polski Wł. Pobóg-Malinowskiego (Wyd. I).*

## ZESZYT 2-gi

Zawiera m.in. Bazylego Rogowskiego *Wspomnienia o Marszałku Smigłym; Edwarda Rydz-Śmigłego Czy Polska mogła uniknąć wojny?* oraz *Nieznane listy Józefa Piłsudskiego.*

## ZESZYT 3-ci

Zawiera m.in. P. Wandycza: *Przyczynki do zagadnienia wojny przewencyjnej; Fr. Kalinowskiego: Naczelnik wodzowie i lotnictwo; Relacje i wspomnienia z Okresu Niepodległości T. Święcickiego, W. Sukiennickiego, J. Grobickiego, W. Mercika i L. Orłowskiego oraz z Okresu wojny M. Borwica, L. Mitkiewicza i T. Katelbacha.*

## ZESZYT 4-ty

Zawiera m.in. prace: J. Monda: *Nieznana dyskusja Wł. Gomułki z dziennikarzami; Relacje i wspomnienia z Okresu Niepodległości W. Chocianowicza, W. A. Zbyszewskiego i St. Fischlowitza; relacje z Okresu wojny i powojennego F. Frankowskiego, K. Bagińskiego, W. Ładniewskiej-Blankenheimej.*

## ZESZYT 5-ty

Zawiera m.in. relacje dotyczące *Drugiej podróży Mikołajczyka do Moskwy (Stenogram z posiedzenia Rady Narodowej RP w Londynie z 27. X. 1944), z Narad Aktywu Centralnego w sprawie sytuacji na froncie kulturalnym 23. XII. 1955 w Warszawie.*

## ZESZYT 6-ty

Poświęcony jest rocznicy wybuchu 2-ej Wojny Światowej i rocznicy Powstania Warszawskiego. Zawiera opracowania śp. gen. M. Karaszewicz-Tokarzewskiego, W. Babińskiego, Z. S. Siemaszki, Jana Kowalewskiego, A. Ponińskiego i innych.

## ZESZYT 7-my

Zawiera m.in. początek większej pracy T. Katelbacha o pierwszych miesiącach powrześniowej emigracji; historię lotnictwa polskiego płk. Kalinowskiego, opracowania na temat udziału Białorusinów i Litwinów w powstaniu styczniowym; wspomnienia z pobytu w więzieniach i łagrach sowieckich, wspomnienia kolejarza z okresu 2-jej wojny światowej, wspomnienia z partyzantki na Wileńszczyźnie.

## ZESZYT 8-my

Zawiera m.in. dokończenie pracy T. Katelbacha o pierwszych miesiącach powrześniowej emigracji; wspomnienia o Drugim Powstaniu Śląskim i o marszałku Rydzu-Śmigłym oraz opracowania dotyczące polskości „Battle of Britain”, cenzury w Polsce, ostatnie dokumenty Polski Podziemnej.

## ZESZYT 9-ty

Zawiera m.in. prace: K. Okulicza: *Ostatni akt dramatu J. Piłsudskiego; K. Popiela: Wybór prezydenta I. Mościckiego; T. Rudnickiego: Konferencja Teherańska; G. Śoro: Upadek Polski; St. Mackiewicz: Stulecie urodzin Wł. Studnickiego.*

## ZESZYT 10-ty

Zawiera w pierwszym rzędzie pracę Wacława Lednickiego: *Rosyjsko-Polska Entente Cordiale 1903-1905; Wacława Jędrzejewicza: Sprawa wojny przewencyjnej z Niemcami; Edwarda Puacza: Powstanie Warszawskie w protokółach PKWN.*

## ZESZYT 11-ty

Zawiera m.in. prace: J. Weinsteina: *Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny; St. Kota: Wspomnienia (Cz. I); M. Młotka: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (Cz. I); T. Nowackiego: Ludowe Wojsko Polskie; St. Lubdzieckiego: Wspomnienia oficera drugiej grupy.*

## ZESZYT 12-ty

Zawiera m.in. Z. S. Siemaszki o *Pobytku Retingera w Polsce w roku 1944; P. Wandycza o współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-20; płk. Jaklicza 17 września 1939 roku w Sztabie Naczelnego Wodza; dalszy ciąg Wspomnień prof. St. Kota.*

## ZESZYT 13-ty

Zawiera m.in. prace: T. Katelbacha: *Zet; W. T. Drymmera: Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935-1939; E. Puacza: Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia; T. Romera: U kolebki pewnego sojuszu; J. Weinsteina: Scenariusz Ministra Gafencu.*

## ZESZYT 14-ty

Zawiera m.in. prace: K. Irancka-Osmeckiego — *Polacy i Żydzi 1939-1945; M. Tauchnera — W bolesną rocznicę; T. Nowackiego — Gen. Ka-*

zimierz Sosnkowski; St. Biegańskiego — Rozkaz Nr 19 gen. Sosnkowskiego; F. Kalinowskiego — *Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyki*.

## ZESZYT 15-ty

Zawiera m.in.: Zapomniany i zakazany w PRL tekst Żeromskiego *Na plebanii w Wyszkwowie*; studium Adama Ciołkosza *Broń dla getta Warszawy*; próbę biografii Gomulki pióra Petera Rainy; materiały o Powstaniu Warszawskim w obcych oczach (*Dziennik działań Niemieckiej 9 Armii* w opracowaniu J. Mateckiego, fragment pamiętników Rokossowskiego, reportaży dziennikarza moskiewskiego Mara o skoczkach sowieckich); nieznaną listy rosyjskie Piłsudskiego w opracowaniu W. Sworakowskiego.

## ZESZYT 16-ty

Zawiera m.in. prace: Z. S. Siemaszki: *Powstanie Warszawskie — Kontakty z ZSSR i PKWN*. — A. Cienciąły: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski 1914-1918*. — J. Łukasiewicza: *Wspomnienia z roku 1939* w opracowaniu Wacława Jędrzejewicza. — G. K. Żukowa: *O powstaniu Warszawskim i Polsce*. — J. K. Zawodnego: *Raport d-ey plutonu A.K. z Powstania Warszawskiego*. — T. Nowackiego: *O Polsce, Francji i wojnie*. — *Lista awansów oficerskich, dokonanych przez prezydenta A. Zaleskiego od 1954 do połowy 1969 roku*.

## ZESZYT 17-ty

Zawiera m.in. prace: *Memoriał Michała Romera z 1915 roku: Polska a Litwa*; St. Kirkora: „*Korespondencje*” J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: *Sprawa Wilna w lipcu 1920*; L. Mitkiewicza: *Placówka „Star”*.

## ZESZYT 18-ty

Zawiera m.in. prace: S. Popkiewicza: *Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim*; S. Zochowskiego: *O Sztapie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; J. Garlińskiego: *Oświęcim walczący* oraz *Działy: Na 25-lecie P.R.L. — W ZSSR o Powstaniu Warszawskim*.

## ZESZYT 19-ty

Zawiera m.in.: Charles de Gaulle'a: *Bitwa o Wisłę; Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę*; gen. Sztimienki: *Powstanie Warszawskie. — Pamięci Heleny Radlińskiej — Wspomnienia*; M. Czapskiej, K. Bagińskiego, W. Pełczyńskiej, J. Hoffmana, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej.

## ZESZYT 20-ty

Zawiera m.in.: W. Babińskiego: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*; St. Kirkora: *Próby dobrojenia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 roku*; Józefa Becka: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 roku*; A. Ciołkosza: „*Dzielnica żydowska*” obozu w Jabłonnie.

## ZESZYT 21-szy

Zawiera m.in.: Z. Siemaszki: *Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne*;

L. Dobroszyckiego: *Prasa w Polsce w okresie kampanii wrześniowej i niemieckiego zarządu wojskowego*; St. Kirkora: *Sprawy finansowe Polski w przededniu ostatniej wojny*; St. Stempowskiego: *Ukraina (1919-1920)*; A. Krzyżanowskiego: *Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu (cz. I-a)*; K. Iranka-Osmeckiego: *Sprawozdanie i dziennik podróży emisariusza Antoniego; 5-ta Brygada Wileńska A.K. mjr. Łupaszkii*; P. Watowej: *Paszportyzacja*; L. Mitkiewicza: *Likwidacja Polskiej Misji Wojskowej w Stanach Zjednoczonych w 1945 roku*.

## SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”

ALLILUJEWA, Swietlana: *Dwadzieścia listów do przyjaciela*.  
GARDNER, Michel: *Agonia reżymu w ZSSR*.  
KOESTLER Arthur: *Fragmenty wspomnień*.  
KRZYWICKI, Walter G.: *Byłem agentem Stalina*.  
LEWICKIY Borys: *Polityka narodowościowa w ZSSR*.  
LEWICKIY Borys: *Terror i rewolucja*.  
MIHAJLOV, Mihajlo: *Tematy rosyjskie*.  
SIERIEBRIAKOWA, Galina: *Huragan*.  
SILONE, Ignazio: *Wybór towarzyszy*.  
WEISSBERG-CYBULSKI, Aleksander: *Wielka czystka*.

## LITERATURA PIĘKNA

ANDRZEJEWSKI Jerzy: *Apelacja*.  
ARŻAK, Mikołaj: *Odkupienie i inne opowiadania*.  
BOBKOWSKI, Andrzej: *Coco de Oro*.  
BOBKOWSKI, Andrzej: *Szkice piórkiem*.  
CHCUIK, Andrzej: *Rejs do Smithton — Stary ocean*.  
CHCUIK, Andrzej: *Smutny uśmiech*.  
DÉRY, Tibor: *N i k i*.  
DOBEK, Czesław: *Drugi rzut i inne opowiadania*.  
GOMBROWICZ, Witold: *Dzieła Zebrane (9 tomów — drugie wydanie utworów Gombrowicza)*.  
GREENE, Graham: *Moc i chwała*.  
GRYNBERG, Henryk: *Zwycięstwo*.  
GUILLEY-CHMIEŁOWSKA, Halszka: *Spotkania na galerii*.  
MACKIEWICZ, Józef: *Kontra*.  
GUZY, Piotr: *Krótki żywot bohatera pozytywnego*.  
GUZY, Piotr: *Stan wyjątkowy*.  
HAUPT, Zygmunt: *Pierścień z papieru*.  
HERLING-GRUDZIŃSKI, Gusta: *Drugie przyjscie oraz inne opowiadania*.  
HERLING-GRUDZIŃSKI, Gustaw: *Inny świat*.  
HERLING-GRUDZIŃSKI, Gustaw: *Skrzydła ołtarza*.  
HERLING-GRUDZIŃSKI, Gustaw: *Upiory rewolucji*.  
HŁASKO, Marek: *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii*.  
HŁASKO, Marek: *Cmentarze. Następny do raju*.  
HŁASKO, Marek: *Opowiadania*.  
HŁASKO, Marek: *Piękni, dwudziestoletni*.  
HOSTOWIEC, Paweł: *Eseje dla Kassandry*.  
HOSTOWIEC, Paweł: *Od Berdyczowa do Rzymu*.

IWAŃSKA, Alicja: *Świat przetłumaczony*.  
 LIPSKI, Leon: *Dzień i noc*.  
 MACKIEWICZ, Józef: *Kontra*.  
 MACKIEWICZ, Józef: *Nie trzeba głośno mówić*.  
 LIPSKI, Leo: *Piotruś*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Człowiek wśród skorpionów*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Dolina Issy*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Kontynenty*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Prywatne obowiązki*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Rodzina Europa*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Widzenia nad zatoką San Francisco*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Zdobycie władzy*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Zniewolony umysł*.  
 MOSTWIN, Danuta: *Amerycyko! Ameryko!*  
 MOSTWIN, Danuta: *Ja za wodą, ty za wodą...*  
 MOSTWIN, Danuta: *Olivia*.  
 MROZEK, Sławomir: *Dwa listy i inne opowiadania*.  
 NOWAKOWSKI, Tadeusz: *Happy end*.  
 NOWAKOWSKI, Tadeusz: *Syn zadżumionych*.  
 ORWELL, George: *1984*.  
 PANKOWSKI, Marian: *Smagła swoboda*.  
 PARNICKI, Teodor: *Koniec „Zgody narodów”*.  
 PASTERNAK, Borys: *Doktor Żiwago*.  
 PAWLIKOWSKI, M. K.: *Wojna i sezon*.  
 REMBEK, Stanisław: *W polu*.  
 de ROUX, Dominique: *Rozmowy z Gombrowiczem*.  
 SCHERER, Olga: *W czas morowy*.  
 SOŁŻENICYN, Aleksander: *Krąg pierwszy*.  
 SOŁŻENICYN, Aleksander: *Oddział chorych na raka*.  
 STALIŃSKI, Tomasz: *Cienie w pieczarce*.  
 STALIŃSKI, Tomasz: *Romans zimowy*.  
 STALIŃSKI, Tomasz: *Widziane z góry*.  
 STRASZEWICZ, Czesław: *Turyści z bocianich gniazd*.  
 SWINARSKI, Artur Maria: *Sasza i bogowie*.  
 TERC, Abram: *Lubimow*.  
 TERC, Abram: *Mysli niespodziewane*.  
 TERC, Abram: *Opowieści fantastyczne*.  
 TOPORSKA, Barbara: *Siostry*.  
 TYRMAND, Leopold: *Życie towarzyskie i uczuciowe*.  
 VINCENT, Stanisław: *Po stronie pamięci*.  
*We własnych oczach*. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.  
 WITTLIN, Józef: *Orfeusz w piekle XX wieku*.  
 WYGODZKI, Stanisław: *Zatrzymany do wyjaśnienia*.

## POEZJE

BIENKOWSKA, Danuta Irena: *Pieśń suchego języka*.  
 BRONIEWSKI, Władysław: *Wiersze*.  
 BUSZA, Andrzej: *Znaki wodne*.  
 CZAYKOWSKI, Bogdan: *Point-no-point*.  
 CZAYKOWSKI, Bogdan: *Spór z granicami*.  
 CZERNIAWSKI, Adam: *Sen — Cytadela — Gaj*.  
 CZERNIAWSKI, Adam: *Topografia wnętrza*.  
 IWANIUK, Waclaw: *Ciemny czas*.

IWANIUK, Waclaw: *Milczenia 1949-1959*.  
 IWANIUK, Waclaw: *Wybór wierszy*.  
 ŁOBODOWSKI, Józef: *Pieśń o Ukrainie*.  
 ŁOBODOWSKI, Józef: *Złota Hramota*.  
 MIAZEK, Bonifacy: *Ziemia otwarta*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Gucio zaczarowany*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Król Popiel i inne wiersze*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Miasto bez imienia*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Światło dzienne*.  
 MIŁOSZ, Czesław: *Traktat poetycki*.  
 PIETRKIEWICZ, Jerzy: *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*.  
 WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Czarny polonez*.  
 WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Kufer na plecach*.  
 WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Sen mara*.  
 WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Thanka ziemi*.  
 WINCZAKIEWICZ, Jan: *Izrael w poezji polskiej*. (Antologia).

## TŁUMACZENIA Z JĘZYKÓW OBCYCH

## Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO:

BELL, Daniel: *Praca i jej gorycze*.  
 BURNHAM, James: *Bierny opór czy wyzwolenie*.  
 BURNHAM, James: *Rewolucja menadżerska*.  
 DŻILAS, Milovan: *Nowa klasa wyżyskiwaczy*.  
 DŻILAS, Milovan: *Rozmowy ze Stalinem*.  
 FAST, Howard: *Król jest nagi*.  
 GREENE, Graham: *Moc i chwala*.  
 HUXLEY, Aldous: *Nowy uspaniały świat poprawiony*.  
*Kultura masowa*.  
 ORWELL, George: *1984*.  
*W e g r y*.

## Z JĘZYKA FRANCUSKIEGO:

ARON, Raymond: *Koniec wieku ideologii*.  
 CAMUS, Albert: *Człowiek zbuntowany*.  
 GARDER, Michel: *Agonia reżymu w ZSSR*.  
 HERSCH, Jeanne: *Polityka i rzeczywistość*.  
 KOESTLER, Arthur: *Fragmety wspomnień*.  
 WEIL, Simone: *Wybór pism*.

## Z JĘZYKA NIEMIECKIEGO:

LUXEMBURG, Róża: *Rewolucja rosyjska*.  
 WEISSBERG-CYBULSKI, Aleksander: *Wielka czystka*.

## Z JĘZYKA ROSYJSKIEGO:

ALLILUJEWA, Swietlana: *Dwadzieścia listów do przyjaciela*.  
 AMALRIK, Andriej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?*  
 ARŻAK, Mikołaj: *Odkupienie i inne opowiadania*.

IWANOW, I.: *Czy istnieje życie na Marsie?*  
 PASTERNAK, Borys: *Doktor Żiwago*.  
 SACHAROW, Andriej: *Rozmyślania*.  
*Sąd idzie!* Stenogram z procesu A. Siniawskiego i Ju. Daniela.  
 SIERIEBRIAKOWA, Galina: *Huragan*.  
 SOŁŻENICYN, Aleksander: *Krąg pierwszy*. T. I i II.  
 SOŁŻENICYN, Aleksander: *Oddział chorych na raka*.  
 TERC, Abram: *Lubimow*.  
 TERC, Abram: *Myśli niespodziewane*.  
 TERC, Abram: *Opowieści fantastyczne*.  
 TERC, Abram: *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny*.  
*We własnych oczach* (Antologia współczesnej literatury sowieckiej).

#### Z JĘZYKA SERBO-CHORWACKIEGO:

Program Związku Komunistów Jugosławii.

MIHAJLOV, Mihajlo: *Tematy rosyjskie*.

#### Z JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO:

KOSZELIWEĆ, Iwan: *Ukraina 1956-1968*.

LEWYCKYJ, Borys: *Polityka narodowościowa w ZSSR*.

LEWYCKYJ, Borys: *Terror i rewolucja*.

#### Z JĘZYKA WĘGIERSKIEGO

DÉRY, Tibor: *Niki*.

#### Z JĘZYKA WŁOSKIEGO:

REALE, Eugenio: *Raporty. Polska 1945-1946*.

SILONE, Ignazio: *Wybór towarzyszy*.

#### KSIĄŻKI WYDANE W JĘZYKACH OBCYCH

HŁASKO, Marek: *Hrbítovy* (w języku czeskim).

IWANOW, I.: *Jest' li žizn' na Marsie?* (w języku rosyjskim).

ŁAWRYNENKO, Jurij: *Rostriljane widrodżennia* (w języku ukraińskim).

TERC, Abram: *Fantasticzeskije powiesti* (w języku rosyjskim).

Antologia „Kultury” w języku angielskim, obejmująca wybór artykułów z lat 1947-1969, wydana została przez Free Press McMillan, New York i State University of New York at Albany (SUNYA) w 1971, w 2-ch tomach: T. I — *Kultura Essays*, str. 344; T. II — *Exploration in Freedom* — Prose, Narrative, and Poetry from *Kultura*, str. 442.

## NAGRODY „KULTURY”

### NAGRODY LITERACKIE

- W r. 1954 — Marian Pankowski za książkę *Smągła swoboda*.  
 w r. 1955 — Nagroda została podzielona pomiędzy Andrzeja Cheiuka za książkę *Smutny uśmiech* i Leo Lipskiego za książkę *Dzień i noc*.  
 w r. 1957 — Czesław Miłosz za *Traktat poetycki*.  
 w r. 1957 — Marek Hłasko za książkę *Cmentarze. Następny do rajy*.  
 w r. 1958 — Gustaw Herling-Grudziński za opowiadanie *Wieża*.  
 w r. 1959 — Halszka Guillej-Chmielowska za książkę *Spotkania na galerii*.  
 w r. 1960 — Witold Gombrowicz za książkę *Pornografia*.  
 w r. 1961 — Józef Łobodowski za całokształt pracy poetyckiej.  
 Jerzy Stempowski (Paweł Hostowiec) nagroda za najlepszy esej, ufundowana przez p. Izę Neyman.  
 w r. 1962 — Zygmunt Haupt za *Pierścień z papieru*.  
 w r. 1963 — Teodor Parnicki za całokształt pracy literackiej.  
 w r. 1965 — Wacław Iwaniuk za *Wybór wierszy*.  
 w r. 1967 — Lidia i Adam Ciołkoszowie za *Zarys dziejów socjalizmu polskiego*; Piotr Guzy za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* i Jerzy Stempowski za *Eseje dla Kassandry*.  
 w r. 1968 — Redakcja „Literarny Listy” w Pradze.  
 w r. 1971 — Kazimiera Hłakowiczówna za całość twórczości.  
 w r. 1972 — Juliusz Mieroszewski za całość twórczości.

### NAGRODY PLASTYCZNE

- W r. 1956 — śp. Stanisław Grabowski.  
 w r. 1957 — Zygmunt Turkiewicz za obraz „Marynarz w barze”.  
 w r. 1957 — Alina Ślesińska za rzeźbę.  
 w r. 1958 — Józef Czapski za obraz „Kawiarnia”.  
 w r. 1959 — śp. Mieczysław Janikowski.  
 w r. 1960 — śp. Konstanty Brandel.  
 w r. 1961 — Jan Ekiert.

### BIBLIOTEKA INSTYTUTU

Niezależnie od działalności wydawniczej, Instytut Literacki stworzył bibliotekę. Początkowo była ona pomyślana jako redakcyjna biblioteka podręczna lecz z biegiem czasu rozrosła się. Biblioteka obejmuje na 1 lipca 1972 roku 28.000 tomów skatalogowanych oraz ok. 6.000 tomów jeszcze nieskatalogowanych, obejmujących m.in. wydawnictwa encyklopedyczne, artystyczne i słowniki. Biblioteka kompletuje wszystkie książki w języku polskim ukazujące się na emigracji, ważniejsze wydawnictwa krajowe, wydawnictwa francuskie z zakresu literatury pięknej, polityki, nauk społecznych i historii, książki w języku angielskim — głównie z dziedziny socjologii, marksizmu, socjologii i historii ostatniej wojny, książki rosyjskie (emigracyjne i sowieckie), książki ukraińskie i czeskie (prawie wyłącznie emigracyjne).

Obok książek istnieje biblioteka czasopism, obejmująca prawie wszystkie czasopisma emigracyjne od jesieni 1939 roku oraz roczniki ważniejszych



pism: krajowych, francuskich, rosyjskich, anglo-amerykańskich, ukraińskich, litewskich, czeskich, słowackich, chorwackich i słoweńskich. Instytut otrzymuje ponad 300 periodyków, głównie na zasadzie wymiany — z wyjątkiem pism i wydawnictw krajowych, które z nielicznymi wyjątkami zlikwidowały wymianę w latach 1958/59, mimo systematycznego wysyłania im wydawnictw Instytutu.

### FUNDUSZ „KULTURY”

W roku 1954 *Kultura* ogłosiła zbiórkę na zakupienie domu dla Instytutu Literackiego. Zbiórka ta w dużej mierze umożliwiła nabycie własnego domu w Maisons-Laffitte. Został on spłacony w 1960 roku. Ponieważ składki od naszych Przyjaciół i Czytelników napływały nadal, począwszy od nr. 11/157 (1960 r.) przekształcono je na „Fundusz Kultury”. Fundusz ten umożliwia Redakcji przychodzenie ludziom z pomocą, udzielanie drobnych stypendiów i pokrywanie wydatków pozaredakcyjnych.



„Fundusz Kultury” stał się swoistą instytucją i wiele osób stale go zasilają po kilkanaście a nawet po kilkadziesiąt już razy.

Wpływy za okres istnienia „Funduszu Kultury” wyniosły: F. 126.122,21.

Niezależnie od ogłaszania w *Kulturze* nazwisk ofiarodawców otrzymują oni znaczek „Funduszu”, będący formą pokwitowania.

## Zniżkowa sprzedaż książek

Pragnąc zachęcić naszych Czytelników do kupowania książek i tworzenia prywatnych bibliotek — z okazji 25-lecia *Kultury* podajemy zestaw naszych książek, które będzie można nabyć po rewelacyjnie niskich cenach: Nabywcy pojedynczych książek otrzymają **zniżkę 40 %**;

Nabywcy 5-ciu książek — **50 %**;

Nabywcy 10-ciu — **60 %**.

Zniżka obowiązuje w Europie do września br. włącznie, w krajach zamorskich do października br. włącznie.

Do ceny dochodzą dodatkowo koszty porta i opakowania w wysokości 10 % ceny katalogowej.

	Ceny katalogowe	
ALLILUJEWA, Swietlana: <i>Dwadzieścia listów do przyjaciela</i> .....	F.15,00	\$ 3,25
ANDRZEJEWSKI, Jerzy: <i>Apelacja</i> .....	F. 9,00	\$ 2,25
BOBKOWSKI, Andrzej: <i>Szkice piórkiem</i> (dwa tomy) ..	F.18,00	\$ 5,00
CZAPSKI, Józef: <i>O k o</i> .....	F.12,00	\$ 2,50
GUZY, Piotr: <i>Stan wyjątkowy</i> .....	F.12,00	\$ 2,50
HAUPT, Zygmunt: <i>Pierścień z papieru</i> .....	F.13,50	\$ 3,00
HERLING-GRUDZIŃSKI, Gustaw: <i>Skrzydła ołtarza</i> ....	F. 7,00	\$ 1,50
HERTZ, Aleksander: <i>Refleksje amerykańskie</i> .....	F.16,50	\$ 3,50
HUXLEY, Aldous: <i>Nowy wschód świata poprawiony</i> ..	F.15,00	\$ 3,00
HOSTOWIEC, Paweł: <i>Eseje dla Kassandry</i> .....	F. 7,00	\$ 1,50
IWAŃSKA, Alicja: <i>Świat przetłumaczony</i> .....	F.15,00	\$ 3,50
MIEROSZEWSKI, Juliusz: <i>Polityczne neurozy</i> .....	F.13,50	\$ 3,00
MIŁOŚZ, Czesław: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> ..	F.18,50	\$ 4,00
SCHERER, Olga: <i>W czas morowy</i> .....	F.13,50	\$ 3,00
REMBEK, Stanisław: <i>W polu</i> .....	F. 8,00	\$ 2,00
TOPORSKA, Barbara: <i>Siostry</i> .....	F.13,50	\$ 3,00
VINCENZ, Stanisław: <i>Po stronie pamięci</i> .....	F.13,50	\$ 3,00
WEIL, Simone: <i>Wybór pism</i> .....	F.10,00	\$ 2,50
WIERZYŃSKI, Kazimierz: <i>Sen mara</i> .....	F.11,00	\$ 2,50
WINCZAKIEWICZ, J.: <i>Izrael w poezji polskiej — Antologia</i> ..	F.18,00	\$ 5,00
WITTLIN, Józef: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i> .....	F.34,00	\$ 7,00
ZAREMBA, Paweł: <i>Historia Polski, Cz. I</i> .....	F.20,00	\$ 4,25

## Wezwanie

Wiele lat minęło. Kiedy zaczynałem drukować w *Kulturze*, jutro, dziś już dokonane, zdawało się czymś rozległym przez swoją nieokreśloność. Nikt nie potrafiłby wtedy, skoro nigdy nie jest to możliwe, z góry odgadnąć rozlicznych podstępów czasu, tych wszystkich zapowiedzi spełniających się nieco inaczej, urzeczywistnień niekoniecznie w porę. Być może jubileusz pisma, w którym od tak dawna ukazuje się moje nazwisko, dawałby prawo do paru wspomnień. Zamiast nich wolę wybrać ze swojego archiwum niedrukowany esej, manifest czy wiersz, jak kto woli, dla mnie samego dość enigmatyczny. Nie był to dobry okres, ten styczeń czy luty 1954 roku. Jeżeli o mnie chodzi, znosiłem go jako, bez przenośni, duchową chorobę której poważnych, filozoficznych (a nie politycznych, jak sądzili niektórzy) przyczyn nie mam zamiaru pomniejszać. Utwór poniższy, podobnie jak zaczęta wtedy powieść „Dolina Issy”, miały więc dla mnie znaczenie prywatnych zaklęć, całkiem niezależnie od myśli, że ktoś kiedyś może mnie czytać.

Wy, przyjaciele moi, gdziekolwiek jesteście,  
Czyli was gnębi troska, czy radość napętnia,  
Do was podnoszę kubek z czarnym cierpkim winem  
Jak się to pije nieraz w kraju Francji.  
Spomiędzy krajobrazu dźwigów i kanałów,  
Splątanych torów i zimowej mgły  
Winem i dymem czarnego tytoniu  
Ku wam podążam i stawiam pytanie.  
Powiedzcie mi, raz tutaj odrzucając  
Względy i strach i mierzenie słów,  
Powiedzcie mi, jak się w środku nocy  
Mówi, przed sobą mając tylko noc

I tykanie zegarka, gwizd ekspresu,  
Czy naprawdę myślicie że ten świat  
Jest waszym domem? Czy ta, rozjarzona  
Wewnętrzna planeta wasza, która krąży  
Prądami ciepłej krwi bez przerwy gnana,  
Czy ta planeta pracuje w harmonii  
Z tym co otacza was? Nie, chyba znacie  
Ten gorzki protest co dnia, co godziny,  
Krzyk co się wzbija, stłumiony uśmiechem,  
Uczucie więźnia kiedy sięga muru  
I wie, że za nim ścielą się doliny,  
Dęby w przepychu lata stoją, leci kraska  
I zimorodek zmienia rzekę w dziwo.

W was, tak jak we mnie, jest ukryta pewność  
Że jeszcze chwila, a z potężną siłą  
Wziedzicie w pełnym blasku, rzeczywiści,  
Wolni od tego co was powściągało.  
Że ponad pleśnią potrzaskanych płyt,  
Ponad pamięcią i waszą przemianą  
Co jest jak odlot ptaków kiedy lód  
Kruszy się w śladach kopyt — ponad wszystkim,  
Dane wam będzie biec niebieskim ogniem,  
Żagle rozpalać o świcie płomieniem  
Kiedy okręty wloką dym i wstają,  
Strząsając z włosów miedź, archipelagi.

Nie, nie dlatego tu z popiołów zimy  
Zwracam się do was jak najprostsza mowa  
Żeby zwątpienie szerzyć, melancholii  
Dawać na przykład imię siostry losu.  
Dalej i dalej. Jeszcze serce bije.  
Nic nie stracone. Jeśli nasze słowo  
Któregoś dnia tak zdoła się zespolić  
Z korą drzew leśnych i kwiatem pomarańczę  
Że będzie jednym — to będzie znaczyło  
Że myśmy wielkiej nadziei bronili.

Jak ja mam bronić? Ponazywać rzeczy.  
To nie jest łatwe. Wymawiam „jutrzienka”  
A język sam się uktada w przymiotnik  
„Różanopalca” jak w dzieciństwie Grecji.  
Słońce i księżyc mają twarze bogów.  
Nie jestem pewien czy z dna oceanu  
Nie wyrzzy (kolczyk ma w uchu) Posejdon

Płużąc motorem, wlokąc orszak nimf.  
 Kiedy po lasach i łąkach alpejskich  
 Chodzę, to każda rozpadlina skał  
 Zdaje się bramą przez którą do Piekieł  
 Można by wstąpić (czekam przewodnika).  
 A przestrzeń jaka jest? Czy mechaniczna,  
 Ta newtonowska, jak zamarzła turma,  
 Czy lotna przestrzeń Einsteina, relatio  
 Ruchu i ruchu? Nie mam co udawać  
 Że wiem, jeżeli nie wiem, albo wiem  
 A wyobraźnię mam tysiäcoletnią.

Wskoczcie do wody w ubraniu. Ten otów,  
 Ta ociążałość, jak niekiedy we śnie.  
 Podobnie z nami. Brokat starych wieków  
 Nosimy, albo fałszywe purpury.  
 Twarz zakrywając maską z aksamitu,  
 Klasyczni: grając znowu co już było.  
 A jednak, twierdząc, to jest ziemia czarów  
 I w podarunku niesie wieczną młodość.

Do was podnoszę kubek, tu, na scenie,  
 Ja, głos, nic więcej, wielkiego teatrum.  
 Przeciw zamkniętym oczom, cierpkim ustom,  
 Przeciw milczeniu które jest niewola.

Czesław MIŁOSZ

## Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 5 stycznia 1972

Wytykano Doktorowi Żiwago nadmierne operowanie zbiegiem okoliczności, krzyżowanie losów ludzkich na ogromnej przeciwieństwie scenie z dezynwolturą, która obraża „poczucie realizmu”. Ale często co nam wydaje się tylko dowolną grą przypadków i koincydencji, jest w rzeczywistości tajemnym językiem spełniającej się wolno i nieuchronnie tragedii.

Z listów Cwietajewej widać, że marzyła na emigracji o spotkaniu z Pasternakiem. Najzupełniej nieoczekiwanie odbyło się w Paryżu, w roku 1935. Cwietajewa nazwała je później „nie-spotkaniem”. Pasternak był wystraszony, prawie nieobecny, nie pożegnał się z nią nawet przed odlotem do Moskwy, „po prostu wyszedł raz po papierosy i znikł”. Zanim znikł, zdążyła go zapytać co sądzi o jej zamiarze powrotu z rodziną do Rosji. Odpowiedział wymijająco, nie namawiał i nie odradzał. Być może nie rozumiała, że w owych czasach już taka „nie-odpowiedź” była odpowiedzią.

Wróciła w roku 1939. Nic nie wiemy o jej ostatnich chwilach, pisałem w moim dzienniku. Coś jednak wiemy, twierdzi J., powołując się na swoją rozmowę z Paustowskim w Paryżu. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej ewakuowano ją z synem do Republiki Tatarskiej, do małego miasteczka Jełabuga nad Kamą. Przed wyjazdem z Moskwy potrzebny był jej sznur do obwiązania sfatygowanej walizki; dostała go od Pasternaka. W Jełabudze czuła się zgubiona, daremnie starała się o pomoc lub zajęcie; mąż przepadł w więzieniu, córka również za kratami, ciągleł niepokój o syna. Ratunkiem byłoby przeniesienie się do Kazania, gdzie skierowano większość ewakuowanych pisarzy.

Paustowskiemu nie udało się przeforsować jej prośby na zebraniu kazańskiej organizacji pisarskiej, po latach mówił o tym z akcentem bólu i jakby winy w głosie. Powiesiła się, zatarasowawszy drzwi, gdy syna i gospodyni nie było w domu.

To wszystko. I słowa z wiersza Pasternaka nad jej grobem: *W molczanji twojego uchoda uprek niewyskazannyj jest*'.

9 stycznia

Trzeci tom esejów, artykułów i listów Orwella. Nie wiedziałem, że to Gleb Struve zwrócił mimowoli Orwellowi uwagę na powieść *Zamiatina My*. Dziękując za książkę o rosyjskiej literaturze porewolucyjnej, Orwell dopytywał Struvego w liście z roku 1944 właśnie o *Zamiatina*, gdyż „ja sam robię notatki do podobnej powieści i może prędzej czy później ją napiszę”. Zabawny jest list do Eliota, jako dyrektora wydawnictwa Faber, dołączony do manuskryptu *Animal Farm* (z tegoż roku). Czy *Folwark zwierzęcy*, po odrzuceniu przez innych wydawców, miałby szansę u Fabera? Orwell uprzedzał przy tym z góry, że nie zgodzi się na żadne zmiany i poprawki, zwłaszcza na wysuniętą już parokrotnie „kretynską sugestię” poszukania dla bolszewików jakichś godniejszych niż świny zwierząt. Eliot też wolał nie ryzykować wydania książeczki, której sądzone było w niedalekiej przyszłości przekroczyć (jedynie po angielsku) milion egzemplarzy.

17 stycznia

W *Próbach świadectwa* Strzeleckiego, spisanych dopiero teraz refleksjach o latach okupacji niemieckiej, uderzają zdania: „W etyce chrześcijańskiej widzieliśmy podczas wojny jedną z sił nadających ludziom moc oporu wobec nakazów i porywów wszelkich ziemskich namiastek Boga, wszelkich współczesnych lewiatanów, obiecujących, w zamian za posłuszeństwo, ukojenie poczuciem wspólnoty... Chrześcijaństwo stało w poprzek samoubóstwieniu partii, państwa, narodu, w poprzek etykom smilitaryzowanych kolektywów... Było szkołą odpowiedzialności za własne indywidualne życie”. A zatem „odmowa uznania historii za instancję naczelną”. Ciekawe, że do analogicznych rozmyślań doprowadziła Strzeleckiego analiza stalinizmu w tekście ogłoszonym niegdyś w *Twórczości*, chodziło tam o wskazanie jak sankcjonowano bezprawie i gwałt teorią „natury ludzkiej podporządkowanej partii”. U marksisty z nieco młodego pokolenia, filozofa praskiego Kosika, sprawa postawiona jest jeszcze jaśniej: władza przekształca się niemal automatycznie w wszechwładzę,

jeśli znajduje oparcie w przekonaniu o bezgranicznej plastyczności natury ludzkiej; pod tym względem trzeźwiej i ostrożniej patrzył na świat i człowieka Machiavelli, niż krytykujący go z pozycji marksistowskich Gramsci.

Ale są to resztki „smutnych obrachunków”, *los ultimos podrygos* komunizmu jako samopożerającej się ideologii. Praktykę ustalił Stalin i obowiązuje ona, choć w znacznie złagodzonej formie, po dzień dzisiejszy. Orłow opisuje znamieny epizod z trzydziestego szóstego roku. Pułkownik NKWD, któremu zlecono „przygotowanie” Kamieniewa do procesu, zjawił się u Stalina z wiadomością że więzień nie kapituluje. Stalin uśmiechnął się ironicznie: „Mironow, powiedz mi ile waży państwo?”. „Nie wiem — wybąkał zdumiony Mironow, — nigdy się nad tym nie zastanawiałem”. „Państwo — upierał się Stalin — ze wszystkimi swoimi fabrykami i maszynami, ze swoją armią i flotą”. „Josif Wissarionowicz, cyfry chyba astronomiczne”. „Widzisz, Mironow, a ty mi tu opowiadasz, że jeden człowiek potrafi się oprzeć naciskowi takiej astronomicznej wagi; wracaj do roboty, nie pokazuj mi się na oczy bez podpisanego przez Kamieniewa przyznania się do wszystkich oskarżeń”. Tyle zostało z ideologii: astronomiczny ciężar państwa, które według pierwotnych projektów miało „stopniowo obumrzeć”; i ugniatały przez nie człowiek, któremu zapowiadano przeskok do „królestwa wolności”. Stąd gorączkowe odgrzebywanie starych prawd, „śmiesznych przeżytków” wyrzuconych swego czasu na „śmietnik historii”. Dydydenci sowieccy nie wstydzą się słowa „dusza”, Strzelecki nie bez kozery wspomina *dzisiaj* okupacyjną ucieczkę do etyki chrześcijańskiej przed „wszelkimi współczesnymi lewiatanami”.

18 stycznia

Telefon od R. z Rzymu, umarł Nicola Chiaromonte. Drugi, po dziesięciu przeszło latach, zawał. Nawet nie w domu, w gmachu radia, gdzie nagrywał jakąś pogadankę. Powiedzieć że straciłem dobrego i wiernego przyjaciela, to za mało. Nie widywaliśmy się ostatnio zbyt często, ale wystarczała mi sama myśl że bardzo blisko jest ktoś taki jak on, wspaniały człowiek. Ciężko będzie bez niego we Włoszech, ciężko i pusto. Prócz bólu, uczucie osobistego zagrożenia.

19 stycznia

Poznałem go w roku 1956, gdy z Silonem założył *Tempo Presente*. O sobie mówił niechętnie, słyszałem już jednak o nim sporo od innych. Na początku lat trzydziestych zdecydował się

wyjechać z Włoch. W środowisku emigracji antyfaszystowskiej w Paryżu zetknął się z człowiekiem, którego do końca życia uważał za swego mistrza. Tym mistrzem był Andrea Caffi, urodzony w Petersburgu syn Włocha i Rosjanki, mienszewik więziony w Moskwie wkrótce po rewolucji, samotny wędrowiec i nie zanadto do pisania skory erudyta w stylu naszego Hostowca. Nicola nauczył się od niego szacunku dla socjalizmu wolnościowego, wstrętu do uroszczeń władzy i państwa, i tak wysokiego pojęcia o przyjaźni, że przypominało reguły komun czy sekt religijnych. Bił się w Hiszpanii w eskadrze Malraux. Po klęsce republikańskiej wrócił do Francji. Musiał z niej niebawem uciec, ścigany przez Niemców. W Algierze znalazł bratnią duszę, Alberta Camus. Wyjechał do Ameryki w czterdziestym pierwszym roku, spędził tam sześć lat, ucząc w szkołach literatury angielskiej, współpracując z *Politics* i *Partisan Review*. Znowu mógł pisać i drukować; minęło dość dużo czasu od jego rzeczy ogłaszanych w paryskiej *Giustizia e Libertà* braci Rosselli.

Każda nowa rozmowa, każdy nowy esej, każda nawet drobna nota polityczna lub recenzja teatralna, ukazywały mi pisarza niezwykłego we Włoszech, kraju tradycyjnych *letterati*, wirtuozów zgrabnego i błędnego czernienia papieru na usługach bieżących mód intelektualnych. Pisać tak, by zdanie było przekazem nie tylko jasnej i swobodnej myśli, lecz nieustannego napięcia moralnego, by w słowie żył całym sobą kto wypowiada je jako swoją długo odważaną i cierpianą prawdę — to pociągało mnie zawsze. I tak pisał Nicola. Nie dał się nigdy uwikłać w sieci „wielkich systemów” i „generalnych interpretacji”, odnosił się z nieufnością do „sztuczek dialektycznych” kaleczących życie i do „cieni ideologicznych” zasłaniających rzeczywistość, gardził psychologizmem i historycyzmem, interesował go konkretny człowiek w obliczu konkretnych wydarzeń, po tołstojowsku zdolny do sądu etycznego i równocześnie świadomy czegoś poza nim nieprzeniknionego. Ten humanizm ograniczony jakże miał wywoływać szerszy odzew w świecie opętany retoryką fałszywych ideologii „uniwersalnych”, w klimacie hipokryzji pół na pół przemieszanej z fanatyzmem, w „konsumpcyjnej cywilizacji” oschłości serc i jałowości umysłów? Nicola zdawał sobie coraz ostrzej sprawę ze swego osamotnienia. Ostatnią książkę zatytułował *Credere e non credere*. W co wierzyć, w co nie wierzyć? „Nasz wiek nie jest wiekiem wiary, ale nie jest też wiekiem niewiary. Jest wiekiem złej wiary, wierzeń podtrzymywanych siłą, z braku innych prawdziwych”. Jakie lekarstwo na *malafede*, straszną chorobę naszych czasów? Szukał tego lekarstwa w sposób rozpaczliwy. On, ateista albo co najmniej agnostyk, wyznał kiedyś: „Jest równie trudno wierzyć w Boga, jak w Niego nie wierzyć”.

W kwietniu bodaj zeszłego roku przyjechał z wizytą do Laffitte, dawno już chciał zobaczyć jak się tu żyje i pracuje. Odprowadziłem go na dworzec, wsiadając do pociągu nachylił się nagle do mnie i szepnął: „Zazdroszczę wam”. W ustach Nicoli, pesymisty przekonanego że wyłącznie na Wschodzie próbuje się jeszcze walczyć o wartość egzystencji ludzkiej (nasz dialog o Sołżenicynie w *Kulturze*), miało to bardzo określony wydźwięk.

20 stycznia

Mądry Zamiatin pisał nazajutrz po rewolucji, że wszystkie religie przechodzą w swoim rozwoju przez trzy stadia: profetyczne, apostołskie i kościelne. „W ostatnim czyli kościelnym stadium chrześcijanie zwyciężyli na planie ziemskim. I jak wszyscy zwycięzcy, zaczęli uprawiać zbawianie przymusowe: ogniem, mieczem, więzieniem. Chrystus stał się Wielkim Inkwizytorem”. To rok 1919. Caffi nie znał przypuszczalnie listu Zamiatina, ale i on w tym samym mniej więcej czasie zauważył, że religia rewolucji porzuciła *il socialismo libertario*, by szybko wkroczyć we własne „ziemskie” stadium kościelne. Zastanawiająca jest naturalność z jaką mówi się obecnie o „socjalizmie despotycznym”, dając do zrozumienia (nie rzadko z obojętnym wzruszeniem ramion) że „wolnościowy” spoczął na cmentarzu pobożnych życzeń. Za dwanaście lat wybije rok orwellowski. Codzienny przymus jest wiecznym zbawieniem, ślepy posłuch jest autentyczną wolnością.

Neapol, 9 lutego

Gombrowicz, zapytany w ostatnim wywiadzie jacy pisarze najbardziej na niego wpłyneli, wymienił z literatury rosyjskiej jedynego Dostojewskiego. W *Dzienniku* znajduję dyskusję z młodymi przyjaciółmi argentyńskimi na temat *Zbrodni i kary*.

Pogląd Gombrowicza. W *Zbrodni i karze* nie rozgrywa się dramat sumienia w klasycznym, indywidualistycznym tego słowa znaczeniu. Raskolnikow nie przeżywa wyrzutów sumienia. Z epilogu powieści wynika wyraźnie, że wyrzuca sobie tylko to, iż mu się „nie udało”. Jakaż zatem siła, w braku sumienia, popchnęła go do kapitulacji przed policją? „System. System odbić, prawie zwierciadlanych”. Raskolnikow nie jest sam, żyje wśród ludzi. Jego własne sumienie milczy, natomiast nie da się tego samego powiedzieć o cudzych sumieniach. Gdyby dowiedzieli się inni, potępiłby go jako zbrodniarza. Raskolnikow jest „dla sie-

bie samego mgławicą, a mgławicy wszystko wolno". Wie jednak, że inni widzą go wyraziściej, „ostrzej choć powierzchowniej”, i że dla nich byłby prawdopodobnie zbrodniarzem. Zaczyna się w nim krystalizować poczucie winy, widzi już teraz po trosze siebie oczami innych, i trochę już jako zbrodniarza, przekazuje myślowo ten obraz otoczeniu, stamtąd wraca spotęgowane odbicie i potępienie. Ale czy to własne sumienie Raskolnikowa? Skądże znowu, to szczególne sumienie powstające i wzmagające się między ludźmi, w systemie odbić. Stopniowo, w miarę narastania po zbrodni złego samopoczucia, Raskolnikow przystaje na ów „sąd zwierciadlany”. Dla Gombrowicza sumienie Raskolnikowa przejawia się w jednym: w poddaniu się „temu sztucznemu, międzyludzkiemu, zwierciadlanemu sumieniu, jak gdyby ono było jego prawowitym sumieniem”. Raskolnikow wypełnia „nakaz z obcowania ludzkiego poczęty”, nie pytając czy jest on sprawiedliwy.

Przewód bardzo zręczny, coś w rodzaju błyskawicznego mata w paru posunięciach; i o tyle ciekawy, że widać jak Gombrowicz dopasowywał ulubionych pisarzy do swojego „międzyludzkiego kościoła”. Bo poskrobać nieco, a okazuje się że gombrowiczowska rekonstrukcja jest drastycznym zredukowaniem Dostojewskiego.

Na pozór nie można jej nic zarzucić, to właśnie powoduje że śledzimy ją jak precyzyjną i sprawną grę. Istotnie w epilogu powieści Raskolnikow „upatrywał zbrodnię jedynie w tym, że nie wytrzymał i że dobrowolnie zgłosił swą winę”. Upewniał też siebie w duchu o własnym „spokojnym sumieniu”, nie pojmując czemu między nim i ludźmi rozwarła się „nieprzebyta otchłan”. Do tego punktu wszystko się zgadza, Raskolnikow jest mgławicą, „nakaz z obcowania ludzkiego poczęty” zostanie mu wpojony przez otoczenie. Ale Dostojewski podkreśla równocześnie, że jego bohater „żył na katordze jak gdyby ze spuszczonego wzrokiem” i „wyczuwał w sobie i w swych przekonaniach głęboką fałsz”. Była to „zapowiedź przyszłego zmartwychwstania, przyszłego nowego poglądu na życie”. Kilka stronic dalej, tuż przed definitywną kropką, trzy najważniejsze zdania: „Zamiast dialektyki przyszło życie i w świadomości musiało się wypracować coś zupełnie innego. Pod poduszką Raskolnikowa leżała Ewangelia. Wziął ją odruchowo”. Cóż to za „dialektyka”? Oczywiście ta, która w intencji Dostojewskiego uczyniła z Raskolnikowa zbrodniarza „logicznego” i długo nieskruszonego. Lecz i ta, która (według Gombrowicza) zmusiła go w końcu do ugięcia się przed „sądem zwierciadlanym”, przed „sztucznym sumieniem międzyludzkiem”. Gdyby więc, jak chce w praktyce Gombrowicz, przestać na Raskolnikowie widzącym siebie najpierw własnymi

oczami a potem oczami innych, *Zbrodnia i kara* byłaby tylko powieścią o normach współżycia społecznego, historią adaptacji przestępcy do kodeksów postępowania przyjętych przez zbiorowość. Rzecz jasna, tak nie jest. Raskolnikow, „nadczłowiek” unizony, dojrzewa stopniowo do spojrzenia na siebie oczami Boga. Idzie tu nie nawet o dosłowność nawrócenia, które Dostojewski szkicuje w trzech zaledwie zdaniach, ale o świadomą potrzebę zaczepienia swojego „ja” (nad „otchłanią”) o coś odeń wyższego. O co? O „kościół międzyludzki”, powiedziałby Gombrowicz. O Boga, mówi Dostojewski, czyli o wartość absolutną i niezmienną.

W stroniczce o *Zbrodni i karze* doszedł podskórnie do głosu główny dylemat filozoficzny Gombrowicza. Jeżeli nic poza „ja” nie istnieje, a jest ono rezultatem zwierciadlanej presji ludzi na ludzi, to gdzież gwarancja jego „autentyczności”? W systemie luster również „ja” jest odbiciem, iluzją podsuwaną i kształtowaną przez innych. Skoro tak, walka z Formą toczy się nie tyle o siebie, ile przeciw innym. Być sobą — marzenie Gombrowicza — staje się w międzyludzkiem zaplątaniu marzeniem nieziszczalnym, sprowadza się co najwyżej do parowania jednych masek drugimi, by przynajmniej nie dać się uwięzić w raz zafiksowanym odbiciu. Czy możliwe jest sam na sam z sobą wśród ludzi? U Dostojewskiego odpowiedź przybiera dwie krańcowo różne twarze: Raskolnikowa sięgającego po Ewangelię i Stawrogina sięgającego po strycek. Podejrzewam że Gombrowicz, odczytawszy na swój sposób *Zbrodnię i karę*, bronił po prostu własnej problematycznej wiary w człowieka, który poprzez człowieka „stwarza się wciąż na nowo i nim rośnie”; słowem, wiary w kruchą „dialektykę” międzyludzkiej samowystarczalności.

22 lutego

W dziesięciolecie śmierci Broniewskiego obwołano go jednym z „patronów” łódzkiego zjazdu literatów. Być może tkwi w tym jakiś głębszy, choć niezamierzony przez projektodawców, sens.

Moja znajomość z Broniewskim zaczęła się podczas wojny, gdy w jerozolimskim dwutygodniku *W Drodze* wydrukowałem artykuł o nim, zatytułowany *Poezja Cezarego Baryki*. Był bardzo wzruszony dowiedziawszy się jak ogromne wrażenie zrobiła na mnie, po dotarciu z łągów nad Morzem Białym do wojska w Kazachstanie, jego *Zamięć*. Moje przepustki z palestyńskiego m.p. do Jerozolimy kończyły się na ogół u niego. Pił wtedy według pewnego rytuału. Po pierwszej szklance zapadał w posępne milczenie. Druga otwierała potok *matierszczyzny* pod adre-

sem Borejszy i Daszewskiego, których uważał za sprawców swego arestowania we Lwowie. Trzecia i czwarta, wychylone duszkiem, stanowiły podkład do numeru popisowego. Zadawał w imaginacji wymyślne tortury Stalinowi, szukając ciągle nowych i okrutniejszych wariantów. Bywało to niekiedy dość nieznośne. Dopiero po numerze ze Stalinem przychodziła kolej na ły i cicho, płaczącym się już językiem, mrużąc do siebie wiersz: „Cóż reczko miła, ja z więzienia do ciebie piszę list”.

Nie zdziwiło mnie że wrócił, tęsknił do kraju fizycznie. Zaskoczył mnie natomiast poemat o Stalinie. Przypisywano go naciskom, ale starzy przyjaciele Broniewskiego na emigracji kręcili sceptycznie (i smętnie) głowami. Ich zdaniem *poeta laureatus*, obsypany honorami, postanowił pokłonić się oprawcy czapką do ziemi w przypiływie swoistej „fantazji szlacheckiej”, tej samej która kiedyś kazała mu obnosić się dumnie między towarzyszami z *Virtuti* zdobytych w dwudziestym roku, a później paradować po ulicach sowieckiego Lwowa w mundurze kapitańskim. Mniejsza o to jak było naprawdę, w każdym razie ten nieszczęsny poemat miał go niebawem wykołować do reszty. W pięćdziesiątym szóstym roku starano się Broniewskiego nie zauważać, co musiało ranić i prowokować bardziej nawet niż gdyby go jawnie zaczepiano i wydrwiwano. Zamęczał znajomych nocnymi telefonami, mnie też przebudził w Neapolu taki telefon, gdy w odpowiedzi na ankietę o literaturze krajowej w wrocławskich *Nowych Sygnałach* zbyłem poemat lekceważącym słówkiem: rewindykował jego „wartość czysto artystyczną”, niezależnie od „bohatera”. Jeszcze nie nadeszło najgorsze.

Wyprawiono go na Zachód w ogniu popaździernikowej fali turystycznej, co uznał za despekt. Był rozgoryczony, obolały, zadrę przeniósł na całą „odnowę”. Koszmarny neapolitański wieczór pijacki, epilog dawnych wieczorów jerozolimskich! Broniewski, w którym próżność autorska i teraz upór „fantazji szlacheckiej” podały sobie ręce, rewindykował także „obiektywną” wielkość i chwałę bohatera swego poematu. Wolałbym nie pamiętać tego żalostnego bełkotu, przypomniały mi go słowa Iwaszkiewicza o „naszym patronie świecącym nad wielokształtnym bogactwem moralnym naszego związku”.

1 marca

Z *Prywatnych obowiązków* Miłosza: „Któregoś dnia zśliśmy z Anną Kowalską ulicą w Krakowie i zaczęła mówić o wszystkim co się dzieje, urywanymi zdaniem, przez ściśnięte gardło, aż chwyciła mnie za klapy marynarki i trzęsła się od płaczu, całą

koszulę miałem mokrą, próbowałem ją pocieszać, sam bez żadnego argumentu czy pociechy. To był płacz najczystszej litości, *caritas*. Prawda o roku 1945, o nieszczęściu kraju, w którym montowano na prędko aparat władzy z rzezimieszków i bandziorów, nigdy nie została opowiedziana, przysypały ją zmyślenia i bajki. Dotychczas nie jest dla mnie jasne ilu z tych co (jak ja) godzili się na konieczność, zdołało tak sobie żałobne narodziny nowego państwa zracjonalizować, że zapomnieli o świadectwie własnych oczu. Chyba bardzo niewielu i stąd zapewne w literaturze, zastępczo, tyle nihilizmu”.

Miłosz ma rację, ale należałoby może pokazać odwrotną stronę *caritas* — przerażenie. Latem 1963 roku Kowalska i Dąbrowska przyjechały do Włoch. Dyskutowało się o sprawach, które wkrótce potem cząstkowy, ostrożny wyraz znalazły w Memoriale Trzydziestu Czterech. Kowalska uczestniczyła w tych dyskusjach z rezerwą, jak gdyby wpatrując się bez przerwy w daleki obraz, mała niby z nimi związana a przecież dla niej ważny, kto wie czy nie decydujący. Wreszcie pewnego popołudnia, pod nieobecność odpoczywającej Dąbrowskiej, nastąpił wybuch. Widzę wciąż tę scenę, równie wyraziście jak Miłosz scenę na ulicy powojennego Krakowa. Był upał, Kowalska wachlowała się w fotelu gazetą, nagle wstała, ciężkim krokiem podeszła do okna i z twarzą przytkniętą niemal do żaluzji wykrzyczała opowieść o więzieniu lwowskim po wycofaniu się Rosjan a przed wkroczeniem Niemców. To był krzyk najczystszej przerażenia. Trupy rozstrzelanych, obryzane krwią ściany i mury, furia wdęptania w ziemię, unicestwienia. I obsesyjny refren: „Do wszystkiego są zdolni, wszędzie mają swoich ludzi, nie pozwolą nam żyć, zardusza nas, na nic nasze wysiłki”.

Oto druei, prócz nihilizmu, owoc świadectwa własnych oczu: paraliż. U pisarzy takich jak Kowalska wstępował on w postaci wiedzy oniemiałej, bezsilnej. U innych, skłonnych do „racjonalizacji”, szukał i nadal szuka ratunku w złudzeniach „realistycznego kompromisu”. Pomiedzy nihilizmem a paraliżem dojutrukuje literatura, której utwory przyciągają coraz mniej (młodych zwłaszcza) czytelników.

16 kwietnia

Depresja, *umore nero* jak to nazywają Włosi. Uciekłem dziś, dosłownie uciekłem z Neapolu, osaczony przedwyborczym wyścigiem z dziesiątków krających po ulicach megafonów. Koło nas mieszka jeden z wodzów *destra nazionale*, narodowej prawicy, czyli aliansu faszystów z monarchistami. Jego argumentem wy-

borczym są bojowe piosenki ze zdartych płyt, czasem też przeszło osiemdziesięcioletni *commandante* prezentuje z tarasu swój nagi, szczeciniasty i ogorzały tors, małpując przypuszczalnie słynną „męską” posturę Mussoliniego, która włoskich „synów wilczy” wprawiała w cielęcy zachwyty.

W Nerano miałem nadzieję złapać oddech, odgiąć się, ale trzeba było szybko wracać. Takiego morza nie widziałem tam nigdy w połowie kwietnia. Zalało plażę, uderzało wysokimi falami o fundamenty domów i przystawione do muru łodzie rybackie, szarpało w odpływach kamienisty brzeg — brudne, skotłowane, pokryte żółtą pianą. Pusto, tylko w barze grano w karty przy dźwiękach puszczonej na cały regulator skrzyni „muzycznej”.

Po co właściwie zapisuję to w dzienniku?

*Maisons-Laffitte, 3 maja*

Rano J. przyniósł mi tomisko dzienników i zeszytów Tołstoja, z brulionem opowiadania *Czetowieczeskoje i Bożeskoje*.

W formie brulionowej nowela Tołstoja brzmi jak przedziwnej prostoty przypowieść. Rzecz dzieje się w latach siedemdziesiątych, „w okresie największego nasilenia walki rewolucjonistów przeciw rządowi”. Zostaje zatwierdzony wyrok śmierci na dwudziestopięcioletniego studenta Swietłoguba. „Młodzieniec czysty, gorący, urodziwy, życie całe strawił w służbie ludu, był wrogiem wszelkiej przemocy, zabójstwa”. W noc przed egzekucją pisze w celi listy do najbliższych i czyta Ewangelię, „duszę mając przepętnoną radością”. Na egzekucję wychodzi uśmiechnięty, do serca przyciska Książkę. Z okna innej celi patrzy z przejściem na tę scenę stary chłop *raskolnik*, „szukający prawdziwej wiary i odrzucający ikony”. Chciałby wiedzieć jaka to wiara dała młodzieńcowi siłę iść na śmierć z taką pogodą. Za ostatnie uciulane ruble przekupuje dozorców więziennych, byle tylko móc chwilkę choćby porozmawiać z towarzyszem powieszzonego. „Jesteś tej samej wiary co Swietłogub?”. „Tak, tej samej”. Chłop kłania mu się do samych nóg: „Powiedz mi co to za wiara. Od trzydziestu lat szukam prawdziwej wiary, zobaczyłem ją dopiero u twego młodego towarzysza. Na Boga, zlituj się, powiedz co to za wiara”. Rewolucjonista opowiada o krwiopijcach, którzy wymyślili Boga by okłamywać naród i uczyć go pokory, dodaje na zakończenie że czas ich wszystkich wyróżną. Starzec słucha wzdychając, potem pada na kolana: „Nie ukrywaj, powiedz prawdę”. „Mówię prawdę, taka jest nasza wiara”. „I taka była wiara Swietłoguba?”. „Dokładnie taka”. „To nie-

prawda, z taką wiarą nie można tak umierać”. Kręcąc głową, *raskolnik* wychodzi z celi rewolucjonisty.

W przypisach zaznaczono, że Tołstoj „nie mógł bez wzburzenia i też czytać niektórych rozdziałów własnego opowiadania”. U kogo po siedemdziesięciu latach (brulion jest z roku 1903) *Czetowieczeskoje i Bożeskoje* wywoływałyby podobne reakcje? Czy znał tę nowelę Nicola, rozkochany w Tołstoju, przed śmiercią zaliczający do swoich żelaznych lektur jego szkic *Zatrzymaj się i zastanów*? Trockij z respektem, ale nie bez domieszki protekcyjnego zadufania rewolucyjnego, spoglądał na „ogromną, popękaną i porośniętą mchem skałę tołstojowską”, krzywił się na pisarza w którego oczach „autentyczni filozofowie i prorocy reprezentują nie własną epokę lecz raczej odwieczne kategorie moralne”. Przychodzi mi na myśl Bucharin opisany w moim dzienniku: ten co w moskiewskiej celi więziennej rozważał sens i cel życia, ten co w Paryżu zamilkł naraz w rozmowie z Nikołajewskim o Dziesięciogru Przykazań.

*6 maja*

W liście Sołżenicyna do patriarchy wszechrosyjskiego Pimena mowa o „drodze ofiary”, o potrzebie „męczeństwa”, o początkach chrześcijaństwa. „W owych czasach rzucano ludzi lwom na pożarcie, w naszych można stracić tylko dostatek”. Dzisiejszy dodatek literacki do *Figaro* drukuje fragment *Journal de mon désarroi* Ionesco, zatytułowany *La chasse à l'homme*: „Pisarze wciąż piszą, ja także piszę. Powieści miłosne, powieści „filozoficzne”, formalistyczne *bricolages du nouveau roman* — wszystko nędza i wstyd. Literatura, słowa nie są już w stanie oddać powszechnego okrucieństwa. Spotkałem niedawno jednego z nowych powieściopisarzy nowej powieści. Właśnie Sołżenicyn dostał nagrodę Nobla. Z punktu widzenia „moralnego”, oznajmił mi ten literacki *bricoleur* nowej powieści, dobrze zrobiono dając nagrodę Sołżenicynowi, ale z punktu widzenia literackiego — dodał z zarożumiałym uśmiechem — Sołżenicyn wart jest niewiele. Nie odpowiedziałem mu. Z całego wyrazu jego twarzy łatwo było wyczytać myśl: „To ja zasługuję na Nobla, bo w literaturze znaczę więcej od Sołżenicyna”. Powieściopisarz nowej powieści oddalił się, nie zdając sobie widocznie sprawy że wszystko co pisze jest..., zresztą darujmy sobie grubiaństwo. Wszystko jest możliwe. Możliwe nawet, że ludzkość przeżyje. Jeżeli zasługuje by przeżyć i jeżeli dane jej będzie przeżyć, to dzięki nielicznym męczennikom i sprawiedliwym, którzy z heroizmem na miarę Sołżenicyna, z dantejską mocą, z świętością i ge-



nieszem, świadczą przeciw szaleństwu i głupocie rządzącym naszym światem. Być może, mimo wszystko, nastąpi oprzytomnienie i uda się powstrzymać lub zahamować powszechną katastrofę”.

Zdumiewające jak coraz natarczywiej odzywają się głosy, które z braku ściślejszego określenia nazwałbym głosami z nowych katakumb. Jeszcze nie wyszedł dalszy ciąg wspomnień Nadzieży Mandelsztam *Wtoraja kniga*, mam jednak pod ręką parę urywków ogłoszonych w tutejszej *Russkoj Mysli*. Przepisuję z wczorajszego: „Skąd się wzięło tylu Żydów po wszystkich pogromach i komorach gazowych? Na pogrzebie Achmatowej było ich nieproporcjonalnie dużo. W mojej młodości nie widywałam podobnych rzeczy. I rosyjska inteligencja była wspaniała, a obecnie — raz, dwa i zadyszka. Mówią mi, że została zniszczona. O ile wiem, niszczone wszystkich pod rząd, więc argument nie wydaje mi się przekonywujący. Żydzi i mieszańcy dnia dzisiejszego — to wykluwająca się na nowo inteligencja, która nierzadko pochodzi z zakutych rodzin pozytywistycznych, gdzie rodzice jeszcze teraz podtrzymują swoją skostniałą brednię. A wśród młodych wielu jest chrześcijan i ludzi myślących religijnie. Powiedziałam kiedyś Achmatowej, że przeżywamy znów pierwsze wieki chrześcijaństwa i stąd zjawisko przechodzenia Żydów na chrystianizm. Przytaknęła głową, ale mnie moja prognoza nie urządza. Wciąż częściej nachodzi mnie myśl o zbliżającym się końcu, ostatecznym i nieodwracalnym, i nie wiem czym usprawiedliwić taki nastrój — moją własną bliską śmiercią, czy cieniem jaki rzuca przyszłość na cały jeszcze niedawno chrześcijański świat. Oby nie było mi przeznaczone ujrzenie ziemskimi oczami tego, co być może nadciąga”.

Pesymizm. „Bezpłodny”, to prawda, lecz zawsze „lepszy od dziwacznej, ślepej i złowrogiej wiary w zbawców ludzkości, od których zbawia nas tylko tajemnicze prawo samozniszczenia zła”; i na pewno lepszy od „przeklętej wiary w nic”. Kto śledzi procesy duchowe niedobitków starej inteligencji rosyjskiej, znajdzie nic łączącą refleksje Nadzieży Mandelsztam z *Mistrzem i Małgorzatą* Bułgakowa. Szczególnie z mottem powieści, zaczerpniętym z *Fausta* Goethego: „Czegóż w końcu chcesz? Jestem częścią tej siły, która wiecznie pragnie zła i wiecznie spełnia dobro”. To jest owo „tajemnicze prawo samozniszczenia zła”, które w momentach pesymizmu i desperacji podsyca wolę prawdy.

20 maja

*Msza za miasto Arras* Andrzeja Szczypiorskiego jest opowieścią z kluczem. To było oczywiście od pierwszej chwili: miasto

nawiedzone w połowie XV stulecia klęską zarazy i głodu; wkrótce potem prześladowania Żydów, procesy o urojone herezje, wybuch łupiestwa i zbrodni; porządek przywraca rozumny biskup Utrechtu. Nawet najgłupsza spocona mysz z ulicy Mysiej nie mogła nie zauważyć aluzji do historii ostatnich lat PRL, na szczęście uspokoiło ją przypuszczalnie cudowne wyskoczenie *deus ex machina*, czyli piętnastowiecznego utrechtskiego praszczura współczesnego sekretarza śląskiego. Nie sądziłem jednak że opowieść Szczypiorskiego zostanie zinterpretowana aż tak budująco i czytankowo, jak to zrobił profesor Tadeusz Kotarbiński w recenzji pod tytułem *Dwa programy*. Program pierwszy: „Ogół podwładnych, masę ludzką, mocno trzymać w garści (dla ich dobra, rozumianego zgodnie z hierarchią wartości w głowie władcy), urobiwszy na sztywno ich mentalność i zaprawiwszy ich do uległości ze strachu”. Program drugi: „Zjednać akces zwykłego człowieka do wspólnej sprawy przez rzeczową opiekę nad nim, przez praktykowaną troskę o jego istotne potrzeby, przez perswazję trafiającą do głów otwartych i ukazywanie prawd trzeźwych, sprawdzalnych w obliczu faktów; nie tępić dysydentów, lecz skłaniać ich do uczestnictwa, okazując im życzliwość i zaufanie”. Wiemy więc nareszcie jakie cele stawia sobie Gierek, toteż „książkę Szczypiorskiego odkłada się pod wrażeniem druzgocącej przewagi walorów tego drugiego programu”. O anty-walorach programu poprzedników Gierka czytelnicy wiedzą dostatecznie dużo.

Kotarbiński wyrządza *Mszy za miasto Arras* krzywdę splotyenia, bardzo charakterystyczną dla warszawskich „liberałów” i ich nadmiernej chyba gotowości do udzielania kolejnym władcom „kredytu” *in blanco*. Szczypiorski sięga głębiej. Narrator jego opowieści, przyjaciel i zaufany paranoicznego rządcy Arras, przystaje w imię „jedności miasta” na wszystkie bezceństwa, dopóki jemu samemu nic nie grozi. Konflikt rozgrywa się między „prawdą” i „wspólnotą”. Ci co prawdę cenią w pełni dopiero wówczas, gdy i im do skóry dobiega się dogmat „wspólnoty” (eufemizm na oznaczenie absolutnej jednomyślności władzy), są prawdy manipulatorami a nie rzecznikami. Mimo błogosławionej interwencji biskupa Utrechtu, dostrzegam w *Mszy za miasto Arras* smutek, którego nie rozwieje żwawa łatwowierność mojego dawnego profesora z Uniwersytetu Warszawskiego. Opowieść Szczypiorskiego wydaje mi się bliższa doświadczeniom, streszczonym w jednym zdaniu *Cyrografu* Flaszena: „Można podpisywać cyrograf setkami codziennych czynności, wyprzedając duszę jakby na raty, i ani się spoznać, że przestało się być właścicielem owej rzeczy o śmiesznie staroświeckiej nazwie”.

22 maju

Nowa publicystyka polska — ta, która nawiązując do tradycji „troski obywatelskiej” jest śmiałym i uczciwym mówieniem na głos o sprawach opieczętowanych stemplem tajności, reagowaniem na znane wszystkim nikczemności ustroju — rodzi się w kraju na sali sądowej. Dowodem teksty oświadczeń Stefana Niesiołowskiego, Andrzeja Czumy i Benedykta Czumy, głównych oskarżonych w procesie *Ruchu*. Jednym z punktów aktu oskarżenia w procesie była kradzież maszyn do pisania, potrzebnych przy wydawaniu powielanego biuletynu informacyjnego. Nie ma w Polsce pisarza, który chciałby czy potrafił napisać powieść polityczną *Widziane z dołu*. Jej miejsce zajmują przemówienia podsądnych.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LIDIA i ADAM CIOŁKOSZOWIE  
**ZARYS DZIEJÓW  
 SOCJALIZMU POLSKIEGO**

Tom II. Str. 656 i 80 nlb.

Cena za egzemplarz: £.5.75; \$ 15,00; F. 70.

Cena za oba tomy: £.8.90; \$ 24,00; F. 110.

Gryf Publications Ltd., 171 Battersea  
 Church Road, London, S.W.11.

## “Pisarz i pieniądze”

Przed wszystkim chciałbym zaatakować słowo „pisarz”. Nie ma pisarzy albo, jeśli chcecie, każdy człowiek który potrafi pisać jest pisarzem. Często widywało się ludzi którzy nigdy nie pisując książek nagle tworzą arcydzieło. Znam też mnóstwo osób mierznych fabrykujących bezustannie tomy które zalewają rynek. Wielkość literatury polega właśnie na tym, że każdy człowiek postępuje się językiem i może się wyrazić. Pisanie nie jest więc zawodem. Do pisania niezbędna jest osobowość i wyższy stopień ducha.

Według mnie śmieszne jest uznawanie pisania za funkcję społeczną która ma być wynagradzana. Piszę to co chcę. Piszę dla własnej przyjemności. Piszę na własne ryzyko. Zadanie moje jest więc sprawą całkowicie prywatną. A jeśli ktoś kupuje moje książki, tym lepiej. Wtedy dopiero mam prawo do udziału w tym interesie, ale jest to rzecz drugorzędna, nie mająca nic wspólnego z prawdziwą literaturą, z literaturą ducha. Dlatego właśnie system biurokratyczny panujący w Europie Wschodniej, gdzie pisarz ma być czymś w rodzaju przewodnika, mistrza czy rzecznika, jest najlepszym sposobem zabijania wyrazu. Powtarzam: literatura jest sprawą wściekle indywidualną. Pisarz nie może nigdy zagwarantować, że nie okaże się głupi. Nie jest on istotą wyższą, jest tylko istotą która pragnie być wyższą, jest kandydatem do wyższości. Trzeba to powiedzieć jasno i kategorycznie, żeby uwolnić nas od trywializacji utylitarystycznej i społecznikowskiej, które paraliżują dziś prawdziwe talenty.

W sytuacji w której to co społeczne przeciwstawia się temu co duchowe wszelka tendencja do podkreślenia roli społecznej pisarza skazana jest na śmieszność. Nie ma niczego bardziej złudnego, poniżającego i komicznego od tych zjazdów pisarzy które,

prawdę mówiąc, nie są niczym innym niż cynicznym sposobem załatwiania sobie przyjemnych podróży przy pomocy przemówień.

Kiedy widzę artystę na ulicy, przechodzę na drugą stronę, bo artysta powinien być sam. Nie znosi on ani „towarzyszy” ani „kolegów” etc. Sztuka jest prywatną konwersacją między dwoma osobami: pomiędzy tym kto mówi i tym kto słowa odbiera. Nie mniej i nie więcej. Z tej właśnie przyczyny dzisiejsza skłonność do uspołeczniania literatury, wszystkie te rekompensaty, nagrody, stanowiska i odznaczenia bardziej są zgubne niż korzystne. Nagrody przyznawane niektórym nie są niczym innym niż fałszowaniem wartości. W jury, które według statutów powinny brać pod uwagę jedynie wartości czysto literackie dzieła, rozprawia się publicznie w dyskusjach o powodach nie mających nic wspólnego ze sztuką: „Dajcie jemu nagrodę, bo teraz przysłała kolej na Amerykę Południową”, albo: „Dajcie tamtemu bo jest biedny”, albo też „Temu dajcie bo jest stary i chory”, albo z takiego czy innego powodu politycznego.

Chciałbym wiedzieć co by też się stało, gdyby pewnego dnia jakiś dobry adwokat wytoczył proces jury, którego członkowie oświadczyli jawnie że przyznają nagrodę z przyczyn politycznych, humanitarnych czy też innych, nie mających żadnego związku ze statutem. Wydaje mi się że mogłoby to spowodować reakcję łańcuchową, jako że wszyscy artyści, którzy zostali ofiarami takiego postępowania, zażądaliby odszkodowania za wyrządzone krzywdy. A publiczność też mogłaby wytoczyć proces, bo jeśli nagroda, która uważana jest za uczciwe wynagrodzenie prawdziwego talentu, w rzeczywistości przyznawana zostaje z innych powodów, znaczy to, że zostało się po prostu wystrychniętym na dudka.

Co do mnie, znosiłem biedę w Argentynie przez 23 lata bez oburzania się i bez żadnych pretensji ponieważ sam wybrałem mój los. Mogłem urządzić się w inny sposób. Skoro zostałem przy tym samym to tylko na własne ryzyko i nie miałem żadnego prawa żądać od ludzi, żeby zachwycali się moimi książkami. Później, w roku 1963, otrzymałem pierwszą rekompensatę w postaci zaproszenia przez fundację Forda na jednoroczny pobyt w Berlinie, połączony ze stypendium w wysokości 1.500 dolarów miesięcznie. Przyjąłem to zaproszenie ponieważ nie stawiano mi żadnych warunków i nie byłem zobowiązany do napisania w zamian ani słowa. Muszę jednak przyznać że było to dla mnie silnie denerwujące. Dziesiątka pisarzy z wszystkich stron świata i oto, cóż za hańba, byłem z „kolegami”!

W każdym razie bardzo jestem wdzięczny fundacji Forda bo mogłem zaoszczędzić małą sumkę, która umożliwiła mi urządzenie się w Europie. Moje książki, jakkolwiek w niewielkich wydaniach, zaczęły być tłumaczone na wiele języków i przynosiły

mi dochód pozwalający na niezłe życie na riwierze francuskiej.

Byłem zawsze *outsider*’em, człowiekiem który nie chciał mieć nic wspólnego z partiami politycznymi, z ugrupowaniami, ze zrzeszeniami, z ambasadami.

Nie byłem, prawdę mówiąc, obywatelem żadnego kraju bo kondycja moja była kondycją emigranta. Zarzucano mi ją nawet, ale jestem z niej bardzo dumny. Uważam że każdy szanujący się artysta musi, i to pod wieloma względami, być emigrantem.

Od kilkunastu lat papiery moje idą w górę, jakkolwiek muszę powiedzieć otwarcie, że niestety w Anglii oddźwięk moich dzieł jest słabszy i jestem nawet zdumiony komentarzami tamtejszej prasy. Poinformowano mnie potem że w Anglii krytyki w prasie powierzane są młodym praktykantom. Czyż to prawda?

Z drugiej strony, i to przede wszystkim w Europie, książki moje, po trudnej walce, jako że nie byłem popierany przez nikogo i nikt nie miał żadnego interesu w narzucaniu mnie publiczności, i tak się przebiły. Wtedy dopiero przedstawiono moją kandydaturę do Międzynarodowej Nagrody Literatury. Było to w 1965 roku. Nagrodę — 10.000 dolarów — przyznawało jury międzynarodowe, złożone z krytyków wybranych przez wydawców, którzy ją ufundowali. Przewodniczącym jury była pani Mary McCarthy.

Muszę wyznać że dyskusje silnie powierzchowne, w których mieszały się dziesiątki nazwisk, były nader przygnębiające. Być koniem wyścigowym albo dojną krową przedstawionymi do orderu jest trochę upokarzające. Ale naprawdę zirykowałem się dopiero, kiedy, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, przeczytałem w gazetach opinię pani Mary McCarthy, która oświadczyła niewinnie, że z mojej książki „Pornografia” nie mogła przeczytać niczego prócz początku, ponieważ zbyt ją to nudziło.

Nie przeczytanie książki jest, rzecz jasna, jednym ze sposobów osądzenia jej. Uważam jednak że w wypadku przewodniczącego jury jest to lekka przesada. Jak to? Wie że moja książka jest zła nie czytając jej? Wyznam że postawa ta wydała mi się nieuczciwa.

Straciłem nagrodę dzięki jednemu głosowi na rzecz Saul Bellow’a. Gdyby więc pani McCarthy przeczytała moją książkę, co było jej obowiązkiem, zarobiłbym być może 10.000 dolarów.

Ale w dwa lata później, w roku 1967 moje oburzenie przeciw pani McCarthy przekształciło się w uznanie i podziw. Nagroda została podwojona i oto dzięki szczęśliwej opozycji pani McCarthy stałem się właścicielem 20.000 zamiast 10.000 dolarów. Obrady jury przysporzyły mi innego rodzaju sławy, jako że jeden z uczestników jury powiedział mniej więcej tak: „Dla mnie Gombrowicz jest zagadką. Chciałbym go poznać. Być może

jest on homoseksualistą, impotentem, onanistą, albo urządza on orgie *à la polonaise*". Oczywiście przemówienie to ogłoszone zostało w prasie i dotarło za pośrednictwem radia wszędzie, tak że kiedy przechodziłem w Vence przez plac, młoda *nouvelle vague* siedząca w kawiarni komentowała: „Oto homoseksualista impotent który urządza orgie!”. Przepraszam za tę historyjkę nieco rubaszną. Opowiedziałem ją, żeby wykazać do jakiego stopnia ton dzisiejszej krytyki staje się brutalny i nieodpowiedzialny.

Nagrody zawsze połączone są z inną sprawą, straszliwie nieprzyjemną: z reklamą. Nie łatwo to uprzytomnić komuś, kto nigdy nie został poddany męczeństwu bycia sądzonym, obniżanym, dyskwalifikowanym, fałszowanym przez dziennikarzy piszących w pośpiechu, znudzonych czytaniem (którzy zresztą prawie nigdy nie czytają). Taka krytyka was klasyfikuje, przyczepia wam etykietkę, odbiera wam całą świeżość, jedyną prawdziwą rację bytu. Krytyka jest po to żeby utopić delikatną osobowość artysty w zgiełku wydawnictw, w fabrykowaniu, w produkcji.

Istnieje jeszcze inny aspekt krytyki szczególnie nieprzyjemny. Jeśli idzie o artystę dużej miary jak na przykład o Chestertona czy Conrada to krytyk ich jest prawie zawsze niższy, tym bardziej że nie może on poznać ich osobistej i głębokiej rzeczywistości bardziej wnikliwie, niż na to pozwala powierzchowna lektura. Ale z drugiej strony krytykowanie jest sądzeniem. I krytyka siłą rzeczy przyjmuje ton sędziego. Nawet jakiś tam pan Smith zabiera się do osądzenia Szekspira, jakby był czymś wyższym. Krytyka jest więc sprawą podwójnie nieprzyjemną. Topi artystę w produkcji, klasyfikuje go, etc. i równocześnie sądzi go z góry bez żadnego rzeczywistego ku temu prawa. Myślę, że każdy artysta może pokazać zbiór wycinków z prasy zupełnie idiotycznych. Ionesco podczas swojej konferencji prasowej przedstawił prawdziwą kolekcję głupoty czytając po prostu, jedną po drugiej, opinie całkowicie sprzeczne na temat swoich sztuk. Wszystkie te ujemne strony pochodzą stąd, że artysta należy równocześnie do świata ducha i do świata Cezara, do świata jednostki i do świata zbiorowego. Dziś ten świat zbiorowy gnębi artystę, ale przyjrzyjmy się temu z bliska. Jedyną prawdziwą wartością literatury jest to, że jest ona środkiem wyrazu jednostki w pełnej jej wolności. Literatura nie może pretendować do chwały nauki, ale bez literatury nikt by się nie dowiedział jaka jest rzeczywistość prywatna człowieka, który do wyrażenia siebie nie potrzebuje niczego poza ołówkiem i kawałkiem papieru.

Kończąc, należy wspomnieć o wyzyskiwaniu artysty przez Kiedy byłem jeszcze zupełnie naiwny w tej dziedzinie, miałem agencję i przede wszystkim przez tłumaczy sztuk teatralnych. agentów którym odstępowiałem 45 % moich dochodów. Dziś

biorą oni od 10 do 20 %. Rzecz jasna, dobra agencja jest niezbędna dla młodego autora, który chce być drukowany czy grany, ale nie wiadomo właściwie co może zrobić agencja dla autora już znanego. Trudno uwierzyć że dzięki jej wpływom czy też dzięki jej radom teatr zaangażuje się materialnie, wystawiając daną sztukę. To raczej wartość sztuki narzuca się sama przez się. Co do tłumaczy teatralnych, sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, przynajmniej na kontynencie europejskim. Tłumacz teatralny nie nazywa się tłumaczem ale przyjmuje pompatyczną nazwę „adaptora”. A dlaczego? Żeby usprawiedliwić dochody absolutnie nieproporcjonalne do dochodów tłumacza prozy. Tłumaczowi powieści wydawca płaci sumę stałą, powiedzmy 500 dolarów. Za to tłumacz teatralny ma zapewniony stały procent, powiedzmy 30 czy 40 a nawet 50 % z sumy którą bierze autor, w związku z czym, jeśli sztuka ma powodzenie i przynosi na przykład 10.000 dolarów dochodu, tłumacz za pracę być może kilkutygodniową otrzymuje od 4.000 do 5.000 dolarów. Ja pracowałem nad „Iwoną księżniczką Burgunda” przez rok i była to raczej walka niż praca. To samo dotyczy innych moich sztuk. Nie miałem żadnej gwarancji, że zostaną one wystawione i czekałem 30 lat na premierę w teatrze europejskim. A więc jeśli tłumacz bierze za swoją pracę, której nie zamierzam odmawiać wartości ale której też nie można w żaden sposób porównywać do mojej i w każdym razie znacznie łatwiejszą (każdego tłumacza można łatwo zastąpić innym) 40 czy 50 % dochodów, uważam to za niesprawiedliwość i dziwię się że autorzy dramatyczni pozwalają się wyzyskiwać do tego stopnia.

Witold GOMBROWICZ

Tekst podyktowany 22 lipca 1969, dwa dni przed śmiercią ukazał się po angielsku w *Times Literary Supplement* w dniu 25 września 1969.

Prog Persefony

You who dare ~~at~~ Persephone's threshold,  
Beloved, do not fall apart in my hands.  
Ezra Pound

Nie rozpadaj się w moich rękach,

Beloved,

Stromo moje

które nie ulegisz do ciemności

I wycho- dź na jasność,

egzotam na ci- bie

datamku mo- j,

uzgladam ci- bie

madzi- ja moja,

żyję wed- rug ci- bie

zgar- ze mo- j,

szukam w- o- j- stobie

sen- h- ka mo- j,

uz- ga- czy- w- i- st- n- i- am- a- z-

hi- to- lo- g- ja- mo- j,

ka- ro- po- w- a- n- i- e- b- e- z- o- n- a-

Beloved,

Nie rozpadaj się w moich rękach.

W Bibliotece Kultury wyszły cztery tomy poezji Kazimierza Wierzyńskiego: *Tkanka ziemi*, *Kufer na plecach*, *Czarny polonez* i *Sen mara*. Wiersze z ostatnie- go tomu *Sen mara* poprawiał jeszcze Wierzyński na godzinę przed śmiercią. Dla podkreślenia związków poety z *Kulturą*, w dwudziestopięciolecie istnienia naszego miesięcznika i domu wydawniczego, Halina Wierzyńska przysłała nam łaskawie rękopis *Progu Persefony*, jednego z wierszy otwierających tom *Sen mara*. „Nie rozpadaj się w moich rękach, słowo moje, które schodzisz do ciemności i wycho- dzisz na jasność...”. Jest to jedna z najpiękniejszych inwokacji do słowa w poezji polskiej. Może ją właśnie poprawiał u progu śmierci?

## Aleksander Wat opowiada

Aleksander Wat, którego nazwisko jest związane z dziejami polskiego futuryzmu i polskiej lewicy w międzywojennym dwudziestoleciu, został zaproszony jako stypendysta do Berkeley i przebywał tam od początku 1964 roku do lata 1965 roku. Jego przyjaciele mieli nadzieję, że kalifornijski klimat pomoże mu wydobyc się z choroby. Niestety okazało się, że bliskość oceanu działa na niego fatalnie i przez cały prawie czas swego pobytu w Berkeley musiał zazywać ogromne dozy narkotyków przeciw-bólowych, co uniemożliwiało jakąkolwiek pracę pisarską. Wtedy powstał pomysł „odblokowania” poprzez rozmowy nagrywane na taśmę, bo ożywał się tylko kiedy zaczynał opowiadać. Jako ten, któremu przypadła rola rozmówcy, byłem, przyznając, dość sceptyczny jeżeli chodzi o wynik, tak że tu sama czynność, terapeutyczna, wysuwała się na pierwszy plan. Nieco niespodziewanym owocem tych sesji, polegających na tym, że tylko słuchałem, z rzadka podniecając go pytaniem, jest olbrzymi rozmiarem skrypt wspomnień, rozmyślań, reminiscencji. Ten rozmiar jak i chaotyczność opisów i nawrotów, zresztą mnie, słuchacza, fascynująca (bo to cała historia XX wieku), są poważną przeszkodą przy staraniach o wydanie całości drukiem, chociażby ze wzglę- dów czysto finansowych. Wyjmuję stamtąd dwa fragmenty. Pierwszy doty- czy dziejów futuryzmu polskiego, który według Wata nie był właściwie futuryzmem. Wat umarł w 1967 roku w Paryżu; nie będzie już takiego świadectwa. To co pisał na ten temat w Polsce inny eks-futurysta Anatol Stern (kolega szkolny Wata), Wat uważał za fantazjowanie. Drugi frag- ment, to prawdziwy *Miesięcznik Literacki* (1929-1931) redagowany przez Wata — pismo pod tymże tytułem wydawać jest dzisiaj w Polsce o wiele łatwiej.

Czesław MIŁOSZ

## PO 1918. FUTURYŚCI. BRUNO JASIEŃSKI

Wat: — Więc cóż, była ta grupa młodych ludzi, która w odróż- nieniu od „Skamandra” nie miała ani wpływu, ani umiejętności

skamandryckich, bardzo nieudolna, daleka od tych fantastycznych umiejętności formalnych, nie zakorzeniona w tradycjach poezji polskich, raczej pod obcym wpływem, czytająca poezje obce. To były minusy wobec „Skamandra”. Na pewno mniej rozpięta i mniej zasobna w talenty. Rzeczywiście utalentowany był zespół młodych ludzi którzy się złożyli na „Skamander”. Trzeba przyznać, że jeżeli chodzi o to, co nazywamy talentem, to rzeczywiście zabłądli, to jakiś zbieg, zbieg wyjątkowy, że aż tylu ich było. Nasza grupa jednak tym się od nich różniła, że tamci się świetnie mieścili w rzeczywistości inteligencji urzędniczej, mieszczańskiej, polskiej, właściwie w prowincjonalizmie polskim. A my, młodzi ludzie właśnie z tych grup niespokojnych, na marginesach „Skamandra”, mieliśmy nad nimi tę, nie wiem czy przewagę czy wadę, ale tę właściwość, że zdawaliśmy sobie sprawę, że stare się skończyło. Nastąpiła jakaś absolutna zmiana i tu trzeba zmieniać, wszystko jedno jak, co, gdzie, ale trzeba łamać, trzeba zmieniać.

Ten ruch miał najmniej wspólnego z prawdziwym futuryzmem. Nazwa była jak najmniej odpowiednia, co prawda zmienialiśmy na neofuturystów i tak dalej, ale właściwie to nie było to. Niewątpliwie największe wpływy były z jednej strony futuryzmu rosyjskiego, więc Majakowskiego, a i Chlebnikowa szczególnie, a z drugiej strony dadaizmu. Natychmiastowo, od razu. Tak że właściwie to trzeba doprowadzić do dadaizmu ale to wymaga jednak szerszego omówienia, może specjalnie pomówimy.

Teraz nasza linia przewodnia to jakieś kontakty czy zbliżenia czy powinowactwa literackich prądów awangardowo-rewolucyjnych z lewicą polityczną. Więc myślę, że może nawiąże znowu do pisma Hempla, do *Nowej Kultury*. Jeszcze przed tym chciałem powiedzieć, że naturalnie nie istniało się w próżni, więc, jeżeli o mnie na przykład chodzi, to o ile siebie pamiętam, sprawy socjalne mnie wtedy bardzo mało obchodziły, byłem napompowany lekturami zupełnie innego typu, poczynając od Nietzschego i Kierkegarda i Stirnera i Bóg wie co, wszystko to mnie raczej od wszelkiego komunizmu i socjalizmu odprowadzało. Ale naturalnie było jakieś *feeling*, jakieś emocjonalne ciągoty, więc przede wszystkim ta potrzeba intelektualna ale również emocjonalna całkowitej odnowy, to znaczy, jak mówiłem, poczucie że nastąpiło jakieś trzęsienie ziemi, bezwzględne trzęsienie ziemi, poczucie którego cała elita skamandrycka nie miała. I to bynajmniej nie w związku z rewolucją, jeżeli na przykład o mnie chodzi, nie w związku z rewolucją rosyjską, raczej to był może i wpływ lektur katastroficznych, przewidujących katastrofę, przewidujących dekadencję Europy, spengleryzmu jeszcze przed Spenglerem, nastrojów które przecież tak były żywe w Europie tych

lat. To jest dadaizm, to co inaczej można by nazwać również pewnie nihilizmem, utrata wiary w możliwość przyszłej europejskiej cywilizacji. To zakwestionowanie się europejskiej cywilizacji. Tak że chociaż byliśmy szczeniakami, dla nas fakt powstania Polski był jakimś incydentem znacznie mniejszej wagi niż ogólna katastrofa epoki, czasu, i ta wielka niewiadoma, która jest przed nami. Przy czym, ponieważ byliśmy młodzi, zuchwali, więc ta niewiadoma była nieślychanie dla nas obiecująca. Mam wrażenie, że tu jest różnica pomiędzy katastrofizmem mojego pokolenia a katastrofizmem twojego pokolenia. Katastrofizm twojego pokolenia już się odbywał w warunkach z jednej strony stalinizmu a z drugiej strony nazizmu.

Byliście wciśnięci, zwłaszcza w Polsce, w te nożyce. Wyście też mieli poczucie, jeszcze może głębsze, że epoka się skończyła, świat się skończył, cywilizacja jest niemożliwa, ale jednocześnie byliście zaciśnięci między potworami o olbrzymiej sile i dynamice, i sytuacja Polski istotnie w waszych czasach wyglądała tak, że to *adaggio* komunistyczne wydawało się absolutnie wiarygodne, albo faszyzm, albo komunizm. W sytuacji Polski z trzydziestych lat to brzmiało wiarygodnie. Wtedy moje pokolenie, to znaczy mnie podobnych, trzeba przyznać miało tak samo poczucie katastrofizmu. Ale przed nami z początku nie było tych potworów, tylko na odwrót, było walenie się, walenie się, ruiny, *à la longue* wesołe ruiny, rozumiesz, przedmiot do wesela duchowego, bo tu można właśnie coś nowego zbudować, to jest wielka niewiadoma, podróż w niewiadome.

*Miłosz*: — To wesele, pozwalam zwrócić tobie uwagę, jest widoczne także w poezji „Skamandra”, mniej więcej do 1930 roku.

*Wat*: — W pewnym stopniu, tak. To inne wesele. To wesele patriotyczne. Że zaistniało społeczeństwo normalne, Polska jako społeczeństwo normalne, w którym mogą być poeci i pisać normalnie, funkcje sprawować poetyckie normalne. To była ta wielka radość. Natomiast tu była radość właśnie z tego, że coś tak gruntownie od podstaw się łamie, że właściwie jest miejsce na wszystko, że wszystko wolno. I w tym sensie może nawet słowo futuryzm ma pewien sens, ja to zresztą pisałem do Markowa kiedy mi przysłał swoją, zresztą bardzo dobrą, książkę o Chlebnikowie. Na czym to polega, ja mu napisałem, on na przykład bardzo odgradza futuryzm rosyjski od Marinettiego i włoskiego na tej zasadzie, że rzeczywiście kiedy Marinetti przyjechał do Rosji to go tam prawie zimno futuryści przyjęli. Poza tym cała treść wewnętrzna ideologii była sprzeczna, ci byli za rewolucją socjalistyczną a potem komunistyczną, a ten, Marinetti, był od

samego początku za wojną, za faszyzmem, za militarystką i tam dalej. Więc oczywiście merytorycznie to są dwie przeciwstawne rzeczy. Ale jak pisałem do Markowa to nie jest słuszne. Marinetti bardzo mało co napisał, właściwie żadnego dzieła. Ale tu nie chodziło o dzieło. Kiedy myślimy zaczęli futurystom to właściwie żadnego dzieła nie znaleźliśmy. Futurystycznego. Starczyło jedno hasło, jedno małe odkrycie. Jedno zdanie składające się z trzech wyrazów: „słowa na wolności”. Rozumiesz, to hasło, że słowa mogą być na wolności, że słowa są rzeczą, i że można z nimi robić co się żywnie komu podoba, to była jednak olbrzymia rewolucja w literaturze, to była taka rewolucja jak, powiedzmy, Nietzschego: „Bóg umarł”. Bo nagle a! słowa są na wolności, można z nimi wszystko robić. I to dało nam niesłychaną dynamikę. Gdyby Marinetti nie było, to albo nie byłoby nawet Joyce’a, nie mówiąc już o Chlebnikowie i Majakowskim, albo Joyce czy Chlebnikow i Majakowski musieliby marinettizm stworzyć. Bo od tego musiało się zacząć. Od tego ustalenia, że słowa są na wolności. I tu właściwie waga futurystów, ciężar futurystów, odkrycie futurystów odegrało pewną rolę decydującą. I w tym sensie uważam, że słowo „futurysta” w zastosowaniu właśnie i do tej grupy, której przecież wyniki były bardzo małe, dzisiaj się z tym przesadza w Polsce, która nie odegrała żadnej prawie roli...

To zostało bez wpływu. Przecież następna awangarda mało się tym interesowała, tak że właściwie dzisiaj Stern w kraju i Wyka, żeby znaleźć coś, jakąś przeciwwagę „Skamandrowi”, to niesłychanie wydymają, piszą rozprawy na ten temat, wydymają znaczenie tego ruchu. Ten ruch społecznie miał małe znaczenie, ale jeżeli brać rzeczy filozoficznie był to ruch rzeczywiście niesłychanie ciekawy, bo to była jedyna platforma, jedyna grupka młodych szczeniaków, prawie gimnazjalnych, która powiedziała: wszystko wolno. Oczywiście że przez analogię, nie przez zainteresowania społeczne, z całą pewnością to twierdzą. Ani ja, ani Stern, ani Czyżewski, ani Jasieński wczesny... My byliśmy społecznie i politycznie cyniczni. Socjalizm wyobrażaliśmy sobie jako w gruncie rzeczy doktrynę socjalistyczną i ideał socjalistyczny. Wyobrażaliśmy sobie wroga jako kolektywizm, o właśnie, kolektywizm. Bo właśnie reglamentacja, bo właśnie prawo. Tu chodziło o bezprawie. Przez analogię: przez to że rewolucja rosyjska, jak sobie uwidzieliśmy, to jest to sto pięćdziesiąt milionów na olbrzymich obszarach, które absolutnie niszczy wszystko co było dotychczas, jak pisał jeszcze przed rewolucją Majakowski. Że tu można wszystko na nowo robić tak jak się chce, to była rzecz fascynująca, oczywiście w wyobraźni inteligenta.

Odbywały się pewne kontakty, nie byliśmy w próżni. Ja osobiście pamiętam na przykład, że wygłosiłem kilka odczytów dla robotników, byłem wciągnięty przez grupę PPS-lewicy.

Jak ona się nazywała, taka najbrzydsza kobieta, bardzo zła powieściopisarka, wychowanka Piłsudskiego, komunistka, która potem pojechała do Rosji i trochę się rozczarowała? Jak się nazywała ta przyjaciółka Hemplów? Sokolicz. Wiesz, była cała grupa koło Sokolicz, bardzo interesująca grupa, bo była to grupa PPS-lewicy tzn. właściwie ci co poszli do III-ej Międzynarodówki. Ale to była grupa inteligencji polskiej, spod Warszawy, potem paru architektów, właśnie Sokolicz i tam dalej, niektórzy eks-piłsudczycy, wielu z nich zlikwidowano potem w Rosji jako dwójkarzy rzekomych. Więc ja z nimi miałem kontakt bo ich też interesowało, była to grupka najbardziej światła, najbardziej snobistyczna, powiedziałbym. Wtedy wytworzyły się pewne elity towarzyskie w łonie komunizmu, elity towarzyskie bardzo rozwinięte, więc to była niezła elita towarzyska. Wiedzieli wiele o Majakowskim i o futurystach rosyjskich i przez analogie szukali kontaktu z nami. A my znowu przez analogie: rewolucja w literaturze jest właściwie rewolucją społeczną i ponieważ czym będzie komunizm jeszcze nie było wiadomo na razie, przedstawiał się nam jako wielki nihilizm, jako wielkie wałkowanie tych mas, krwawe co prawda, ale, jak to przedstawił Pilniak, ta wieś, ta dzikość, te archaiczne siły które wybuchły, ten już nie Demos tylko te rzeczywiście archaiczne najbardziej warstwy. Czarne warstwy sektanckie, zalew przez sektantstwo Rosji, to wszystko nas znowu od strony rewolucji naszej, estetycznej, literackiej bardzo pociągało. No i w pewnym momencie zrobiliśmy krok. W naszej młodszej naiwności wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy stroną traktującą i weszliśmy do *Nowej Kultury* Hempla.

To był miesięcznik. Zdaje się że tylko trzy numery, pamiętam, że dałem jakąś obłąkaną nowelę o podwójnym agencie, o Azeffie. Potem dałem jakiś wiersz o Bogu, policjancie, bardzo ateistyczny. To byłem ja, Stern, Jasieński, Brucz, ale był też Broniewski. Jak się tu przyplątał Broniewski? Broniewskiego spotkałem na uniwerku. Na filozofii. To był zdemobilizowany świeżo oficer po siedmiu latach wojowania, szukający Boga, szukający, niesłychanie poważnie przeżywający jakieś kryzysy światopoglądowe. Całymi godzinami umiał recytować BENIOWSKIEGO — więc rodowód: Słowacki i w związku z tym „Skamander, o tyle, o ile „Skamander” miał również pewną linię Słowackiego. „Panie poruczniku, prosty jak świeca”, znasz te jego wiersze. Skamandryci go zaczęli cenić, jeszcze nic nie wydał. Zachował swoje przyjaźnie legionowe. Mógł zrobić zresztą ka-

rierę legionową, bo stary legionista, ale, jak ci mówiłem, przeżywał właśnie te duszne rozterki. I, jeszcze bardzo interesujące: mieszkał z matką, z siostrami, na Daniłowiczowskiej, jego stryjem był generał Konarzewski czy wujkiem jakimś. Miał pokój niesłychanie taki arcyślachecki, z dywanem perskim, z szablami skrzyżowanymi, z kindżałami przodków, pianino tam stało i on zamęczał nas, zaciągał i strasznie źle grał Szopena, ale strasznie źle, trzeba było słuchać, bo przy tym był bardzo despotyczny, jak zawsze. Więc jednocześnie te szable, szable tureckie skrzyżowane na tureckim dywanie, i czamara jakaś w kącie, gdzieś jeszcze i Virtuti Militari i mundury jego legionowe i jednocześnie ten Lenin na biurku zaczytany, podkreślony i te poezje, „Panie poruczniku, prosty jak świeca”. Rozumiesz, i Szopen dziki, to znaczy czytałem kiedyś opisy jak Przybyszewski grał Szopena, pewno lepiej, ale absolutnie w tym samym duchu, więc Szopen poprzez przybyszewszczyznę.

To wszystko był Broniewski. Przy jakimś, jakimś jednocześnie, co zachował do końca, no w końcu powiedzmy sobie, jakimś symplactwie intelektualnym. Bo to intelektualista nie był, chociaż znowu nie przesadzajmy, bo on między trzecim i piątym kieliszkiem miał czasami świetny dowcip intelektualny, bardzo cienki, ale tylko między. Zależy w jakich czasach, czasem między drugim i czwartym, a czasem między trzecim i piątym. Zależnie od rozalkoholizowania. Broniewski, właściwie Skamandryta formalny, Lechoń go bardzo cenił, uważał go za idiotę ale cenił go jako wielki talent. Tradycje poetyckie odrzucały jego od nas, dla niego byliśmy barbarzyńcami i słusznie, i anty-Polakami, bo nasza poezja była absolutnie niepolska. Ale z drugiej strony ten Lenin i ten Majakowski, który go formalnie też jeszcze wtedy odrzucał, Majakowski bard rewolucji, Lenin bard rewolucji, pchali go znowu do nas jako tych futurystów, którzy chcą w literaturze robić rewolucję. Poza tym są pod wpływem Majakowskiego czyli duchowo, ideologicznie, są mu najbardziej bliscy. I tak się pętał między nami a nie mógł się zdecydować na wyzwolenie swojej formy poetyckiej i nie mógł się zdecydować na pójście do „Skamandra”. I wtedy wylądował właśnie u Hempla. O ile mnie pamięć nie myli to on był inicjatorem tego sojuszu, tego kontraktu między nami a Hemplem. Właśnie ta arka przy mierza.

A Hempel już był u komunistów. Hempel jest znowu bardzo ciekawa formacja polska. Rodzina — jakiś bratanek ambasadora w Japonii, on sam związany bardzo z piśmudzczykami, dawno, kiedyś w młodości wczesnej. Poszukiwacz Boga, teozof. Zaczął od tego, że pisał teozoficzne wiersze i założył Towarzystwo Teozoficzne, takie grono osób które zamieszkało w Zakopanem

i co rano, nad ranem, w nocy chyba, o wschodzie słońca, starali się być na jakiejś górze. I nago modlili się do słońca. Kiedy słońce wstawało. Były i takie grupki wtedy w Polsce. W ogóle nie docenia się ile było na początku dwudziestolecia różnych takich ekscentrycznych grupek. I właściwie dobrze zrozumieć genealogii Witkacego też nie można bez tego. Dlatego że Witkacy też się wyłonił obok tych bardzo ekscentrycznych grupek jak na przykład ten Litwin, jak on się nazywał? Herbaczewski. Przecież takich było mnóstwo, bardzo wielu, to były klany całe, które były pół-polityczne, pół-religijne, pół-literackie.

M.: — Znałem Herbaczewskiego kiedy był stary ale co ma Herbaczewski do Witkacego?

W.: — O, bardzo się dobrze znali i właściwie Herbaczewski wtedy w Krakowie bardzo grasował, w tej swojej pelerynie, ja go doskonale pamiętam właśnie z czasów krakowskich. I ekscentryczności Herbaczewskiego bardzo ładnie się zespały z ekscentrycznościami życiowymi Witkacego. Wyrażały się przede wszystkim w ekscentryczności życiowej, bardzo dużej skali ekscentryczności życiowej, która moim zdaniem nie mieści się i przekracza pojęcia cyganerii. Może ona wyszła z cyganerii Przybyszewskiego, z Moderny, ale znacznie ją przekraczała, bo już miała rozgałęzienia czysto religijne, sektańskie i miała też polityczne rozgałęzienia. Ale w tym czasie o którym ja mówię to Hempel już był całą gębą zaangażowany w komunizmie. Ożenił się z robotnicą, prostą robotnicą, był już na kursach w Rosji i stał się funkcjonariuszem płatnym już wtedy, była taka kategoria, bardzo źle im płacili, byli w nędzy właściwie, ale to już byli urzędnicy, to już byli aparatczycy. Hempel był pierwszym aparatczykiem jakiego w ogóle w życiu znałem. I właściwie... poznałem go jako aparatczyka. To był bardzo szlachetny, dobry człowiek, o bardzo szlachetnych intencjach, ale poznałem go jako zahukanego, przerażonego co powiedzą jego władze. Poznałem go dopiero w okresie *Miesięcznika* jako aparatczyka, zagnanego, chłopca na posyłki, po prostu związanego rękami i nogami.

Wtedy, w *Nowej Kulturze* jeszcze się wydawał panem *Nowej Kultury*, redaktorem, ideologiem. Ideologiem wydawał mi się, chociaż już ideologiem nie był. No, ale wtedy organizacja Partii, to był dwudziesty trzeci, czwarty rok, była dosyć luźna, Partia jeszcze nie była monolitem i po trzecim numerze, gdzieśmy nasze futurystyczne wiersze umieścili, wybuchła straszna awantura, właśnie w łonie Partii. Straszna. Hempelowi nawymyślano nieprawdopodobnie i nastąpiła dymisja. Wyrzucił nas po prostu, rozstał się z nami. Ale zatrzymał Broniewskiego jako sekretarza



*Nowej Kultury*. Broniewski był wtedy w biedzie i to po prostu była jego posada. Więc to był ten pierwszy kontakt nowatorów literackich z Partią, oparty na obopólnych nieporozumieniach i bardzo szybko iluzje jednej strony jak i drugiej zostały rozproszone.

... Kiedy się zaczął komunizm Jasińskiego? W dwudziestym szóstym roku Jasiński wyjechał do Paryża z żoną. Teść był zamożnym kupcem lwowskim i dał im jakieś pieniądze. Biedowali zresztą w tym Paryżu, ona dla Polaków robiła obiady, Kara Jasińska — o której wzmiankę znajdziesz w książce Eleanor Lipper pt. *Jedenaście lat w łagrach sowieckich* — bo ona też zginęła w łagrach i Lipper ją kiedyś spotkała. No, mieszkali w takim Passage Poissonnière, wtedy mi się wydało to bardzo piękne, ale jak odwiedziłem po wojnie — taki obraz nędzy, taki typowy *passage*, na Arabach, arabskie prostytutki tam gdzieś blisko.

Pojechałem w dwudziestym szóstym roku w końcu maja. Ich już zastałem, oni już tam mieszkali. Ja też zamieszkałem tam z początku niedaleko nich. Taki *passage*, bardzo długi czworokąt, bardzo wydłużony, dwa rzędy domów jeszcze świeżo pomalowanych, jeszcze wszystko świeże, bardzo drobnomieszczańskie i te młode drzewka, kasztany młode, bardzo ładne, syte koty i jakoś wydawało mi się bardzo czysto, i ten brukowiec taki jakiś bardzo typowo paryski, domy trzypiętrowe.

Więc Jasiński wtedy klepał bidę, posyłał korespondencje do jakiejś lwowskiej gazety, to są szczegóły których nie wspomina się w jego biografiach, ale pisał do burżuazyjnej prasy. Redaktorem był Laskowicki i syn tego redaktora, Janusz Laskowicki, też wtedy przyjechał do Paryża. Jasiński biedował po prostu i nawet z Bruczem, jeszcze przed moim przyjazdem, założył wtedy taką agencję prasową, korespondencji wesołych, futurystycznych korespondencji z Paryża. Rozsyłał do różnych gazet, do *Kuriera Porannego*, ale jakoś nic, parę razy drukowali im ale zatracili, tak że to się skończyło niczym. On biedował bardzo i w związku z tym biedowaniem, a spotykaliśmy się codziennie, widziałem jak się komunizuje. Trzeba powiedzieć, że przeszedł już pewne ewolucje przedtem bo niewiele zostało z tego arcy-snoba z monoklem i z tym lokiem na czole, grassejującego i otoczonego panienkami, jakim się przedstawiał w Warszawie i w Krakowie. We Lwowie zbliżył się do jakiejś grupy teatralnej, komunizującej i już był przerobiony i już znać w nim było tzw. *zakatkę*, jakieś ślady tej fermentacji ideowej. Przynajmniej kiedy z nim rozmawiałem w Paryżu. Ale nie wiem, tego jeszcze nikt nie zanotował, jest szczegół, że jego komunizm, już taki absolutny, stał się właśnie w związku z *Palę Paryż*, z tą

awanturą o *Palę Paryż*, kiedy władze francuskie wydalili go za to i zrobił się krzyk. A *Palę Paryż* przy mnie powstał, z jego nieznamości języka francuskiego. To dokładnie było tak, że Jasiński kiedyś wrócił do domu, ja tam u nich byłem na obiedzie, i z niesłuchaną pasją i wściekłością mówił, że w księgarni widział na wystawie nową książkę Moranda, *Je brûle Moscou*. I wściekał się i chodził wielkimi krokami po mieszkaniu i przeklinał i nie mógł się uspokoić, że Moskwa, którą on już właśnie... Ten łajdak, faszysta...

M.: — A on nie rozumiał, że *brûler* znaczy też co innego, szybko przejechać?

W.: — I w trzy, cztery dni później on mi opowiada fabułę powieści, którą chce napisać, *Je brûle Paris*. Tak czasem powstają wielkie dzieła literatury. Wygnano go z Francji za *Je brûle Paris*, a Rosjanie, widziałem fotografię, była taka Arka Triumfalna w Leningradzie, olbrzymie tłumy. Przedtem już się nim zajęli Polacy komuniści z Moskwy, zwłaszcza Dąbal już się z nim związał. Z Paryża wprost pojechał okrętem do Leningradu.

Jego *Pieśń o głodzie* była bardzo wczesnie napisana, w Polsce. Przyjechał z Rosji, trochę Cezary Baryka, napompowany, ale jednocześnie szalenie cyniczny i tego nie można nazwać komunizmem. W każdym razie to nie komunizm, to był bolszewizm, a na pewno nie marksizm. I organizacyjnie nie miał żadnych związków. On się związał dopiero właśnie w Rosji i tam od razu zrobił wielką karierę komunistyczną, niestety w Rosji zachowywał się bardzo niedobrze. Był bardzo czynny w organizacji narodowego Zjazdu literatów. I był w tej Międzynarodówce literackiej w zarządzie. W trzydziestym czwartym roku był ten wielki zjazd gdzie Malraux pojechał. Jasiński to organizował. Jasiński rozpoczął nagonkę na Babela. Tak. On był jednym z tych, którzy najmocniej napadali na Babela. Jasiński wtedy był szalenie aktywny, okropnie sekciarski, był wśród tych najbardziej tępiących nawet Majakowskiego, najbardziej fanatycznych. Poza tym należał do dworu tego, no, jak się nazywał, Jagody. Był ozdobą salonów Jagody. To jest inna sprawa, rozumiesz. O ile Stande, Hempel i Wandurski zginęli jako Polacy, w związku z likwidacją komunistów polskich, to, o ile mi wiadomo, to nie jest pewne, ale były takie słuchy, że Jasiński właściwie upadł razem z Jagodą. Został przecież delegatem do Rady Najwyższej Tadżikistanu. Został honorowym obywatelem Tadżikistanu i honorowym jakimś tam, wiesz, wiceprzewodniczącym rady ministrów Tadżikistanu. Miał tam pałac i dwa araby które czekały przez cały rok. On tam jeździł na miesiąc,

dwa wakacji i tam były dwa araby w stajni. Więc niby bardzo jakaś burzliwa biografia. A potem skończył, umarł, jak ci wiadomo, we Władystoku na zesłaniu.

KU KOŃCOWI LAT 1920-TYCH.  
„MIESIĘCZNIK LITERACKI”

M.: — Musiałbym złożyć wam komplement, jako grupie *Miesięcznika Literackiego*. Dlatego, że będąc zainteresowani zasadniczo ogólnymi problemami światopoglądowymi, światowymi, polityki globalnej, równocześnie — nie wiem jak to się stało, chciałbym cię zapytać jak doszło do powstania *Miesięcznika Literackiego*, kto miał pierwszą ideę i zbierając się, jak planowaliśmy — ale faktem jest, że *Miesięcznik Literacki* uderzył w lukę najbardziej celowo. Mówię o wypełnianiu numeru reportażami czy pseudoreportażami z całego kraju, w których to reportażach namacalnie była pokazana krzywda społeczna. I to bardziej z pewnością działało na czytelnika niż jakiegokolwiek teoretyczne artykuły.

W.: — O, na pewno! Jeżeli ci chodzi o ten konkretny moment, to znaczy tej akcji reportaży, to mogę ci teraz najogólniej powiedzieć. To był mój pomysł. W ogóle pomysł *Miesięcznika*, powstania *Miesięcznika*, był Stawara. Już od bardzo dawna, po zamknięciu *Dźwigni*, zlikwidowaniu się *Dźwigni* na tle sporów partyjnych, o których wiedziałem, wewnątrzpartyjnych (choć po prostu nie pamiętam dlaczego *Dźwignia* się zamknęła), było to koło marksistowskie o którym ci mówiłem, zbierali się u mnie albo u Schillera. Leon Schiller wtedy, to była ładna edycja salonowego komunisty, trafiały się też w innych krajach, w tym czasie w Anglii, we Francji. Więc on był w bardzo wielkiej przyjaźni z ministrem Spraw Wewnętrznych, był w zażyłości z Beckiem, z Pierackim. To jest Polska. I jak przyjeżdżali tacy lewicowi literaci z Zachodu, z Niemiec, z Francji, jak Priaceł, sekretarz Barbusse'a, nie mogli wyjść z podziwu, że jak to, my siedzimy w kawiarni, w Ziemiańskiej, z pułkownikami, z Wieniawą-Długoszowskim. Kiedyś przysiadł się do nas wiceminister Spraw Wewnętrznych — Korsak. Korsak, na przykład, miał ogromną sympatię dla Władysława Daszewskiego. I ponieważ Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było w pobliżu Teatru Polskiego, więc on podjeżdżał po niego, żeby go odwozić, bo mieszkali obok siebie, odwozić swoim samochodem. Więc to były takie jakieś idylliczne stosunki wtedy z górą, co małych doprowadzało do wściekłości. W wyższych partyjnych sferach to było

bardzo dobrze widziane. Chodziło tu między innymi, i to było również celowe, żeby infiltrować. Był taki Klemens Fenigstein, bardzo zamożny i przystojny dyrektor jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń, który od czasu do czasu urządził przyjęcia, gdzie bywali ludzie z rządu razem z komunistami. No, ale to już było kierowane. Natomiast to o czym ja mówię, u Schillera, to był taki półcygański styl, tego wrastania cyganerii w wyższe towarzystwo, jak skądinąd Skamandryci wrośli w to wyższe towarzystwo, elitę towarzyską, tak samo tu było o wiele mniej, ale w pewnym sensie były pewne zrosty. I ułatwienie naszej dyskusji, naszych zebrań, naszej działalności po prostu potem politycznej. W krytycznym momencie gdy nas zaarrestowali, siedzieliśmy jeszcze w Defenzywie, w piwnicach Defenzywy — po zamknięciu *Miesięcznika* — gdy nagle drzwi się otwierają i dyrektor więzienia, taki pan bardzo elegancki, w cywilnym ubraniu, wywołał nas wszystkich. A myśmy siedzieli — to była Wielkanoc — i wtedy wsadzono żydowskich piekarzy. Myśmy siedzieli z tymi piekarzami. To była duża cela. Wywołał nas i powiada nam na korytarzu: „panowie, pan pułkownik Wieniawa-Długoszowski przysłał dla panów trochę prowiantów”. Te prowianty, to były dwie olbrzymie torby od Hirszfelda. Dwa litry wódki z białą główką, kawiora itd. „No, ale gdzie ja panów posadzę z tym”. I wpuścił nas do celi, gdzie przykuty do ściany siedział bandyta, słynny wtedy bandyta, który zabił jakąś rodzinę. „Ja panom dam ten prowiant, ale pod warunkiem, że nie podzielicie się z nim. Jemu nie wolno: kryminalista, bandyta”. Więc myśmy odmówili, poskrobał się w głowę i jakoś znalazł dla nas pustą celę.

Jak się odbywały te posiedzenia? Zawsze przychodził ktoś z Partii, czasem to był jakiś anonim, pewno z KC, czasem jakiś ukrywający się; referat. Potem wielka dyskusja. Potem Schiller siadał do fortepianu i grał. Czasami grał również: „Moja kochanka jest taka brzydka, zębki spróchniały”, albo: „Deszcz za szybami śmieje się, psiakrów, to życie takie złe...”. Mieszkanie pięknie umeblowane itd. Czasem to odbywało się u mnie, miałem niezłe mieszkanie, na czwartaku, w podwórzu. I na wprost naszych okien zawsze i to prawie do samego końca, przez jakieś trzy lata, stali szpicle, w oknach, w sieni, naprzeciwko. Zawsze w oknach było dwóch szpicli, obserwujących co się dzieje naprzeciwko. Stosunki były w gruncie rzeczy dość idylliczne, oparte na pewnym snobizmie, oparte również na pewnych wyrachowaniach ze strony sfer rządzących. Niewątpliwie. A nawet policji. Po prostu ujawnienie. Mieć coś jawnego, wiedzieć do czego dążą. Jak zamknęli *Miesięcznik*, to w *Słowie* Mackiewicz napisał duży artykuł w obronie *Miesięcznika*. I bardzo się denerwował. Mó-

wił: wiedzieliśmy do czego oni dążą, póki był *Miesięcznik*. Czego oni chcą. Jakimi metodami myślą, jakimi metodami pracują. A tak, wszystko po ciemku. Po omacku.

Był jeszcze inny powód, który nas do pewnego stopnia chronił, bo jak skonfiskowali, drugi zdaje się numer *Miesięcznika*, czy bodaj pierwszy, prokurator Kawczak, od spraw komunistyczno-prasowych wezwał Breitera, adwokata. Wiedział, że Breiter jest z nami w przyjaźni. I powiedział mu: my ich nie będziemy aresztować, nie chcemy robić męczenników. Tylko niech pan zwróci uwagę, że w Kongresówce są takie ustawy, że po drugiej konfiskacie zamyka się pismo. Oczywiście, jak to usłyszałem, od razu pojechałem z następnym numerem drukować go w Krakowie. Potem w Krakowie było trudno, w Bydgoszczy. Doszło do tego, zrobiłem taką kombinację, że numer robiło się w Warszawie, we Lwowie miałem redaktora odpowiedzialnego, jakiegoś Ukraińca, któremu się płaciło za to, lewicowy Ukrainiec, wice-redaktor tak zwany. A drukowałem w Poznaniu. Okazało się, że w Poznaniu było najlepiej, wpadłem na drukarnię, gdzie właściciel był kochankiem miejscowej cenzorki. Poza tym cenzura w Poznaniu była najslabiej obsadzona. Tak że cenzorka czytała codzienne pisma, przeglądała tygodniki, oglądała tylko tytuły *Miesięcznika*, bo nie starczyło jej czasu. I w ten sposób pismo mogło długo się utrzymać. Bo podlegało prokuratorowi we Lwowie, konfiskować musiałby jakiś czynnik poznański, a myśmy siedzieli w ogóle w Warszawie. No, ale tu zeszedłem na margines tych spraw.

Więc były zebrania kółka marksistowskiego. Dostawaliśmy regularnie (nie czytaliśmy *Kapitału*) pisma takie jak *Nowy Przegląd*, bardzo poważny teoretyczny organ, bardzo porządnie wydawany w Moskwie, a poza tym ja dostawałem na przykład na bibule, wpakowany w jakieś pisma ilustrowane *Imprekor*, *Proletarische Korespondentz*, wydawane w Berlinie, różnie, ale przede wszystkim w Berlinie, na bibelpapierze i tam były doskonałe analizy, rzeczywiście najlepsze marksistowskie głowy. Głównym ekonomistą był tam prof. Warda, słynny marksista, Węgier. Jeden z tych którzy brali udział w pierwszej rewolucji węgierskiej, wybitny ekonomista, który był potem w niełasce, ale jakoś ocalał. Żył potem w Rosji i zdaje się, że umarł. Kto miał ideę pisma dokładnie wiedzieć nie można. Partia przez cały czas dążyła do tego, żeby mieć pismo legalne. No, więc takim pismem legalnym, tym pierwszym legalnym pismem w Warszawie była *Dźwignia*. To znaczy, przed tym *Nowa Kultura*, zamknięta. Potem *Dźwignia*, która upadła. Potem było długo, długo nic. Mnie w każdym razie do tego natchnął Stawar. To znaczy: pierwsza próba była taka, żeby zrobić z Napierskim. Na-

pierski miał wielką ambicję, żeby założyć pismo, wtedy miał jakieś ciągoty lewicowe, bardzo się przyjaźnił i ze mną i ze Stawarem, i Stawar namawiał go na to, żeby on właśnie założył takie pismo. Napierski miał również dać pieniądze. Część pieniędzy. Ale Napierski się wycofał. Potem było bardzo wiele różnych zebrań najrozmaitszego rodzaju i potem na tym kółku marksistowskim postanowiliśmy robić pismo, właśnie *Miesięcznik Literacki*, przy czym miałem redagować ja i Schiller. To był pierwszy pomysł. Schiller się wycofał. Były długie namowy, żeby jednak robił to, ale on jakoś zrećnie się wycofał, żeby nie kompromitować swojej pozycji w teatrze, gdzie mógł dużo zrobić. No, ja jak najbardziej. Przeżywałem wtedy wielkie zapały. Komitet redakcyjny składał się od samego początku ze Stawara, Broniewskiego, Hempla, Daszewskiego, Standego. Potem doszedł Deutscher. Deutscher był wtedy współpracownikiem syjonistycznego *Naszego Przeglądu*. Ale był już komunistą od dawna i pisał felietony pół-literackie, pół-polityczne. Bardzo namiętne, bardzo wściekłe, z pianą.

Ale mnie się wydaje, że jeszcze daleko do *Miesięcznika*, że za wcześniej zaczęliśmy mówić o *Miesięczniku*. Myślę, że trzeba tu szerzej potraktować tło, te motywacje. *Miesięcznik* to jest ta faza największego fanatyzmu, trzeba było do tego dopiero dojść. To już było zaślepienie. Kompletne zaczarowanie. Przy najmniej jeżeli o mnie chodzi. Jakie było moje pojęcie o Rosji? Dobrze, weźmy na przykład to pytanie. Widzisz, kiedy *Miesięcznik* powstał, to był rok 1929-ty. Ja do Partii nie wstąpiłem, jak mówiliśmy poprzednio. Do mnie te kwestie walk frakcyjnych dochodziły bardzo słabo. Chroniono mnie od tego. Nawet w czasie redagowania *Miesięcznika Literackiego*, pomimo tego, że byłem trochę taki dyktatorialny redaktor i właściwie ja układałem — to znaczy radziłem się i współpracowałem blisko ze Stawarem. Ale właściwie inni z Komitetu redakcyjnego stawali przed faktem dokonany, już kiedy numer miałem. I te zebrania redakcyjne, które odbywały się raz na miesiąc żeby nie za bardzo tych szpicli drażnić. Naturalnie, przed moją bramą, przez cały czas *Miesięcznika*, zawsze miałem szpicli. Już się nauczyłem rozpoznawać doskonale. Jak miałem jakieś spotkanie z komunistą, no, to już taksówki, cała taktyka.

M.: — Wróćmy do okresu przed założeniem *Miesięcznika*. Co mnie zastanawia. Ty byłeś już wtedy autorem *Bezrobotnego Lucyfera*. To jest książka niesłychanie paradoksalna, ironiczna. Umysł, który igrza ze wszystkimi możliwościami. To jest książka taka zresztą jak twoja poezja, dlatego typ twojego pisania stał się w jakiś sposób aktualny w okresie po październiku 1956

roku. Bo to jest umysł niestłuchanie przewrotny, figlarny, paradoksalny, który doskonale pasuje do umysłów ludzi, którzy doświadczyli wiele i po 56-tym roku zdobyli jakąś swobodę gadania przynajmniej o tym czy pisanie. To było u ciebie. W ogóle, jeśli chodzi o Polskę. W 1927-ym ukazało się *Pożegnanie Jesieni* Witkacego. Też w tej linii. Igrania wszystkimi koncepcjami światopoglądowymi, jakaś wizja w czasie, katastroficzna, a u ciebie tak samo. Ta nowela twoja o ostatnim chrześcijańskim, bardzo dialektyczna, niestłuchanie, super-dialektyczna. Więc mnie interesuje jak się odbyło to przejście. To przejście nie odbyło się na takiej zasadzie, jak u wielu ludzi się odbywało.

W.: — Nie, bynajmniej nie. Ale wiesz, tutaj musiałbym mówić bardzo wiele o sobie i wrócić do jakichś swoich początków. To znaczy, to co w tej chwili mówisz, to jest jeszcze o tyle interesujące, że jak Herling-Grudziński dostał *Lucyfera*, drugie wydanie powojenne, w 59-tym roku, napisał do mnie list: „Aleksandrze, czyś ty to już napisał po rozczarowaniu, po odejściu od komunizmu?” I rzeczywiście, pomyślałem sobie, że jego przypuszczenia są zupełnie logiczne, bo tam są, właśnie w tym zbioru, jakieś sądy zupełnie trzeźwe. Komunizm, który rozbił się o atom duszy. Dużo jest takich różnych spostrzeżeń, bardzo rzeczowych. Które można dzisiaj uznać za trafne i słuszne. Ale coś kiedy ja pisałem te nowele w 24-tym i 25-tym roku, częściowo się ukazały w 25-tym w *Skamandrze*, w 26-tym wydałem w książce, a mój komunizm zaczął się dopiero w 28-ym. Więc co? Zgłupiałem. Bardzo prosta historia. Nie wytrzymałem nihilizmu, powiedzmy, ateizmu. Zebrałem w *Lucyferze*, w tym zbioru, jeżeli tak nowela po noweli przejrzyć, systematycznie: konfrontację wszystkich podstawowych idei ludzkości. To znaczy: moralności, religii, nawet miłości. Co tym bardziej jest paradoksalne i bardzo interesujące, że właśnie wtedy przeżywałem drugi rok wielkiej miłości. A to cerebralne zakwestionowanie i kompromitowanie miłości, jednak było pełne, do końca przeprowadzone. Kompromitowanie samego pojęcia osobowości. Więc taka nowela o Landru, gdzie samo pojęcie osobowości zostało zakwestionowane. Zakwestionowanie w ogóle wszystkiego. Nic. Kropka. Skończzone. Nihil.

M.: — Można wtrącić? Widzisz, wydaje mi się, o ile znam te rzeczy, niedobrze, ale mi się coś tak widzi, że podobne rzeczy odbywały się w Niemczech Weimarskich. Gdzie ludzie zaczęli od nihilizmu, sarkazmu, a później przechodzili do Partii komunistycznej, zbliżali się. Historia Brechta.

W.: — A Aragon? Właściwie to ja mówię o sobie, ale to jest bardzo typowe. U mnie to jest bardzo jaskrawe, bo rzeczywiście w 26-tym roku ukazuje się książka niestłuchanie szycerza, absolutnie negatywna i nihilistyczna. Zresztą cenzura teraz wyrzuciła o Chinach i jeszcze dwie nowele, obecna cenzura powojenna. Ale to jest taki systematyczny *obzor*, jak mówią Rosjanie. Ja miałem jeszcze inne nowele, ale nie włączyłem ich do tomu, żeby właśnie nie psuć tej systematyki, tego mózdzienia. Wiesz, jest taka nowela Grahama Greena, jedna z lepszych jego nowel, jak młodzi chuligani — ktoś wyjechał ze swojego domu na urlop i młodzi chuligani zajęli ten dom. I wyjęli cały środek. Rozebrali schody wewnątrz, wszystko wynieśli. Natomiast zostały tylko ściany. Jak ten wrócił potem, to z daleka zobaczył swój dom zupełnie w porządku. Taki jak był. I znalazł wyjeżdżoną wewnątrz pustą przestrzeń. Właściwie moja złośliwość ówczesna, jakaś straszliwa, zacięta złośliwość, polegała na tym intelektualnym chuligaństwie. Polegała na tym, że no tak, zewnętrzne kształty wszystkie były utrzymane, ale wewnątrz wszystko było wyżarte, wyniesione, wymiecione. I okazuje się, że ja tego wytrzymać nie mogłem. Zamknąłem wobec tego oczy. Wszystkie swoje sofistykacje, wszystko, zamknąłem na klucz. Klucz wrzuciłem do otchłani, do morza, do Wisły i rzuciłem się w tę jedyną wiarę, która istniała wtedy. Istniała stara wiara w Boga. Ale to jest albo dane, albo odebrane. Przeważnie jest odebrane, w naszych czasach, powiedzmy sobie. Prawda? Simone Weil umiała zdobyć to siłą, tak jak w Ewangelii nakazują, ale w zasadzie, jak jest odebrane to jest odebrane. I pozostała jedyna alternatywa, jedyna globalna odpowiedź na negację. Cała choroba polegała na potrzebie, na głodzie globalności.

Pokolenie ówczesne. Oczywiście dotychczas to nie jest sprawa już zlikwidowana, to jest sprawa stała, od początku XIX-go wieku, od końca XVIII-go wieku, romantyzmu. Ta potrzeba ekumenizmu, jeżeli mówić w kategoriach państwowo-politycznych i religijnych, czy potrzeba globalności, jeżeli mówić o filozofii. A to jest jedyny system. Prostactwo tego systemu. No, miałem pewne przygotowanie filozoficzne, w końcu czytałem ze zrozumieniem dosyć filozofów, takich subtelných. Pamiętam, gdy byłem jeszcze studentem, jak Kotarbińskiemu zadałem bodaj kiedyś pytanie (ale wtedy nie byłem komunizujący, w 22-gim bodaj roku): „co pan profesor myśli o empiriokrytycyzmie Lenina?” Na to Kotarbiński powiedział z uśmiechem: „ja w ogóle o tym nie myślę, to jest książka amatora”. I wybuchliśmy śmiechem. Obydwaj. Ja to dobrze pamiętam, bo ta rozmowa oddała mi pewną przysługę. Mianowicie, podczas paszportyzacji, jak przyjechała ta wspaniała komisja enkawudowska starych czekistów,

żeby paszportyzować posiołek, już wiadomo było, że bardzo trudny. Po takiej demonicznej nocy, rano, stanąłem przed tą komisją i tam był jeden młody człowiek, w mundurze, czekista, bardzo przystojny Rosjanin, niezmiernie grzeczny, raczej typ żandarmerii carskiej, który mówi do mnie: „wy byli na filozofii w Warszawie, powiedzcie mi czy studiowaliście empiriokrytycyzm Lenina?” „My — odpowiadam — nic podobnego”. A on mówi: „No tak, rozumiałem, w państwie kapitalistycznym”. A ja na to: „Nic podobnego, nasz profesor, z którym się omawiało te rzeczy, to był lewicowiec, raczej radykał. Nie, to nie dlatego. Po prostu uważaliśmy że Lenin jest amatorem”. Bardzo go to zainteresowało. Bo on filozof z wykształcenia, skończył wydział filozoficzny Uniwersytetu Moskiewskiego. Wysłuchał z wielkim zainteresowaniem. Bardzo spokojna, prawie salonowa rozmowa. W końcu, po Bergsonie, czytać te broszury filozoficzne sowieckie, ja mówię o tej stronie wulgarności i trywialności myśli.

M.: — Deborin.

W.: — Tak, Deborin. To co innego. Była w Rosji szkoła „Pod Znamieniem Marksizma” — była tam taka grupa heglistów z Deborinem, którzy to wszystko tłumaczyli, wprowadzali wtedy terminologię heglowską, taką jaką teraz Francuzi uprawiają zresztą. Jeżeli czyta się Sartre'a, ma się czasami wrażenie, że się czyta Deborina. To jest zresztą druga fala heglizmu we Francji. Heine skarży się w przedmowie do — zdaje się — w *Atatrol* czy w *Deutschland ein Wintermärchen*, skarży się na to, że francuscy filozofowie zarazili się Heglem i nie można ich w ogóle czytać.

M.: — Ale to było krótkie we Francji?

W.: — Było krótkie. Obecna fala heglizmu, właściwie została zaszczepiona przez Rosjanina — Kojève. Ale to jest co innego. Najbardziej sofistykowany filozof współczesny Sartre albo nieboszyk Merleau-Ponty, no, tacy już wykuci, a jak ich pociągało prostactwo myśli. Potrzeba uproszczeń. Chciałbym wytypować w toku tych rozmów, te głody. Bo właściwie komunizm powstał dla zaspokojenia pewnych głodów. To zjawisko było o tyle nieuniknione, że w społeczeństwach dzisiejszych, nawet już w społeczeństwach XIX wieku, powstały potężne głody. Jednym z tych głodów był głód katechizmu, prostego katechizmu. O wiele bardziej pali taki głód intelektualistę sofistykowanego, niż człowieka z ulicy. Człowiek z ulicy zawsze miał katechizm, zastępował jeden katechizm drugim. To była bardzo prosta rzecz.

To jest bardzo prosta matematyczna historia. Wszystkiego zrobiło się za dużo. Za dużo ludzi, za dużo idei, za dużo książek, za dużo systemów. Wszystkiego za dużo. I po prostu to, co według antropologów dzisiejszych, czyni społeczeństwo ludzkim, to jest potrzeba uporządkowania tej wielości. Ta wielość jest tak absolutnie straszliwa, ta wielość zrobiła się tak straszliwie wielką, że sofistykowany umysł zupełnie nie jest w stanie sobie z nią poradzić. Nie wierzę w to, żeby dzisiaj ktokolwiek bądź, wszystko jedno — egzystencjalista, nie egzystencjalista, pragmatysta, żeby ktokolwiek bądź, kto występuje jeszcze dzisiaj z jakimś swoim systemem, nawet neopozytywista, żeby robił to z pełną uczciwością intelektualną. To znaczy, żeby nie znał od razu podstawowych, bardzo wielkich i nie do zbitcia kontrargumentów przeciwko swojemu systemowi. Żeby dzisiaj wystąpić z jakimś nawet nie z systemem, ale z cyklem myśli *coherent*, trzeba popełnić nieuczciwość. Milcząco odrzucić kontrargumenty, które inteligencja i pamięć i lektura — podsuwa. Trzeba zrobić wybór. Wybór oparty na nieuczciwości intelektualnej. Dzisiaj uczciwy intelektualnie może być tylko prostaczek. W istotnym sensie słowa uczciwość. Chyba że ktoś ma zdolności samookłamywania siebie. Zdolności samookłamywania, jak pokazały dzieje stalinizmu wśród intelektualistów, zachodnich szczególnie, są monstrualnie duże.

M.: — Bardzo interesująca jest sprawa w jakim stopniu wtedy, w końcu lat dwudziestych, wyście byli obznajomieni z literaturą rosyjską, z tym co się odbywało w literaturze rosyjskiej. Chodzi o to, że ja przypominam sobie ze swoich lat szkolnych bardzo dużą ilość książek tłumaczonych z rosyjskiego, literatury sowieckiej. To był Pilniak, Sejfulina, byli inni pisarze — nie przypominam sobie, był Zamiatin, zdaje się.

W.: — No, naturalnie. Nawet Artiom Wiesiołyj był tłumaczony.

M.: — Erenburg był jednym z popularnych.

W.: — Tak, ja zresztą tłumaczyłem dwie książki Erenburga.

M.: — Więc chodzi o to, w jakim stopniu wyście to znali i jak niektóre utwory literatury rosyjskiej mogły na was działać. Dlaczego że jeżeli chodzi o literaturę rosyjską lat dwudziestych, tam była, w wielu utworach — i groza tego co się dzieje — i fascynacja. Takie olbrzymie, potworne procesy odbywające się. Była tam zachłyśnięcie? Zgadzasz się ze mną? To była ta literatura względnie wolna i mnie się nie wydaje, żeby była taka

duża różnica pomiędzy pisarzami, którzy w jakimś stopniu byli uważani za bliskich komunizmowi i pomiędzy takimi pisarzami, którzy byli uważani za dalekich, jak Zamiatin, na przykład. U jednych i u drugich była ta sama fascynacja czymś olbrzymim. Zgadzasz się?

W.: — Więc myśmy byli bardzo *à la page*, znaliśmy wszystko. Przyjaźniliśmy się zresztą z niektórymi ludźmi z ambasady, zwłaszcza z korespondentem *Prawdy*, Józefem Kowalskim, o którym będę opowiadał w związku z *Miesięcznikiem*, i dostawaliśmy prawie że wszystko. W dwudziestoleciu miałem kilkanaście rewizji, za każdym razem zabierano część mojej biblioteki. Miałem olbrzymią bibliotekę, dostawałem wszystko co warte było czytania. Już przed *Miesięcznikiem*. Już w 27-ym. Chcę ci powiedzieć jeszcze anegdotyczną historię. Na mnie zaczęli nastawiać sidła — żeby wejść w orbitę komunistyczną to nie wystarczy chcieć, trzeba jeszcze, żeby oni chcieli. Wtedy to nie było takie proste. Za twoich czasów było straszne duchopapstwo. Łapano. Ale wtedy nie. Więc na przykład: jedyne złe recenzje, jakie się ukazały — bo miałem bardzo dobrą prasę — ale jedyne złe recenzje, jakie się ukazały o *Lucyferze*, to były Wandurskiego w *Dźwigni* i Deutschera w *Naszym Przeglądzie*. Wściekłe recenzje. Właśnie nihilizm, dekadentyzm, itd. Ale rzecz paradoksalna, znowu tu jest różnica między wierzącym komunistą, a komunistą praktykującym. Po *Lucyferze* zwrócił się do mnie nieznan mi Józef Kowalski, korespondent *Prawdy*. Chciałby ze mną pomówić. No i nieprawdopodobne komplementy. Zaczął mi przysyłać książki. I mówił o tym, że jak pojedzie do Moskwy — był Żydem z Płocka ale dzieciństwo już spędził w Rosji, żona była tancerką, która jakiś czas, zdaje się, była przyjaciółką Majakowskiego. Zginął potem, oczywiście, w czystce. Bardzo mądry człowiek i niesłychanie politycznie i ekonomicznie wykształcony. Mówił, że jak pojedzie do Moskwy, to postara się, żeby to było wydane po rosyjsku, że powinno być wydane. Więc to jest różnica między wierzącym komunistą, fanatycznym — Wandurskim, a sowieckim już pragmatystą, wtedy. Oczywiście, że to jest książka zgniła, ale ona nie jest zgniła w zgniłym kapitalizmie. *A la bonheur*. I szalenie mnie zaczęli wtedy czarować. Jak zaczęli przyjeżdżać pisarze, właśnie Sejfulina — pierwsza Sejfulina przyjechała — potem Pilniak — wszystko to przychodziło do nas do domu.

Ale pytasz się, jak na nas to działało? Trafiałeś w sedno. To znaczy groza i jednocześnie fascynacja. I tu jest jeszcze jedna rzecz bardzo istotna, którą warto podkreślić. Znowu jeden z punktów, który na pozór wydaje się, że powinien być odpychać od komunizmu, a który intelektualistów (mnie w tym wypadku,

ale ja mówię zbiorowo, bo przykładów analogicznych mógłbym przytoczyć mnóstwo, aż po dzisiejsze czasy) niesłychanie fascynował i przyciągał. Mianowicie — całe to okrucieństwo. Cała ta krew przelana za rewolucji, ten straszny Pilniak. Ten *Gołtyj God*. Ta dzicz, która wyszła na wierzch, to wszystko przemawiało za komunizmem. Bo skoro trzeba płacić tak straszną cenę... Ja naprawdę nie jestem okrutnikiem, nie mam w sobie nic z okrucieństwa, no, może zabijałem muchy, wszy w więzieniu, pluskwy w więzieniu, i muchy jak miałem 5, 6 lat, potem to mi bardzo zbrzydło.

Krew mnie przeraża. Ale wiesz, ta krew abstrakcji, ta krew niewidziana, krew po drugiej stronie muru, jak Pascal o tej stronie rzeki, o której pisze. Po tamtej stronie rzeki przelana — jak czysta i wielka musi być sprawa dla której przelewa się tyle krwi. I krwi niewinnej. To szalenie pociągało. Oczywiście tu jest jeszcze jedna rzecz, poza tym, że sprawa musi być bardzo wielka, skoro tyle niewinnej krwi się przelewa, skoro tyle ofiar... bo zakłada milcząco, że kto przelewa? Nadzieja świata, ludzie do których się ma najwyższe zaufanie i bezwzględne zaufanie. *Da ist der Hund begraben*. Intelektualista, który stracił zaufanie do wszystkiego i wszystkich, nie może żyć z tym. Prawda? To jest ten punkt wyjścia. To jest mój *Lucyfer*. Do wszystkiego i wszystkich. Ale nie mogłem z tym żyć! I wtedy wybrałem sobie idol — Lenina. To zresztą religioznawcy wiedzą, że wtedy kiedy umierają wielkie religie, wyłaniają się religie wypaczone — sekty. Zawsze jest tak. Wtedy się bożki wyłaniają — to jest ta charyzmatyczna władza wodza, jeszcze przed Stalinem, on jest ten jedyny, nikomu się nie ufa i wybiera się wtedy jednego, któremu się ufa. To jest stara historia. To sięga co najmniej czasów romantyzmu. Taki post-romantyczny Kirejewski, jeden z tych słowianofilów, pisał, że polityka jest taką zbrodnią i hańbą, że lepiej żeby jeden człowiek wziął na siebie całą tę hańbę. W ten sposób narodowi została ta hańba oszczędzona. Tu było teoretyczne uzasadnienie autokracji rosyjskiej. Że car poświęca się, że bierze na siebie hańbę za cały naród. Hańbę prowadzenia państwa. I tu znowu, ta krew przelana, te straszliwe zbrodnie jakie się działy, tak, ale tu jest ta uświęcona osoba, właśnie tego cara, tego idola, czy Lenina, tej charyzmatycznej osoby, która odkupuje to wszystko, w której pokłada się najwyższe nadzieje i ona bierze na siebie ten cały grzech. Ja popieram komunizm, nie robię go, bo nie jestem w Rosji, ale robię go w Polsce. Popieram komunizm, chociaż wiem, że komunizm doprowadzi do bardzo ciężkich rzeczy. Ale ja nie jestem grzeszny, bo grzech wziął na siebie mój zbawca, Lenin.

Z Rosjanami było trochę inaczej. Odwiedził nas Pilniak.

W swoim oxfordzkim referacie nazwałem takich Rosjan proto-Żiwago. Kierunek proto-Żiwago, znaczy odczuwania rewolucji jako wielkiego nieszczęścia. Na czym polega wielkość tej bardzo źle napisanej książki? Rzeczywiście, z całą magią, jakimś bezpośrednim dotykiem poety, Pasternak pokazał nieszczęście klasy, inteligencji, nieszczęście społeczeństwa. Rewolucję jako nieszczęście narodu. Bolszewizm jako wielkie nieszczęście narodu. I to jest wielkość tej książki. Może fatalnie napisana jako powieść, jego racjonalizacje są bardzo głupie, niedawno *Le Monde* podał za jakimś pismem sowieckim co on jednocześnie pisał, taki artykuł noworoczny, nie wydrukowany wtedy w *Nowym Mirze*. Właśnie, że Rosjanie wzięli na siebie tę misję nieuniknioną. To są jego motywacje. Mnie chodzi tylko o to co to jest żywagizm? To jest widzenie rewolucji jako wielkiego nieszczęścia. Otóż niewątpliwie byli tam tacy w początkach jak Błok — wiersze „Skify”, „Dwunastu”. Już w „Skifach” jest: „Mongolę z kosymi oczami”... Dla niego, ponieważ był Rosjaninem, jego problemem ostatnich lat był problem: Rosja jest Europą czy Azją? Czym jest Rosja? On to wyraża nawet w ten sposób, zdaje się, w szkicach o inteligencji i rewolucji: „Ponieważ traktujecie nas jako kopciuszka Europy, ponieważ gardzicie nami, to my pokażemy wam naszą mordę azjatycką”. W prozie też mówi, i w „Skifach”. On to widział na innej osi — tę potrzebę rewolucji...

WACŁAW ZAGÓRSKI

## WOLNOŚĆ W NIEWOLI

Przedmowa ADAMA CIOLKOSZA

59 miesięcy-rozdziół od września 1939 do lipca 1944. Ponad sto dokumentarnych zdjęć, reprodukcji prasy podziemnej i ilustracji słownych. 544 strony druku. Indeks nazwisk, imion i pseudonimów.

Oprawa płócienna z tłoczeniami, trwała plastykowa obwoluta.

Opracowanie graficzne autora przy współpracy

STANISŁAWA GLIWY

Cena: £.3.30.

Do nabycia w polskich księgarniach oraz u autora:  
**Wacław Zagórski, 7 Hillcroft Crescent, London, W.5.**

## Zdrowa śmierć \*

OD AUTORA

*Czytelnikom, którzy nie znają lub nie pamiętają „Soli ziemi”, wydanej po raz pierwszy w roku 1935 jako pierwsza część trylogii pt. „Powieść o cierpliwym piechurze”, pragnę przypomnieć, że akcja toczy się z początkiem I-ej wojny światowej, najpierw na małej stacji Topory-Czernielica, na granicy Galicji i Bukowiny, a później w kadrze galicyjskiego c.i.k. pułku piechoty, z powodu wojny oraz inwazji Rosjan przeniesionej do miejscowości Andrásfalva w głębi Węgier. Zarówno Topory-Czernielica jak owa Andrásfalva istnieją tylko w wyobraźni autora i próżno by ich szukać na mapie. Główną postacią „Soli ziemi”, którą spotykamy w powyższym fragmencie „Zdrowej śmierci” jest Piotr Niewiadomski, z matki Hucuł, z ojca Polak. Pełnił on funkcje najpierw tragarza, później dróżnika na wspomnianej stacji Topory-Czernielica. Wcielony do pospolitego ruszenia, jedzie wraz z innymi do kadry w Andrásfalwie na przeszkolenie. Drugą najważniejszą postacią „Soli ziemi” i częściowo również „Zdrowej śmierci” jest feldfobel sztabowy Bachmatiuk, fanatyczny wyznawca i kapitan wojskowej Subordynacji. Za swoją misję życiową uważa on przerabianie ludzkich istot na prawdziwych ludzi czyli na żołnierzy. Postać Lesia Nedochoodiuka, z którego Bachmatiuk „wypuszcza duszę”, pojawia się w „Zdrowej śmierci” pierwszy i jedyny raz. „Zdrowa śmierć”, to definicja Bachmatiuka odnosząca się do żołnierzy, którzy giną na froncie.*



W całej kadrze nie było wszy nawet na lekarstwo — dla Lesia Nedochoodiuka, co leżał na izbie chorych i umierał za cesarza. Tak je gruntonnie wytepił wielki odwzawiacz kadry Izidor Parawan, pan z siwą bródką i żółtym „paskiem inteligencji” na rękawach, landszturmista bez broni, kategoria C.

\* Fragment powieści pod powyższym tytułem, stanowiącej drugą część „Soli ziemi”.

Wszystkie wszy były odtąd na froncie razem z orkiestrą i chorągwią c. i k. x-tego pułku infanterii imienia króla N. A szkoda! Przydałyby się teraz w Andrásfalvie, oj — przydały! Lecz, co do tego, czy landszturminfanteryst Łeś Nedocho diuk rzeczywiście umierał za cesarza, zdania w kadrze były podzielone. Jedni twierdzili, że za cesarza można umrzeć tylko na polu bitwy, na świeżym powietrzu, tam właśnie, gdzie były wszy, a nie w łózku na marodcymrze<sup>1</sup>. Inni wprawdzie przyznawali, że za Najjaśniejszego Pana zdycha się tylko od nieprzyjacielskiej kuli, bagnetu, lub odłamków szrapnela, ale czy od razu w polu na gołej ziemi, czy trochę później w szpitalu, dalebóg — to nie ma znaczenia. Grunt, żeby na wojnie i nie od choroby, której nabawić się można również w cywilu. Atoli większość krajanów mniemała, że to wszystko — fuk<sup>2</sup>: każdy żołnierz, co wyciąga kopyta w cesarskiej koszuli, choćby i nie powąchał prochu — umiera za cesarza.

— Zobaczmy — mówił landszturminfanteryst Bryczyński, hrabski lokaj w cywilu, człowiek światowy. — Zrobią mu pogrzeb z paradą, z honorami wojskowymi, znaczy się: skrepirowa<sup>3</sup> za cesarza.

— Skrepirowa! Szcze ne skrepirowa! — oburzył się Piotr Niewiadomski, sąsiad Bryczyńskiego z glidu<sup>4</sup> i z pryczy. — Szcze nebiszczyk żywe<sup>5</sup>! — Zaciekawiyk go wszakże te honory wojskowe i chciał je widzieć na własne oczy.

Za cesarza, czy nie za cesarza, Łeś Nedocho diuk ostatnie z siebie wysapywał tchy, choć lekarz pułkowy doktor Badian robił wszystko, co było w jego mocy, żeby Łesia ratować. No, ale co takiego było w mocy doktora Badiana? Kropelki? Zastrzyki? Digitalis, koramina, kamfora? Śmiechu warte takie lekarstwa! Może są dobre dla panów oficerów, dla Żydów, dla adwokatów, lecz nie dla Hucułów. A Łeś Nedocho diuk to Hucuł z Hucułów, to gazda z Dzembronii nad rzeką Dzembronią, a nie mieszaniec, a nie perewidnyk<sup>6</sup>, jak ten Petro Niewiadomski, jego kamrat z trzeciej kompanii drugiego marszbatalionu. Łeś Nedocho diuk szesnaście sztuk bydła miał w swojej kołeszni<sup>7</sup>, szesnaście sztuk bydła paśło mu się latem na połoninie. A owiec! Jemu odolan by pomógł, czarowne ziele! Jemu by dawać horiłki<sup>8</sup> z żabą, pod-

kurzać go dymem ze spalonej miotły, którą się zamiata cerkiew grecko-katolicką. Albo dymem z suszonych jąder ogiera! A już nic by mu tak nie pomogło, nie wybawiło od szczyżnięcia na obcej ziemi, w madziarskim browarze, jak ten stary, od wieków wypróbowany lek: pięć albo dziesięć weszek wypitych duszkiem razem z okowitą! Ale co o tym mogą wiedzieć panowie doktory?

A czemuż to Łeś Nedocho diuk musiał umierać tak młodo, nie dostąpiwszy łaski chrztu ogniowego? Co powaliło tak mocnego chłopca, że leżał oto jak kłoda, a dyszał jak miech w kuźni Klyma Kuczirki w Żabiu-Śtupejce? Czorty go jakieś madziarskie zmogły? Madziarskie mamuny<sup>9</sup> uroczyły? Mówiono, że Łeś nie jest uriczny<sup>10</sup>. Modlił się regularnie do świętego Mikołaja, bożego oblubieńca, żeby się za nim przyczynił i od nieszczęścia wszelkiego i od przypadku ciężkiego uchronił na rosach, na wodach. Nie pomogły, widać, ojczenasze, bo Łeś Nedocho diuk nawet Pokrowy<sup>11</sup> nie doczekał. Co mu się stało?

Już bydlę wracało z połonin w dalekiej ziemi huculskiej, bydlę wykochane, bydlę chrześcijańskie. Gaszono watry w kolibach, do których na zimę sprowadzą się mary, czyli dusze ludzi zabitych. (Więcej tego roku było mar, niżli kolib, choć to dopiero trzeci miesiąc wojny, początek października). Ziemia w górach mizerniała, marły zioła, czerniał żerep, czyli kosodrzewina. Dziewanny z oklapniętymi liśćmi sterczały posępne i sztywne jak pogaszone świece w cerkwi. Schły i soki traciły wszelkie trawy, którymi na połoninach pożywia się bydlę od światoha Jurija aż po druhu Bohorodyciu<sup>12</sup>. Więc bydlę, co nie szło do zimarek na siano, schodziło z połonin. Doliny, wąwozy, dniem i nocą napełniała wrzawa: ryk, bek, zawodzenie pędzonych stad, głuszac szum wzbierających o tej porze roku świętych rzek huculskich: Białego Czeremoszu, Czarnego Czeremoszu i Prutu. Cała ziemia huculska wibrowała od tętentu ugniatających ją racic i kopyt. Tysiące dzwoneczków i dzwoneczków porbrękiwały w marszu na spasionych sztykach krów, cieląt, baranów. Ciężki fetor bydlęcych ekskrementów mieszał się z zapachem parującej sierści i wełny, z wonnościami tratowanych łąk, skoszonego siana i niewydojonego mleka. Tylko z rzadka odzywały się trembity.

Już bydlę wracało z połonin, a nasi ludzie w kadrze wciąż jeszcze nie byli ludźmi. Od biedy mogli już iść na front, ale tylko od biedy. Komendant kadry podpułkownik Leithuber byłby

1. Marodcymra — izba chorych.  
2. Fuk — słowo pochodzenia rumuńskiego w gwarze żołnierzy wschodnio-galicjskich oznaczało: wszystko jedno!  
3. Z niemieckiego *krepieren* — zdychać.  
4. Glid: z niemieckiego *Glied*, tutaj: szereg.  
5. „Nieboszczyk jeszcze żyje”.  
6. Perewidnyk — mieszkaniec wsi, graniczących z Hucułami.  
7. Kołesznia — obora.  
8. Horiłka — gorzałka.

9. Mamuny — boginie, co mamią człowieka.  
10. Uriczny — człowiek, na którego działają uroki.  
11. Pokrowa — święto „Pokrow Preświatoji Bohorodyci” (przypada 14 października).  
12. Druga Bogurodzica.



ich wyprawił, ale nie on tu rozstrzygał, czy ludzie są już ludźmi. Decyzja o tym należała wyłącznie do sztabfeldfelbla Bachmatiuka.

Już na Czeremoszach ustały spławy. Zamknięto klauzy, wcześniej niż w innych latach unieruchomiono daraby<sup>13</sup>, pewno i dlatego, że najlepsi kermanycze<sup>14</sup> byli w wojsku i spławiali cesarzowi Serbów i Moskali — na tamten świat. Szła zima, a nasi ludzie w Andrásfalvie wciąż jeszcze nie byli ludźmi. Już i Moskal zajmował Pokucie, gospodarował pośród grecko-katolickiego ludu jak u siebie w domu, brodatych popów nasyłał do parafii, obrazy cara Mikołaja zawieszał po urzędach, a nasi ludzie na Węgrzech, co mieli Moskala wypędzać z Galicji, nie byli jeszcze ludźmi.

Nie byli ludźmi, chociaż sztabfeldfelbel Bachmatiuk już piąty tydzień tłukł nimi o madziarską ziemię, rzucał na rżyska, na kartofliska, niszcząc niewykopane ziemniaki, moczył ich w bajorach, tyłtał w błotach. Spadły już bowiem pierwsze deszcze, mimo iż wojna się nie skończyła wbrew powszechnemu mniemaniu że skończy się z pierwszym deszczem. Nałykali się krajanie przez cały suchy wrzesień węgierskiego kurzu i własnego potu, skórę pozdzierali z rąk na długotrwałych ćwiczeniach dziennych i nocnych, mieli odparzone stopy od forsownych marszów w pełnym oporządzeniu, poobijali boki od padania i wstawania, od padania i wstawania, od kopania głębokich rowów, od dzwigania skrzyń z amunicją, od strzelania w postawie stojącej, leżącej, na klęczkach, od czołgania się na brzuchu z dziesiątkami kilogramów na plecach.

A jednak nie byli ludźmi.

Bo czyż jest człowiekiem stwór, który — jak landszturminfanteryst Piotr Niewiadomski — w najważniejszych chwilach życia, na przykład: musztry batalionowej lub zaciągania wart, zapomina, gdzie jest jego lewa, a gdzie prawa ręka? Jest-że człowiekiem ktoś, kto nie wie, co to jest wizirlinia? Kto nie wie, że według sakramentalnych słów Instrukcji strzeleckiej dla cesarsko i królewskich wojsk pieszych jest to „linia imaginacyjna”, ciągnąca się od oka strzelca przez szczerbinę w celowniku i muszkę na lufie do samego celu? A jeśli nawet wie, co to jest wizirlinia, jest-że człowiekiem ktoś, kto nie umie mierzyć do celów ruchomych w terenie łatwym i płaskim jak ta cała nizina węgierska? A czy można nazwać człowiekiem istotę umundurowaną, która nie wie, co się robi w czasie bitwy z rozpaloną lufą karabinu maszynowego systemu Schwarzlose, gdy zabraknie wody?

Nie, nie byli ludźmi, chociaż sztabfeldfelbel Rudolf Bachmatiuk niejednemu z nich wypuścił duszę. Ale dusze wypuszczone słowem Bachmatiuka po jakimś czasie wracały do ciał, wracały do mundurów, jak ptaki do gniazd, lubo nie były to już te same dusze co przedtem. Już je odmieniło wielkie bóstwo cesarskich i królewskich zastępów: Subordynacja.

A zresztą — można żyć bez duszy. Jest się nawet lepszym żołnierzem. Często bowiem dusza przeszkadza żołnierzowi w wypełnianiu rozkazów wyższej władzy. Można żyć bez duszy.

Był w drugim marszbatalionie szeregowiec pospolitego ruszenia Basarab Stepan, rodem z Podola, znad samej granicy rosyjskiej. W chłopięcych latach didowidem<sup>15</sup> był: ślepego lirnika po jarmarkach wodził. Nasłuchał się on wtedy, oj nasłuchał, gadek, a pieśni, co starsze były od samego cesarza Franciszka Józefa. Nic sobie te gadki nie robiły z granicy, swobodnie ją przekraczały to w jedną, to w drugą stronę, nawet strażników się nie bały, ani rosyjskich ani austriackich. Opowiadał ten Basarab Stepan kamratom w baraku o jednym człowieku prawosławnym, co żył bez duszy. Ciało jego było gdzie indziej i dusza gdzie indziej, a ten człowiek prawosławny nawet nie wiedział, gdzie ona jest. A bardzo potrzebował swej duszy. Bo, jak wszystkim ludziom, czy to prawosławnym czy grecko-katolickim, tak i jemu obiecywali w cerkwi, a obiecywali — nieśmiertelność. — Nu, a co ma być nieśmiertelne? — pytał landszturminfanteryst Basarab Stepan, chytrze mrużąc oczy. — Nos ma być nieśmiertelny? Bebechy mają być nieśmiertelne? Może twój brzuch, czołowicze, albo to, co masz pod brzuchem? Lepiej żeby to wszystko, czymś za życia grzeszył, w ziemi zgniło, ino żeby twoja dusza wiecznie żyła. I ten człowiek prawosławny — mówił Basarab Stepan — do późnej starości szukał po świecie swej duszy. Furt szukał taj szukał i nigdzie nie mógł znaleźć. Didko wie, co się z nią stało. Raz była blisko niego, drugim razem daleko, het koło Kijowa, a on nic o tym nie wiedział. Dopiero przed samą śmiercią wlaża mu dusza w ciało, na chwilę tylko, akurat po to, aby eins, zwei, drei! przepisowo z ciała wylecieć. I to — na fest. Na wiki wikiw Amin. I zaraz człowiek ten umarł.

W kadrze było inaczej niż w gadce Basaraba, w kadrze wszystkie dusze wracały do ciał. Tylko jeden raz zdarzyło się, że sztabfeldfelbel Bachmatiuk wypuścił z żołnierza duszę, a ona już nie wróciła. To była dusza Łesia Nechohodiuka.

Jaka ona była: wielka czy mała, ładna, czy paskudna, czy

13. Daraby — tratwy.

14. Kermanycz — wiosłarz lub sternik na tratwie.

15. Didowid, to taki, co wodzi dziada, niewidomego. Lirnicy huculscy często bywali niewidomi.

— ot taka sobie, nie wiemy. Albowiem ludzka dusza jest jak ta wizirlinia: wiadomo, że istnieje, ale kto ją tam widział?

Co innego — ciało. Nawet najgorszy wróg Łesia nie mógł mu odmówić urody. Łeś Nedocho diuk był rosty, śmigły, miękkość zaś jego ruchów wdzięcznie harmonizowała z siłą. Chód miał lekki, nawet w ciężkich komiśnych butach i kołysał się w biodrach, jakby nim chwierutał łagodny wiatr. Coś drzewnego w nim było, aż dziw, że nie szumiął na wietrze. Smagła skóra, powlekająca jego ciało czyniła wrażenie delikatnej kory. Rozciąć go lub przepiłować, a na pewno tryśnie żywica. I nie mięso się obnaży, nie kości, lecz słoje drzewne. I nie smród buchnie z brzucha Łesia, jeno jakiś tartaczny zapachnie aromat.

Zywiółem jego był las. W lesie robił, lasem nasiąkł. Do pasterstwa nie miał wielkiego nabożeństwa. Bydło czuć gnojem. Wojsko zadało mu gwałt — obcięło błyszczące kudły barwy kasztanów, lecz jasnych wąsów nie tknęło. Sam je sobie przystrzygał z angielska. Złe na nim leżał przeпоcony, ćwiczebny mundur. Łeś w mundurze wyglądał jak zwierzę, którego ozdoba i dostojenstwem jest sama nagość, w każdej zaś toalecie, niekoniecznie cyrkowej, budzi tylko litość i śmiech. Złe też na osmyczonej główce leżała cesarska czapka. Spod jej daszka wyzierały duże niebieskie oczy, zwierzęco niewinne. Długie rzęsy łagodziły chód i dzikość wejrzenia. Szczególnie surowe wydawało się lewe oko z krwawą plamą na tęczówce.

Prócz urody Łeś niczym się nie odznaczał. A przecież budził respekt krajanów. Szanowali w nim siłę, rasę, ród. Słynał tylko z jednej rzeczy: z szczęścia do kobiet. Mówiono, że ma kilka żon naraz, ale nie była to prawda. Miał jedną ślubną żonę, równie jak on dorodną i szlachetnej krwi, no — i jedną lubaskę<sup>16</sup>. A że tam poniektóra ficigorna<sup>17</sup> nie umiała się oprzeć pięknemu łeginiowi<sup>18</sup> z Dzembronii, ją za to trzeba winić, ją, a nie Łesia. Łeś Nedocho diuk darzył sobą Hucułki i nie tylko Hucułki, jak rozłożysty dąb darzy cieniem każdego, kto pod nim legnie. Jemu by nawet lisna<sup>19</sup> uległa.

Miał troje ślubnych dzieci, a o nieślubnych głucho było nad rzeką Dzembronią i nad Czeremoszem. W wiekowej graździe<sup>20</sup> żyli jeszcze ojciec i matka, lecz całe gospodarstwo było już od dawna w ręku najstarszego syna, Ostapa. Ten Ostap przywiózł był sobie z Kut śliczną żonę, Kajetanę. Wyglądała trochę jak Żydówka, ale Żydówką, broń Boże, nie była. Była Ormianką.

16. Lubaska — kochanka.

17. Ficigorna — kokietka.

18. Łegin — młody mężczyzna, kawaler.

19. Lisna — boginka leśna.

20. Graźda — warowna chata huculska.

Czas dobry i zły, mirowy<sup>21</sup> i wojenny przeskakował po Łesiu, jak woda po szypotach<sup>22</sup> na Czeremoszu. Z hukiem, lecz bez żadnej dlań szkody. Łeś Nedocho diuk nie zwracał uwagi na wydarzenia dziejowe. Było mu wszystko jedno, kto rządzi światem, kto Austrią i całą ziemią huculską. Nic go nie obchodził cesarz ani wrogowie cesarza. Czytać umiał, lecz gazet nie czytywał. Nie jeden Łeś był taki. Mnogie pokolenia Hucułów kładły się do grobów z oczyma już za życia zamkniętymi na wszystko, co nie jest huculskie. Tylko na sprawy zaziemskie nie był Łeś obojętny. Wierzył w niebo, wierzył w piekło, w świętych Pańskich, w anioły i archanioły, ale i w Archijudę, króla czartów wierzył, w aridnyków, w niauki, nicznyci, lisyci<sup>23</sup> i w cały nadprzyrodzony świat swych pogańskich przodków.

Drzewny ten człowiek nie pasował do maszyny. Wytworów przemysłu metalurgicznego zdecydowanie nie lubił. A i maszyny nie bardzo mu sprzyjały. Nie tylko maszyny, w ogóle — metal. Dwa razy w życiu spłatało mu figla żelazo. Raz, w dzieciństwie, o mało nie oslepił. W kuźni Kłyma Kuczirki w Żabi-Słupejce wpadła mu do oka iskra z rozżarzonej podkowy. Musiał z tym okiem jeździć do znachora w Kosowie. Kosowski znachor dał mu takie zioła i maści, że po kilku dniach Łeś odzyskał wzrok, choć potem jeszcze długo bolało go oko. To był cud, przy którym chyba sam święty Mikołaj, przyjaciel dzieci, pomagał kosowskiemu znachorowi. Wiele lat później, gdy Łeś gazdował już na swoim, siekiera, którą obciosował kloce na tratwę, przecięła mu do połowy kciuk lewej ręki. W czasie pokoju drobne to kalestwo starczy do zwolnienia z wojska. Ale na wojnę można iść z połową lewego kciuka. Byle by prawą rękę mieć w porządku.

Czasy nastały raczej żelazne niż drzewne. Zanośliło się na pogębienie wszelkiej cielesności — człowieczej, zwierzęcej, roślinnej — przy pomocy maszyn. Piechota nie przestawała wprawdzie być królową broni, ale królestwo jej nie było już z tego świata, co mordował karabinem ręcznym i bagnetem. Sielankowego Mannlichera w cesarsko i królewskiej piechocie wypierał samoczynny, szybkostrzelny karabin maszynowy systemu Schwarzlose, wzór 07/12, kaliber 8. W chwili wybuchu wojny, na każdy pieszy batalion przypadały dwa kulomioty. Lecz kiedy okazało się, że car Mikołaj odnosił zwycięstwa nad cesarzem Franciszkiem Józefem właśnie dzięki przewadze broni maszynowej, naczelne dowództwo cesarskich i królewskich sił zbrojnych jęło na gwałt powiększać nie tylko osobne oddziały MG (*Maschinen-*

21. Mirowy — pokojowy.

22. Szypoty — kaskady.

23. Aridnyki — czarty, niauki — złe duchy, nicznyci — duchy nocy, lisyci — duchy lasu.

*gewehrabteilungen*), ale i jak najwięcej ludzi uczyć obchodzenia się z tą bronią. Mogło wszak zdarzyć się w polu, że nieprzyjaciel wybije całą obsługę kaemu, wówczas należało ją zastąpić ludźmi, którzy są pod ręką, a nie czekać aż z tyłu przyślą wykwalifikowane uzupełnienie. Toteż zdaniem sztabfeldfelba Bachmatiuka żadna formacja marszowa nie była dojrzała do frontu, zanim cały jej skład nie zapoznał się z kaemem, choćby powierzchownie. Oczywiście nie każda oferma mogła mieć dostęp do tak delikatnej i kapryśnej maszyny. Piotr Niewiadomski na przykład nie wchodził tu w rachubę. Zbrodnią byłoby dopuszczać do bliższego zetknięcia się z Schwarzlosem człowieka (był-że to człowiek), który nie wiedział, gdzie jest jego lewa a gdzie prawa ręka. Nie wiedział, chociaż miał już za sobą szpangi, nie wiedział, chociaż sam komendant kadry, podpułkownik Leithuber (ten z uschniętą prawicą) dał mu dwa razy w twarz lewą ręką. Ostatecznie można ofermie powierzyć mniej ważne części kaemu: tarczę, trójnożną podstawę, skrzynki z amunicją. Ale tylko do noszenia. Piotr Niewiadomski był w cywilu tragarzem na kolei. Niech dźwiga. W czasie pokoju do transportu karabinów maszynowych używano w cesarsko i królewskiej armii osłów, mułów i tych huculskich koników, co wywodzą się z rasy tureckiej, a żywią się wyłącznie sianem. W naszej kadrze były wprawdzie muły, ale nie tyle, ile ich potrzebowano wobec zwiększonej ilości kaemów. Więc rozbierano kulomioty i musieli je dźwigać ludzie.

Łeś Nedochoდიuk spodobał się Bachmatiukowi od pierwszego wejrzenia. Gdyby feldfelb sztabowy, po śmierci kapitana Knausa umiał jeszcze kochać ludzi, na pewno pokochałby Łesia. Interesował się nim jak duchowny — człowiekiem, w którym wyczuwa powołanie do służby bożej. Upatrzył go sobie na przyszłą szarżę. Rozwagał, czy jeszcze przed odmarszem batalionu na front nie polecić go na kurs podoficerski. Okazywał Łesiu wiele drobnych na pozór względów, choć unikał ostentacji. A Łeś Nedochoდიuk jakby niczego nie widział. Nie widział, że Bachmatiuk nie wyznacza go do czyszczenia latryn, ani do pomocy w kuchni, ani do fasunków, za to częściej niż innym gemajnym porucza mu subtelniejsze zadania. Zaszczycił go na przykład funkcjami frajtra inspekcyjnego, a na ćwiczeniach bojowych wysłał z patrolem jako dowódcę czujki. Tego wszystkiego Łeś nie raczył zauważyć. Uszło też uwagi Łesia, że Bachmatiuk nigdy zeń nie szczył, nie nazywał Eksceleńcją, ani panem hrabią. Łeś przyjmował te wyróżnienia tak, jakby mu gibirowały<sup>24</sup> się od samego cesarza. I nawet nie były warte pokwitowania. Przez cały okres szkolenia rekrutów czekał Bachmatiuk na jakiś odzew ze strony

24. Gibirować, z niemieckiego: *gebühren*, należyć się.

Łesia, na drobny chociażby znak aprobaty, jeśli nie wdzięczności. Nie doczekał się. Łeś Nedochoდიuk spełniał wszystkie rozkazy nienagannie, lecz nic ponad to. Gdy marszbatalion zaczął ćwiczyć kaemem (całym z żelaza i stali, jedynie ręczki tylców były z drzewa), w zachowaniu Łesia nastąpiła zmiana. Widać było wyraźnie, że dotykając kulomiotu, przewycięża odrzę. Gdy przyszło do strzelania, Bachmatiuk zapytał Łesia, czy nie miałby ochoty przejść do kompanii MG na stałe. Łeś wyprostował się na *Habt Acht*:

— Panie sztabfeldfelb, melduję posłusznie, ja nie mogę.  
— Czemu nie możecie?

Zamiast odpowiedzi Łeś Nedochoდიuk pokazał lewą rękę. Bachmatiuk to rozumiał: z obciążonym kciukiem nie można strzelać z Schwarzlosego. Więc kazał mu leżeć przy strzelcu i celowniczym, zakładać parciane taśmy i zbierać łuski z wystrzelonych nabojęw. Sennie, opieszale, przepuszczał Łeś przez palce natarwane naboje. Czynił to z taką miną, jakby to były żołędzie, którymi się karmi świnie, a nie cesarska i królewska amunicja. A gdy Bachmatiuk uderzony tym zachowaniem rozkazał mu zdjąć lufę z trójnogu, Łeś wziął ją w ręce tak, jakby do rąk brał coś nieczystego.

Inni Huculi też nie ufali maszynie. Nie mieli do niej serca. Skąd Hucuł ma wiedzieć, czym żyje, czym oddycha karabin maszynowy? Mama go uczyła?

Leżeli krajanie na błoniach pod Andrásfalvą, leżeli przy cesarskich kaemach, jakby pilnowali jakiejś drogocennej chudoby, jakby ją tam paśli. Udawali troskę o jej zdrowie, choć najchętniej ją potopili. Łeś Nedochoდიuk nie udawał. Jawnie okazywał maszingerowi odrzę. A Bachmatiuk wszystko widział i cierpiał; ale o nic nie mógł Łesia zaczepić, skoro Łeś pracował bez zarzutu. Lecz kiedy Nedochoდიuk za drugim i trzecim razem okazał wstręt do tej pięknej broni, rzekłbyś — opluł ją oczami, Bachmatiuk nie wytrzymał. Z głębi tłumionej boleści zawołał głosem jakim do tej pory nigdy nie odzywał się do Łesia:

— Ostrożnie tam z maszingerem, panie hrabio! Maszinger nie dziwka!

Nie dziwka! Krwawa plama w oku Nedochoდიuka zapłonęła złowrogo. Do otwartej rozgrywki przyszło dopiero na ostrym strzelaniu z kaemu.

Był piękny, jesienny poranek, gdy trzecia kompania drugiego marszbatalionu (2 MB/III) przechodziła z śpiewem przez miasto. Kasztany na rynku stały w glorii żółtych liści wyiskrzonych kroplami. Całonocny deszcz oczyścił z kurzu trotuary i bruki. Wielki madziarski mąż stanu Déak Ferencz tkwił na swym

pomniczku z wysuniętą stopą w kamiennym trzewiku, jakby nią przytupywał do taktu ukraińskiej pieśni. Krajanów zmęczonych śpiewaniem luzował trębacz kompanijny Hryć Podbereźnyj.

Nasi ludzie byli w dobrych humorach. Woleli ostre strzelanie od nudnej musztry pod barakami i od słuchania, jak rycyz krwawa sąsiadka browaru „Farkas i Gjörmeky” — rzeźnia miejska. Środkiem jezdni na czele oddziału maszerował z szablą w pochwie sztabsfeldfel Bachmatiuk. Panowie oficerowie szli trotuarem, aby nie zabrudzić sztylp.

Gdy przybyli na błonia, gdzie odbywały się ćwiczenia z ostrą amunicją, porucznik Lewicki, kierownik wyszkolenia bojowego, rozkazał zdjąć ciężary mułom i ludziom. Użyty krótkiego wytchnienia. Muły zaobrokowano, a ludzie rozwalili się na podmokłym wygonie, uklepanym od nieustannych ćwiczeń wszystkich formacji garnizonu. Niebawem ostry gwizd uciął gwar: ludzie zerwali się na nogi. Zesztywnieli. I nastąpiła jedna z tych wojskowych cisz, kiedy padają słowa decydujące o życiu i śmierci. Gdy z ust Bachmatiuka padł rozkaz: *Vergatterung!*, ludzie rzucili się do karabinów ustawionych w piramidy, do zdemontowanych kaemów, do przepisowo złożonego oporządzenia. Cieniućki nitki babiego lata oplatały wilgotne kolby. Na komendę: *Umbängen!* jęli w pośpiechu zarzucać na siebie ciężary i opinać się gurtami. Gdy byli gotowi, Bachmatiuk kazał wziąć na ramię broń i spocząć. Następnie wydzielił posterunki, aby strzegły krańców całego rejonu, zagrożonego obstrzałem, aby odganiały wszelką żywą istotę, Madziara czy krowę, jeśliby która nazbyt zbliżyła się do strefy ognia. Po odejściu posterunków zmontowano kulomioty i ustawiono w wykopach.

Zaczął się strzelanie. Zrazu tylko z broni ręcznej. Wkrótce i kulomioty umocowane na trójnogach w swych błotnistych gniazdach zatrzęsły się epileptycznie. Z ich wąziutkich pyszczków trysnęły ogniste języki i wnet miarowy klekot napełnił przestwór, rzekłbyś: bociany oddają się obłądnym orgiom. Tak pozorowano obronę kompanii przed atakiem czołowym nieprzyjaciela. Prawdziwym ogniem nasycano przedpole oczyszczone z wszelkich żywych istot osiągalnych oczami i szklami. Krety i myszy zwłaszcza pochowały się w schronach własnej roboty. Cesarz dawał kredyt wyobraźni żołnierzy, każąc im w pustkowiu domyślać się obecności nieprzyjaciela. Krótko trwał ten kredyt. Nagle oczom naszych ludzi ukazał się wróg, do którego strzelali. Bachmatiuk wypatrzył coś w pustkowiu przez lornetę polową i począł wymachiwać dwiema chorągiewkami: niebieską i żółtą. Posyłał tajemnicze sygnały niewidzialnym mocom, i oto, w odległości nie większej niż tysiąc pięćset metrów, jęły wyskakiwać z terenu jakieś zamazane szarobłękitne figurki. To był Moskal. Brany na

cel i trafiany, słał się i przepadał pod ziemią, po czym znów wyłaził na wierzch, raz tu, raz tam, coraz wyraźniej rysując się na tle jasnego nieba. Tak oto sztabsfeldfel Bachmatiuk miał tutaj władzę, nawet nad Moskalem. Uśmiercał go i wskrzeszał.

Słońce już dobrze grzało, rozrabiając błoto, kaemy miały się w deliriach ognia, gdy jeden z nich zaczął słabnąć, aż wszystek osłabł i zamilkł. Przybiegł Bachmatiuk, dotknął lufy jak matka dotyka czoła chorego dziecka i syknął. Począł aż lufa nieco ostygnie, po czym sprawdził chłodnicę. Naturalnie: skończyła się woda. Trzy litry — to nie tak wiele przy nieustannym strzelaniu. Trzeba na nowo napełnić chłodnicę. Ale czym? Woda była daleko, tam, gdzie siedział „Moskal”. Tam po ćwiczeniach miało poić muły. Lecz któżby chodził do nieprzyjaciela po wodę do kulomiotów, które go ostrzeliwują? Samemu trzeba sobie radzić. Ludzie mieli wodę w manierkach, ale Bachmatiuk nie chciał pozbawiać ich wody do picia w tak gorącym i pracowitym dniu. Ponadto pragnął z nimi przeciwżyć owe „ostateczne ewentualności”, przewidziane w Regulaminach tudzież w Instrukcji strzeleckiej.

— Nedocho diuk! — zawołał. — Bierzcie lufę i lejcie! — Łeś Nedocho diuk nie rozumiał. Stał w postawie zasadniczej i nie ruszał się.

— Nedocho diuk! Słyszycie, co ja do was mówię?

— Tak jest, panie sztabsfeldfel!

— No to czemu nie lejcie?

Nedocho diuk wciąż nie rozumiał, więc niektórzy kamraci starali się pomóc mu odpowiednią gestykulacją. Na próżno.

— Nedocho diuk! — zawołał Bachmatiuk. — Czemu stoicie jak ta oferma?

— Panie sztabsfeldfel, ja, ja...

— Ja, ja! Co za ja? Jakie ja? W wojsku nie ma żadnego ja!

— Panie sztabsfeldfel, melduję posłusznie, ja nie mogę.

— Kto melduje? Pan hrabia Potocki? Jaśnie oświecony książę Schwarzenberg?

Krwawa plama zalała nie tylko lewe oko Nedocho diuka, już zaczęła się przenosić na oba policzki. Nedocho diuk meldował:

— Panie sztabsfeldfel, landszturminfanteryst Łeś Nedocho diuk...

Bachmatiuk nie dał mu dokończyć.

— Pan hrabia nie może? Dlaczego nie może? Trypra czepli?

Przez kilka chwil patrzyli na siebie wilkiem. Naraz Bachmatiuk odwrócił się od Łesia i krzyknął:

— Jego Edwystencja landszturminfanteryst Niewiadomski!

— Hyr!

— Odepnijcie-no panu hrabiemu pantaloney!

Piotr Niewiadomski podszedł do Łesia, ale stanąwszy przed nim zawahał się. Nawet spojrzeć nań nie miał odwagi. Bachmatiuk zaskrzeczał mu nad samym uchem: — To jest rozkaz!

Padł rozkaz. Jego Egzystencja Piotr Niewiadomski wyciągnął ręce przed siebie jak ślepiec, albo lunatyk, postuszny woli księżycy. Drżącymi rękami zaczął dobierać się do Łesiowych guzików.

I stała się rzecz niestychana: ręce Łesia leżące nieruchomo na szwach spodni w postawie *Habt Acht!* uniosły się i odepchnęły Piotra. A odepchnęły z taką mocą, iż Piotr zatoczył się i byłby wpadł na sztabfeldfebla, gdyby ten nie odtrącił go stygnącą lufą karabinu maszynowego. Nie tracąc spokoju, Bachmatiuk podał Piotrowi lufę do potrzymania, a sam powoli zbliżył się do Łesia, jak drapieżne zwierzę. Wiedział, że na niego Łeś nie ośmieli się podnieść ręki. I najspokojniej poodpinał mu guziki. Potem wyrwał lufę z rąk Piotra i głosem rozdrzanym od ziemskich treści skandował:

— W imieniu przena najwyższej Służby<sup>25</sup> ja tobie rozkazuję — lej!

Łeś Nedocho diuk drgnął. Prawą ręką sięgnął spodni, lecz natychmiast ją cofnął. Bachmatiuk zbladł. Wali się świat czy nie wali? Bachmatiuk wiedział, że musi natychmiast powziąć decyzję, jeśli świat nie ma się zaważyć. Ale jaką decyzję? Jeżeli zachowanie Łesia było pogwałceniem, czy jak jest napisane w Regulaminach „skaleczeniem Subordynacji” (*Subordinationsverletzung*), należy go z miejsca aresztować i odstawić do Sądu dywizyjnego. O pogwałceniu Subordynacji można by jednak mówić dopiero wtedy, gdyby nie było żadnej wątpliwości, iż landszturminfanteryst Łeś Nedocho diuk mógł oddać mocz do lufy Schwarzlosego, mógł, tylko nie chciał. Trudno wyrokować, gdy nie ma się dowodów w rękę ani lekarza pod ręką. A tu trzeba i Bóstwo przebłagać i własny autorytet ocalić, bacząc by nie ośmieszyć się ingerencją w prawa natury, niekiedy równie bezwzględne, jak c. i k. wojskowa Subordynacja.

Bachmatiuk wybrał rozwiązanie korzystne i dla Bóstwa i dla siebie. Skoro nie wiadomo, czy zaszedł tu czy nie zaszedł wypadek pogwałcenia Subordynacji, lepiej jest przyjąć, że nie zaszedł. Więc Bachmatiuk nie aresztował Łesia, ani mu nawet nie kazał stawać do raportu na lewym skrzydle. A jednak coś zrobić z nim musiał. Więc w ciszy nabrzmiałej grozą Spraw Ostatecznych, w ciszy, której nie zdołał zagłuszyć trzask obu „zdrowych” karabinów maszynowych, podszedł do Łesia tak blisko,

25. Istniała w c. i k. armii komenda: *Im Namen des Allerhöchsten Dienstes!*

iż błyszczącym daszkiem czapki stuknął go w szyję. Jakby tę szyję przecinał nożem gilotyny. O tyle wszakże był niższy od Łesia, iż musiał wysoko podnieść oczy, aby mogły się spotkać z jego oczami. I dosięgnął krwawej źrenicy Hucuła i dojrzał w niej gotowość mordu. Długo patrzyli na siebie w śmiertelnym zapamiętaniu. Bachmatiuk pierwszy oderwał wzrok od czerwonej plamy, jakby z niej wyciągał bagnet, broczący krwią. Zamknął oczy, ale i w zamkniętych miał morze krwi. Nie otwierając oczu, zimnym, od alkoholu i tytoniu skwaśniałym oddechem wionął w szyję Łesia:

— Ja z ciebie, synu, duszę wypuszczę!

Potem odskoczył od Łesia jak kat od powieszzonego. Przeżliwie zagwizdał. Oficerowie i podoficerowie poszli za jego przykładem i cała kompania przerwała ćwiczenia.



W trzeciej kompanii nie było świni, która by polecała do szarż z donosem na Łesia. Ledwo bowiem porucznik Lewicki zarządził półgodzinną przerwę, Łeś Nedocho diuk udał się wraz z innymi tam, gdzie na pustym błoniu była jedyna oaza krzewów: dzikich róż i ostrężyn. Tam pofolgował pełnemu pęcherzowi. A chociaż Bachmatiuk zwiastował wypuszczenie z Łesia duszy tak cicho, iż mogli go usłyszeć tylko ci, co stali najbliżej, na przykład Piotr Niewiadomski, wszystkich ozionął lęk śmierci. Wszyscy też poczuli, że mają duszę, bo oto jest ktoś władny ją wypuścić choćby na jeden tylko dzień, na godzinę, na chwilę. I wszyscy poczuli, że zapowiedź Bachmatiuka nie jest pogroźką, po której nastąpią znane im już szykany i plagi; dobrze wiedzieli, że dzisiaj stanie się coś, czego do tej pory jeszcze nie doświadczyli. Dodatkowym zmysłem ludzi bezbronnych odgadli, że niebawem z ciała ich kamrata Łesia Nedocho diuka uleci dusza, wyfrunie ustami i nosem, dusza nieśmiertelna, o której zbawienie modlił się z książki o połączonych brzegach.

Piotr Niewiadomski wywahał obecność diabła. Mógłby przyjąć, że widzi jak didko paruje z lufy karabinu maszynowego systemu Schwarzlose i dobiera się do duszy Hucuła, co nie chciał przed ludźmi obnażyć swej sromoty.

Nikt z świadków zajścia nie miał odwagi zbliżyć się do Łesia tym bardziej przemówić. Łeś był już tabu. Dokoła jego ciała zostało obrysowane niewidzialną kredą niewidzialne koło. Tej granicy życia i śmierci nikt żyjący nie śmiał przekroczyć. A Łeś Nedocho diuk szedł pośród milknących na jego widok kamratów jak król, na którego Kościół rzucił właśnie klątwę. Wierni winni odsunąć się nawet od króla, na którym ciąży

anatema. Toteż wyznawcy c. i. k. Subordynacji omijali Łesia, dając go jednocześnie podziwem, albowiem ośmielił się wyzwać Bóstwo i duszę naraził w tej nierównej walce. Śmiałkowie półgębkiem komentowali zajście, lękając się mówić o nim głośno. Starali się odgadnąć, jakie to sankcje zastosuje teraz Bachmatiuk, przy pomocy jakich kar wypuści z Łesia duszę. A on tak samo jak Łeś stał na uboczu i palił papierosa. Zapewne obmyślał te sankcje.

Nic osobliwego nie wymyślił. Sankcje, jakimi rozporządzał były raczej skromne. Bachmatiuk nie miał prawa stosowania kar dyscyplinarnych. Jedynie dowódca kompanii mógł skazywać na kasarniaka lub na areszt pojedynczy, a zakuwanie w szpangi (lewa ręka do prawej nogi, prawa ręka do lewej nogi), oraz „słupek” czyli *Anbinden* były wyłącznym przywilejem komendanta kadry. Wszelako nawet w granicach swych niedużych uprawnień posiadał Bachmatiuk dosyć sposobów na to, aby z Łesia wypuścić duszę.

I wypuścił.

Nikt dokładnie nie umiał powiedzieć, jak to się stało.

Większość krajanów przypuszczała, że kapral Reszytyło, któremu Bachmatiuk kazał robić z Łesiem karne ćwiczenia, zamęczył go do nieprzytomności ustawicznymi przysiadami, „żabkami”, laufsritami, padaniem i wstawianiem w pełnym ekwipunku marszowym i z Mannlicherem w rękę. Łeś „oberwał się” mówili, chociaż taki silny chłop. A może nagła krew go zalała. Niektórzy widzieli, jak drugiego dnia karnych ćwiczeń upadł, upuścił gwer i na wielokrotną komendę *Auf!* nie podniósł się. — Symuluje — powiedział Bachmatiuk, gdy kapral Reszytyło mu o tym zameldował. Ale porucznik Lewicki zaniepokoił się. Wyciągnął szablę z pochwy, przyłożył klingę do zaciśniętych ust zemdlonego, a przekonawszy się, że oddycha, kazał z kadry sprowadzić sanitetów z noszami i nieprzytomnego „symulanta” odtransportować na izbę chorych.

Atoli niejedynemu Hucuł, a wśród nich landszturminfanteryst Piotr Niewiadomski, był przekonany, że sztabfeldfelbel Bachmatiuk miał tu współników nie z tego świata. Po prostu — czarty-aridnyki przyszły po duszę Łesia, o którym nie tylko w Dzembronii nad rzeką Dzembronią wiedziano, że grzeszył a grzeszył cudzołożeniem. A teraz te same czarty, co tam, w dalekiej ziemi huculskiej, podszczuwały Łesia do tego grzechu, i Łeś cudzołożył nie tylko z żonami obcych ludzi, ale i z ślubną rodzono brata Ostapa, z tą urodziwą Ormianką z Kut, Kajetaną, naraz przeistoczyły się w strażników i mścicieli podeptanego szóstego przykazania. Skorzystały przekłete aridnyki z tego, że była wojna, że ich pryncypał Archijuda (nawet na samo wspomnienie

o nim należy splunąć), wykradł Panu Bogu całe piąte przykazanie i sprzedał cesarzom. Bo tylko dzięki temu mógł sztabfeldfelbel Bachmatiuk wypuścić z Łesia duszę. I przyszły po nią diabły, aby ją zabrać do piekła.

Już trzeci dzień leżał Łeś Nedochoidiuk na marodcymrze, za chińskim parawanem i walczył z śmiercią. Marodcymra miała tylko jedno pomieszczenie na dziesięć łóżek. Nie wszystkie były zajęte. Gdy okazało się, że stan Łesia jest beznadziejny i nawet nie pomogły pijawki, które frajter sanitarny Glück, kadrowy cyrulik kupił w aptece na mieście, regimentsarzt Dr Badian polecił sprowadzić z swojej kwatery w Andrásfalvie ów chiński parawan. Chciał oszczędzić innym, przeważnie lekko chorym pacjentom widoku umierającego. Co prawda działo się to w wojsku i w czasie wojny, i może już tutaj należało oswoić żołnierzy z śmiercią. Ale Dr Max Badian, lekarz pułkowy w rezerwie, wolał moribunda odgrodzić parawanem, skoro nie można go było izolować inaczej. Żeby zaś pocieszne figurki Chińczyków z długimi, obwisłymi wąsami i z warkoczami na ogolonych łbach, wymalowane na parawanie, w tak patetycznych okolicznościach nie śmieszyły chorych i zdrowych kamratów Łesia, co przychodzili dowiadywać się o jego zdrowie, kazał Dr Badian zakryć parawan prześcieradłem.

Był jeszcze inny, znacznie ważniejszy, powód dla którego Dr Badian zasłonił umieranie Łesia tym parawanem. Łeś Nedochoidiuk czuł, że umiera. Śmierci się nie bał, ale bał się piekła. Zażądał gromnicy i świaszczenyka, czyli księdza. Gromnicy w kadrze nie było. Nie było również ani grecko- ani rzymsko-katolickiego kapłana. Kapelani pułkowi obu tych obrządków przebywali w polu, to znaczy: przy sztabie dywizji. Służnie bowiem rozumowano, na Stubenringu w Wiedniu, w departamencie duszpasterstwa wyznań chrześcijańskich c. i. k. Ministerstwa Wojny, że opieka (*Seelsorge*) nad duszami żołnierzy potrzebna jest przede wszystkim tam, gdzie żołnierzom stale grozi śmierć, a więc na frontach, a nie w bezpiecznych kadrach. Zwłaszcza, gdy te kadry ewakuowano z macierzystych garnizonów, w których obecnie znajduje się Moskał. Toteż nasi ludzie, na razie przynajmniej (bo Stubenring obiecał przysłać później grecko-katolickiego księdza), byli pozbawieni własnych duszpasterzy, tudzież obroku dla duszy. Niezupełnie byli pozbawieni. Każdej niedzieli i w każde kościelne święto maszerowali katolicy do kościoła garnizonowego w Andrásfalvie, gdzie proboszcz tego kościoła i jednocześnie feldkurat<sup>26</sup> pułku honwedów celebrował Mszę świętą po łacinie, a tylko kazania wygłaszał po węgiersku. Regimentsarzt Dr Badian,

26. Feldkurat — oficjalna nazwa kapelana wojskowego w czasie wojny.

jak tylu lekarzy w owych czasach, był ateistą. Jeśli w ogóle w coś wierzył, to tylko w prawa przyrody. Rozwój nauk ścisłych miał gwarantować ludzkości świetlaną przyszłość. Tę wiarę podkopała trochę wojna, którą Dr Badian uważał za bezsensowny anarchizm. Widział w niej tylko ostatnie drgawki dogorywającego świata irracjonalnych, a więc fałszywych idei. Jednakże, jako prawdziwy liberał, szanował wszystkie religie. Rozumiał, że nawet w wojsku nie powinno się chrześcijańskich śmiertelników pozbawiać sakramentów *in articulo mortis*.

Udał się więc do komendanta kadry z projektem sprowadzenia do umierającego żołnierza — kapelana honwedów. Był to pierwszy wypadek śmiertelny w tej kadrze, i podpułkownik Leithuber odniósł się przychylnie do inicjatywy doktora. Sam jednak nie miał ochoty wzywać kapelana nielubianych honwedów. Więc podjął się tego Dr Badian. Bryczką komendanta pojechał do miasta i zastał księdza nie w koszarach lecz na plebanii kościoła garnizonowego. Ksiądz Dr Szakaly Géza, feldkurat w randze kapitana, od razu zgodził się na propozycję doktora Badiana. Ledwo jednak (po niemiecku) wyraził zgodę na dysponowanie. Łesia na śmierć — uderzył głową o mur. O mur wieży Babel. Miała ona ludzi przybliżyć do nieba, a więc do Boga, lecz skutek tego przedsięwzięcia był odwrotny i fatalny. Wieża Babel oddaliła ludzi nie tylko od Boga lecz od nich samych. Przestali się rozumieć. I ksiądz Dr Szakaly Géza zawahał się. Mówił tylko po węgiersku i po niemiecku. A jak tu spowiadać człowieka, który nie zna tych języków? Łeś Niedochodiuk mówił tylko po swojemu, po huculsku, no i trochę po polsku. Dr Badian, chcąc księdzu ułatwić wyjście z tak kłopotliwej sytuacji, zaproponował spowiedź z pomocą tłumacza. Ksiądz Dr Szakaly, zaskoczony raczej niż zgorszony tą niebywałą propozycją, widząc dobrą wolę lekarza, nieświadomego rytuałów, pociął go, że spowiedź przez tłumacza jest niemożliwa. Byłaby naruszeniem sakramentalnej tajemnicy. Po dłuższej walce z własnym sumieniem, uznał jednak, że miłosierdzie więcej jest warte od znajomości obcych języków. A zresztą Bóg, w którego imieniu, miał on, skromny kapłan, przyjąć spowiedź umierającego Hucuła w nieznanym sobie mowie, z pewnością zna wszystkie języki. Ukraiński również. Przecież Omnipotens et Misericors tylko ludzką pychę ukarał pomieszczeniem języków, a nie Siebie samego. Przeto spowiedź, o którą prosił biedny grzesznik w kadrze x-tego pułku infanterii im. Króla N., będzie ważna mimo trudności językowych. Postanowił więc ksiądz Dr Szakaly Géza pojechać do niego. Dr Badian chciał zabrać księdza z sobą, lecz ten odmówił. Musi wprawdzie przygotować się do takich ważnych funkcji, jak spowiadanie umierającego, Komunia święta

i ostatnie namaszczenie. Obiecał niebawem przyjechać. Prosił tylko o stolik przy łóżku chorego, nakryty białą serwetą, o dwie świece i kilka kulek z waty. Krucyfiks sam przywiezie.

Przyjazd księdza Szakaly'ego wywołał w kadrze sensację. Niepowszedni był widok starego księdza w białej komży, narzuconej na długi, czarny, ni to surdut ni to mundur. Na obu rękawach złociły się trzy paski. Fioletowa stuła nie zakrywała sztywnego oficerskiego kołnierza. Głowa, na której poza służbą nosił oficerskie képi, teraz była obnażona. Księdzu towarzyszył wąsaty honwed, również w komży, z zapaloną latarnią. Ale bez dzwonka.

Godzina była przedwieczorna, w kadrze skończyły się zajęcia służbowe i ludzie, chociaż głodni, nie spieszyli się z szalkami po menaż. Ciekawość była mocniejsza od głodu. Prawie wszyscy na placu przed komendą przeze gnali się i ukłękli, a ci, co nie ukłękli, zdjęli czapki i stanęli na „baczość”.

Mimo iż w Regulaminach istniała komenda: *Kniet nieder zum Gebet!* (Kłękajcie do modlitwy), sztabfeldfelbel Bachmattiuk uważał, że kłękanie w wojsku ma tylko wtedy sens, gdy oddział piechoty strzela w dwuszeregu. Pierwszy szereg kłęka, a drugi, z tyłu, strzela w pozycji stojącej. Toteż zdjął wprawdzie czapkę, ale cofnął się w głąb bramy i poszedł do siebie na górę.

Księdza, co niósł białą kwadratową bursę z wiatykiem, wprowadził na izbę chorych adiutant, porucznik baron Hammerling. Dr Badian dyskretnie wycofał się do swego gabinetu, przylegającego do marodcymry. Przedtem polecił frajtrovi sanitarnemu Glückowi przygotować kilka kulek waty. Ksiądz Dr Szakaly usiadł na łóżku chorego za chińskim parawanem. Przeze gnął Łesia i słuchał jego spowiedzi, z której ani słowa nie rozumiał. A Łeś bezustannie bił się w pierś i spowiadał się tak głośno, iż ksiądz Szakaly dawał mu znaki, żeby mówił ciszej, bo słyszą go inni chorzy. Rzeczywiście słyszeli, jak Łeś wciąż wołał „Proszczajcie, proszczajcie!” (Odpuście) i słyszeli, jak w tej spowiedzi gęsto padały słowa: brat — zinka brata..., Łeś nie przestawał bić się w pierś. Bił się tak mocno, aż spowiednik dziwił się, skąd w umierającym jest jeszcze tyle siły. Widocznie sam Bóg miłosierny użyczył mu tej siły, aby dopomóc w oczyszczeniu duszy z grzechów. Musiały to być ciężkie grzechy, skoro Łeś Niedochodiuk tak długo je wyznawał. Księdzu wydawało się, że te grzechy nie chcą wyjść na wierzch z duszy Łesia, że stawiają opór. Łeś męczył się jak ciężko rodząca kobieta. Ksiądz Dr Szakaly, widząc z jakim mozolem umierający Hucuł „rodzi” swoje grzechy, chciał mu dopomóc. Zapomniał, że penitent nie rozumie po węgiersku i w tym języku szeptał mu coś do ucha. I tak przez kilka chwil trwał ten dialog, jeszcze jedna konse-

kwencja niefortunnej imprezy budowlanej, opisanej w Starym Testamencie.

Znużony niesamowitą spowiedzią, ksiądz Dr Szàkaly Géza uznał, że to dosyć, że penitent opróżnił już duszę z gniotących ją grzechów. Mimo to nie przerwał potoku niezrozumiałych słów, aż póki głos Łesia osłabł i przeszedł w nieartykułowany pomruk. Spowiednik, jakby zobaczył ulgę na złanej potem twarzy Łesia i dał mu znak, że to już wystarczy. Dowody jego skruchy były aż nadto widoczne. Wobec tego ksiądz Dr Szàkaly zapalił świecę na stoliku i jął duszę Łesia przygotowywać na Sąd Szcze-gółowy i Sąd Ostateczny. Najpierw odpuścił mu wszystkie grzechy w języku, którego ani Łeś nie rozumiał, ani jego krajanie, ani honwedzi księdza Szàkaly'ego. I nie rozumieli tego języka nawet niektórzy panowie oficerowie, zwłaszcza ci zawodowi, wychowani w szkołach kadeckich. Rozumiałby tylko Dr Badian, gdyby był obecny:

„Misereatur tui omnipotens Deus, et, dimissis peccatis tuis, perducatur te ad vitam aeternam. Amen”.

Następnie ksiądz Dr Szàkaly podał Łesiu Komunię i kul-kami waty, umaczanymi w świętym oleju namaścił mu powieki, nozdrza, usta, dłonie, łędwie oraz wierzch stóp.

Teraz landszturminfanteryst Łeś Nedochoodziuk mógł już spo-kojnie umierać.

Czy za cesarza, czy tylko za siebie samego, o tym na razie historia milczy.

Józef WITTLIN

Exemplarze  
piątego, polskiego wydania

## SOLI ZIEMI

JÓZEFA WITTLINA

są jeszcze do nabycia u wydawcy:

ROY PUBLISHERS, Inc.

30 East, 74-th Street, New York, N.Y. 10021

w cenie dol. 3,75 za egzemplarz oprawny  
oraz koszty opakowania i przesyłki dol. 0,75.

## W mieście wesele

Stacja jest rozległa, dużo peronów, bocznic, zajezdnie i skła-dy, a pod tym wszystkim podziemny korytarz do miasta. Ciemnawy a długi, idzie się bez końca do dalekiego światła. Pociągi huczą nad głową, wszystko się trzęsie jakby miało runąć. Lecą tędy krajowe i międzynarodowe: starożytne zgrzytliwe ciuchcie Polski B kuśtykają na północ i południe. Wielkie, no-woczesne smoki grzmią na zachód — do Stolicy i dalej, i na Wschód — do Moskwy. Przebiegają Europę od Północnego Mo-rza aż po Białokamienną, za którą już na dobre rozpoczyna się *terra ubi leones*, nieoglądana przez cudzoziemca: badacza czy dobrowolnego turystę. Część wagonów przeznaczona jest dla przybyszów z Zachodu, część dla tubylców. I jeszcze kilka, znaczonego sierpem i młotem, przez które musi się przejść do restauracji. Wchodzić tu nieprzyjemnie, jak do lochu czy kata-kumby, aż zdaje się, że lada chwila rozewrze się jakaś pułapka. Panuje tu martwa cisza, tylko u wejścia na korytarz szumi w kącie wielki samowar, przy którym siedzi człowiek-cień bez twarzy. Dalej mrok: przedziały zamknięte na głucho i szczelnie zasłonięte, istna stołypinka. Jeśli natrafisz na uchylone drzwi czy szparę w firanie, ujrzysz wewnątrz o każdej porze doby rozesłaną pościel, a na niej kwadratowych panów bez szyi. Ubra-ni są komfortowo, w pasiaste piżamy, tak właśnie jak niebosz-czyk Nikita na jałtańskiej promenadzie, tyle że bez słomkowej panamy. Tak przed niepowołanym okiem ukryci przemierzają Europę, a dla skrócenia czasu popijają *czaj*, *sacharem* zakąsają — obojętni na świat zewnętrzny niby Budda w medytacji. I do-piero na tej stacji o wielu peronach rozejdą się nasze drogi. Oni pojedą dalej na wschód, a ja wysypię się z całą masą tubyl-ców, jak te szczury z tonącego okrętu. Nasza ostatnia szansa,



bo jak ten pociąg teraz się rozpędzi, to nie stanie aż Po Tamtej Stronie. Stąd więc oni pojedą już sami, będą wreszcie mogli rozsunąć te firany i wyjść do WC, skoro przez całą Europę byli tak przedziwnie wytrzymali. Teraz przecież nie trzeba się obawiać spotkania zagranicznych gapiów, co na widok tych piżam stawiają oczy w słup: widać że się nie znają na komfortowej przyrodziewie. A że stąd do granicy niedaleko, to ojczysty wiatr aż tu zawiewa i wtedy, już na zapas, wstępuje w nich wylewny Proletariacki Internacjonalizm. Może to się dzieje za sprawą *łozungów*, w które tak hojnie wykwipowano naszą stację? Alfabety na nich śmieszny, nie przeczytasz, ale z samego wyglądu miarkujesz o co chodzi i wiesz, że do domu blisko. Na przykład: że Kolejarze Węzła Takiego-a-Takiego na Cześć Święta/Zjazdu/Obchodu/Rocznicy (niepotrzebne skreślić) Ślubują, albo po prostu — że Leninowska Prawda Żyje Wiecznie. Więc też zaraz — bywa — chcesz się bratać z Masami, a że dzieje się to nad moją głową, to — rzecz można — cała przyjemność po mojej stronie. Zwłaszcza że znalazłam się tu przypadkiem i właśnie taszcze walizkę do tego korytarza, a tu raptem otwiera się okno tuż nad sierpem i młotem, i wywiesza się z niego tęgi pan w piżamie. Donośnie na całą stację wzywa *nosilszczika* i bagażowi zaczynają się sypać ze wszystkich stron, a jemu cały czas mało i żąda żeby przyszli wszyscy. W parę minut wagon jest obleżony przez funkcjonariuszy w służbowych czapkach i nic dziwnego — widać że zapowiada się lepsza robota. Bo to stacja wprawdzie ważna i dużo ludzi wysiada, ale niewiele na nich zarobisz, jak to we wrednym mieście niedaleko granicy: baby z koszami, robotnicy, sztubactwo i trochę urzędników na delegacji, którym wystarczy jedna teczka, a w niej termos i kanapki. A to przecież pociąg zagraniczny i klient widać ważny, skoro zatrudni tylu ludzi. Tłoczą się więc, stają na palcach i wyciągają szyje, tak im pilno do tej roboty. Droga zablokowana, poczekam aż ruszą, a zresztą też jestem ciekawa co zamierza ten brat-Słowianin. On zaś ogarnia nas wzrokiem jakby liczył i wreszcie uznaje, że dosyć. Podnosi rękę prosząc o ciszę, tłum zamilkł i oczu zeń nie spuszcza. A on stoi w tym oknie jakby na jakiej trybunie, jedną rękę zatknął za gors piżamy, druga wzniesiona — znam tę pozę, a jakże! Odczekawszy dla efektu, zaczyna donośnie przemawiać: że sam jest w Moskwie bagażowym na pięknym, wielkim *wokzale*, że kocha swój fach i korzysta ze sposobności, by w imieniu moskiewskich towarzyszy przekazać polskim kolegom socjalistyczne pozdrowienie. Jeśli jeszcze zamierza ich wyzwać na *socjalistyczeksoje sorewnowanie*, to nic z tego, bo tłumek patrzy po sobie w osłupieniu, ten sarka, ów spluwa i z nieprzyjaznym pomrukiem zaczyna się rozpraszać — było też

po co lecieć! Koło mnie po piastowsku rasowy rodak burczy pod pięknym wąsem: — Czarusiś psiakrew, głodnych kawałków się cholersze zachciewa! — Z czego widać, że nasi ludzie nie dorosli jeszcze do Socjalizmu i komu tu mówić o przechodzeniu w Komunistyczną Fazę Rozwoju?

Rozchodzimy się z niesmakiem, pochłaniają mnie ciemności tunelu, nad którym zagrzmiał właśnie międzynarodowy w drodze do Moskwy. Tunel ładnie wyłożony kafelkami, na których ktoś napisał co parę kroków „Franek mała”, więc zanadto mi się ta droga nie dłuży. Wreszcie po schodach wychodzę w słońce i stojąca na górze ciotka Mania już ma mi się rzucić na szyję, ale nie zdążyła. Cofam się odruchowo, bo i jak — przy tak niemiłej niespodziance, gdy myślami przebywa się całkiem gdzie indziej. Na placu, tuż przy wyjściu, stoi zielona ciężarówka, przy której kręcą się *bojcy* i jakiś starszy, jakby enkawudzista w granatowych bryczesach i czapce z czerwonym otokiem. Krwawe gwiazdy na furażerkach, rubachy ściągnięte pasami, przy *sapogach* cholewy przysiadły w harmoszkę — wszystkim się zgadza, znam przecież takie widoki, a ci pewno czekają, żeby kogoś capnąć. Ale ciotka już podbiega, pyta co się stało, więc wskazuje wzrokiem na mołojców, a ona w śmiech: że nie ma się czego bać, oni tu nieraz przyjeżdżają po prowiant, przecież obozują w okolicy. Dlaczego? No bo pilnują międzynarodowej linii telefonicznej do Moskwy — nie mogą nam powierzyć opieki, to chyba jasne. Nie, są całkiem spokojni, nie rugają się ani nie rozbijają, choć nieraz nasi pijackowie posyłają im różne uwagi, jak to brać pijacka, która w całym kraju lubi gromadzić się na stacjach, przy których zawsze się znajdują nieodzowne budki z piwem, działa bufet i coś się dzieje, na co można się pogapić.

Teraz wreszcie możemy przywitać się bez przeszkód i zmienić temat. Co u was słyhać, jak w domu? Z listów niewiele przychodzi, bo cenzura nie nadaża i ponoć niszczy, co jej się wyda za wiele, albo jeśli sprawdzą, że adresat pod danym adresem nie mieszka. Mówią w Warszawie, że na cenzurze jest kartoteka całej emigracji i lubią sprawdzać adresy. Pewno dlatego w zeszłym roku moi nie dostali ani jednej kartki, choć tyle ich wysłałam z różnych stron Polski, adresując dla fantazji na naszego kocura: JWP Rudzik Iksiński. Ki czort Rudzik, którego całują w łapki i wąsiki, błagając by się nie pokazywał na szosie? Podejrzana historia, jakiś szyfr, więc do kosza! Czy ciocia też adresowała na kota, że przez ostatnie trzy miesiące nic nie otrzymałam? Nie? Ona też dawno nic od nas nie miała, dopiero przed trzema dniami telegram że przyjeżdżam. To przeczudnie: koleją odbędziesz tę drogę w dobę, samolotem w dwie godziny, a oddziela nas mur szczelniejszy od berlińskiego. No nic, teraz

możemy się nagadać. Cóż za zbieg okoliczności, że właśnie teraz przyjechałam! Są różne nowiny, a przede wszystkim wesele, na którym mamy być w sobotę. Jakie wesele?! A jakże, pisała, ale list oczywiście nie doszedł, więc o niczym nie wiem i nie jestem przyszykowana. Otóż żeni się jej wujeczno-cioteczny bratanek, jakieś dalekie a osobliwe pokrewieństwo. Słyszałam o nim, ale na oczy nie oglądałam, choć wypada, że przez jej męża i dla mnie krewniak. Niedawno ukończony inżynier, jeszcze się w pracy nie ustalił, cały majątek nosi w jednej walizce i, rzecz jasna, nie ma mieszkania, ale kto mu wyperswaduje żeby trochę poczekał? Żeni się więc z tą Wandzią, którą tu sobie namotał, jak kiedyś u ciotki spędzał wakacje. Dziewczyna liźnęła trochę studiów, ale je rzuciła i teraz jest urzędniczką w tutejszej radzie narodowej. Malutka, milutka — zresztą sama zobaczysz. Ta więc Wandzia ma rozległą a dość osobliwą rodzinę, szeroko po całym województwie rozrodzoną. Siostry zamężne, braci i szwagrów na różnych posadach, ale zawsze tak czy owak związanych z handlem uspołecznionym, szwagierki, ciotki i chrzestne gdzie nie posiał, a przy tym wujeczni i cioteczni z własnymi rodzinami i koneksjami. Jedni siedzą po różnych biurach, inni są magazynierami, stoją za ladą, robią w gastronomicznych interesach, lub też rozjeżdżają ciężarówkami aż po Warmię, Mazury, Lublin i Przemysł, i zahaczają o wszystkie miasta po drodze, rozwożąc przeróżne towary. Bardzo to zżyty klan: trzymają się kupą jak Kiemlicze — jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. A teraz, jak wydają za mąż najmłodszą siostrę, postanowili się pokazać i urządzić weselisko żeby w mieście było o nim głośno, choć dziewczyna mieszka przy babce i tyle ma majątku, co na grzbiecie. Zbyszek, ten narzeczony, próbował sugerować żeby jej raczej dał w gotówce tę forszę, co by kosztowało wesele, ale oni się okropnie zgorszyli: że niehonorowo i co by ludzie powiedzieli, że tak cichutko-ukradkiem wydają siostrę za mąż. Że jest w ciąży, albo co. Widzisz ile za jednym zamachem zyskasz nowych krewniaków! Zresztą co tu opowiadać, sama zobaczę, a okazja nielada — prawdziwy, żywy sarmatyzm, o jakim pojęcia nie mam siedząc za granicą. Bogu dzięki, że tak z przyjazdem wycelowałam, jakby umyślnie.

Dworzec jest daleko od śródmieścia, złośliwym carskim obyczajem wybudowany na dawnym pustkowiu. Leci odeń przez miasto szeroka aleja obsadzona pięknym starodrzewiem. Dwieście lat temu księżna pani zjeżdżała tędy do swego pałacu i ustawiano tu bramy tryumfalne na powitanie króla Stasia, który lubił nawiedzać ten powiatowy Wersal. Pałac stoi jak stał, sam król miał coś do powiedzenia przy ustalaniu jego klasycznych proporcji. Pobielane ściany z daleka błyszczą wśród drzew, tylko

Wersalu tu nie uświadczysz ani na owinięcie palca. Żle wietrzne sale wonieją kurzem, atramentem i stosami szpargałów, ściany zdobią jaskrawe plakaty agitpropu. W okienkach siedzą urzędnicy, z tłustych papierów wbijają wielkie kanapki, popijają kawę-herbaty, plotkują i załatwiają towarzyskie telefony. Jak się zniecierpliwia czekającym w okienku interesantem, to nań kiwną i krzykną „czego tam?”, podsuną druczki do wypełnienia, oglądają kolekcję wszelkich możliwych dokumentów i zażądają złotówek: i za druczek, i za podpis, i za pieczęć, i jeszcze na jakiś zbożny cel. Jutro, wyspana i pokrzepiona, stawię im czoła, i może w którym okienku zobaczę kuzynkę Wandzię. Na razie wolę o tym zapomnieć, jak o przykrej wizycie u dentysty. Zwłaszcza że patrzeć jest na co, bo ta aleja taka malownicza, że jej nawet nie zaszkodzi nazwisko Dzierżyńskiego czy innego Świerczewskiego, które ją dziś zdobi. Przeżyła czasy dawnej wspałości i ten bruk też chyba wspomina koła królewskich karet. Piękne pojazdy straszliwie musiały trząść i skakać po tych kocich łbach, bez żadnych względów dla monarszej osoby, skoro nawet taksówka na gumie zarzuca że aż nam zęby dzwonią i ciemię można sobie rozplaszczyc o sufit. Tak to się w Polsce ceni i konserwuje zabytki, niczym jerozolimską Via Dolorosa, na której nie wolno ruszyć starych kamieni, bo kto wie, czyje stopy mogły ich były dotykać. A zresztą czym by było miasto bez tej alei, u której początku wznoszą się żółte jak jajecznicza mury z rzędami zakratowanych okienek Państwowego Zakładu Penitencjarno-Wychowawczego, a koniec zamyka kolumnowy portyk pałacu? I bez ciągnącego się za nim zapuszczonego parku, niegdyś jednego z najpiękniejszych w Rzeczypospolitej ogrodów sentymentalnych, a teraz dzikiego raję dla wagarującego szubactwa. I bez tych innych dowodów księżęcej działalności: barokowo-klasycznego kościoła i klasyczo-rokokowego ratusza na rynku, na którego wieży mitologiczny olbrzym dźwiga całe niebo i śledzi z góry jak płynący czas coraz dalej od niego odsuwa łąki i bagna, a płaski krajobraz harata prowincjonalnymi miniwieżowcami, z których już teraz odpadają tandetne tynki. Ten rynek, to pogładowa lekcja historii takich miasteczek, w których zabytkowe budowle owiane tchnieniem Europy zgodnie współżyły z takim tałatajstwem, w duchu Wielonarodowej Rzeczypospolitej. Jego dalszy bok zamykają niskie domki-budy o podłogach niżej poziomu ulicy. U drzwi brzęczy dzwonek, muchy zapstrzyły okna i ściany, dalej krzywa lada, a na niej mętne słoje landrynek, kilka zasuszonych *peklingów* i spłowiałych pierników. Za brudną szybką lepszy towar: pocztówki z prywatnej inicjatywy, na których gołąbki caują się jak oszalałe i ręka w

czarnym mankiecie ściska rączkę w koronkowej falbance, wstążki i świecidełka, a nawet nici i guziki w kilku kolorach, co już pachnie luksusem. Na ścianach wianki zakurzonych grzybów, a w głębi beczka kapusty wonieje pod niebiosa — szwarc, mydło i powidło, choć urzędujący za ladą kupiec, ludowy rekin-prywaciarz, nie ma pejsów, a jego żona peruki na bakier, na ladzie trzymają górę żółtej słoniny z cuchem jak należy, na głównej ścianie wywiesili Serce Jezusowe, a ich szerokie słowiańskie twarze wyglądają tu jak nieporozumienie. Zagadnąc, a chętnie opowiedzą, że przed wojną siedzieli tu Żydy i że teraz handel nieźle idzie. Ludzie zewsząd lecą do prywaciarza, który dostarczy rzeczy wzgardzonych przez handel uspołeczniony, da pewien margines wyboru i na dodatek grzecznie ich obsłuży. Ale na ulepszenie sklepu szkoda forsy, bo i tak gniołają ich domiarami, a na dodatek nie wiadomo, kiedy władza zechce zburzyć te budy, więc już niech będzie jak zostało po Żydach.

I tak, zanim dotrzemy do mieszkania ciotki z drugiej strony miasta, już wiem że nic tu się nie zmieniło. Oczywiście prócz atmosfery, bo nawet do tej sennej dziury docierają echa wielkich wydarzeń. Baba na rynku i pijak pod stacją wiedzą, że właśnie wyruszyliśmy na pomoc bratniej Czechosłowacji i, jak było do przewidzenia, wyszła z tego towarzyska sielanka. Radio, gazety i TV ciągle donoszą o wdzięczności czeskich przyjaciół dla naszych dzielnych wojsk maszerujących ramię w ramię z Armią Radziecką, ale tutaj ludzi ogarnia niepokój: a nuż wyjdzie z tego wielki smród? Rzucają się na sklepy, wykupują cukier, mąkę i zapałki, a mające się ku sobie pary przypieszają wesela zanim się zrobi ogólna mobilizacja. Choć Zbyszek żeni się wedle planu, to ślub będzie cichy a chybki i ten brak należytej ceremonii zrekompensuje dopiero wesele. Z nowożeńców porobiły się takie kolejki, wszystkie oczywiście na sobotnie popołudnia, że księża, fryzjerzy i zakłady fotograficzne ledwo nadążają. Tylko cała bieda że w tym zamieszaniu ja, mimowolny a honorowy gość z dalekiego świata, znajduję się całkiem nie na poziomie. Nie dość że nie przywiozłam zagranicznego prezentu, a jeszcze nie mam szat godowych. Ciotka Mania dyskwalifikuje bowiem zasoby mej walizki i nawet najlepszą sukienkę, tę małą granatową z naszytnikiem jak czereśnie, którą przywiozłam na wypady do teatru, uznaje za odpowiednią co najwyżej na pogrzeb. Jej by zaudało nie przeszkadzała, ale wypada przecież podciągnąć się pod tutejszy *savoir-vivre*, ten zaś wymaga by weselna sukienka była barwna i wesoła, stosownie do okazji. A te moje kwaciaste perkaliki, to już zupełne dno — kreton oznaczałby pogardę dla przyjęcia i towarzysztwa. Musi być jedwab prawdziwy lub fałszowany, atlas albo tafta — w każdym razie coś błyszczącego, a już naj-

lepiej koronki, riuszki, tiule i ażury. Jak żyję nie miałam takich murzyńskich szyków, to skąd je teraz wytrzasnę? Jestem skruszona i bezradna, aż ciotka idzie na kompromis: przybierzemy tę granatową bukietem sztucznych róż i braki zrekompensujemy wysoką fryzurą — mistrz Władzio zrobi mnie na wielki świat, jak go ciotka po znajomości poprosi.

Zakład pana Władzia jest zatłoczony, kilka młodych kobiet w barwnych chałatach rzuca się jak w ukropie, usta mają pełne szpilek, a kieszenie grzebieni. Pod zachrypniętymi suszarkami siedzi rząd tęgich pań, którym chuda manikiurzystka robi paznokcie na buraczkowo, a nad wszystkim góruje woń tandetnych pachnidła i zepsutego piwa przypominającego wymioty. Na obdrapanych ścianach upstrzone przez muchy wizerunki szampańskich fryzur wycięte z niemieckich czasopism, na stolikach przy lustrach stopy brudnych rolek i grzebieni obrośniętych gęstą szczytką włosów różnej maści. Czuję jak mi w gardle rośnie obrzydzenie i szepczę do ciotki żeby co prędzej uciekać. Ale już podbiega do nas pan Władzio i bezradnie rozkłada ręce: wszystko by zrobił dla pani profesorowej, lecz niestety — pół miasta się żeni i stałe klientki pozamawiały fryzury tydzień naprzód. Jak Boga kocham, w sobotę nie da rady choćby skoła! Już dziś, w piątek, ledwo może nadążyć, ale jakoś wciśnie mnie w kolejkę, najlepiej od razu teraz. Tak, oczywiście — zrobi mnie po weselnemu, jak szanowna pani sobie życzy, moja fryzurka nie przyniesie wstydu jego pracowni. Zostaję więc i spoglądam za odchodzącą ciotką z bezdenną rozpaczą, jak dziecko porzucone wśród okropności dentystycznego gabinetu. Ale już dziewczynina w różowym kitlu usadza mnie nad jakimś dziwnym półmiskiem, narzuca mokrym, brudnym ręcznikiem i wylewa na głowę dzban chłodnej wody. Teraz już wszystko stracone i próżno myśleć o ucieczce.

I tak, przez dwie godziny zaznajomiwszy się gruntownie z przyrządami fryzjerskiego kunsztu i z głową oblaną zgnitym piwem, popadam wreszcie w ręce mistrza do ostatecznego wykończenia. A więc zawzięte szczytkowanie drucianym zgrzeblem do wrywania włosów, landrynkowa brylantyka i szaleńczy tapirek, od którego bujność uwłosienia wzrasta do bajecznych rozmiarów, ale potem żaden grzebień nie potrafi go przywołać do porządku, a całość utrwalona na mur-beton strumieniem specjalnej politur. Darmo protestuję, że to morderstwo dla włosów i na dodatek od dawna niemodne. Pan Władzio oburza się że co warszawskiego mistrza idziesz pani uczyć i sumiennie odrabia swoje jak przyrzekł ciotce. Opuszczam wreszcie ten najszykowniejszy w mieście salon obolała i sponiewierana, niosąc na głowie gigantyczny kołtun ze ślimakiem nad lewym okiem i figlarnymi róż-

kami koło uszu, a wszystko sztywne i twarde jakby mi wbito na głowę gliniany garnek. Cuchnę przy tym jak budka z piwem i pijakami, których właśnie *zemgłiło*. Jednym słowem: godnie reprezentuję stare tradycje ojczyzny stycznej *plieae polonicae*. O doprowadzeniu tego do ludzkiego stanu oczywiście nie ma mowy, choć w domu — co za radość! — jest właśnie woda w kranie, rzadki gość w tych nowoczesnych blokach z łupiącym się tynkiem i parkietami, które stają dęba. Ciotka nie chce nawet słyszeć o myciu i rozplątywaniu, aż po weselu. Darmo popłakuję, że piecze i swędzi, że wyłysięję, dostanę liszaju, egzemy, trądu i kołtuna. A w radosny dzień wstaję z łóżka z nienaruszoną strukturą, niczym marmurowa bogini, i teraz wreszcie rozumiem czemu Piękne Polki tak nagminnie mają brzydkie włosy: zmierzwione i martwe jak brudna wataolina, której brzydziłoby się dotknąć. Ale za późno myśleć o środkach zaradczych, trzeba szykować się na weselisko, mieć radosny nastrój do ściskania wielu rąk, wymieniania banalnych uwag i uśmiechania się do nieznajomych, choć przy uśmiechu zaskorupiała na skroniach skóra ciągnie niemiłosiernie i wychodzi błazeński grymas. Wydzielam ckliwą woń perfumy „Wieczorna Moskwa”, na gorsie niosę bukiet płomiennych róż i okazuje się, że całość jest zupełnie na poziomie. Ciotka Mania w rdzawych koronkach, z różowymi goździkami i asparagusem w butonierce, również prezentuje się okazale i tak wyszykowane, wczesnym popołudniem pogrążamy się w wyboiste uliczki.

Rozsiadłe na progach kobiety i rozbawione dzieci lustrują nasze szyki od stóp do głów, gdy przekraczamy ciemne bramy, urwane furtki, zagracone podwórza, ślepe zaułki i przesmyki między sadami, które wyprowadzą nas na skrót prosto do domu panny młodej z drugiej strony miasta. Mijamy park i pałac, i za nim książęca kaplicę, białą rotundę na smukłych kolumnach, która wystrzela jak pojazd kosmiczny spośród otaczających ją chałup. One zaś przyległy do ziemi płasko a szeroko, okienka mają tuż nad ścieżką i głową łatwo zawadzić o strzechę. Zdobia je rzeźbione odrzwia, okiennice wycięte w esyfloresy. Tu i ówdzie ściany podpierają drągi, bo stareńkie to i coraz głębiej wrasta w ziemię. Koło tej kaplicy nie potrafię przejść spokojnie, bo przez okratowane okienko widać w podziemiu pokazałą trumnę, na której zbutwiało fioletowe sukno, a tabliczka na wieku głosi, że jej urodzony lokator miał honor być oficjalistą księżnej pani, która w uznaniu zasług wyprawiła mu godny pogrzeb. Za każdym pobytem w mieście to podziemie ciągnie mnie jak magnes: podnieść wieko i zobaczyć osiemnastowiecznego szlachcica! Ale nic z tego, bo krata mocno siedzi w oknie i kłódka w drzwiach, przez co moja obsesja staje się coraz groźniejsza.

Ale mieszkańcom chałup wcale nie przeszkadza to niezwykle sąsiedztwo, choć to parę kroków od ich progów, a zagonki kartofli i grochu zbiegają się promieniście wokół kaplicy. Szlachcic widać spokojny i żadne złowrogie głupstwa mu nie w głowie, więc też nie ma na co zwracać uwagi.

Czym dalej od śródmieścia, tym chaty starsze i ozdobniejsze, a sadki przy nich większe i obwieszane jabłkami — istny świat Orzeszkowej i zasłyszane strzępy rozmów wzięto żywcem z jej książki. Tu i ówdzie nieco okazalsza chałupa z ganeczkami na słupach, z tych co to niegdyś zażywały szumnej nazwy dworku, a teraz coraz niżej schylają się ku ziemi, grzbiet dachu zapadł w środku jak przetrącony kręgosłup. W otwartych oknach wiatr wydyma białe firanki, płacze je w mirty i pelargonie, i tak na przełaj idziemy przez czasy „Kollokacji” i „Nad Niemnem”, półrealne jak tajemniczy bal w „Dużym Meaulnesie”. Mijamy „dworek”, który wiąże mnie z tym miastem ze względu na babcię, która w nim mieszkała jak była panną, i stąd już niedaleko do Wandzi. Chaty coraz rzadsze, ulica przechodzi w pełną drogę, na której rzadko rozsiane kocie łby toną teraz w powodzi kurzu, a podczas deszczu stają się nieprzebytej topielą. Jeszcze parę zakrętów i wreszcie ciotka Mania mówi, że to tu. Wyjmuję z torebki szcztokę, chowamy się za krzak bzu i odkurzamy od stóp do głów. Nasze szaty nabierają od tego żywszej barwy, a lica rumieńców, i teraz już wkraczamy uroczyście na rozgłaskane kurami podwórze.

Ścieżka, świeżo wysypana żółtym piaskiem, prowadzi do drzwi chaty, za którymi wielka sień tonie w mroku. Ciotka każe mi się schylić, po omacku otwiera niziutkie drzwi i rzuca się na szyję wysokiego młodziana z asparagusem i białą kokardą na klapie, niczem do pierwszej komunii. I tak poznaję wreszcie legendarnego Zbyszka, jednego z tej przystojnej młodzieży, której tak dziś wiele w PRL, aż przybysza ogarnia radość, że nasza rasa zaczęła się wreszcie poprawiać i czyni pierwsze kroki w stronę legendy o wielkich piastowskich wojach. Asystuje mu kilku postawnych kolegów i zbiorowo wymieniamy uwagi, że nareszcie, że bardzo nam miło i że piękna pogoda chyba potrwa, by mi nie zepsuć pobytu w ojczyźnie. Starszy brat Wandzi, gospodarz wesela i mistrz ceremonii, dodaje coś o swych niskich progach i że chyba nie wzgardzę skromną gością, aż mi się robi dwakroć dziwnie: raz — bo chyba mnie bierze za kogoś innego i ważnego, i dwa — bo towarzyszący mi przez miasto Korzeniowski (ten od „Kollokacji”) i Orzeszkowa nabierają coraz mocniejszych rumieńców. Z ulgą przekazuję Gospodarzowi prezent, jedyny jaki przyniosłam by nie stawić się z pustymi rękami: dzin przywieziony dla znajomego z Krakowa. Mówi się

trudno, niech idzie na weselną ucztę. Egzotyczna butelka budzi wielkie zainteresowanie, wędruje z rąk do rąk, a tymczasem ciotka Mania już mnie ciągnie na drugą stronę sieni, do babinca, gdzie licznie zebrała się damska część klanu Wandzi wraz z przynależną drobną dziatwą. Siostry, szwagierki, ciocie i bratowe pod okiem babci upinają welon na pannie młodej, majstrują przy jej bukiecie i fryzurze. Od samych drzwi rzucają mi się na szyję i całują na mokro, jak to kuzynki, aż od tak żywiołowego wybuchu serdeczności robi mi się dziwnie, bo przecież widzimy się pierwszy raz. Więc znów jest nam bardzo przyjemnie, i nareszcie, i co słychać w wielkim świetle, a w międzyczasie przebijam się do najważniejszych tu osób: Wandzi, jej babci i matki Zbyszka, od których należało zacząć powitanie. W rozgardiaszu każdy mówi o czym innym (— jak zwykle w życiu rodzinnym), tylko panna młoda uśmiecha się milcząco, aż na buzi robią jej się dziecinne dołeczki i widać, że pożera ją trema. Wyjaśniam, że dopiero po przyjeździe dowiedziałam się o takim świetle w rodzinie i jest mi ogromnie przykro, że nie przywiozłam godnego prezentu dla młodej pary. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, bo jak będę w Warszawie, to im załatwię dolarowe kupony w PKO i sami sobie kupią co zechcą. Babcia zaraz komentuje rzeczowo, że to piękny pomysł, bo przecież młodzi nie mają nawet łóżka na nową drogę życia, i patrzy przy tym z wyraźną pretensją na wnuczki, ciotki i szwagierki. Patrę i ja, ale nie rozumiem powodu tej nagany, a za to rzuca mi się w oczy weselna moda damska, w świetle której ciotka Mania tak niepochlebnie oceniła mą najlepszą sukienkę. Bo moda ta jest rzeczywiście barwna, lśniaca i ozdobna, z falbankami, koronkami i kokardami w nieoczekiwanych miejscach, a także wymaga wysokokowych fryzur i białych pantofli, ale nie pończoch, bo przy całym swym szyku zebrane panie mają nogi albo całkiem gołe, albo co najwyżej w jasnych skarpetkach. Wśród tego stada barwnych ptaków rzucają się w oczy dwa posągi smutku: babcia na czarno i ja na granatowo, tylko że mnie nie usprawiedliwia podeszły wiek. Nikt jednak nie okazuje, że popełniłam *faux-pas*, a za to każdy chce wiedzieć jak mi się w Polsce podoba i czy w wielkim świetle też taka ładna pogoda. Zresztą już pora zbierać się do kościoła, lada chwila nadjedzie taksówka dla młodych i autobus dla zebranej tu rodziny i lepszych gości, bo gorsi będą czekać pod kościołem.

Niewiasty i dziatwa cofają się pod ściany, rozkładają pośrodku izby kilimek i stawiają dwa krzesła, na których zasiada matka Zbyszka i babcia z ciemnym ze starości obrazem Ostrobramskiej w ręku. Ciotka Mania pospiesznie mi wyjaśnia, że to cudowny opiekun rodziny, odziedziczony po przodkach, jed-

na z niewielu rzeczy uniesionych przez babcię z domu pod Grodnem. Ale na oglądanie szanownego zabytku nie ma czasu, bo już do izby wchodzi Zbyszek z kawalerką. Wraz z Wandzią klękają na kilimku i babcia, powstawszy, trzykrotnie ich błogosławi Ostrobramską, wygłasza krótką orację o małżeńskich cnotach i wreszcie, stosownie do okazji, uderza w płacz. Matka Zbyszka wyjmuje dzierganą chusteczkę, siostrom i kuzynkom też robi się wilgotno, tylko ja bezwstydnie wytrzeszczam oczy i uszy, uświadamiając sobie że to wszystko jest prawdziwe, nie żaden teatr, i jaka straszna szkoda, że oracji babci nie da się nagrać. Wszyscy rzucają się obcałowywać młodą parę, aż tę burzę afektów przerywa przybycie zamówionych pojazdów. Wysypujemy się na dwór, przerażony drób podnosi wrzask i zbłąkany prosiak z kwikiem uchodzi w jaśminy. W tumanie kurzu, skacząc po zdradliwych kamieniach, autobus dzielnie nadąza za taksówką, płosząc po drodze dzieci, psy i rowerzystów, aż wreszcie z rozgłośnym trąbieniem wypadnie na rynek, by nas wyrzucić wprost na rozległe kościelne schody.

Ścisk tu panuje jak na jarmarku, wystrojony tłum obserwuje zajeżdżające ślubne orszaki i co rusz ktoś się przepycha, by dołączyć do swoich. A zajeżdżają co chwila, od wczesnego popołudnia idzie ślub za ślubem, wszystko przez tych Czechów i grożącą im kontrewolucję. Jak jedni stoją przed ołtarzem, to drudzy już czekają w przejściu, a następni w kruchcie. Zapracowany proboszcz ślania się na nogach, na chórze organista poczynna sobie coraz niedbalej, a z wikarego też niewielka pociecha, tak jest w bocznej nawie zajęty wyrzekaniem się diabła i przysparzaniem nowych członków Królestwu Bożemu. Na głównym ołtarzu białe kwiaty więdną od gorąca, zmęczony proboszcz co rusz wyciera twarz chustką wielką jak obrusik, a końca temu nie widać. Ledwieśmy się ustawili, a już Zbyszek i Wandzia są związani dozgonnym węzłem i bokiem cofamy się do wyjścia, dając miejsce następnej parze. Miał rację pan Władzio: pół miasta się żeni, a druga połowa asystuje, istny kataklizm matrymonialny.

Podobnie tłoczno jest w drugiej instytucji, równie jak kościół nieodzownej do zawarcia małżeńskiego związku, bo to ona utrwali go na zawsze w pamięci pokoleń. Zakład fotograficzny naprzeciw świątyni jest obłożony, zwłaszcza że wykonanie artystycznego portretu wymaga więcej czasu niż sakrament. Musi przecież prezentować się godnie na honorowych ścianach własnych i krewniaków, przypominać o tak wielkim zdarzeniu dzieciom i wnukom. Portret ślubny, podobnie jak zdjęcie od pierwszej komunii, ma swe niepisane kanony artystyczne, zarówno w kompozycji jak retuszu, i stąd wystawa tego najlepszego w

mieście zakładu tak mnie fascynuje, ile razy wypadnie mi tędy droga. Pół okna zajmują dziewczątka w welonach, z kwiatami, świecą, obrazkiem i różańcem. Klęczą na zdobnym we frędzle klęczniku, wpatrują się anielsko w figurę Matki Boskiej lub rozwarłe niebiosy. Usta mają podciągnięte w czarne serduszko, każdą rzęsę osobno policzysz, i na ramiona opadają im przepiślowe francuskie loki. Obok chłopaczki w ciemnych lub białych ubrankach z asparagusem na klapie, świecą w rękę i głową ulizaną na wysoki połysk. Serafickim wyrazem twarzy przypominają św. Antoniego z Padwy i Stanisława Kostkę, podobnie jak tamci stworzeni do wyższych rzeczy, aż trudno uwierzyć że dopiero co ten oto obwieś wyświstał komuś szybę z procy, ów rozdarł spodnie na płocie, a tamten używał takich wyrazów, że musowo się z nich spowiadać, podając przy tym ile razy. Dziewczątka zaś, zawołane skarżypyty, przeżywały się aż strach było słuchać i targać za fryzury. Obok nich golutkie bobaski leżą na kosmataj skórze i bezzębnie śmieją się do widza. Drugą część wystawy zajęły ślubne pary: ściskają się za ręce, tak by było widać nowiutkie obrączki, i przepastnie zaglądają sobie w oczy. Welon jak morska piana przypadł im u stóp i tak będą stać po wszystkie czasy na tle klasycznych ruin i jeziora z łabędziem i gondolą, która ich uwiezie w świetlaną przyszłość. Od tej wystawy zawsze odchodzę z ciężkim sercem, bo ciotka Mania zapewnia, że mistrz na pewno mi nie sprzeda wyrobów swego kunsztu. A teraz wreszcie mam okazję wtargnąć do zaczarowanego wnętrza i zobaczyć, jak schylony u trójnoga i nakryty czarną płachtą artysta dyryguje kolejną parą. Ale zaraz trzeba się wycofać, bo ścisk i gorąco tu nie do wytrzymania, nowożeńcy ocierają twarze i ślubne bukiety wędną czekając swej kolei. Chyba im przyjdzie uwiecznić się z tymi blaszanymi liliami, należącymi do studia jak klęcznik z frędzlami, kolumna z palmą oraz dekoracja z ruinami, łabędziem i gondolą.

Tymczasem wśród zebranego na zewnątrz towarzystwa otrąbiono odwrót. Uczta weselna ma się odbyć w najobszerniejszym lokalu, jakim dysponuje klan panny młodej, a mianowicie w nowym domu jej starszego brata, który pełni tu rolę gospodarza i mistrza ceremonii. Jest to dalekie przedmieście, toteż rodzina i lepsi goście ładują się do wynajętego autobusu, a gorsi nadają miejską siecią komunikacyjną i na pewno się nie spóźnią, bo upłynie sporo czasu nim nowożeńcy sfotografują się i złapią taksówkę. Znów więc trzęsączka i kocie łby, aż autobus wyrzuci nas w kurz po kostki pośród rozjeżdżonej drogi. Jednorodzinne domki stoją tu rzadko, wszystkie nowe i w ogrodach, niektóre się jeszcze budują — widać że powstaje tu nowa dzielnica dorobkiewiczów.

Słońce już stoi nisko i przyjemny chłód zatrzymuje nas w ogrodzie, na trawie i ławce wkopanej pod ścianą, skąd można wygodnie obserwować kto idzie drogą. Siostry, szwagierki i bratowe znikły we wnętrzu domu i przez otwarte okna słychać jak się nawołują szykując do stołu, a na dworze mężczyźni smalą „Wawele” i „Sporty”, i omawiają bieżące sprawy. Otaczająca mnie gromadka panów pragnie wiedzieć co słychać w wielkim świecie i czy będzie wojna, więc zapewniam ich, że skądże — Zachód palcem nie ruszy o Czechów, pohałasuje jak zwykle i zaraz zapomni. Gdyby miała być wojna, to przecież nie jechałabym na urlop do Polski! Więc teraz oni zaczynają mi tłumaczyć, że tych Czechów musowo było wziąć za pysk, bo to fałszywy naród i knuli z zachodniemieckimi rewizjonistami, dając im dostęp do naszych granic. A Niemcy wiadomo o czym marzą — jakby się znów wwalili do Polski, to tym razem już by wszystko co żyje wystrzelali i zagazowali, dzieciom nawet nie przepuszczając. Łaska Boska, że ich Rusek pilnuje, bo ten Zachód, psia jego mać, trzyma przeciw nam z Niemcami i znów by rad nas sprzedać. Nie mam ochoty podejmować tej dyskusji i na szczęście wyrasta przy mnie babcia, bierze pod rękę i proponuje zwiedzenie ogrodu. Chodzimy wśród długich zagonów, na których warzywo dojrzewa do zbioru, ogóry leżą jak prosięta, wiszą ciężkie pomidory, a nad wszystkim wielkie kopry unoszą się jak parasole. Mówimy o tym i owym, jak za granicą paskudna pogoda, mokro i chmurno, pomidory nie chcą dojrzewać na dworze, buraki i koper skręca nie wiadomo jaka zaraza, a ślimaki i różne plugastwo rzuca się na wszystko, co człowiek zasadził. Babcia pierwszy raz słyszy o takich dziwach — wiadomo, że ziemia jest po to żeby rodziła i warzywo żeby rosło, a jednocześnie jest rada, że się znam na gospodarskich sprawach — bo te młode, to dzisiaj nic nie wiedzą. Uzgadniamy, że przy stole siądziemy razem żeby to wszystko należycie omówić, a na razie cieszymy się chłodkiem i patrzymy na zmierzchnięty świat. W dali nad śródmieściem słońce zapala ostatnie ognie w oknach mini-drapaczy i na ratuszowej wieży mitologiczny olbrzym, cały skąpany w blasku, szybuje nad cieniami. Na pochylonych barach świat czy niebo przysiadło mu lekko jak balonik i od dwustu lat grozi, że stoczy się lada chwila miażdżąc wszystko po drodze. Pytam babcie co to za jeden, a ona przysłoniła oczy i przygląda się jakby go zobaczyła pierwszy raz, nim wreszcie odpowie w zadumie, że to *musi* chłop niesie worek kartofli. I tak odnajduje nas Gospodarz, by oznajmić że młodzi nadjadą lada chwila i stół gotów dla gości. Gratuluję mu pięknego domu i ogrodu, choć domu jeszcze nie widziałam od wewnątrz. Czy długi go budowali? O, i jeszcze jak! Własnymi rękami:

on sam, brat, szwagrowie, wujowie i krewniacy, bo to my zawsze robim wszystko razem. Nawet kobiety mieszały cement i nosiły cegłę. A co to była za kołomyjka: dostać pozwolenie i przydział budulca, zaś z przydziałami wiadomo — jak jedno jest, to drugiego nie ma, a wszystkiego za mało i za późno, więc trza kombinować na lewo, poruszyć swojaków i porozdawać wziętki. Jakby nie te wziętki, to by dotąd wszystko niszczało bez dachu. Takich na przykład gwoździ, to szukali w Lublinie, Puławach, Łukowie, Łomży, Bielsku i gdzie tylko, bo to on sam i szwagier jeżdżą ciężarówkami i wszędzie mają znajomych. Wreszcie skończyli — będzie ze dwa lata — no i jest, znaczy się domek. Widzę jak jest dumny z dokonanego dzieła, więc protestuję że to nie domek, a prawdziwa willa, i to działa nań jak ostroga, choć dla formy powiada lekceważąco że eh — tam. Chodźmy do środka, pokaże mi pokoje zanim się zrobi zbiegowisko.

Wnętrze jest obszerne: rozległa sień, kuchnia, dwie sypialki i wielka izba paradna, w której obecnie w podkowie zestawiono stoły. Bure ściany pomalowano, jak nakazuje moda, przez szablony w ponure brudnozielone pikasy, które stanowią tło do makatek na czarnym suknie — są na nich róże, chryzantemy, bukiety bzu, koszyczki z truskawkami, łabędzie i końskie głowy. Są tu również oleodruki ze świętymi i jeleniami na rykowisku. W głównym pokoju szczytową ścianę zdobią upięte w wachlarze rodzinne fotografie i pocztówki, oraz ślubny portret Gospodarza w złoconej ramie. Z abażurów zwisają serwety z jedwabną frędzlą, meble na wysoki połysk okryto serwetkami, a drewniane podłogi wyszorowano na biało. Wnętrze jest tradycyjne, świadczy o zamożności domu i kobiecych umiejętnościach gospodyni, i jego przestronność zdumiewa na tle zatłoczonych mieszkań Polski ludowej. A przy tym wszystkim wodę nosi się tu ze studni, pomyje wylewa w krzaki, a na końcu ogrodu rozbuchane bzy i jaśminy kryją staropolski domek z wyciętym w drzwiach serduszkciem, gdzie zepsuty cywilizacją przybysz z Zachodu szuka po omacku łańcucha do szarpnięcia, nim sobie wreszcie uświadomi absurdalność sytuacji. Jednym słowem, jak powiada Gospodarz, dobrze nam się żyje, Bogu dzięki.

Zwiedzanie kończymy w samą porę, bo właśnie w tumanach kurzu nadjeżdżają nowożeńcy i powstaje ogólne zamieszanie. Ale zaraz wyłania się z niego babcia z Gospodarzem. Babcia trzyma półmisek z pięknym bochnem chleba i solniczka w kształcie muchomorka. Wita w progu młodych chlebem i solą, a Gospodarz wygłasza krótką dowcipną orację. Teraz już wszyscy wchodzi do środka i w obszernym domku raptem robi się ciasno jak u fotografa. Wandzia jest z mordowana, szykowna ślubna

suknia opina ją jak pancerz od brody aż po czubki pantofli i przy tym gorącu nawet welon grzeje jak kozuch. Zbyszek nadrabia miną i dzielnie trwa w nowiutkim ciemnym garniturze — o siadaniu do stołu w szelkach nie może przecież być mowy. Bóg jeden wie jak ta ucztą długo potrwa, a trzeba być na niej dowcipnym i tryskać szczęściem jak przystało na pana młodego.

Wkrótce pada hasło do stołu, młodzi sadowią się u szczytu podkowy i gospodynie rozsadzają weselników. Jest kilkadziesiąt osób i trudno się pomieścić, co rusz trzeba ścieśniać się jeszcze bardziej i znosić z całego obejścia dotychczas przeoczone ławki i stołki. Przy tym upychaniu gęsto zastawione stoły różnego rozmiaru i wzrostu skaczą nerwowo i wpadają na siebie, aż wreszcie dla wszystkich znajdzie się miejsce i talerz. Przy poprzecznym, szczytowym stole zasiadła familia, wśród której przypada mi honorowe miejsce obok babci, toteż mam wgląd w całość uczt i widzę wszystkich gości. Oglądam nienaruszone jeszcze pole bitwy z rozstawionymi w ordynku wojskami, które lada chwila wpadną na siebie i skłębą się w ataku. Nad szeregami półmisków tu i ówdzie wystrzelają grupy różnych butelek, jak dowództwo i sztabowcy nadzorujący z góry tłumy piechoty. Wśród tych wyrobów monopolu ojczystego i Krajów Obozu Pokoju mój dzin w poważnej ciemnej butelce prezentuje się bardzo skromnie, ale ta inność ściąga nań ciekawe oczy biadadników nawykłe do bardziej swojskich widoków. Gospodarz unosi go nad głowę i ogłasza, że zdrowie młodych po raz pierwszy wypijemy tym oto trunkiem z wielkiego świata, po czym rozlewa go po naparstku by starczyło dla wszystkich. Na dane hasło szkło wznosi się w górę, następuje degustacja i zaraz z różnych stron zawiedzione głosy komentują przeciągle: — Perfuma! — Dla zabicia złęgo smaku wołają o uczciwą monopolówkę, tę pocieszycielkę strapionych i niekoronowaną królową Polski ludowej. Teraz nagle wszyscy ruszają do ataku i robi się ruch jak na jezdni w godzinę szczytu. Półmiski zderzają się, przepychają jeden przez drugi i wymijają powietrzną drogą, a siostry, bratowe i szwagierki patrolują stoły z miednicami opartymi o biodro, z których co rusz dorzucają na opróżniającą się zastawę. A czego tu nie ma! Oko bieleje od tych wielkich gór kiełbas posiekanych w grube kawały, schabów, kotletów na zimno, ławic śledzi pływających w śmietanie, gór pomidorów z octem i kwaszonych ogórków. Półmichy połędwicy, pokrojonej jak chleb w grube kromki, wprawiają mnie w osłupienie, jest to bowiem luksus nieosiągalny dla Ludowych śmiertelników. Szukałam go po najwytworniejszych delikatesach i supersamach Stolicy, gdzie królowy za ladą nie uważały nawet za stosowne odpowia-

dać na pytania, tylko spoglądały koso z politowaniem unosząc w górę przyczernione brewki. A tu, w zasięgu wzroku, mam z piętnaście kilo tego specjału i zapas stoi z tyłu w miednicy. Tak samo przedstawia się legendarna ambrozja, jakiej ogromna większość tubylców na oczy nie ogląda, a mianowicie eksportowa szynka z puszkii, o smaku i konsystencji rozmoczonego papieru, która jako towar w guście kapitalizmu jest szczytem rozpustnych marzeń szarego obywatela PRL. Nic więc dziwnego, że biesiadnicy omijają pospolitsze rzeczy, całą uwagę skupiając na tej szynce i polędwicy, a gospodynie dziwią się, że ja wolę zwykłą krakowską z kwaszonym ogórkiem i zachęcają do eksportowej — że na pewno jest dosyć i nie ma potrzeby oszczędzać. I takie są przy tym szczerze gościnne, że jem ten mokry papier, choć go okrutnie nie lubię.

Jednocześnie usiłuję konwersować z babcią, co wcale nie jest łatwe, bo starsza pani jest wyraźnie zbuntowana, od półmisków opędza się jak od much, demonstracyjnie skubie kromkę suchego chleba, a do kieliszka każe sobie nalać wody ze studni. Właśnie tak: ze studni! I żadne perswazje nie potrafią jej skłonić do gruntowniejszej konsumpcji. Tłumaczę sobie, że pewnie jest na diecie, aż wreszcie sytuacja się wyjaśnia, gdy babcia, wpadająca w coraz większe rozdrażnienie, wybuchła: — Czy pani wie, co oni żrą? Dwadzieścia tysięcy złotych, tak o! Siędą i opchną! — Krztuszę się z wrazenia, ogórek w gardle staje dęba, a ona ciągnie: że przecież młodzi nic nie mają, nawet łózka, a co to za małżeństwo bez łózka, no nie? Zbysio nawet wynajął pokój, ale pusty, więc chyba będą spać na kocu i paltami się nakrywać. Ile ja tym jełopom mówiła — i patrzy z oburzeniem na Gospodarza, wnuczki, szwagrow i ciotki — i Zbysio też mówił: dajcie im ta forsa, co na wyżerę, niech sobie kupią mebel albo włożą na mieszkaniową książeczkę! To nie, musi być we-sele żeby cała ulica była zazdrosna. Sami chcą pohulać, a mówią że to od nich prezent dla Wandzi i Zbysia. Tfu, nawet i patrzeć paskudnie! — Zamyśla się na chwilę i dodaje: — Ach, jakąż pani mądra, że im wpierw tych *dolarou* nie dała, a to by wszystko razem wpakowali. A tak, to coś sobie kupią, bo kto im co da? Mama Zbysia wdowa, ciotka Mania także, to im dadzą co ten kot napłacie, no nie?

Zdumiewa mnie to niekonwencjonalne podejście starszej pani do prestiżowej kwestii wesela — przecież starsi z reguły są za hucznym przyjęciem, a młodzi i postępowi za obróceniem tak bezsensownego wydatku na rzeczy praktyczne, nieraz o tym pisze *Przyjaciółka* i *Kobieta i życie*. Cóż za dziwna babcia! A tym czasem ona, wypawszy co ma na żołądku, chce z kolei wiedzieć jak tam robią wesela za granicą. Opowiadam więc, że na ogół

przyjęcia są skromne, wino i ciasto czy w ogóle coś lekkiego, tak że lepiej na zapas najść się w domu, a za to pomaga się młodym urządzić mieszkanie czy wyjechać na urlop. Starsza dama jest pełna aprobaty: otóż to, właśnie ona też tak myśli. Mądre są ludzie we świecie! I zaraz klaszcze w ręce, ucisza towarzystwo i ogłasza, co ode mnie słyszała, chwali zagraniczną mądrość. A z dalszych krańców stołu jakiś samotny głos wtóruje ze zdumieniem: — Bożeż mój, jakie to za granicą ludzie są skąpe! — Nauka, jak widać, poszła w las, choć stoi za nią autorytet wielkiego świata. Starsi i młodzi, na czele z własną rodziną, wołają suto zastawiony stół, baterie flaszek takich i owakich, zaś młodych Pan Bóg niech opatrzy i jakoś to będzie. I zaraz zaczynają wołać chórem że gorzko, że kwaśne wino — z tej strony stołu i z tamtej, aż jestem zaskoczona: jak można tak się wybrzydzać na cudzą gościnę? Tym czasem nowożeńcy całują się raz i drugi, więc biesiadnicy klaszczą jak na przedstawieniu, panie chichocą cienko i znów wykrzykują, że to wino jest kwaśne. Zbyszek i Wandzia całują się dalej, zażenowani jak uczniaki w kącie boiska, widać że im niezręcznie i woleliby być gdzie indziej. Wreszcie goście mają dość widowiska i wracają do półmisków, a mnie dopiero zaczyna świtać, że nikt tu nie krytykował gospodarskiego wina, że przecież gdzieś o tym czytałam. Orzeszkowa? Korzeniowski? „Chłopi”? Zresztą wystarczy spojrzeć na stół, by się przekonać jak te trunki wszystkim smakują. Panowie twarze mają czerwone, rozpięli marynarki i rozluźnili krawaty do akcji na wielką skalę i z różnych stron co rusz padają bojowe okrzyki: chłusniem bo usniem! Rybka lubi pływać! Dobra szynka nie jest zła! Od wina tęga mina, od piwa głowa się kiwa! No to lu! Zdrowie pięknych pań po raz pierwszy! Słucham z zapartym oddechem i staram się zapamiętać, żal że nie wypada wyjąć ołówka i notować. Bo to pierwszy raz oglądałam taką rewię żywego sarmatyzmu, tego co przetrwał klęski narodowe i pełni się nie mniej zwycięsko pod Władzą Ludową, jak to czynił za Orzeszkowej i przed nią. Żeby jeszcze zaczęli weselne przyspiewki, to już by mi niczego nie brakło do szczęścia, lektura do końca wcieliłaby się w życie. Ale nic z tego: folklor wprawdzie jest, ale zmechanizowany, bo to jednak nawet w tej dziurze mamy wiek technologii. Bucha na cały regulator z otwartych drzwi *sypialki*, gdzie ktoś co chwila puszcza płyty „Mazowska”. Ej, przyleciał ptaszek w kalinowy lassek, a w kadzidlańskim boru źródółeczko bije, tylko tu bić nie chce, starczy mu że na lewą nóżkę i na prawą, i jeszcze na lewą rączkę siup! Babcia wrogo mamrocze, spogląda z obrzydzeniem na głównych figlarzy i oblicza za ile już wcisnęli i jeszcze wcisną, nim sobie wreszcie pójda do czorta. A z dalszych



regionów podkowy dochodzi głos niewieści, który żali się, że Stasia tu nie ma. Taki wesoły, dusza towarzystwa, gra na harmonii i żadne wesele się bez niego nie obejdzie, a teraz mu wypadło do tych Czechów, jak to przy wojsku. Służba — powiadają — nie drużba.

A tu znów gorzko i kwaśne wino, aż babcia się ożywia, patrzy z upodobaniem na młodych i powiada, że dobra z nich para. Rada że wydała najmłodszą wnuczkę, i to za naszego Zbyśia, takiego grzecznego i pobożnego. Bardzo go lubi, choć taki ubogi, ale nic — ma czas nazarabiać. Wiadomo — inżynier! No i Bogu dzięki, że wreszcie zrobiła swoje. Trudne miała życie, zwłaszcza jak w czterdziestym czwartym czubaryki sprzątnęli jej zięcia ledwo weszli do Grodna, bo tak z naszymi robili. Wandzia urodziła się już potem i miała kilka tygodni, gdy matka nagle zmarła, zostawiając babci sześcioro drobiazgu. A czasy szły coraz gorsze, ludzie mówili że jak kacapy raz tu weszli, to już nie pójdą, więc babcia z dziećmi, w tym z Wandzią w poduszce, i z Ostrobramską w worku, uciekła jak stoi pod polską władzę. Była to okropna droga, jeszcze jej teraz ciarki idą na samą myśl, ale żadnego dzieciuka nie uroniła. Wszystkie wyprowadziła na ludzi, a dziś, to już dla niej najlepszy dzień, mimo tego wrednego wesela. Czy w tamtych czasach śmiałaby pomyśleć, że to marne niemowlętko będzie zamąż wydawać? Teraz wreszcie swoje zrobiła, wszystko skończone i można odpoczywać.

Słucham z podziwem: dzielna staruszka, uosobienie chłopskiego rozsądku. Tylko to słowo wcale do niej nie pasuje, choć ma już spore prawnuki. Trzyma się prosto, na skroniach ledwie szpakowata, a uścisk ręki ma mocny jak mężczyzna. Takimi babkami Polska stoi! Tymczasem ktoś zamknął „Mazowsze” i słysząc jak nocny powiew gra wśród zarośli, jakaś gałąź stuka w otwarte okno i tylko brak chochoła, żeby zagrał na patyku. Siedzimy przy stole już ze cztery godziny, goście jedzą coraz wolniej, a ja od dawna nie mogę i nawet gospodynie nie potrafią mnie zachęcić uwagami, że gardzę ich gościnną. Bójcie się Boga, ludzie, przecież człowiek ma tylko jeden żołądek! Ukradkiem patrzę na zegarek: dochodzi dziesiąta. Pewnie zaraz dadzą coś słodkiego i będzie koniec. Chciałabym się trochę przespać, bo o świcie mam złapać pociąg na całodzienny wypad do rodzinnej wsi, gdzie mnie oczekują starzy znajomi. Wreszcie pytam babcie czy już niedługo, a ona złym okiem ogarnia stoły i burczy: — A gdzież tam, jeszcze się nawet nie zaczęło! Niech tylko goście trochę się przewietrzą, rozprostują gnaty i załatwią przyrodzone potrzeby, to dopiero pokażą co umieją! — I rzeczywiście robi się ruch, gospodynie zbierają niedobitki pół-

misków, a biesiadnicy wysypują się na świeże powietrze. Dobra pora żebym znikła niezauważona. Ależ nie, ciocia Mania niech zostanie, sama złapię autobus do śródmieścia i trafię do domu! Tłumaczę Gospodarzowi jak sprawy stoją i że już na mnie pora. Nie, broń Boże, wcale nie gardzę gościnną, tylko naprawdę muszę, pociąg mam o piątej rano. Bardzo dziękuję za przyjemny wieczór, miłe towarzystwo i doskonałe jadło, które wywarło na mnie ogromne wrażenie. Tak liczną i wystawną ucztę — a mówię pod słowem honoru — widziałam pierwszy raz w życiu, słowo daję! Pojęcia nie miałam, jak w Polsce ludzie umieją się weselić, u nas taki bankiet byłby nie do pomyślenia. I widzę, że bardzo mu to pochlebia, choć powiada lekceważąco, że to, to jeszcze nic. Na wsi — to dopiero wesela! Jak parę łbów nie rozbijają, to się w ogóle nie liczy. A już najlepiej to umieją się bawić po ruskiej stronie, jak Boga kocham! W zeszłym roku jeździł na wesele do swojaków pod Grodno, to mu dopiero oko zbieleło. Wódka stała w cebrach wprost na podwórku i ludzie kubki do niej wsadzali, w całym obejściu pijaki leżeli pokotem jakby ich nagła zaraza wybiła. To dopiero było wesele! Bo u nas w mieszkaniu, to my pijaków nie lubim i musi być grzecznie, bo wyprosim. Co zaś tyczy się jadła, to to, co dotąd widziałam, to jeszcze nic. Co bym powiedziała, gdybym zobaczyła resztę! A ja nie od tego, chętnie zobaczę jeśli pan pokaże. Idziemy więc do kuchni, gdzie na wielkiej, staropolskiej płycie pyrkają olbrzymie gary i sagany przeznaczone na właściwą ucztę. Gospodarz podnosi pokrywę: w jednym mnóstwo kurzych nóg sterczy sztywno z rosółu, istna makabra! W drugim dusi się część wołu, z innego bigos rozlega się zawiesiście, a w piekarniku kawał wieprza skwierczy w obszernej wanience. Ale i to, to zaledwie przedśronek. Gospodarz zapala lampkę i zstępujemy do piwnicy. Jest wielka, krańców nie widać, okazałe skrzynie i naczynia ledwo majaczą w dalszych regionach. Koło mnie krąg światła wydobywa z mroku wielką miednicę zimnych nóg, drugą pełną nasiekanych wędlin, dwa torty (w tym jeden wielkości koła od autobusu, nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałam!), bułki i strucle ułożone na płachcie na stos jak polana, przepastna kadź bigosu i Bóg jeden wie co jeszcze. Dalej karne szeregi butelek roztapiają się w ciemnościach. Pod sklepieniem wiszą rzędem kiełbasy i poledwice, szynka zaczepiona o hak lada chwila chlupnie do wanny z kompotem. Jest to wszystko zupełnie nierealne, sezam z obłąkanych snów żarłoka, i nic dziwnego, że powątpiewam w prawdziwość tych widoków. — Więc myśli pan, że to wszystko zjedzą? — Ma się rozumieć, jutro po kościele zaczniesz poprawiny i przyjdą różni, że dziś nie byli! No co, to już teraz pani wie, jak się w Polsce obchodzi wesela?

— Wiem i jestem osłupiała, po prostu brak mi słów. — Jak państwo zgromadzili taką masę prowiantu, w tym rzeczy, których w żadnym sklepie nie można dostać? — Gospodarz śmieje się zadowolony. — O, my to wszystko zwozili ze dwa miesiące i tu upychali. My wszędzie jeździm, mamy swojaków i krewniaków gdzie należy, więc wszystko da się zrobić. Ten wielki tort, dla przykładu, to na ciężarówce przyjechał z Lublina, mniejszy z Białegostoku, a szynkowa kiełbasa z Radomia. Różnych innych rzeczy nie pamięta, bo brat, szwagrowie i siostry je tu znosili i składowali. A eksportowy towar? Oho, to już słodka tajemnica! W każdym razie jak się ma chody, to wszystko jest do zrobienia. Umieją się ludzie u nas w Polsce bawić, nie? Tak się u nas żyje, pani wie?

Teraz już wiem, a jakże. Żegnam się i wychodzę oszołomiona, myśli trudno zebrać. Oto paradoksy życia w ubożuchnej Republice Ludowej! A gdzie podziałyby się nasze domy, samochody, zagraniczne wojaże, paczki wysyłane do kraju i urlopy na Zachodzie naszych krewnych z PRL, gdybyśmy tak spróbowali poucztować na zamożnej przecież emigracji? I z tego osłupienia omal nie przepuszczam — jak powiadają tubylcy — pekaesu. Roztrzęsiony wehikuł wyrzuca mnie pod ratuszem, pod tym chłopem — symbolem miasta — co dźwiga worek kartofli, i stąd mam ładny spacer do domu. Z otwartych okien mieszkańcy obserwują spóźnionych przechodniów, kilku panów sunie zygzakiem na miękkich nogach, a na rogu, gdzie skręca się do pałacu, cała ich grupka obejmuje się chwiejnie i wymienia siarczyste buźki — równie nieodzowni w tym nocnym krajobrazie, jak koty skradające się na ugiętych łapach, by od granicy cienia szurnąć w czeluści bram i podwórek. Za rynkiem robi się coraz ciemnej, latarnie stoją tu jeszcze rzadziej, a wielkie drzewa alei pograżają drogę w gęstym mroku. Na rogu, gdzie kończy się pałacowy ogród i zaczyna park, mieści się jeden z towarzyskich centrów miasta, a mianowicie świetnie zaopatrzona budka z piwem studzonym w lecie, grzanym zimą, przy której od świtu do późnej nocy kłębi się tłum panów w wieku robotczym i niechlujnej przyodziewie. Niektórzy lubią przyklepać się do przechodniów, toteż bardzo nie lubię tędy chodzić jak się ściemni. Ale tym razem mam szczęście, przemykam niezauważona mimo gwarne go zbiegowiska i klombu za budką. Na tym klombie, w nieprzebranych ciemnościach, ktoś tłumi się jak hipopotam, rozgłośnię jedzie do rygi i w przerwach powtarza umęczonym głosem: — K.... twoja mać! K.... twoja mać! — Tutaj już park rozpoczyna się na dobre, pod nawistymi konarami droga idzie jak w tunelu, białe ściany pałacu mignęły w głębi i zgasły, a przede mną zaczyna przebłykiwać jezioro z wysepką

i altaną. Onego czasu sielankowy ogród nie mógł przecież istnieć bez niego, a teraz zarasta go ziele i żaby wodzą się jak w gęstej zupie. Miejsce to ma od dawna rozrywkowe tradycje, może więc nic dziwnego, że piwna budka stoi tam właśnie, gdzie niegdyś wznosiła się ostatnia — piąta — brama tryumfalna, przy której boginie Ceres i Flora witały króla Stasia recytacją panegiryków, z ratuszowych ganków hucznie im wtórowała dworska kapela, wszystko zaś zagłuszały armaty walące z radości w okna Panu Bogu. Park pełen był w te dni najpiękniejszych panien respektowych za nimfy poprzebieranych, bogiń wychodzących z grot dla wygłoszenia pochwalnych wierszy, Turczynek, Greczynek i pasterek z barankami na wstęgach. Po krętych alejkach jechał chiński kupiec, co na afrykańskim osle przywiózł z Nowego Świata ananasy JKMci w darze. Mufti wyszedł z meczetu na powitanie, Sybilla przepowiedziała długie i szczęśliwe panowanie. Nie zabrakło oczywiście chatki pełnej szczęśliwych dzieci Natury, pejzanów, którzy przyjęli monarchę tańcem, pieśnią gminną i lemoniadą czerpaną wprost ze studni. Nad jeziorem odegrano komedię z wielkim spektatorów ukontentowaniem, a na koniec, jak już się ściemniło, wspaniałe fajerwerki długo biły w niebo ku podziwieniu całego miasta, chrześcijan i Izraelitów, a także szlachty tłumnie zebranej na gościnnych pokojach księżnej pani. Być może pito też przy tym piwo i spłacano dług Naturze, nikt wszelako by się nie odważył wykrzykiwać na klombie o tej maci, co z niej taka k...a, a tym bardziej wystawić wulgarnej budki wśród pałacowych gazonów. Ale rozrywkowe tradycje tych miejsc przetrwały do naszych czasów, nic dziwnego, że wolę przemknąć na palcach drugą stroną drogi, bo po co się niepotrzebnie narażać? I tak kończy się dzień bogaty w niezwykle przeżycia.

Nazajutrz późnym wieczorem wracam pełna wrażeń, staropolskiej gościnności i spirytusu z malinowym sokiem, obdarzona przez krajanów workiem pięknych jabłek i kopą jaj prosto od kury. Bogu dzięki że ciotka Mania czeka na stacji, a to nie dałabym rady z całym tym kramem. Ciotka jest zmęczona, oczy podbite jak u chorej — pojęcia nie mam, o której ostatniej nocy wróciła do domu, a dziś była od rana na poprawinach. Pytam o wieści z weselnego frontu i widzę, że nawet ją zmogło aż zapomina o dobrych manierach. — Jeszcze ładują! — stęka ze zgrozą i dodaje, że ona również dotąd czegoś takiego nie widziała. — Jak to człowiek potrafi tyle wchłonać?! — powtarza w osłupieniu. Po wstępnej, wczorajszej, uczcie miejscowi rozeszli się koło trzeciej nad ranem, a przyjezdni padli gdzie bądź by się trochę przespać. Nazajutrz całe towarzystwo udało się na sumę, bo to niedziela i musowo pod grzechem ciężkim,

po czym zaraz zasiedli do stołu, no i dotąd pchają, choć po młodych już śladu nie zostało, zaraz po południu wyjechali do tego Radomia. Tak, zgadza się: piwnica prawie już pusta, ale dla mnie starczy. Proszą, żebym zaraz przyszła nadrobić, co straciłam przez ten wyjazd. Oczywiście jeśli mam na tyle odwagi!

A więc: ludzie umieją się u nas bawić. Dwadzieścia tysięcy wbijają w krzyże, młodym w prezencie, i ani nie mrugną. Bateria flaszek, zwały poledwicy, kury, wieprze i bigosy — co zjesz, powiadają, to twoje. Piwnica jak po przejściu Tatarów, choć biedny Stasio nie mógł pomóc, tak nieporęcznie mu wypadło do tych Czechów. Pani Eliza uśmiecha się dobrotliwie, obserwując z zaświatów swych aktorów. Młodożęncy śpią na kocu i nakrywają się paltami — może za dziesięć lat zdobędą jakie M-3, albo nawet — kto wie — M-4, i wreszcie będzie gdzie powiesić ślubny portret w złotych ramach, wachlarze fotek gołutkich bobasków na kudłatej skórze, co się w międzyczasie gdzieś kątem porodzą i dorosną do wyanielenia w dzień pierwszej komunii. A, póki co, może będzie wojna, mąki i zapalek znów w mieście zabrakło. No to siulim: na lewą rączkę, na prawą nóżkę! Eee, jak się ma te znajomości i chody, i wie gdzie porozmieszczać wziątki, to wszystko da się zrobić: domek raz-dwa nakryć dachem, przywieźć tort-*monstre* z innego województwa i spuścić żyzny deszcz eksportowych puszek. Przyjemnie imponować zagranicznikom, co się tu przypadkiem zaplatali. Tak się u nas żyje w tej Polsce kochanej, pani wie?

Grażyna NOWAK

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

## Archiwum polityczne

### Amerykańska "Ostpolitik" i wnioski

Według ogłoszonych danych wojna w Wietnamie kosztowała do tej pory podatnika amerykańskiego 120,000 milionów dolarów. Nas interesują jednak nie koszty lecz zupełnie inny problem.

Dlaczego walczący z komunizmem południowy Wietnam nie budzi sympatii?

Powstańcy węgierscy w roku 1956 budzili w całym świecie powszechną sympatię i podziw — choć wówczas nikt nie miał zdurzeń, jak to się skończy.

Powstańcy węgierscy i w kłesce cieszyli się sympatią i współczuciem społeczeństw zachodnich, natomiast w komentarzach radiostacji zachodnio-europejskich trudno dopatrzeć się cienia sympatii dla wojsk sajgońskich. Nikt mnie nie przekona, że prasa zachodnia z miłości do Sowieców i z nienawiści do Ameryki — nie potrafi wykrzesać z siebie cienia entuzjazmu dla sprawy Sajgonu.

Osobiście, odnoszę się również z największą niechęcią do rządu sajgońskiego. Lecz przyczyny mojej niechęci wywodzą się z innego źródła. Uważam, że południowi Wietnamczycy dyskredytowali w oczach świata opór przeciwko komunizmowi.

Na powstanie węgierskie Amerykanie nie wydali nawet 120 dolarów — nie mówiąc o 120,000 milionach dolarów. Gdy płonął Budapeszt na niebie węgierskim nie pojawił się ani jeden samolot amerykański. W Wietnamie setki amerykańskich samolotów najnowocześniejszej produkcji — biorą codziennie udział w akcji przeciwko komunistom z północy. Sajgon miał wszystko to, o czym Węgrzy nawet marzyć nie śmieli.

Historia *containment* czyli powstrzymywania komunizmu — nie zna sytuacji równie uprzywilejowanej jak ta, jaka przypadła w udziale Sajgonowi. Takiej klauzuli największego uprzywilejowania w polityce *containment* nie uzyskał żaden z ujarzmionych przez komunizm narodów europejskich. W mniej uprzywilejo-

wanej sytuacji są nawet Niemcy zachodni, ponieważ nie otrzymali zapewnienia, że lotnictwo i marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych będą bezterminowo do ich dyspozycji. Natomiast Sajgon otrzymał zapewnienie zarówno od prez. Nixona jak i sekretarza Stanu Rogersa, że siły morskie i lotnicze USA będą zawsze (nie określono terminu) wspierały południowy Wietnam w jego walce przeciwko komunistycznej agresji.

Północny Wietnam nie otrzymał tego rodzaju czeku *in blanco* od Sowietów. Moskwa dostarcza wojskom Hanoi zaopatrzenie i sprzęt wojenny. Zwłaszcza najnowsze działa sowieckie o niespodziewanie dalekim zasięgu — przyczyniły się walcnie do klęski trzeciej dywizji sajgońskiej na froncie północnym.

Jest oczywiste, że rząd Hanoi jest uzależniony od pomocy sowieckiej. Lecz pomoc materiałowa nie gwarantuje zwycięstwa. Działa same nie strzelają, czołgi same nie atakują. Trzeba dzielnych i wytrwałych żołnierzy, którzy gotowi są ów sprzęt użyć w strategicznie najwłaściwszy sposób.

Armia Sajgonu posiadała nieograniczone wsparcie lotnictwa i wojennej marynarki amerykańskiej — posiadała w nadmiarze najlepszy sprzęt amerykański — posiadała fachowych wojskowych doradców amerykańskich nie tylko na szczeblu dywizji lecz nawet na szczeblu kompanii. Czego więc temu wojsku nie dostawało w maju br.?

Nie dostawało mu wartości, której Pentagon nie był w stanie dostarczyć. W socjologicznym żargonie amerykańskim ów niedostatek określa się terminem *lack of motivation*. Mniej naukowo, lecz niemniej ściśle, można to ująć w dwóch słowach: brak celu.

Reżym sajgoński jest skorumpowany, awanse oficerów — zwłaszcza wyższych stopni — odbywają się na zasadzie protekcji i kumoterstwa, kwitną na niebywałą skalę łapownictwo i nadużycia. Tego typu stosunki w Azji nie są zresztą nowością ani rzadkością. O ile jednak komunizm w Chinach i w północnym Wietnamie jest purytański i korupcję, łapownictwo i przekupstwo identyfikuje z „moralnością burżuazyjną” — o tyle demokracja typu amerykańskiego z zasadą *free enterprise* sprzyja kontynuowaniu dawnych grzechów i przywar.

Powyższy aspekt zagadnienia — choć ważny i charakterystyczny — nie wydaje się jednak istotny w analizie „braku motywacji”.

Wydarzenia w kwietniu i w maju bieżącego roku wskazują, że Hanoi jest bardziej wietnamskie niż Sajgon. Akceptując powyższą przesłankę wypada stwierdzić, że choć nie istnieje w pełni niepodległy Wietnam to jednak reżym w Hanoi jest bardziej niezależny niż reżym w Sajgonie.

Polacy identyfikują demokrację z niepodległością a komunizm z satelictwem. W Europie powyższa identyfikacja znajduje pełne pokrycie w faktach, ale w Azji ten schemat nie zawsze obowiązuje.

Pozycji Hanoi nie można przyrównać do pozycji rządów reży-

mowych w Warszawie czy w Pradze; satelizacji Hanoi mogliby dokonać Chińczycy — co uniemożliwiają Rosjanie. Sowiety nie mogą w pełni podporządkować sobie Hanoi ponieważ północny Wietnam leży zbyt daleko od Rosji a zbyt blisko Chin. W rezultacie — choć wpływy rosyjskie są potężniejsze od chińskich — ani Moskwa ani Pekin nie mogą Hanoi wydawać bezpośrednio rozkazów. Północni Wietnamczycy bardzo zrećnie wygrywają powyższą sytuację.

Ktoś powie, że Sowiety mogą zagrozić Hanoi wstrzymaniem dostaw sprzętu wojennego. W rzeczywistości Rosja nie może zagrać tej karty, ponieważ każde zmniejszenie dostaw sowieckich oznaczałoby zmniejszenie wpływów sowieckich i automatyczne zwiększenie wpływów chińskich.

W przeciwieństwie do Hanoi, Sajgon nie znajduje się w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ nie może wygrywać jednego super-mocarstwa przeciwko drugiemu. Jest skazany na satelictwo, bo swą „niezależność” utrzymać może tylko za cenę akceptacji stałej amerykańskiej pomocy w powietrzu, na lądzie, i na morzu. Jak wynika z różnych wypowiedzi, nawet pozycja rządu i prezydenta południowego Wietnamu są *negotiable* — to znaczy zależą od kompromisu i przetargu jaki ewentualnie osiągnięty zostanie pomiędzy Waszyngtonem a Hanoi i Moskwą.

Być może ofensywa z północy zostanie odparta. Lecz nawet jeżeli tak się stanie — północny Wietnam po pewnym czasie podejmie nową ofensywę. Mijają dziesięciolecia a ów kontredans powtarza się w Wietnamie z przerażającą regularnością.

Wszystkie partie komunistyczne zaczynają od purytanizmu a kończą na korupcji. Komuniści północno-wietnamscy znajdują się w fazie purytańskiej i dlatego armia Hanoi nie cierpi na *lack of motivation*.

Wszystko co do tej pory powiedziano stanowi tło i przesłankę dla następujących wniosków.

I. — Południowy Wietnam, Laos, Kambodża itd. — nie mają żadnej szansy utrzymania niezależności bez stałej, bezterminowej, aktywnej pomocy militarnej ze strony Stanów Zjednoczonych.

I. — Gdyby celem polityki Stanów Zjednoczonych była budowa imperium — Amerykanie musieliby być przygotowani na bezterminowe utrzymywanie baz i wojsk w strategicznych punktach globu. Jak wiemy, budowa imperium nie stanowi celu polityki amerykańskiej.

III. — Należy uznać dziś za pewne, że równoczesne powstrzymanie komunizmów zarówno sowieckiego jak i chińskiego przekracza możliwości nawet Stanów Zjednoczonych. Trzeba więc zdecydować, który z komunizmów stanowi większe zagrożenie.

Sowiety są wrogiem i partnerem Stanów Zjednoczonych. *Special Relationship* łączący oba super-mocarstwa polega na tym, że tylko Rosja i Ameryka posiadają możliwości zniszczenia się

nawzajem. Nie ulega wątpliwości, że jest to stosunek szczególnie i bez precedensu.

Jest rzeczą naturalną, że w takiej sytuacji obie strony dążą z wielką ostrożnością do ograniczenia zbrojeń nuklearnych i pedantycznie unikają bezpośredniej konfrontacji.

W aspekcie polityki wielkomocarstwowej nie rozpatrujemy alternatywy — czy Wietnam będzie sferą wpływów amerykańskich czy sowieckich. Byłaby to alternatywa fikcyjna, ponieważ Amerykanie szukają koncepcji, która chroniłaby ich twarz i zapewniła powrót jeńców amerykańskich, co umożliwiłoby im wycofanie się raz i na zawsze z Wietnamu. W gruncie rzeczy wszyscy Amerykanie, łącznie z prez. Nixonem, marzą o tym by wreszcie wydobyć się z wietnamskiej matni.

Wybór dotyczy innej alternatywy, a mianowicie: czy Wietnam będzie sferą wpływów sowieckich, czy sferą wpływów chińskich, co wiąże się bezpośrednio z kwestią: jeżeli nie można powstrzymać obu komunizmów — któremu należy przyznać pierwszeństwo? Czy w Azji i na terytoriach tzw. trzeciego świata należy powstrzymać Sowiety czy Chiny?

Nim odpowiemy na powyższe pytanie wypada podkreślić, że Amerykanie za wszelką cenę winni unikać polityki, która wypycha Chińczyków w ramiona Rosjan. Jednym z celów polityki amerykańskiej winno być pogłębianie rozdzwieku sowiecko-chińskiego a nie budowanie mostów pomiędzy Moskwą a Pekinem.

W chwili gdy piszę te słowa jest zbyt wcześnie na ocenę militarnej skuteczności blokady portów północnego Wietnamu. Według ocen rzeczoznawców wojskowych upłyne wiele tygodni zanim armia północnego Wietnamu zacznie odczuwać braki spowodowane zmniejszeniem dostaw sowieckich. Natomiast już 11 maja br. w prasie chińskiej ukazało się oficjalne oświadczenie w którym rząd pekiński potępił Amerykanów i zapewnił Hanoi o pełnym poparciu Chin dla północnego Wietnamu.

Prezydent Nixon uważa, że gwarancje amerykańskie utraciłby wiarygodność gdyby Waszyngton dopuścił do upadku Sajgonu i całkowitej klęski armii południowo-wietnamskiej.

Lecz Wietnam jest kamieniem probierczym nie tylko polityki amerykańskiej. Zarówno Pekinowi jak i Moskwie zależy również na *credibility* ich polityki i obietnic. Nie wydaje się możliwe, by Chińczycy bez utraty twarzy mogli dopuścić do upadku sąsiedzkiego i pobratymczego rządu komunistycznego. Chińczycy nie mają nowoczesnego skomplikowanego sprzętu wojennego, jakiego północnemu Wietnamowi dostarczali Rosjanie. Pekin dysponuje natomiast najliczniejszą armią lądową świata. Przesunięcie kilku czy kilkunastu dywizji chińskich do północnego Wietnamu nie przedstawiałoby większych trudności.

Wiadomo jak obce wojska przychodzą — ale nigdy nie wiadomo jak i czy wyjdą. Wietnamczycy zdają sobie z tego sprawę równie dobrze jak Polacy. Sądzę, że rząd w Hanoi zgodziłby się na udział jednostek armii chińskiej w obronie kraju tylko w ostateczności, w obliczu klęski.

Wydarzenia w pierwszej dekadzie kwietnia br. wydają się wskazywać, że prez. Nixon podejmując blokadę portów północno-wietnamskich — ryzykował znacznie mniej niż byliśmy skłonni przypuszczać. Moskwa na zaminowanie portów zareagowała czysto propagandowo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa została powiadomiona wcześniej o zamierzonej blokadzie. Po dokładnym rozważeniu całej sprawy przywódcy sowieccy musieli dojść do wniosku, że w sensie polityki, prestiżu i propagandy lepiej jest mieć Nixona w Moskwie niż odwołać jego wizytę. Nikt nie byłby bardziej zadowolony z odwołania wizyty prezydenta USA w stolicy Rosji niż Chińczycy.

Rosjanie mają konkretne powody życzyć sobie ponownego wyboru prez. Nixona. Z administracją Nixona Sowiety prowadzą całą serię rokowań i na olbrzymią skalę zakrojone rozmowy gospodarcze. Lecz istnieją jeszcze i inne powody. Prawicowcy na Kremlu wolą rozmawiać z prawicowcami w Białym Domu. Reakcyjniści na Kremlu najłatwiej znajdują wspólny język z reakcjonistami na Zachodzie. Konserwatyści zachodni nie myślą bowiem o zmiekczeniu komunizmu czy o aranżowaniu wiosny w Pradze czy w Warszawie. Mają na uwadze zawsze *business* a nigdy ustrój.

Podsumowując sytuację w Indochinach należy jeszcze raz podkreślić, że „wietnamizacja”, która potrzebuje permanentnego wsparcia lotniczego i morskiego Stanów Zjednoczonych nie jest propozycją realną.

Amerykańska *Ostpolitik* musi być dualistyczna, ponieważ Sowiety są nie tylko partnerem Ameryki lecz również jej głównym rywalem. Dlatego podtrzymując dialog na szczeblu oficjalnym — wszędzie tam gdzie nie mogą utrwalić swoich własnych baz i strefy wpływów — mając do wyboru Chiny czy Rosję — Amerykanie winni zawsze wybierać Chiny. Jeżeli Wietnam, Laos, Kambodża — nie mogą trwale pozostać w sferze wpływów amerykańskich — w interesie Stanów Zjednoczonych jest by te kraje znalazły się w sferze wpływów chińskich a nie sowieckich.

Chiny nie są, i w dającej się przewidzieć przyszłości nie będą globalnym rywalem Ameryki. Jeżeli sukcesorami Amerykanów w Indochinach i na innych obszarach azjatyckiego „trzeciego świata” mieliby być Rosjanie — oznaczałoby to z jednej strony ich ogromne wzmocnienie a z drugiej strony ogromne osłabienie Chin. Amerykańska *Ostpolitik* na obszarach Azji winna dążyć do pogłębiania rozłamu pomiędzy Moskwą a Pekinem i do wzmocnienia pozycji Chin dopóki Chiny są antysowieckie. Byłoby katastrofalnym błędem ze strony Ameryki dopomóc Sowiетom do otoczenia Chin. Tak postępując, Amerykanie popieraliby *de facto* tę frakcję w Chinach, która myśli o wyrównaniu stosunków pomiędzy Moskwą a Moskwą.

Nikt na świecie nie jest potencjalnie bardziej zdolny przyczynić się do ewentualnej restauracji sojuszu sowiecko-chińskiego niż błędna amerykańska polityka azjatycka.

Poświęciłem sporo miejsca i uwagi Indochinom, ponieważ amerykańska *Ostpolitik* jest jedna, i błędy popełnione w południowo-wschodniej Azji wywołałyby bezpośrednie reperkusje w Europie. Gdyby Rosji udało się albo Chiny wyizolować albo z Chinami choćby częściowo się porozumieć — ton polityki sowieckiej w stosunku do Europy uległby natychmiast zmianie.

Dla każdego z nas Europa to przede wszystkim Polska. Zaczniemy więc od pytania: co amerykańska *Ostpolitik* ma do zafierowania Polsce?

Pytanie to jest tym ważniejsze, że przed kilku tygodniami na łamach jednego z pism emigracyjnych stwierdzono co następuje: „Ci, którzy taki zarzut nam stawiają, powinni przede wszystkim wyjaśnić czy istnieje jakakolwiek sprzeczność między interesami polskimi i amerykańskimi?”

Niestety, pomiędzy naszymi interesami a amerykańskimi interesami istnieje sprzeczność podstawowa. Dla Polaków sprawa polska jest alfą i omegą wszelkiej politycznej działalności. Dla polityki amerykańskiej sprawa polska w ogóle nie istnieje.

Amerykańska *Ostpolitik* nie dąży do zmiany *status quo* w Europie, lecz przeciwnie, dąży do odprężenia i współpracy z Sowietami za cenę upewnienia Moskwy, że Stany Zjednoczone nie zamierzają nikogo wyzwać ani niczego zmieniać w Europie Wschodniej.

Legatem zimnej wojny z pierwszego okresu powojennego jest legenda, która głosi, że Ameryka — niezależnie od polityki Waszyngtonu — jest naszym „naturalnym” sojusznikiem. Owa legenda wywodzi się z wielu źródeł: 14 punktów Wilsona, „Polska Natchnieniem świata” itp., itd. Gdy *roll back policy* i koncepcja *liberation* utraciły w roku 1956 resztki wiarygodności — rzesze emigrantów polskich pracujących w instytucjach amerykańskich — szukając racjonalizacji dla swojej postawy i działalności — uchwyciły się jak tonący brzytwy legendy o „naturalnym” sojuszniku.

Bywały w przeszłości okresy, w których polityka polska była w znacznej mierze zbieżna z polityką amerykańską. Lecz nawet przy największym wysiłku imaginacji trudno jest twierdzić, że w roku 1972 interesy polskie pokrywają się z interesami amerykańskimi. Niektórym emigrantom wydaje się, że doktryna Trumana nadal obowiązują. Tę doktrynę, która 25 lat temu narodziła się w Waszyngtonie — pochowano w Moskwie w dniu 22 maja br. Okolicznościowe przemówienia nad „otwartą mogiłą” ogłosili na Kremlu panowie Nixon i Podgorny.

Istnieje jeszcze inne sprzeczności pomiędzy polityką amerykańską a niepodległościową polityką polską.

Waszyngton pertraktuje wyłącznie z sowieckim *establishment*'em. Nie stawiamy Amerykanom zarzutu z tego powodu — stwierdzamy tylko, że na tej drodze polskie interesy nie mogą być ani rozwiązywane ani obsłużone. sowiecki *establishment* może zawrzeć z Amerykanami takie czy inne układy, lecz Polsce nie przyzna nigdy niepodległości. Breżniew nie zgodzi się nawet

na semi-niepodległość czy na częściowo zdemokratyzowany komunizm, proponowany niegdyś przez Dubczeka.

Nie poprzez rozmowy z *establishment*'em sowieckim lecz poprzez zwalczanie sowieckiego reżymu mogą urzeczywistnić się przemiany w orbicie sowieckiej. Dopóki te przemiany nie nastąpią, Polska nie będzie ani demokratyczna ani niezależna.

Ludzie nie obznajomieni z przedmiotem — powiedzą, że to są mrzonki. Tak nie jest, ponieważ zachodzą duże przemiany.

Jak wiemy, w okresie drugiej Rzeczypospolitej Litwini, Ukraińcy, Białorusini byli wrogo nastawieni do Polski. Dziś sytuacja uległa radykalnej zmianie. Dawną wrogość coraz częściej zastępuje życzliwość, zainteresowanie i... oczekiwanie. Owe zmiany atmosfery nie spowodowali Gomułka czy Gierek. Te przemiany wywołał robotnicy polscy. „Wydarzenia grudniowe” odbiły się szerokim echem, a reżym sowiecki choć dokonał setek aresztowań — zwłaszcza na Ukrainie — nie zdławił narodowego ruchu oporu.

Chciałbym upewnić naszych Czytelników, że na innym szczeblu niż rokowania z sowieckim *establishment*'em toczy się stale i nieustannie polityka wyzwolenia, której trzon stanowi niepodległościowa polityka polska.

Jeżeli mówimy o legendach — to należy podkreślić, że odżyła polska legenda na Wschodzie, a jeżeli mówimy o naturalnych sojusznikach — to wypada stwierdzić, że naszymi naturalnymi sojusznikami są Ukraińcy, Litwini, Białorusini i rewolucyjni Rosjanie.

Być może, że jest to droga daleka — ale to jest droga jedyna.

Tak w Kraju jak i na emigracji istnieje bardzo małe zrozumienie tych spraw. Władze komunistyczne w Polsce utrzymują wyłącznie kontakty z *establishment*'em sowieckim — ignorując ruchy separatystyczne, narodowościowe i rewizjonistyczne w imperium sowieckim.

Antykomuniści polscy na emigracji zachowują się bardzo podobnie. Nie utrzymują wprawdzie kontaktów z sowieckim *establishment*'em — lecz analogicznie jak władze reżymowe w Polsce — ignorują naszych prawdziwych sojuszników na Wschodzie, wiążąc wszystkie nadzieje z „naturalnym” sojusznikiem Polski, tj. z Ameryką.

Choć jestem Polakiem zachodnim i życzę Zachodowi z Ameryką włącznie jak najlepiej — podkreślałem na tych łamach wielokrotnie, że tym razem na Zachodzie nie możemy szukać sojuszników. Zachodnio-niemiecka *Ostpolitik*, wizyta prez. Nixona w Moskwie, projektowana konferencja bezpieczeństwa europejskiego — wszystko to w gruncie rzeczy są koncesje na rzecz Sowietów. Wnioskuje się, że te koncesje upewnią Sowietów, że ze strony Zachodu nic im nie zagraża — co w konsekwencji doprowadzi do rozluźnienia „żelaznej kurtyny” i ożywionej wymiany handlowej.

Sowiety mają jeszcze inny cel na oku. Nie jest wykluczone,

że zachodni Europejczycy dojdą do logicznego wniosku, że Anglia, Francja czy Niemcy nie mogą być równorzędnym partnerem Rosji. Równorzędnym partnerem Sowietów mogłaby być tylko politycznie zjednoczona Europa Zachodnia. Sowiety pragną uprzędzić ten moment — ponieważ w interesie Moskwy leży, by nie było jednolitej zachodnio-europejskiej *Ostpolitik* — tylko mozaika dwustronnych umów i układów.

W dniu 15 maja br. w Oslo generalny sekretarz NATO, Dr Luns, ujawnił, że Sowiety produkują w rekordowym tempie łodzie podwodne o uzbrojeniu i napędzie nuklearnym, wypuszczając jedną łódź na miesiąc. Nie może być mowy o rzeczywistych negocjacjach rozbrojeniowych pomiędzy Sowietami, które są uzbrojone po zęby a Europą Zachodnią, która jest katastrofalnie niedoobroniona. W takiej sytuacji najmniejsze choćby ograniczenia zbrojeń ze strony Europy Zachodniej — byłyby w gruncie rzeczy koncesją na rzecz Sowietów.

Różnice pomiędzy nami a naszymi krytykami na emigracji nie dotyczą stosunku do sowieckiego *establishment*'u. Różni się w ocenie Stanów Zjednoczonych a nie w ocenie Breżniewa. Krytycy *Kultury* uważają, że Ameryka jest naszym sojusznikiem choćby Amerykanie na razie nie zdawali sobie z tego sprawy. Rozwój wydarzeń politycznych zmusi Waszyngton wcześniej czy później — do przyjęcia linii, która oznaczać będzie pełną zbieżność interesów polskich i amerykańskich.

W rzeczywistości rozwój wydarzeń nie zbliża lecz oddala Amerykę od Polski.

Jak zaznaczyłem powyżej istnieją na ziemi tylko dwa supermocarstwa, o stosunkowo wyrównanych potencjałach, zdolne zniszczyć się nawzajem. Przy obecnym stanie rozwoju technologii — pomiędzy obu tymi super-potęgami nie może być wojny, ponieważ żadne z nich nie byłoby zwycięskie.

Waszyngton i Moskwa — czy chcą czy nie chcą — muszą być partnerami i są nimi.

Partnerstwo nie wyklucza ostrej walki konkurencyjnej — bo tylko poprzez walkę można utrzymać równowagę sił i terroru, która gwarantuje bezpieczeństwo. Układ „atomowy” Nixon-Breżniew z 26 maja br. w niczym nie zmienia powyższego stanu rzeczy.

Partnerstwo zakłada unikanie konfliktowych sytuacji. Jeżeli konflikt zbrojny nie może przynieść opłacalnego zwycięstwa ani Rosji ani Ameryce — unikanie konfliktowych sytuacji leży w interesie zarówno Waszyngtonu jak i Moskwy. A przez konfliktową sytuację należy rozumieć zagrożenie dla istniejącej równowagi sił.

Otóż na przykład wyzwolenie Pragi spod sowieckiej okupacji w roku 1968 stanowiłoby bezpośrednie potencjalne zagrożenie dla miast amerykańskich.

Nie tylko emerytowani generałowie lecz i emigracyjni publicyści mają skłonność do rozważania ewentualnej trzeciej wojny

światowej w perspektywie drugiej wojny światowej. W roku 1945 Niemcy leżały w gruzach, lecz w Ameryce ani jeden dom nie został naruszony. Od tych czasów sytuacja uległa totalnej zmianie.

Był czas, że Stany Zjednoczone posiadały monopol atomowy. Był czas, że choć Rosja posiadała broń nuklearną — Waszyngton dysponował drugoczącą przewagą nad Sowietami. Ameryka nadal góruje nad Sowietami lecz Moskwa zdobyła już dawno możliwość odwetowego nuklearnego uderzenia (*second strike ability*). Innymi słowy, nawet gdyby Ameryka uderzyła pierwsza równając z ziemią wielkie sowieckie centra przemysłowe — sowieckie łodzie podwodne patrolujące po oceanach świata byłyby zdolne przeprowadzić straszliwy odwet atomowy, którego ofiarą padłyby miasta amerykańskie.

Bronie nuklearne osnuto setkami artykułów tak apokaliptyczną wizją, że przeciętny konsument gazet odnosi się do tej sprawy tak jak do biblijnej zapowiedzi końca świata. Być może po milionach lat zgaśnie słońce i nastąpi koniec wszystkiego — lecz my nie mamy powodu ani brać tego w rachubę ani się tym przejmować.

Lecz zupełnie inne podejście do broni atomowych mają przywódcy polityczni na Kremlu i w Białym Domu. Dla nich jest to zagadnienie wiecznie obecne, konkretne — zagadnienie, które wywiera bezpośredni wpływ na kształtowanie bieżącej polityki zagranicznej.

Z powyższych przyczyn reżym Dubczeka — choć niepomiernie bardziej zasługiwał na pomoc — pomocy nie otrzymał a skorpumpowany reżym sajoński otrzymuje pomoc od dziesiątków lat. W przeciwieństwie do reżymu Dubczeka — poparcie reżymu w Sajgonie nie groziło bezpośrednią konfrontacją z armią sowiecką.

Polska znajduje się w jeszcze gorszej sytuacji niż Czechosłowacja, ponieważ posiada bardzo długą granicę z Sowietami. Dlatego choćby w ogniu powstania płonęły miasta polskie — Ameryka nie udzieli Polsce nawet jednej dziesięciotysięcznej tej pomocy jakiej przez lata udzielała Sajgonowi.

W sumie należy stwierdzić, że amerykańska *Ostpolitik* na teatrze europejskim jest czysto defensywna. Strategia defensywna zakłada obronę a nie zmianę *status quo*.

Niniejszy artykuł nie stanowi krytyki polityki amerykańskiej. Byłoby rzeczą śmieszną i naiwną oceniać politykę Stanów Zjednoczonych według kryterium jej zbieżności czy sprzeczności z interesami polskimi. Krytykuję natomiast postawę tych Polaków, którzy swój lojalizm w stosunku do Waszyngtonu posuwają dalej niż Gierek swój lojalizm w stosunku do Moskwy.

Liczenie na Amerykę, teorie o amerykańskim „naturalnym” sojuszniku, głoszenie opinii, że jesteśmy sojusznikami Ameryki nawet wbrew woli Ameryki — wszystko to dezorientuje emigrację i opinię w Kraju.

Polska polityka wschodnia winna opierać się na następujących przesłankach:

Choć upłynęło niemal 30 lat od zakończenia wojny — pozycja Rosji w Europie Wschodniej jest bardzo słaba. Jest to ciągle *de facto* okupacja wojskowa. W żadnym z krajów satelickich Sowiety nie zdołały zjednać sobie większości społeczeństwa. Obrócili przeciwko sobie jedyne szczerze prorosyjskie społeczeństwo jakim byli Czesi i Słowacy. Carska Rosja miała Czartoryskich, Wielopolskich, Lednickich — całą gamę Polaków którzy wierzyli w możliwość, nie kolaboracji, lecz współpracy polsko-rosyjskiej. *Establishment* Kosyginów i Breżniewów nie wyprodukował ani jednego Wielopolskiego — ponieważ stalinowcy na Kremlu nie są zainteresowani niezależnym polskim prorosyjskim programem. Stalinowcy nie pragną Polski sojuszniczej — chcą mieć Polskę satelicką. Ze stalinowcami nie może być żadnych rozmów.

Lecz Breżniew to nie jest Rosja, tak jak Szelest nie był Ukrainą. Musimy prowadzić politykę niepodległościową na szczeblu podziemnym. Wszystkie wielkie przemiany — zwłaszcza w Europie Wschodniej — przygotowywane były wbrew *establishment*'owi i pod powierzchnią oficjalnie obowiązującego porządku rzeczy.

Na całym świecie nawet najmniejsze narody domagają się samostanowienia i wolności. W okresie ubiegłych 4 lat obserwowaliśmy zrywy wolnościowe w Czechosłowacji, krwawą rewoltę robotniczą w Polsce, ogromne wzmoczenie ruchów narodowościowych w Związku Sowieckim, które spowodowało represje na Ukrainie, na Litwie i Kaukazie. Ruch wolnościowy w samej Rosji jest nieliczny w sensie ilościowym, lecz przyciąga coraz więcej intelektualistów i inteligentów. W Rosji zawsze tak było. Przemiany detonowała inteligencja, której pozycja społeczna jest nieporównywalna z pozycją inteligencji we Francji czy w Anglii. Z tej przyczyny opinia na Zachodzie podziwiała Sołżenicyna lecz Sołżenicynom nie przypisuje ich właściwego znaczenia, ponieważ polityczny wyznacznik intelektualnych drożdży jest zupełnie inny w Rosji niż na Zachodzie.

Ponieważ nowoczesna technologia powoduje nieznaną w dziejach akumulację władzy — w społeczeństwach wzrasta gwałtowna reakcja przeciwko władzy. Byłoby źle gdyby społeczeństwo amerykańskie nie protestowało gwałtownie przeciwko wojnie w Wietnamie — ponieważ jest to zjawisko ohydne. Najpotężniejszy naród świata całą swoją najnowocześniejszą technologią miażdży mały, ubogi, zapóźniony w rozwoju naród azjatycki. Od początku wojny Amerykanie zrzucili na Wietnam 6 milionów ton bomb. Wietnamczyków giną dziesiątki tysięcy lecz w tej rzeckomej krucjacie antykomunistycznej nikt nie liczy trupów wietnamskich. Chodzi natomiast o to, by przypadkiem nie zginął jakiś marynarz sowiecki, choć wszelki antykomunizm zacząć by trzeba podobno od zwalczania Sowietów.

Ktoś powie, że to jest demagogia. To jest niezaprzeczalna

prawda — a prawda nigdy nie jest demagogią nawet jeżeli komuś jest niewygodna.

Wzrost gwałtownych reakcji społecznych, które obserwujemy na całym świecie jest reakcją na akumulację władzy. Rządy dysponujące aparaturą nowoczesnej technologii nigdy nie posiadały takiej władzy jaką posiadają obecnie. Lecz ta sama technologia, która wzmacnia władzę rządów wytwarza uniwersalizm komunikacyjny. Ow uniwersalizm sumuje sprzeciw i protest tak — że dziś żadne ognisko oporu nie jest izolowane.

Stare, doświadczone narody — jak Anglicy czy Francuzi — rozegrają stopniowo i ewolucyjnie ów konflikt pomiędzy coraz potężniejszymi i coraz zachłanniejnymi biurokracjami a coraz lepiej oświeconymi i coraz bardziej niecierpliwymi masami społecznymi.

W orbicie sowieckiej kanały procesu ewolucyjnego mogą się okazać zbyt wąskie. Przewiduję również, że ruchy narodowościowe odegrają w imperium sowieckim większą rolę niż idea rewolucyjna. Bunt i protesty wyrażają zawsze najsilniej odczuwaną potrzebę. Dla Ukrainca, który patrzy na masową rusyfikację i przesładowanie pisarzy, poetów, patriotów ukraińskich — najważniejszym i najbardziej palącym postulatem jest niezależność narodu.

Nie mamy sojuszników na Zachodzie, lecz nie jesteśmy sami. Sowietom potrzebna jest europejska konferencja bezpieczeństwa ponieważ czują się niepewnie w Europie Wschodniej. Dziś nie byłoby już izolowanego zrywu na wzór powstania węgierskiego. Sytuacja uległa znacznej zmianie od roku 1956. Poważniejsze „wydarzenia” w krajach satelickich, a zwłaszcza w Polsce, zdetonowałyby prawdopodobnie wrzenie w innych krajach ujarzmionych oraz w republikach sowieckich.

W roku 1968 można było wmawiać Rosjanom, że za Dubczkiem stoi neo-hitlerizm i imperializm zachodniemiecki. Lecz dziś, po ratyfikacji traktatu Bonn-Moskwa, trudno byłoby wystąpić z analogiczną interpretacją.

Doktryna Breżniewa funkcjonuje sprawnie pod warunkiem, że wybuch jest zlokalizowany w ramach jednego satelickiego państwa. Gdyby pożar objął kilka państw satelickich i kilka republik sowieckich — doktryna Breżniewa straciłaby swój sens i zastosowanie.

Istnieje inna Polska niż ta, którą reprezentuje Gierek, istnieje inna Rosja niż ta, którą reprezentuje Breżniew — istnieją inne Czechosłowacje, Ukrainy i Litwy.

Chciałbym przekonać obywateli „innej Polski”, że w izolacji nie zdziałają niczego. Polacy nie mają dziś szansy zdobycia w izolacji „wewnętrznej wolności” poprzez zdemokratyzowanie ustroju i wymuszenie na Moskwie uznania nowego stanu rzeczy. Podkreślam ten punkt, ponieważ nawet obywatela „innej Polski” — przez program wschodni rozumieją rozmowy i ewentualne układy z Moskwą przy całkowitym ignorowaniu Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów. To jest kardynalnie błędna



przesłanka, która gdyby została przyjęta — przekreśliłaby w zarodku jakikolwiek polski program wschodni. Musimy dziś planować a w przyszłości działać w ścisłym porozumieniu z prawdziwą Ukrainą, z prawdziwą Litwą i z prawdziwą Białorusią. W moim przekonaniu ci z nas, którzy domagają się zwrotu Wilna i Lwowa — oddalają perspektywy wyzwolenia Polski na czas nieokreślony. Ponieważ dziś — jak nigdy przedtem w naszych dziejach — potrzebujemy sojuszników na Wschodzie i żadna cena nie jest zbyt wysoka, by zdobyć ich zaufanie i przyjaźń.

Wiktor Zorza na łamach *The Guardian* zauważył, że w Moskwie spotkało się dwóch najpotężniejszych konserwatystów świata — Nixon i Breżniew.

Łączy tych panów nie tylko chęć zachowania pokoju, lecz również zdecydowana wola przeciwstawienia się ruchom postępu i reform społecznym.

Kongres Wiedeński był podobną godziną triumfu konserwatywności i polityki zachowawczej. Lecz dziś wiemy, że ów triumf przyspieszył wybuch ruchów narodowych i socjalnych.

Tym razem będzie podobnie. Jestem pewien, że jeszcze wiek XX-ty będzie świadkiem Wiosny Ludów nie tylko w Warszawie i w Pradze, lecz również w Kijowie i w Moskwie.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

## Natolina za grobem zwycięstwo

Kiedy w 1956 roku obóz reform demokratycznych stał się w Polsce z konserwatywnym skrzydłem aparatu partyjnego, tzw. Natolinem, i pokonał go przeciągając na swoją stronę Gomułkę, mało kto mógł przypuścić, że 15 lat później w PZPR zwycięży kurs polityczny idealnie pokrywający się z тезami Natolińczyków.

Program ten sprowadzał się do:

- 1) Polityki ustępstw wobec klasy robotniczej w celu łagodzenia jej niezadowolenia;
- 2) bezwzględnego podporządkowania się Rosji i aktualnej linii KPZS;
- 3) twardego kursu wobec intelektualistów, ograniczenia wolności myśli, kultury a także Kościoła katolickiego;
- 4) utajonego i dyskretnego, ale bezwzględnego antysemityzmu;
- 5) nieprzeprowadzania żadnych poważniejszych reform politycznych i gospodarczych w kraju.

Obecne kierownictwo PZPR po wydarzeniach grudniowych 1970 roku musiało przez kilka miesięcy zachowywać wobec opi-

nii publicznej pozory liberalizacji, ale już od jesieni 1971 roku wróciło do kursu, który jest niczym innym jak wiernym powtórzeniem programu Natolina. Jest to już jednak pozagrobowe zwycięstwo Natolińczyków. Najbardziej eksponowani przedstawiciele tej grupy, jak Aleksander Zawadzki czy przyjaciel osobisty Gierka, Bolesław Rumiński — nie żyją, a inni, jak członek Politbiura Władysław Kruczek czy ambasador w Moskwie Zenon Nowak — przeżywają ostatnie lata swej kariery przed bliską emeryturą.

Mieczysław Moczar, „silny człowiek” PRL lat sześćdziesiątych, wprowadził do rządzącej biurokracji partyjno-państwowej młode pokolenie dawnych ZMPowców, głównie pochodzenia chłopskiego. Generał odszedł, ale młodzi pozostali. Pozostali i przejęli program natoliński. Fanatyczni nacjonałiści przemienili się w niezłomnych internacjonalistów. Program był bowiem dla nich rzeczą wtórną, przypadkową. Chodziło zawsze, tylko i wyłącznie, o władzę, wpływy i przywileje dla rządzącej biurokracji.

W partii komunistycznej zawsze zwycięża aparat. Jeśli nie realizuje się potrzeb społecznych musi się popaść w niewolę biurokracji. Taki też los spotkał Edwarda Gierka i jego grupę śląską, stanowiącą dziś trzon kierowniczy PZPR.

Pierwszą rzeczą jaką zrobił Edward Gierek gdy po październiku 1956 roku przyszedł jako I-szy sekretarz KW do Katowic, było porozumienie się z Natolińczykami. Ten sam manewr powtórzył w Warszawie już jako I-szy sekretarz KC po grudniu 1970. Gierek poszukał więc oparcia w oddanym Rosjanom Jaroszewiczu i resztkach grupy natolińskiej. To pozwoliło mu utrzymać się na stanowisku I-szego sekretarza i rozprawić się z Moczarem. Nawiasem mówiąc nawet najbliżsi przyjaciele generała mówią, że dwa razy stracił on całkowicie głowę, gdy teoretycznie był o krok od władzy: w marcu 1968 roku i w grudniu 1970 roku. Jest pewne, że Moczar stracił głowę i nie umiał sięgnąć po stanowisko szefa partii, ale nie to było główną przyczyną jego porażki. Na Moczara nigdy nie zgodziliby się Rosjanie. Moczar występując z programem (w najbrzydliejszej formie) nacjonalistycznym, był z góry na pozycjach straconych. Komunizm narodowy, podobnie jak demokratyczny, jest dla Rosjan nie do przyjęcia. Przykład rumuński nauczył ich, że nie wolno do tego dopuścić. Nie należy się łądzić co do szans którejkolwiek z tych dwóch możliwości rozwojowych na Wschodzie. Szczególnie teraz po nowej Jańcie, podziale stref wpływów. Rosjanie „swego” nie popuszczą. Chyba żeby zostali zmuszeni przez zmianę układu sił na świecie czy wewnętrzne załamanie systemu — ale to już inna sprawa.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Moczara. Niewątpliwie przegrał i ośmieszył się. Jego akcja olsztyńska, która zmusiła Gierka do nagłego przyjazdu z Pragi do Olsztyna, nie była żadnym zamachem stanu. Któż w ogóle robi zamach stanu w Olsztynie? Odsunięty generał chciał zrobić demonstrację swoich zwolenników i w ten sposób wrócić na arenę publiczną. Ale czujni i

wierni Gierkowi Szydłak i Babiuch uprzedzili szefa partii, który sam pojawił się w Olsztynie. Moczar mógł zaledwie pokazać się w jego świecie. Politycznie był już w tym czasie skończony. Zaś plany „zamachu stanu” Matejewskiego były po prostu mrzonkami króla waluciarzy PRL'u. Szlachcic kontrolował Bezpiekę, a Jaruzelski wojsko. Obaj byli z Gierkiem — któż w tym stanie rzeczy mógł mu zagrozić.

Moczar się skończył, ale nie lekceważmy jego roli w historii PRL'u. On zmienił obraz socjologiczny partii: odnowił klasę biurokratyczną, przerobił ją na chłopską i Zetempowską. Ci zaś, którzy go zdradzili stanowią nadal najsilniejszą część aparatu i największą liczebnie frakcją w PZPR. Najlicniejsza frakcja nie ma jednak największego wpływu. O to postarali się też towarzysze sowieccy. Sparzyli się na Moczarze i dmuchają na zimne. Chcą realizować w Polsce swój własny program a nie linię jednej z frakcji — wiecznie skłóconej i kłopotliwej dla nich polskiej partii. Tego właśnie mają pilnować Jaroszewicz, Kruczek, Nowak i ci wszyscy szlachetni towarzysze z KC, którzy informują Rosjan zawsze wcześniej i bardzo dokładnie co „stanie” na porządku dziennym Politbiura. Zaś nowa ambasada jest jak nowa miotła: zamiata bardzo dokładnie. Pilnuje bardzo wnikliwie. Kontroluje już teraz całe życie partyjne i państwowe. Wciela doktrynę Breżniewa w Polsce. Baczy by Polska była prowincją, nieprzysparzającą Moskwie tych kłopotów i nieprzyjemności, które wynikały z homeryckich walk frakcyjnych za czasów Gomułki i Moczara.

Główną cechą współczesnej Polski jest całkowite uzależnienie jej od ZSSR. Nie ulega wątpliwości, że Gomułka miał większy margines wolności niż Gierek. Pozycja Gierka w ruchu komunistycznym jest zresztą nieporównanie słabsza niż ta, którą cieszył się Gomułka. Gierek ze swoją grupą śląską jest więc wzięty niejako we dwa ognie. Z jednej strony pilnują go „mężowie zaufania” ZSSR, a z drugiej naciskają przywódcy dogmatycznej biurokracji, ci którzy poświęcili Moczara, żeby ocalić siebie.

Gierek jest więc w sytuacji arcytrudnej: nie ma pola manewru. Do narodu odwołać się nie może. W partii dwie części aparatu: „radziecka” i „zetempowska” nie sprzyjają mu, chcą go kontrolować i ograniczać.

Obie te grupy wiedzą jednak, że przynajmniej tymczasem nie mogą Gierka usunąć. Na razie nie ma alternatywy politycznej Gierka. Dla Rosjan jest on zawsze lepszy od Olszowskiego czy Szlachcica. Sami zaś Rosjanie nie mają dziś swojego kandydata wygodniejszego dla nich od Gierka. Jaroszewicz, choć mówi że „rząd ma być rządem”, może być od biedy premierem ale nie I-szym sekretarzem. Ten małozdolny, jakoś skromny i dość rozsądny, zawsze jednak całkowicie oddany ZSSR człowiek, zaczął od oświadczenia, że jest premierem przejściowym. Powiedział to do licznie zgromadzonych dziennikarzy partyjnych. Osobiście pozostał nadal skromny, ale „ktoś” sprawił, że walczy

o niezależność rządu od partii. Byłoby to nawet ciekawe, gdyby nie to, że niezależność rządu ma służyć zahamowaniu reform gospodarczych, które chcieli podjąć Gierek i Szydłak. Wszystkie wróble na dachach Warszawy świegocą, że reform tych nie życzy sobie Związek Sowiecki. Syjamski brat Gierka z dni grudniowych 1970 i styczniowych 1971 — Jaroszewicz — okazał się tylko i wyłącznie *porte-parole* Sowietów. A towarzysze sowieccy mają swoje powody, żeby do poważniejszych reform w Polsce nie dopuścić. Boją się złego przykładu decentralizacji dla siebie samych. Gdyby nastąpiło to w Warszawie, to na przykład taki Kijów zażądałby decentralizacji dla Ukrainy. To są faktyczne przyczyny dla których sławna „komisja Szydłaka” do spraw reformy państwa i gospodarki okazała się górą, która urodziła mysz. Pospiesznie też komisję zlikwidowano ograniczając się do eksperymentowania reformy w tak zwanych przedsiębiorstwach pilotujących. Nikt jednak nie wie ile tych pilotów będzie w skali ogólnokrajowej i jak długo mają trwać ich eksperymenty. W ogóle w sprawach reform gospodarczych nic już teraz nie wiadomo poza tym, że partia chciała, a rząd nie. Rząd wygrał z partią, rzecz zdawałoby się niesłychana. Ale to tylko Wielki Brat załatwił za nas nasze sprawy.

Otoczenie Jaroszewicza i ludzie z prezydium rządu mają zresztą swoje racje. Plan jest napięty, konsumpcja w kraju musi wzrastać jeśli ma nie dojść do nowego wybuchu, a reformy musiałyby kosztować. Jest w tym ziarno prawdy, ale jest to też myślenie na bardzo krótką metę. Bez reform system znów zacznie w najbliższym czasie trząść w szwach. Czy Rosjanie znów zechcą dopłacić do tego interesu, jak to podobno dziś obiecują? Jedno jest pewne: ekonomiści są dzisiaj najbardziej sfrustrowanym środowiskiem społecznym. Ręce im opadły. Teraz nie wiedzą już zupełnie co mają robić. Wicepremier gospodarczy, Jagielski, pływa sobie po staremu w mętnej wodzie, prof. Pajestka boi się własnego cienia i bawi się grą pozorów, a strategią gospodarczą zajmuje się ograniczony półinteligent Kowalczyk, zrobiony ku ogólnemu pośmiewisku sekretarzem KC. Jedyne go człowieka w KC, który coś niecoś z problematyki gospodarczej rozumiał — Kuzińskiego — usunięto na podrzędne stanowisko w GUS'ie, choć, żeby się uratować poświęcił niejedną rozsądną myśl.

Obraz ten jest rozpaczliwy. Sytuację ratuje tymczasem szczęście Gierka: dwa ostatnie lata Gomułki były latami klęski złych urodzajów. Dwa pierwsze lata Gierka przyniosły doskonałe urodzaje. Polska zarobiła nieźle na węglu (strajk węglowy w Anglii), chwyciła trochę z korzystnych koniunktur w handlu międzynarodowym. Słowem koniec z końcem jakoś się wiąże, ale jest to wszystko na bardzo krótką metę.

Gierek, tam gdzie może, stara się robić rzeczy rozumne. Dba o podaż rynkową artykułów konsumpcyjnych, zaczął z pewnym rozmachem politykę mieszkaniową, popiera spółdzielczość mieszkaniową, zarzucił antymotoryzacyjną politykę Gomułki. Otwo-

zenie granic z NRD, szereg posunięć w polityce społecznej, stworzenie bodźców skłaniających ludzi do oszczędzania na samochód czy mieszkanie (urzędy skarbowe otrzymały polecenie nie interesowania się skąd na to ludzie mają pieniądze) i jeszcze pewna ilość podobnych posunięć świadczy, że grupa śląska w kierownictwie PZPR próbuje nie dać za wygraną.

Czy jednak Gierek wie od czego zależą jego losy i realność jego programu? Z pewnością I-szy sekretarz nie myli się uwzględniając w swych rachubach przede wszystkim decydującą rolę Moskwy. Wprowadzanie w życie doktryny Breżniewa jest dziś najważniejszym procesem, trwającym w krajach Europy Wschodniej. Gierek idzie posłusznie po tej linii.

Ale przypomnijmy, że Gomułka miał bardzo długo zaufanie i poparcie ZSSR a w pewnym momencie Rosjanie poświęcili go bez chwili namysłu. Poświęcili go nie tylko dlatego, że nie umiał środkami politycznymi zlikwidować wybuchu na Wybrzeżu, że był już sklerotycznie uparty i robił głupstwa. Rosjanie zrezygnowali z Gomułka dlatego, że przestał on kontrolować partię, której był szefem. Orgia rozgrywek partyjnych przywiodła PZPR na kraniec katastrofy. Nawet gdyby nie było wypadków na polskim wybrzeżu musiałyby dojść do przesilenia politycznego i upadku Gomułka. To była tylko i wyłącznie kwestia czasu.

Otóż Edward Gierek półtora roku po objęciu władzy jest nadal bardzo daleki od opanowania sytuacji w partii. W znacznej mierze przegrał Zjazd partii jeśli idzie o personalia wybranych tam władz. Wielu bliskich mu ludzi nie weszło do KC na tak zwanych pełnych członków. W większości zostali oni zastępcami członków KC lub też uplasowano ich w aparacie partyjno-państwowym. Na szczytach partii i w jej aparacie nadal trwa walka frakcyjna choć jest bardziej skomplikowana i bardziej utajona niż w okresie poprzednim. W tej zakulisowej walce Gierek ponosi poważne porażki. Nie potrafił usunąć z Komitetu Warszawskiego Kępy. Pozwolił wyłuskać sobie z Prezydium rządu oddanego mu Kraśkę, a z sekretariatu KC jedyne chyba „liberała” w kierownictwie PZPR — Tejchmę. Większość nominacji na stanowiska partyjno-rządowe w ostatnich miesiącach ma dla Gierka wymowę bardzo niekorzystną.

W polityce kadrowej znów święci triumfy zasada odsiewu elementu najwartościowego. Awansują najmniej zdolni i najbardziej ulegli. Front Narodowy jest nadal drażniącą wszystkich fikcją. Sytuacja bezpartyjnych w niczym się nie zmieniła: kierownicze funkcje mogą sprawować jedynie partyjni dyktanci a nie bezpartyjni fachowcy. Stan prasy polskiej, cenzury, ruchu wydawniczego i życia umysłowego budzi zgrozę. Nacisk Rosjan w tej dziedzinie nie jest mniejszy niż w sprawach gospodarczych, ale tu Gierek nie zdobywa się na żaden opór. Propagandę oddał zupełnej miernocie, jaką jest Łukaszewicz. Zaś kreatury w rodzaju Kąkola, Walichnowskiego, Bronisławskiego, Krasickiego, Kolczyńskiego czy Fillera odgrywają nadal dominującą rolę w prasie i ośrodkach opinii publicznej.

Wielkim wstrząsem dla tejsze opinii były wybory do sejmu, które Gierek mógł znakomicie wykorzystać dla zdobycia sobie społeczeństwa. Wszyscy jednak stracili złudzenia znajdując na listach poselskich nazwiska „ciemniaków” typu Klafkowskiego, Jaremy Maciszewskiego, Menclewskiego. Środowisko literackie ze wzruszeniem ramion przyjęło postów: Osmańczyka, Żukrowskiego czy Załuskiego.

Wszystkie te głupstwa nie wynikły z nacisku Rosjan. Tu już Gierek ulega tylko własnej biurokracji. Ulega tak jak ulegał Gomułka. Jest to niebezpieczna droga, która, jak wiemy z przeszłości, może łatwo doprowadzić do katastrofy. Szansa Gierka zależy od tego czy potrafi kontrolować swoją własną partię, czy dokona zmian kadrowych od KC poczynając a na komitetach powiatowych i zakładowych kończąc. Polską z pewnością nadal będzie rządziła biurokracja partyjno-rządowa. Rzecz w tym, *jaka* i *czyja* będzie ta biurokracja. Od tego zależy nie tylko przyszłość Gierka ale również szansa minimalnych choćby reform i odrobiny zdrowego rozsądku w polityce PRL'u.

Może ktoś spytać czy *Kultura* nie ma większych zmartwień jak powodzenie Edwarda Gierka. Oczywiście nie o jego osobę tu idzie lecz o program minimum sensowności w kraju. Sytuacja tam zaś jest taka, że w partii nie ma liczącego się politycznie skrzydła liberalnego czy też demokratycznego. Dlatego Gierek jest „nadzieją”. Jest to bardzo smutne, ale taka jest naga prawda.

Prąd ideowy idący przez młodszą część społeczeństwa, to nie jest już rewizjonizm lecz ostry antykomunizm, bardzo często o zabarwieniu nacjonalistycznym. Moczar — wówczas — z gorącym poparciem Rosjan dość skutecznie rozprawił się z nurtem lewicowym i liberalnym w Polsce. Oczywiście nurt ten nie znikł i nie zaginął, lecz jest w głębokim impasie. Odrodzenie jego wymagać będzie pewnego czasu.

Tymczasem nastroje opozycyjne i antykomunistyczne rosną, ale coraz częściej znajdują prawicowy i nacjonalistyczny wyraz. Zresztą bardzo podobne procesy można obserwować w Rosji, na Ukrainie i w innych krajach „obozu”.

Partia będzie miała olbrzymie kłopoty z nastawioną opozycyjnie młodzieżą. Także robotnicy nie popuszczą niczego z tego, co uzyskali po grudniu 1970 roku. Dlatego rzeczywistość polska jest w gruncie rzeczy bardzo podminowana. Jeśli ta sytuacja w Polsce potrwa dłużej, nastąpi nowa seria wstrząsów i wybuchów. Jest to tylko kwestia czasu, zbiegu różnych przypadkowych okoliczności, no i w pewnej mierze zależy od sytuacji międzynarodowej.

Uniknąć wstrząsów można by tylko drogą poważnych reform politycznych i gospodarczych, a nie nawrotem do programu Natolińczyków.

Marcel DUPONT

## Widziane z Brukseli

### Charaszo czyli OK

Od czasu odejścia Józefa Językoznawcy Dżugaszwili ze światowej sceny naukowej nie było w Moskwie wydarzenia lingwistycznego na skalę epoki. Ale nadeszło. W dniu podpisania dokumentów wieńczących wizytę Nixona, rewelacyjne odkrycie lingwistyczne — jak to potwierdza znany flamandzki językoznawca porównawczy prof. W. S. — wstrząsnęło nauką światową. Jak wiadomo, panowie Nixon i Breżniew z taką szybkością podpisywali w Moskwie rozmaite porozumienia i układy, że wpadli w nawyk i w pewnym momencie, zgodnie z teorią odruchów warunkowych prof. Pawłowa, wzięli się za podpisywanie nawet serwetek stołowych. Otóż każdy taki akt podpisania czegoś, kończył się obustronnym westchnieniem oraz, ze strony amerykańskiej zawołaniem *O Kay*, a ze strony sowieckiej zawołaniem *Charaszo*. Tłumacze natychmiast przekładali oba westchnienia i zawołania, ale mieli trudności z wiernym oddaniem ich sensu. Aż panowie Nixon i Breżniew musieli sami, tu znowu wpadną w nawyk, wziąć sprawę we własne ręce. I wzięli. Skutecznie. Ostatniego dnia, kiedy podpisali już wszystko co można było podpisać Nixon westchnął i wykrzyknął *Charaszo*, a Breżniew też westchnął i zawołał, z lekka tylko zaciągając, *O Kay*. Po czym obaj panowie radośnie podali sobie ręce i wyściskali się, dumni ze swego decydującego wkładu w usuwanie językowych pułapek, utrudniających szybkie porozumienie się ich ludów.

To odkrycie językowe stanowi jedyny, jak dotąd, niewątpliwie pozytywny i gołym okiem widoczny rezultat tej historycznej podróży. Wszystkie inne wyniki wyjdą dopiero w praniu. Nie będę się dziś nimi zajmować, tym bardziej, że uprzedzono mnie, iż panowie Mieroszewski i Kruczek już się tym tematem zainteresowali i że ja, jako młodszy stażem, powinienem ustąpić. Co z żalem i właściwą mi skromnością czyniąc, nie mogę jednak pozbawić się przyjemności przyjrzenia się przykazaniom obwieszczonym w Moskwie przez pryzmat niektórych okoliczności towarzyszących, czyli sprawdzić jak tu czy ówdzie litera ma się do zycia.

Podpisana w Moskwie „deklaracja zasad” czyli taki superpotężny *savoir-vivre* liczy ok. 1.000 słów, składa się ze wstępu i 12 przykazań. Każdy z tych punktów jest niesłychanie ważny i zasługuje na równie baczną uwagę. Ale choć wszystkie przykazania są równe, to jednak niektóre, dla mnie przynajmniej, są równiejsze.

### „Szczególna odpowiedzialność”

Przykazanie nr 3 głosi:

„Stany Zjednoczone i ZSSR ponoszą szczególną odpowiedzialność... i powinny czynić wszystko co w ich mocy, aby zapobiec zaognianiu się konfliktów i sytuacji wzmagających napięcie międzynarodowe. Oba państwa dołożą wspólnie wysiłków, aby stworzyć warunki, w których wszystkie kraje będą mogły żyć w pokoju i bezpieczeństwie i nie będą narażone na obce ingerencje w ich sprawy wewnętrzne...”

W Hanoi co pół godziny ogłasza się alarm lotniczy. Ludność jest już wyewakuowana. Z wyjątkiem koniecznych specjalistów i obsługi urzędów, wszyscy opuszczają stolicę. Z wielką precyzją przy pomocy bomb elektronowych atakowane są cele wojskowe oraz fabryki, mosty, elektrownie. Zdarzają się naturalnie pomyłki i zginęli od bomb cywile, a także zburzone zostały szpitale i domy mieszkalne. Miny skutecznie blokują dostęp do portów i grożą uduszeniem Wietnamu północnego.

W Wietnamie południowym, miasta Hue, dawna stolica cesarska, Kontum na centralnym płaskowyżu i An Loc, położone o 100 km od Sajgonu, przestały już faktycznie istnieć. Codziennie spada na nie od 500 do 1.500 rakiet i pocisków artyleryjskich, wystrzelonych przez ściągniętą tu artylerię Wietnamu północnego. Ludność, jeżeli przeżyła obstrzał i bombardowanie, ucieka w panice, jeszcze bowiem pamięta masowe egzekucje dokonywane na ludności Wietnamu południowego przez wkraczające wojska z północy i oddziały partyzanckie. Po raz pierwszy pojawiły się w akcjach na te miasta nowe 130 mm. działa produkcji ZSSR, wyjątkowo precyzyjne i skuteczne.

W porcie Haifong zablokowanych zostało ok. 30 statków handlowych, w tym aż trzy polskie. Nie mogło naturalnie obyć się bez ofiar. W czasie akcji minowania rozbił się helikopter z admirałem USA na pokładzie. Z kolei zginął od bomby w Haifongu Jurij Siergiejewicz Jatow, marynarz ze statku „Grisza Akopjan”. Został on (marynarz a nie admirał) pośmiertnie odznaczony wietnamskim „Orderem Pracy” I klasy. Galina Kamnawa, stewardessa ze statku „Pewek” odleciała już do Moskwy, ale bez lewej, amputowanej nogi. Prasa wietnamska poświęca sowieckim ofiarom amerykańskich bombardowań pełne wzruszenia wspomnienia, oddając hołd „bohaterskim towarzyszom broni” i sławiąc „szlachetne uczucia internacjonalizmu”. Równocześnie prasa wietnamska demaskuje „rozbijacki i oszukańczy manewr imperialistyczny” jakim była wizyta Nixona w Moskwie. „Arcy agresor, międzynarodowy opryszek, potwór łaknący krwi, wściekły pies, następcza Hitlera i Churchilla” oto tylko niektóre z określeń jakich w czasie jego pobytu w Moskwie prasa wietnamska użyła pod adresem Nixona.

Nie trzeba chyba podkreślać, że — z ważnych i zrozumiałych

względów dyplomatycznych — nie tylko przytoczona tu charakterystyka Nixona, ale nawet doniesienia o śmierci marynarzy sowieckich, nie zostały ogłoszone w prasie moskiewskiej. Jeden tylko admirał amerykański trafił na szpalty *Prawdy*.

„Oznaki słabości ośmielają tylko agresora” — wołał *Nan Dan*, centralny organ komunistów wietnamskich.

„Poprawa stosunków sowiecko-amerykańskich leży w interesie pokoju świata i stanowi triumf leninowskiej polityki zagranicznej” — podała tego samego dnia *Prawda*, organ komunistów sowieckich.

„Pomyślmy o Tani, o wszystkich Taniach... uczynimy wszystko co w naszej mocy, aby już nigdy żadne dziecko nie musiało podzielić losu Tani, aby wszystkie dzieci świata mogły przejść przez życie w pokoju i przyjaźni” — powiedział p. Nixon w telewizji moskiewskiej, wspominając — głęboko przejęty — groby dzieci poległych podczas hitlerowskiego oblężenia Leningradu.

Trójka dzieci, która zginęła wraz z matką w An Loc nie wiadomo czy od amerykańskiej bomby czy od sowieckiego pocisku nosiła imiona: Hoang, Hai i Thoa.

### *Tutsi i Hutu*

Nie wiem natomiast jakie imiona noszą dzieci w Burundi. W każdym razie ta była kolonia belgijska nie jest krajem, który „żyje w pokoju i bezpieczeństwie”. Według urzędowego sprostowania rządu Burundi ogłoszonego w stolicy Burumdzura, zginęło tam w ciągu ostatniego miesiąca nie 100.000 osób „jak podaje wroga prasa”, a tylko 50.000. Pan pułkownik Micombero, dostojny prezydent Burundi, kazał zwyczajnie wymordować jak najwięcej swych obywateli, którzy urodzili się w plemienu Hutu. Plemię to stanowi 85 procent ludności Burundi, nie uczestniczy jednak w sprawowaniu władzy ani w wynikających z tego korzyściach. Władza bowiem spoczywa wyłącznie w rękach ludzi z plemienu Tutsi, które, jak łatwo obliczyć, stanowi tylko 15 procent mieszkańców kraju. W tych warunkach zdarza się, że Hutu co jakiś czas protestują, a nawet, jak ostatnio, przeciwstawiają się temu podziałowi. Ponieważ jednak nie dysponują żadnym legalnym środkiem protestu (Burundi ma bowiem ambicje przejścia bezpośrednio z epoki kamienia łupanego w rozwinięty socjalizm, gdzie takie środki, jak wiemy, nie są potrzebne), więc oczywiście dochodzi do wybuchów.

Jak zwykle w takich wypadkach, spór „klasowy” i społeczny napędzany jest nienawiścią plemienną. Najpierw więc Hutu masakrowali Tutsi, a potem Tutsi wzięli czarny dosłownie odwet, tym koszmarniejszy, że Hutu było pod dostatkiem i że byli oni bezbronni. Ale choć mordowano na ślepo, to jakiś Tutsi, może sam pułkownik Micombero, jednak myślał, więc likwidowano przede wszystkim tych Hutu, którzy mieli jakieś wykształcenie, albo którzy je właśnie zdobywali. Całymi cięża-

rówkami wywożono więc ciała pomordowanych uczniów, to znaczy dzieci plemienia Hutu, aby nie mogły nigdy zapragnąć władzy czy godności i wyższych stanowisk. Jezioro Tanganika spłynęło krwią. Ludobójstwo w Burundi przewyższa, zdaniem fachowców, hekatombę Biafry, a wyniszczenie Hutu jest rażącej niższości od samosądu na ludziach plemienia Ibo w Nigerii.

Rządy zachodnie zgodnie oświadczyły, że wszystko jest w porządku, albowiem „nie ingerowały w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa Burundi”. Po oznajmieniu, że według wiarygodnych danych zginęło ok. 100.000 czarnych, rząd belgijski, który faktycznie utrzymuje Micombero, ogłosił, że 2.500 obywateli belgijskich żyjących w Burundi, jest całych i zdrowych i że w trybie pilnym rozważy w świetle wydarzeń w Burundi „aspekty pomocy gospodarczej dla tego kraju”.

### *Tanie z Tel-Awivu*

Nie wiem jak nazywają się dzieci Tutsi i Hutu. I nie wiem jak nazywały się dzieci portorykańskie i izraelskie, zamordowane na lotnisku Lod pod Tel-Awivem. Ale i tam trudno powiedzieć, aby „oba mocarstwa ponoszące szczególną odpowiedzialność” zrobiły „wszystko co w ich mocy” aby wszyscy „żyli w pokoju i bezpieczeństwie”. To co się stało na lotnisku w Lod przeniosło nas w inny w ogóle wymiar. Koszmarny absurd albo absurdalny koszmar, Kafka skrzyżowany z Arabalem. Jak inaczej nazwać chwilę, kiedy katolicy pielgrzymi z Portorico giną w Izraelu od sowieckich kul, wystrzelonych przez japońskich faszysto-goszystów w imię arabskiej Palestyny, w akcji zorganizowanej przez najbardziej hałaśliwe ugrupowanie fedainów, którzy jednak sami przezornie nie brali w niej udziału. A wszystko to nazywa się rewolucją, mającą przywrócić ojczyznę milionowi arabskich uchodźców, którzy od lat wegetują i zdychają w obozach i bidonwilach na terenie krajów, zbijających na handlu naftą miliardy, ładowane jednak przede wszystkim w luksus i uzbrojenie. Żadna idea nie wytrzyma takiego delirium. Nazajutrz po masakrze w Lod i po zamordowaniu pielgrzymów, bagażowych i celników, uchodźcy nadal zdychają w obozach, a Palestyna arabska jest bardziej odległa niż przedtem. Świat zawrzał, nowe Tanie zginęły, izraelska, portorykańska, arabska...

A jak zareagowała Moskwa, to przecież z jej karabinów maszynowych strzelali obłąkani Japończycy, to przecież rządy i prasa jej „socjalistyczno-mahometańskich” sojuszników: kairskie, irackie, syryjskie, wychwalają ten „zbrojny czyn japońskich bohaterów arabskiej rewolucji”. Żadna siła nie przeszkodzi szaleństwu, ale na czym ma polegać „szczególna odpowiedzialność” wielkich mocarstw za pokój świata, jeżeli nie są one w stanie, i nic nie robią, aby zapobiec mordowaniu nowych Tań, wychwalaniu i legalizowaniu zbrodni.

A co powiedzą Rosjanie, kiedy turyści z Moskwy zostaną wy-

strzelani w Atenach z amerykańskich karabinów maszynowych przez komunistów z partyzantki greckiej? A co powiedzą Amerykanie, kiedy zaczną ginąć od amunicji chińskiej, wystrzelwanej np. przez partyzantów baskijskich w Hiszpanii? A co zrobią oba „ponoszące szczególną odpowiedzialność” kraje, kiedy Izrael postanowi zlikwidować ośrodki mordujące Tanie na cywilnym lotnisku w Lod? Po co podpisywać uroczyste zobowiązanie do „uczynienia wszystkiego w celu zapobieżenia zaognianiu się konfliktów”, kiedy nie mają one zastosowania właśnie tam, gdzie jest najgoręcej. Zupełnie jak z tym pijanym, która szuka zapalniczki nie tam gdzie ją zgubił, a tam gdzie jest jasno. Gdzie kończy się racja stanu, a zaczyna zwyczajny cynizm?

*„Bardzo niewygodnie jest współżyć ze słoniem”*

Przykazanie nr 11:

*„Stany Zjednoczone i ZSSR nie domagają się dla siebie żadnych szczególnych praw ani przywilejów w dziedzinie rozstrzygania spraw światowych i nie uznają żadnych wymagań z innej strony w tym zakresie. Uznają one suwerenną równość wszystkich państw...”*

Premier kanadyjski Trudeau oświadczył niedawno, że „bardzo niewygodnie jest współżyć ze słoniem. Najmniejszy jego ruch przewraca cały nasz porządek”. Z jednym słoniem jest trudno współżyć (Polacy coś wiedzą na ten temat), a co dopiero z dwoma.

Min. Harmel, założyciel szkoły dyskretnego kompromisu w dyplomacji, powiedział o zakończonej niedawno Radzie ministerialnej Paktu Atlantyckiego w Bonn: „Była to jedna z najkrótszych i najprostszych sesji NATO”. A p. Luns, znany z dowcipu sekretarz generalny NATO, dodał: „Sesja zakończyła się pełnym sukcesem, o czym świadczy jej zwięzłość”.

I rzeczywiście. Już na długo przed sesją wiadomo było, że p. Rogers nie może wysiedzieć do końca, bo musi być w Warszawie aby podpisać konwencję konsularną z PRL, że p. Schumann też nie może, bo musi być na posiedzeniu rządu w Paryżu, że cała sesja i tak półtoradniowa będzie skrócona, osiercona i w ogóle bez sensu. Wszystko bowiem co jej zostało do zrobienia, to nie pyskować, a tylko „krótko, prosto i zwięźle” przyjąć do łaskawej wiadomości decyzje podjęte w Moskwie przez panów Breżniewa i Nixona, szefów państw, które „nie domagają się dla siebie żadnych szczególnych praw ani przywilejów”, a które za to „uznają suwerenną równość wszystkich państw”.

Widać, że jak u Orwella, są państwa — jedne bardziej inne mniej suwerennie równe. „Szybko, prosto i zwięźle” pogodziły się więc z faktem, iż — po tym jak przez całe lata nie można było dogadać się co do wstępnej formuły, porządku dnia, daty itp., konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Eu-

ropie, czy co do zasad negocjacji w sprawie redukcji sił zbrojnych — Nixon z Breżniewem w ciągu kilku kolacji załatwili we dwójkę cały interes.

Oczywiście w Bonn Rogers mówił z nieukrywaniem oburzeniem o naciskach Breżniewa, aby w ogóle wszystko załatwić we dwójkę i od razu z Nixonem, nie oglądając się na tzw. sojuszników i o tym, jak twardo Nixon takie pomysły odrzucał. Nie wiele to jednak zmieniło. Radzie Paktu Atlantyckiego pozostało więc tylko eleganckie sformułowanie „aktu zejścia”, co z właściwym wdziękiem i doświadczeniem uczynione zostało.

Jedynym przejawem „suwerennej równości” Zachodniej Europy była interwencja Francji na rzecz takiego zredagowania komunikatu końcowego, aby się, broń Boże, Rosja nie obraziła. Wyliminowano więc wszystkie niesmaczne aluzje do wolności i „równej suwerenności” państw socjalistycznych z Czechosłowacją na czele, lub też — niemniej nie na miejscu i pełne dwuznacznej treści — słowo „wolny” w odniesieniu do kontaktów ludzi i idei, co miało m.in. figurować na porządku dziennym konferencji.

Tak więc komunikaty oraz procedura Rady Paktu Atlantyckiego zaczynają coraz bardziej przypominać obrady Rady Paktu Warszawskiego, a samodzielność członków NATO — „suwerenną równość” państw obozu pokoju i socjalizmu.

### *Europy niet*

Oczywiście jeszcze nie jest tak źle, ale nie zaskakuje mnie gorycz Harmela czy wściekłość Spaaka, którzy tyle wysiłku włożyli w dzieło emancypacji Europy Zachodniej i w poszukiwaniu dotyczące sposobów współżycia z dwoma słoniami naraz. Harmel przejdzie do historii jako prorok, albowiem sesje NATO w tych warunkach muszą być „coraz krótsze i coraz prostsze”, a Spaak jako Cassandra, albowiem od dłuższego czasu — a jeszcze i ostatnio w świetnym artykule na łamach brukselskiego *Soir* bezskutecznie wołał: „Panowie, jest tylko jedno wyjście: Europa! I to szybko!”.

Ale Europy nie ma. I na razie nie będzie. Nie wiadomo nawet kiedy będzie. Niepotrzebnie prezydent Pompidou nakrzyczał na gości belgijskich. To nie ich wina. Premier Eyskens i min. Harmel pojechali do Paryża, aby się dowiedzieć co słychać w Brukseli, a tymczasem Pompidou powiedział, że jak się nie poprawią, to on wycofa zaproszenia na szczyt w Paryżu, bo nie warto wyrzucać pieniędzy, skoro pozostałych dziewięć państw „suwerennie równych” jest innego niż Francja zdania w niektórych sprawach i skoro cały interes europejski stoi w miejscu. Pan Pompidou zapomniał jedynie dodać, że to przede wszystkim z winy Francji, że to jej teoria „Europy ojczyzn”, że to jej idea sfederalizowania nie dynamiki europejskiej, a wszystkich wad narodowych i wszystkich małych nacjonalizmów, hamuje proces integracji.

Przykładem takiej niebezpiecznej zabawy była ostatnia sesja dziesięciu już, a jakże, ministrów spraw zagranicznych EWG w Luksemburgu. Jak na zamówienie odbywała się ona właśnie równocześnie z końcem wizyty moskiewskiej Nixona. Na tle makro-decyzji z Kremła, zabawne przekomarzenia się pigmejów w Kirchbergu (tak nazywa się siedziba EWG w Wielkim Księstwie Luksemburgu), gdzie wypadło przeciętnie po 5 minut dyskusji na głowę jednego ministra, wywołały u jednych wściekłość, u innych mdłość. W żadnej sprawie nie uzyskano postępu. Ani odnośnie rozszerzenia uprawnień instytucji wspólnoty, w czym właśnie Francja widzi zagrożenie dla swej „suwerennej równości”, ani w dziedzinie przygotowań do paryskiego szczytu, jako że najbardziej dla p. Pompidou niecierpiącą zwłoki obecnie sprawą europejską jest ustalenie siedziby sekretariatu politycznego EWG, który nie tylko jeszcze nie istnieje, ale nikt nie wie co miałby ten kolejny potworek eurokracji w ogóle robić.

Nic dziwnego, że zanim ministrowie EWG zakończyli spory o rozmaite duperele, to Breżniew z Nixonem wszystko załatwili. I po krzyku.

Trudno zresztą mieć do nich pretensje. Z perspektywy tych dwóch jedynych naprawdę „suwerennie równych” państw, spory Europejczyków, którzy w Kirchbergu czy gdzie indziej potrafią co najwyżej zintegrować produkcję twarożku, ale nie są w stanie uzgodnić żadnej poważniejszej sprawy politycznej, te spory mogą być zabawne, ale nie mogą przeszkodzić prawdziwej miłości. Tym bardziej, że głównym wrażeniem z luksemburskiej sesji aż dziesięciu ministrów była groźba dymisji przewodniczącego Komisji EWG Mansholta, protestującego przeciwko próbom — znowu przede wszystkim Francji — odizolowania komisji od dyskusji na temat przyszłości... EWG.

### *Prosit!*

W obliczu takiego rozpaczliwego przykładu nierozumnego użytku jaki można czynić z „równej suwerenności”, Breżniew powołując się na przykład Czechosłowacji, zaproponował Nixonowi swoją doktrynę i wynikającą z niej całkowity spokój ze strony „suwerennie równych” sojuszników. Ponieważ jednak była już późna pora i było zbyt wielu świadków, więc Nixon odmówił, ale zaproponował, aby na razie coś przekazać.

Skromny zaiste posiłek, ot, taki zwyczajny, jak w każdym kołchozie podany został w sali lustrzanej, zbudowanej jeszcze zanim Kolumb lekkomyślnie odkrył Amerykę. Sklepienie sali o motywach religijnych zostało odrestaurowane po zniszczeniu jej przez działa Napoleona. To tu właśnie carowie przyjmowali gości i oddawali się igraszkom, którym ze specjalnego „tajnego pomieszczenia” przypatrywała się caryca i kremłowskie dziewczki z wypiekami na twarzy. P. Breżniew był w czarnym garniturze, p. Nixon w granatowym, w paski.

Menu było następujące (informacje mam z pierwszej ręki od jednego z dwudziestu dziennikarzy dopuszczonych na salę, nie w celach konsumpcyjnych naturalnie, który przysięgał, że w swojej bogatej karierze jeszcze takiego stołu nie widział. Ale co on wie? On jeszcze nie był w kołchozie):

Zakuski, kawior, kraby, homary, zimne mięsa,  
bulion,  
ryba w sosie na białym winie,  
pieczeń cielęca,  
sorbety, ciasta,  
Napoje: wino białe, szampan i koniak.  
*Gaspada! Prosit!!!*

### *BRUKSELCZYK*

P.S. W powrotnej drodze z Moskwy p. Nixon z p. Kissingerem zatrzymali się na chwilę w Teheranie i w Warszawie. Choć oba epizody trwały każdy po 24 godzin, należy jednak podkreślić podstawowe różnice.

Po pierwsze w Teheranie powitały p. Nixona wybuchy bomb, a w Warszawie — wybuchy entuzjazmu tłumy oraz aria „100 lat”, po raz pierwszy szczerze śpiewana od roku 1956. Jest to jeszcze jeden dowód, iż prawdziwa miłość do Ameryki oraz prawdziwe bezpieczeństwo prezydentów USA istnieją tylko w krajach socjalistycznych.

Po drugie, w Teheranie agenci bezpieczeństwa chronili Nixona przed ewentualną akcją zamachowca, a w Warszawie — przed niewątpliwą sympatią mas. Robili to zresztą wyjątkowo nieudolnie i „goryle” Nixona umierali ze śmiechu na widok „obojętnych” przechodniów czy konsumentów małej czarnej w „Krokodylu”, na wyludnionym rynku Starego Miasta, których nic nie obchodził prezydent USA z wizytą w Warszawie. Ostateczny cios strategii opracowanej na Rakowieckiej zadała delikatna pani Pat Nixon, która wściekła zdeptała po prostu „żywy mur” tajniaków i fraternizowała się z serdecznie witającymi ją ludźmi w Łazienkach.

Po trzecie wreszcie, w Teheranie p. Kissingerowi usiadła na kolanach wybitna, przepięknej urody, kapłanka sztuki zwanej „tańcem brzucha”. W Warszawie, jedyną osobą, jaka mogła usiąść p. Kissingerowi na kolanach był p. Szlachcic. Obaj panowie odbyli bowiem, jak wynika z komunikatu PAP, dłuższe sam na sam. O czym była mowa, komunikat nie podaje. Można się jednak domyślać. Obaj ci wybitni politycy mają bowiem — jak wynika z ich biografii — podobne zainteresowania. Kissinger jest profesorem uniwersytetu i doradcą p. Nixona do spraw bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. P. Szlachcic jest generałem policji i doradcą p. Gierka do spraw bezpieczeństwa w PRL i zajmuje się również uniwersytetem.

B.



**TAZAB**  
22 ROLAND GARDENS LONDON SW 7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:  
TAZAB OF LONDON  
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003  
Telefon: ALgonquin 4-4160

## Sąsiedzi

### Strach

Kimże jesteśmy, żeby ponosić odpowiedzialność? Tylko patyczkami, niesionymi przez burzliwy, czasem opętańczy nurt dziejów. Niektóre patyczki umieją zręcznie lawirować — znajdują przystań, albo — unikając wirów — trafiają w główny nurt. Jak się komu poszczęści... Ale za to że potok niesie nas nie wiadomo dokąd, nie ponosimy przecież winy; czy znaleźliśmy się w nim z własnej chęci?

Wszystko to prawda i nieprawda jednocześnie... Najzwyklejszy ludzki patyczek ma w sobie tajemną moc: potrafi kierować potokiem. Patyczki same zechciały płynąć z prądem; trochę się tylko dąsały wpadając w wiry. Każdy z nas w jakiejś mierze uczestniczył w tym, co się stało, i nie warto odżegnywać się od odpowiedzialności. Byliśmy zupełnie bezsilni, ale zbyt łatwo dawaliśmy za wygraną, gdyż nie wiedzieliśmy czego należy bronić. Fatalnym okresem były lata dwudzieste, kiedy ludzie nie tylko uświadomili sobie swoją bezsilność, ale uważali ją za cnotę, i wszelki intelektualny, etyczny, duchowy opór uznali za przestarzały, śmieszny i bezsensowny. Opór ów stał się oznaką zafania — po co sprzeciwiać się temu co jest i tak nieuniknione? Przecież zarówno proces historyczny jak i kształt społeczeństwa są określone z góry. Każdy członek społeczeństwa jest jednostką statystyczną, patyczkiem, kropelką w nieskończoności podobnych sobie drobinek, składających się na świadomość zbiorową. Dwudziesty wiek odkrył świadomość zbiorową, wyposażył ją w rodzaj kryształków, obojętnych zarówno na dobro jak i na zło, i zaproponował bezkształtnej masie komórek, składającej się na społeczeństwo ludzkie, by płynęła za zwycięzcą. Zwycięzcą zaś jest ten, kto zorientował się w ogólnym kierunku historii i umie

Fragment z drugiego tomu „Wspomnień” Nadzieży Mandelsztam, który ukazał się ostatnio w języku rosyjskim w Paryżu, w wydawnictwie rosyjskim „Les Editeurs Réunis”.



go wykorzystywać. Jak wiadomo, nasi władcy umieli przepowiadać przyszłość nie przy pomocy fusów od kawy lecz naukowych metod, a także przy pomocy istotnie efektywnej metody zastraszenia i niszczenia nie tych, którzy byli winni lub stawiali opór, lecz pierwszych lepszych, by inni mieli nauczkę. W tym celu trzeba było wyedukować masę tak, by pokornie kroczyła za zwycięzcą, wierząc że ten wie dokąd płynie potok historii i umie nim kierować. Tłum wierzył i szedł zwartą ławą, a tym którzy się ociągali wymyślano od anarchistów, żalosnych indywidualistów i ignorantów, którzy nie umieją pojąć praw historycznego rozwoju. Jako mieszkańcy nadbudowy nie powinniśmy byli zanadto tupać nogami, aby hałas nie przeszkadzał w odpowiednim rozwoju bazy. Najlepszych mieszkańców nadbudowy zapraszano w goście do budowniczych bazy w celach agitacyjno-propagandowych.

Pokolenia, które dojrzewały przed wojnami — światową i domową — były przygotowane psychologicznie do rozumienia historii jako potoku mas ludzkich, podążającego w określonym kierunku i kierowanego przez tych, którym dana jest znajomość celu. Baza interesowała ich tylko dlatego, że zawsze odczuwali brak jedzenia i dóbr materialnych — łóżek, garnków, perkalu i jedwabiu. Porównanie procesu historycznego do rzeki niosącej różne śmiecie służy mi do podkreślenia poczucia żywołości i zupełnej bezsilności, doznawanego przez każdego człowieka wciągniętego w bieg wydarzeń. W czasach historycznej zawieruchy trudno jest, a czasem zgoła nie można, odmówić wzięcia udziału w biegu wypadków. Ludzie mający za sobą doświadczenie wojny przynieśli w pokojowe lata dwudzieste i trzydzieste teorię nie rzeki, lecz ruchu, którym można kierować. Teoria ta przypominała im wojsko, ale raczej manewry, niż działania wojenne, bo żaden wróg do nich nie strzelał, oni natomiast, korzystając z zaproszenia wodzów, a także z własnej inicjatywy, systematycznie unicestwiali wszystkich, którzy, ich zdaniem, mogli wyłamać się z szyku i zakłócić porządek. Celowość tego procederu nie budziła w nich najmniejszych wątpliwości. Dopiero pod koniec lat trzydziestych ten i ów poczuł, że liczba ofiar jest zbyt wielka. Ogromna większość nie podzieliła się swymi obserwacjami nawet z żoną; dzieci utrzymywano z reguły w stanie zupełnej niewiedzy. Poczawszy strach ludzie ci stali się jeszcze gorliwsi i posyłali do gazet artykuły i oświadczenia łączące tych, którzy zginęli; potem ginęli sami. Strach bierze, gdy się dzisiaj przerzucą gazety, w których ludzie przed własną zagładą przeklinają co siły tych, których już zdążono zgładzić. Był jakiś szatańsko przewrotny zamysł w tym, że przed aresztowaniem pozwalano im się zhańbić głosem chwały terroru.

Przyjmując za dobrą monetę analogię z oddziałem wojskowym, pokolenie czynne w życiu społecznym wyrzekło się — danej patyczkom — tajemnej mocy kierowania potokiem; a przecież cała europejska kultura była zbudowana właśnie na świadomości tego daru. Jego źródłem jest chrześcijańska nauka o samoistnym znaczeniu osobowości. Człowiek idący w szyku nie jest osobowością lecz jednostką. Myśli takiej jednostki nie grają żadnej roli, jej światopogląd nikogo nie interesuje — kto pochyla się nad wnętrzem „mięsa armatniego”? W szyku można się wyróżnić tylko dziarskością i sprężystością. Widzieliśmy kiedyś z Mandelsztamem milicjanta, który regulował pałeczką ruch na Placu Czerwonym. Gestykulował i odwracał się to w jedną to w drugą stronę z takim zapałem, jakby tańczył solową partię w jakimś mechanicznym balecie. „Oszałał” — powiedział Mandelsztam i przez kilka minut staliśmy, zdjęci przerażeniem, śledząc natchnioną precyzję jego ruchów. Była to jednostka wyodrębniona z szyku, która, znalazłszy się na indywidualnym stanowisku, postanowiła zademonstrować efektywność i przeraźliwe wykończenie swoich ruchów.

We wszystkich dziedzinach życia przeniesiono uwagę z myśli na styl i chwyt. W przyszłości można będzie obliczyć ile artykułów napisano o stylu kierownictwa, nie mówiąc o stylu literackim, o chwytach, pisarskich czy o języku. Pisarze marzyli o tym, by nauczyć się na pamięć słownika Dala, a także o wydaniu specjalnych słowników dotyczących wszystkich dziedzin życia, by autorzy mogli stamtąd zaczerpnąć wszelkich bogactw, i błysnąć literackim szykiem i gestem. W literaturze i malarstwie kwilono cicho o prawie artysty do eksperymentu; o myśli nikt nawet nie wspominał.

[...] Niedługo przed rokiem trzydziestym siódmym Mandelsztam napisał wiersz: „... już można odgadnąć kształty strzelnic w murach, jeszcze niewzniesionych, a ze schodów wałęsa się w dół, rozbici w proch i pył żołnierze podejrzliwych sułtanów i obojętni kastraci nierzadko truciznę”. „Niewzniesiony mur” świadczy o tym, że poeta odczuwał żłudność wszelkich celów. Na początku lat trzydziestych powiedział kiedyś: „Dlaczego powinniśmy się zachwycać pięciolatkami? Gdyby ktoś z naszych znajomych nagle oszałał i zaczął sobie wszystkiego odmawiać, zajmując się wyłącznie urządzeniem mieszkania, kupując maszyny do pisania i muszle klozetowe — to byśmy go wyszydzyli”... Cały naród nie żyje, tylko wykonuje plany; jest w tym coś podejrzanego... Czym lepiej wykonywano plany, tym życie stawało się gorsze; strzelnice było już widać, chociaż murów jeszcze nie wzniesiono. Użyte w wierszu słowo „żołnierze” świadczy o tym, że właśnie militarne, pseudo-wojenne analogie były wtedy w powszechnym uży-

ciu. Znajduje to potwierdzenie w słownictwie naszych gazet i uchwał, hojnie usianych wojskową terminologią. Mandelsztam skupił swoją uwagę na ofiarach i ich niestetychanej dezintegracji. Porównani są do prochu i pyłu.

Wszystko jedno czym byliśmy — kroplami, patyczkami, żołnierzami czy jednostkami — byliśmy tak czy owak rzeczywiście „rozbici w proch i pył” i bardzo nas męczyła świadomość naszej alienacji, oderwania od podobnych sobie. Jedyne relacje jakie nas łączyły były mechaniczne; byliśmy lokatorami wspólnych mieszkań, „ostatnimi” lub „pierwszymi” w kolejkach, członkami związku zawodowego, który istniał dla dodatkowej kontroli i oddziaływania wychowawczego, czy etatowymi jednostkami w urzędach.

[...] W czasach które przeżyliśmy — chociaż bynajmniej nie do końca — strach odgrywał bardzo pozytywną rolę. Kiedyś, w rozmowie z Achmatową przyznaliśmy się sobie nawzajem do tego, że najsilniejszym z uczuć, jakiego doznaliśmy — silniejszym niż miłość, zazdrość i wszystkie ludzkie doznania — był strach i jego pochodne — świadomość poniżenia, skrępowania i zupełnej bezradności. Strach bywa rozmaity — póki człowiek odczuwa wstyd jest jeszcze człowiekiem a nie niewolnikiem. Korzyścią jaką daje strach jest uczucie wstydu, będące warunkiem osiągnięcia wewnętrznej swobody. Dopóki żył Mandelsztam bałam się tylko o niego i nie czułam niczego więcej. Po jego śmierci wszystkie bezsenne noce, wszystkie dni i godziny były wypełnione bólem i wstydem — jedynym pożytkiem naszego strachu.

Prawdziwym niewolnikiem jest ten, kto nie odczuwał i nie odczuwa wstydu, wierząc głęboko, że nikt go, oddanego sprawie i gotowego na wszystko, nie tknie palcem — chyba że zajdzie pomyłka. W minionych czasach takich ludzi było stosunkowo mało — mieszkali oddzielnie i nie mieli kontaktu ze zwykłymi śmiertelnikami. Ludzie ci nie znali wątpliwości; kiedy nocą wyprowadzano ich sąsiada stwierdzali z bólem że zdrada przeniknęła nawet w ich rajski zakątek. Większość mieszkańców miast z jaką taką pozycją służbową, pensją czy honorariami autorskimi próbowała zaklinać strach, zamykając oczy na wszystko i powtarzając, że trzeba zachować spokój, a wówczas nic się nie stanie. Ten rodzaj strachu staje się stopniowo żalosnym tchórzostwem i działa demoralizująco na kilka pokoleń naprzód. Ci spośród zde-moralizowanych zaklinaczy strachu, którym udało się przeżyć rozwijają swoją działalność i dzisiaj, piejąc hymny na chwałę wielkości i piękna lat dwudziestych, kiedy kwitło i szumią sto kwiatów sztuki.

Zaklinacze strachu mieli zazwyczaj dzieci, które niczego się

nie bały. Wymyśliliśmy z Achmatową przysłowie: „Jeden przestraszony wart jest dwu nieprzestraszonych”<sup>1</sup>. Rodzice, chroniąc spokój dzieci chowali je w zupełnej niewiedzy; z biegiem czasu rodziców aresztowano i nieprzestraszony zostawał sam. Namówienie go do współpracy było bardzo proste i biedny chłopiec — w myśl zasady, że syn nie odpowiada za ojca — pilnie pisał donosy. Czasami aresztowano kogoś zupełnie nieprzestraszonego, i ów miły człowiek z otwartym sercem, z własnej chęci, czy też może przestraszony się pięści, mówił śledczemu wszystko, co chciano odeń usłyszeć — o krewnych, znajomych czy zgoła postronnych ludziach. Mogło być i tak, że rodzina miała szczęście i ocalała a nieprzestraszony chodził po ulicach i domach, pisał listy i dzienniki, albo po prostu dużo mówił; inni musieli zapłacić za jego kretynstwo. Nieprzestraszony był dla nas gorszy od prowokatora — prowokatora można próbować przechytrzyć, a taki patrzy na świat niewinnie niebieskimi oczami, i ust mu przecież zatkać nie można.

[...] W obecnych, błogosławionych czasach namnożyło się wielu nieprzestraszonych, czystych i naiwnych; w każdej chwili można z nich wycisnąć wszystko, co się komu spodoba. Jest też trochę takich, którzy przewyciężyli strach i próbują myśleć i mówić. Póki ludzie nie odzyskają pamięci, nikt ich nie usłyszy. Ludzie pograżyli się w sen, gdyż zostali sztucznie pozbawieni pamięci. Muszą się dowiedzieć, co się stało z nami — z pokoleniami ich ojców i dziadów; inaczej, nieprzestraszeni, wpadną w nowe nieszczęścia i będą wobec nich zupełnie bezradni. A nieszczęścia mogą się powtórzyć; nieprzestraszona część kierownictwa nie ma nic przeciwko środkom nacisku. Ci młodzi ludzie nie znaleźli strachu i nie wiedzą, że podejrzliwi sułtani giną tak samo szybko jak żołnierze. Teraz przywrócić ludziom pamięć i strach.

Nadieżda MANDELSZTAM

1. Przez analogię do znanego przysłowia „Jeden bity wart jest dwu niebitych”.

## W sowieckiej prasie

W przededniu przyjazdu Nixona na pierwszych stronach sowieckich gazet, w prawym dolnym rogu, ukazała się fotografia

gościa z towarzyszącą krótką biografią: Richard Nixon urodził się... studiował... brał udział w drugiej wojnie światowej... został wybrany... Sucha, „rzeczowa” biografia, w której ani słowem nie wspomina się o poglądach prezydenta USA, w czasie kiedy sprawował godność senatora. Sowieccy czytelnicy zostali już w ten sposób uprzedzeni i nie zdziwili się, kiedy następnego dnia odkryli w gazetach nową fotografię — tym razem umieszczoną na samym środku kolumny: ogromny stół, po jego obu stronach mnóstwo krzeseł, na pierwszym planie siedzą Breżniew i Nixon, dobrodusznie uśmiechają się jeden do drugiego — nikogo więcej za stołem nie ma. Dwaj. Ci, którzy prowadzą rokowania. Pano wie świata. Za ogromnym stołem widać puste krzesła nie dla członków delegacji — rosyjskiej i amerykańskiej — lecz dla przedstawicieli innych państw, które otrzymają gotowe już uchwały.

Nie wiem, czy taki był sens fotografii, ale w takim właśnie duchu komentowała sowiecka prasa wizytę Nixona w Moskwie. Gazety mieniły się tytułami: „Dla dobra wszystkich ludów”, „Dla dobra ludzkości”, „W interesie całej ludzkości”.

W historii państwa sowieckiego był już przypadek, że wczorajszy wróg, obiekt wieloletnich ataków, oficjalny „przedmiot nienawiści”, niespodziewanie stawał się przyjacielem i sojusznikiem. Omalże dokładnie trzydzieści trzy lata temu, w sierpniu 1939 roku (co prawda w sposób nieoczekiwany dla czytelników) w gazetach pojawiła się fotografia Stalina i Ribbentropa wymieniających przyjacielskie dłonie i uśmiechy. Wiele zmieniło się od tamtych czasów. Trzydzieści trzy lata temu Stalin zakazał antyfaszystowskiej propagandy w Związku Sowieckim, aby udobruchać nowego sojusznika: antyhitlerowskie filmy zostały zdjęte z ekranów, antynazistowskie książki wycofano z bibliotek, w Teatrze Wielkim wystawiono Wagnera, gazety zalane zostały potokiem wypowiedzi o wieczystej przyjaźni rosyjsko-niemieckiej. W umacnianiu tej przyjaźni wziął także udział Beria, który wydał zakaz wymyślania więźniom od „faszystów”.

W maju 1972 roku nie uważano już za konieczne, aby tak zalecać się do swego gościa. Spotkali się dwaj równi partnerzy. Zapewne z uprzejmości, zmniejszono ilość linijek poświęconych wojnie w Wietnamie. Przy czym wiadomości o Wietnamie były podawane jako wiadomości o zwycięstwach wojsk północnowietnamskich i partyzantów. O bombardowaniu Północnego Wietnamu wspomniano zupełnie mimochodem, jak o czymś nie mającym większego znaczenia. Znikły — prawie całkowicie — wypowiedzi demaskujące syjonizm i przestępstwa „izraelskiej soldateski”. Pojawili się za to wspomnienia o „tradycjach przyjaźni sowiecko-amerykańskiej” — z czasów drugiej wojny światowej i wcześniejszych.

Dla setek zagranicznych korespondentów zorganizowano liczne konferencje prasowe, w czasie których mogli się dowiedzieć o osiągnięciach Związku Sowieckiego w różnych dziedzinach życia, o tym, na przykład, że „jednym z największych osiągnięć socjalizmu jest rozwiązanie kwestii narodowościowej w Związ-

ku Sowieckim w oparciu o realizację leninowskiej polityki KPZS...” i tak dalej.

Równość partnerów — oto główna myśl, która wyznaczała stosunek do wizyty amerykańskiego prezydenta w Moskwie. Sowieccy czytelnicy nie otrzymywali, rzecz prosta, żadnych sprawozdań, żadnych komentarzy o rozmowach związanych z zawarciem umowy o ograniczeniu zbrojeń. Za to były komentowane (skąpo wprawdzie, ale zawsze) porozumienia o współpracy naukowo-technicznej. Istotę tych porozumień najlepiej wyjaśnił Zastępca Przewodniczącego Państwowego Komitetu do Spraw Nauki i Techniki, zięć Kosygina Gwisziani. „W naszej epoce żywiłowego rozwoju rewolucji naukowo-technicznej — pisał w *Izwiestjach* (5. VI.) — żaden kraj, choćby najpotężniejszy i najbardziej rozwinięty, nie może pogłębiać nauki i techniki bez uczestnictwa w międzynarodowej współpracy”.

W tych słowach przyznano nie tylko to, o czym Andriej Sacharow pisał w 1968 roku: „Doganiamy USA zaledwie w niektórych starych, 'tradycyjnych' dziedzinach, które w znacznej mierze przestały posiadać dla Stanów Zjednoczonych poważniejsze znaczenie (czarna metalurgia itd.), zaś w dziedzinach nowszych (na przykład w produkcji środków automatyki i komputerów, w petrochemii a zwłaszcza w naukowych i w technologicznych badaniach) pozostajemy nie tylko w tyle, ale mamy też wolniejsze tempo rozwoju, co wyklucza możliwość pełnego zwycięstwa naszej ekonomii w najbliższych dziesięcioleciach”. Stwierdzenie Gwiszianiego, które potwierdza analizy Sacharowa, wyraża jednocześnie przekonanie, że USA pomogą Związkowi Sowieckiemu „dogonić i prześcignąć Amerykę”.

Na przestrzeni całej swojej pięćdziesięciopięcioletniej historii Związek Sowiecki bez przerwy oczekiwał cudu, który przeniósłby Rosję do komunizmu. Lenin pierwszy wymyślił cud-formułę: elektryfikacja całego kraju. Wiele takich formuł wymyślał Stalin. Wiara w szalibierza Łysenkę — to także jeden z przejawów wiecznego oczekiwania cudu. I Chruszczow miał takie nadzieje — raz wierzył w kukurydzę, raz w wielką chemię. Breżniew i Kosygin postawili na amerykańską technologię. Kiedyś już, w czasie pierwszej pięcioletki, na początku lat 30-tych, amerykańscy inżynierowie pomagali budować ważniejsze przemysłowe obiekty w Związku Sowieckim, zakładać fundamenty przemysłowej potęgi kraju. Teraz, po czterdziestu latach, oczekuje się od Amerykanów powtórzenia tej pomocy.

Kiedy w roku 1924 Stalin określał styl nowego kierownictwa, jako „leninowski styl”, nazwał go połączeniem „bolszewickiego rozmachu i amerykańskiej rzeczowości”. W powojennych wydaniach pism Stalina epitet „amerykańska” został skreślony, pozostała po prostu „rzeczowość”. Dziś nastąpił powrót do pełnej stalinowskiej formuły: „amerykańska rzeczowość”, amerykańska technika, amerykańska technologia winny zastąpić strukturalne reformy społeczne i ekonomiczne.

Przyszłość pokaże, czy totalitarne państwo może dokonać re-

wolucji naukowo-technicznej. Czy mogą, mówiąc inaczej, istnieć obok siebie wszechwładne Politbiuro i komputer. Jeżeli komputer okaże się równie mądry jak Politbiuro, to w konsekwencji to ostatnie przestanie być niezbędne. A Politbiuro nie chce wyzrec się swej władzy.

Podczas całej wizyty Nixona usilnie stwierdzano, że zbliżenie ze Stanami Zjednoczonymi — to „polityka partii”. Chcąc podkreślić, że wszystko, co się odbywa, odbywa się zgodnie z wolą i pragnieniem partii, ważniejsze umowy podpisywał Breżniew: po raz pierwszy w historii sowieckiej państwowy akt został podpisany przez Generalnego Sekretarza KC, właśnie w charakterze Generalnego Sekretarza. Zdziwionym dziennikarzom sowiecki przedstawiciel odpowiedział, że Rada Najwyższa ZSSR komu zechce może udzielać prawa podpisu państwowych aktów. To prawda. I prawdą jest również, że Rada Najwyższa zechciała udzielić tego prawa Generalnemu Sekretarzowi KC partii.

Podpisanie porozumień z Nixonem i zbiegająca się w czasie ratyfikacja traktatu z NRF (to wydarzenie sowiecka prasa omawiała bardzo szeroko) postawiły Związek Sowiecki — po raz pierwszy w jego historii — w niezwykłym położeniu: nie ma wrogów w świecie kapitalistycznym. Po raz pierwszy formuła o „obłężonej twierdzy” straciła propagandowy sens. Można być przekonanym, że sukcesy w polityce zewnętrznej KPZS pociągną za sobą zaostrzenie sytuacji wewnętrznej. Po raz pierwszy pojawiło się poważne niebezpieczeństwo „stępienia czujności”, „samouspokojenia”.

Partia zawnazaszu przeczuła niebezpieczeństwa nowej sytuacji i podejmuje właściwe środki. 20 maja *Prawda* opublikowała postanowienie Plenum KC o wymianie partyjnych legitymacji. W latach 1973-74 zostanie przeprowadzona — po długiej przerwie — kolejna czystka partii — „ważne organizacyjno-polityczne przedsięwzięcie, mające na celu dalsze wzmocnienie partii, zwiększenie aktywności i dyscypliny komunistów”.

Jako pierwszy padł ofiarą zapowiadanej czystki jeden z jej najzarliwszych zwolenników, sekretarz KC Ukrainy Piotr Szelest. Ten inspirator interwencji w Czechosłowacji w 1968 roku, zwolennik najsurowszych represji wobec wszelkich objawów odmiennej myśli na Ukrainie, w Związku Sowieckim i we wszystkich państwach Paktu Warszawskiego nie obliczył dobrze swych sił i wystąpił przeciw polityce Breżniewa. W rezultacie został zwolniony ze stanowiska sekretarza KC Ukrainy i mianowany jednym z 9-ciu zastępców przewodniczącego Rady Ministrów ZSSR. Wydaje się, że kariera Szelesta została zakończona.

Sowiecka prasa nie zająknęła się ani słówkiem o tym wyda-

zeniu. Nie ulega jednak wątpliwości, że zajmie ono w historii niebagatelne miejsce. Mam na myśli majowe wydarzenia na Litwie, o których *Kultura* pisała w poprzednim numerze. Samospalenie dwudziestoletniego robotnika Romana Kalanta, wielotysięczne rzesze na pogrzebie rozpędzone przez policję, strajki protestacyjne — oto kolejne etapy procesu, który rozwija się z niepowstrzymaną siłą. Pisałem już o petycji 17 tysięcy litewskich katolików do Breżniewa, o procesach litewskich księży. Niedawno miał miejsce na Litwie proces 32-letniego marynarza, Simonasa Kudirki, który usiłował zbiec do Stanów Zjednoczonych z pokładu sowieckiego statku i został wydany przez Amerykanów władzom sowieckim.

Rozpowszechniany „samizdatem” stenogram procesu Kudirki to jeden z najbardziej zadziwiających dokumentów walki sowieckich narodów o niepodległość.

„Nie uważam faktu, że Amerykanie nie przyjęli mnie — za osobistą tragedię — powiedział w sądzie Simonas Kudirka. — W wyniku postanowień konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie całe narody zostały niewolnikami. W oczach amerykańskich władz wojskowych jestem — jako Litwin — prawowitą własnością Breżniewa — następcy Stalina, i należy mnie jemu wydać... Karta Atlantycka, która obiecywała podbitym narodom wolność, okazała się pustym słowem; mój naród zapłacił za to 50-tysiącami zabitych i 400 tysiącami zesłanych, z których 150 tysięcy znalazło śmierć w sybirskich tajgach... Zostali zlikwidowani najbardziej odważni i zdecydowani patrioci litewscy.

Ale rośnie nowe, młode pokolenie, które pójdzie śladem swych ojców. Kiedy odmawiałem spełnienia żądań organów bezpieczeństwa, grożono mi karą śmierci. Sądzę, że ta groźba zostanie spełniona. Jestem wierzącym katolikiem. Chciałbym prosić Wysoki Sąd o przysłanie mi przed śmiercią księdza, abym mógł się spowiadać”.

W ostatnim słowie Simonas Kudirka dodał jeszcze: „Proszę o wolność dla mojej ojczyzny — Litwy”.

Sędzia który przedtem oświadczył, że nie rozumie, o czym oskarżony mówi, zainteresował się: „Jak wyobrażacie sobie niepodległą Litwę?”. Kudirka odpowiedział: „Według mnie niepodległa Litwa powinna posiadać suwerenny rząd i nie powinna być okupowana przez obcą armię. Kraj powinien posiadać własny system prawny i wolny, demokratyczny system wyborczy. W niepodległej Litwie nie powinien dominować język rosyjski, jak to dziś ma miejsce. Chciałbym, aby w niepodległej Litwie nie było procesów podobnych do mojego”.

Simonas Kudirka został skazany na dziesięć lat łągu.

Najważniejszym rysem wydarzeń na Litwie jest to, że wystąpienia noszą charakter nie ekonomiczny, lecz polityczny, że odbywają się pod hasłem wolności religii i niepodległości.

Wydaje mi się, że tymi dwoma faktami można wytłumaczyć, dlaczego właśnie Litwa okazała się najbardziej „gorąca” ze wszystkich republik bałtyckich. Przede wszystkim — siła kościo-

ła katolickiego na Litwie. Po drugie — względna jednorodność ludności. Jeżeli na Łotwie na każdym dwóch Łotyszów przypada jeden Rosjanin, w Estonii jeden Rosjanin przypada na trzech Estończyków, na Litwie stosunek rodzimej ludności do Rosjan jest jak dziesięć do jednego.

Wielki rosyjski historyk, Wasilij Kliuczewskij, opowiadając o walce narodu rosyjskiego z niewolą tatarską pisał, że trzeba było, aby wyrosły dwa pokolenia, nie znające strachu przed Tatarami, aby ci właśnie ludzie w 1380 roku wyszli na Kulikowe Pole i rozgromili Mamaja.

W życiu literackim Związku Sowieckiego ostatnich miesięcy należy odnotować jedno wydarzenie o charakterze, niestety, jawnie nieliterackim. *Litieraturnaja Gazieta* opublikowała list autora „Opowiadań kołymskich” — poety i pisarza Warłama Szałamowa, autora opisującego stalinowskie łagry z tak głębokim realizmem, że można zestawiać go jedynie z sołżenicynowskim. W liście tym Szałamow odcina się od swego utworu, twierdząc, że wszystko to, o czym pisał, dawno już przestało być aktualne. „Opowiadania kołymskie” nigdy nie były drukowane w ojczyźnie pisarza, zostały opublikowane w emigracyjnych rosyjskich pismach, po czym przetłumaczono je na wiele języków. I oto niespodziewanie Szałamow, który przebywał około 20 lat w łagrach, nie wytrzymał nowego nacisku, załamał się, zdradził samego siebie. I przerażająca konsekwencja zdrady: pisarzowi najpierw nakazano odciąć się od swoich książek, następnie pisać to, „co trzeba”. W kolejnym numerze *Junosti* opublikowano poemat Szałamowa — w swoim czasie chwalonego przez Pasternaka — w którym opiewa się przyjaźń narodów egipskiego i sowieckiego, które wybudowały tamę assuańską „bez wątpienia najważniejszą na całym świecie”.

W tym samym numerze *Junosti* opublikowano nowe wiersze Jewgenia Jewtuszenki — rezultat wielomiesięcznej triumfalnej podróży po Stanach Zjednoczonych, podczas której miały miejsce tłumne wystąpienia w salach sportowych, rozmowy z prezydentem Nixonem i powstało wiele wierszy śmiało demaskujących wady „amerykańskiego stylu życia”. Wśród nowych wierszy, obok kolejnych demaskacji amerykańskich wad, jest też utwór o domu ojczystym. Widocznie wróciwszy po długiej nieobecności do ojczyzny poeta odkrył nagle jakieś niedoskonałości. Wiersz nazywa się „Karałuchy”.

Pierwsza linijka: „Karałuchy w wysokim domu!” — odślania mało skomplikowaną symbolikę. Utwór kończy się symbolicznym ostrzeżeniem: „Złe się będzie działo, towarzysze, jeśli rakiety kosmiczne wzleczą z karałuchami w spojeniach”.

Trudno nie przyznać, że redakcja okazała niemało odwagi drukując utwór, który można rozumieć jako kpiny nie tylko z ojczyzny, ale też i z sowieckich pojazdów kosmicznych. Mija już jednak czterdzieści lat, jak sowiecka literatura przestała

się śmiać. I w jednym z ostatnich numerów *Literaturnoj Gaziety* pojawiło się ostrzeżenie: „Nadal nie należy śmiać się bez powodu”.

Ten groźny artykuł został napisany w związku z satyryczną powieścią Leonida Lichodiejewa „Ja i moje auto”, opublikowaną w pierwszych trzech numerach *Nowego Mira* z 1972 roku. Nawet najbardziej pobłażliwy krytyk nie nazwie tej powieści arcydziełem, nie zarzuci jej zbytnej ironii. Powieść przeciętna, w której jednak jest niemało inteligentnych obserwacji i obrazów z dzisiejszego sowieckiego życia. W czasie, kiedy sowiecka prasa ciągle pisze o pojawieniu się w najbliższej przyszłości tysięcy i setek tysięcy sowieckich samochodów na sowieckich drogach i ulicach, autor powieści ukazuje jak przerażający jest los sowieckiego automobilisty, który za ogromne pieniądze i z ogromnym trudem kupił samochód. Brak garaży, brak części zapasowych, brak benzyny... Zresztą polscy posiadacze samochodów wszystko to doskonale znają.

Autora krytycznej wypowiedzi burza przede wszystkim to, że Lichodiejew odnosi się ironicznie do pewnych stron sowieckiej rzeczywistości i wylicza zjawiska, do których nie wolno odnosić się ironicznie. Są to — sowiecka moralność, zasady społeczne, samopoświęcenie, oddanie narodowi itd...

Čzęsto powiada się, że sowiecką prasę należy czytać między wierszami, że jest ona pisana swoistym zaszyfrowanym językiem. Możliwe. Oto 31 maja przeczytałem w *Izwiestiach* wiadomość, która stanowi przykład zaszyfrowania. Przytoczę ją w całości.

„Strzały na lotnisku w Tel-Awivie.

Trzech uzbrojonych ludzi, przybyłych do Izraela z Paryża w samolocie francuskich linii lotniczych 'Air France', otworzyli ogień do pasażerów, którzy znajdowali się na międzynarodowym lotnisku w Tel-Awivie. W rezultacie zginęło 26 ludzi a ponad 70 jest rannych. Dwóch terrorystów zostało zabitych, trzeci został ujęty przez policję. Aresztowany przyznał się, że należy do jednej z ekstremistycznych organizacji”.

Więcej już w *Izwiestiach* nie wracano do tego tematu. Możliwe, że czytelnicy sowieccy rozszyfrowali tę wiadomość.

Adam KRUCZEK

## Romas Kalanta

Dnia 14 maja, w niedzielę, w kowieńskim parku miejskim, młody robotnik-student Romas Kalanta oblał się benzyną i spło-

nał. Śmierć nastąpiła po 12-tu godzinach, a w dniu 18 maja odbył się pogrzeb z udziałem kilkunastotysięcznego tłumu, przeważnie młodzieży i robotników. Pogrzeb przeobraził się niebawem w demonstrację pod hasłem wolności dla Litwy. Milicja, używająca tylko gumowych pałek, nie mogła opanować sytuacji. Wezwano na pomoc spadochronowe oddziały (azjatyckie) wojsk Wewnętrznego Bezpieczeństwa. Demonstranci nie mieli broni palnej, używali jedynie kijów i kamieni. Podpalono też kilka samochodów. Rozruchy trwały dwa dni. Jeden milicjant został zabity. Są liczni ranni i kilkuset aresztowanych. Oficjalne źródła nie podają czy byli zabici spośród tłumu, co nie znaczy, że ich nie było. Po spacyfikowaniu ponad 300-tysięcznego miasta, wciąż krążyły patrole, aresztując zwłaszcza młodych ludzi „z długimi włosami”. Miejscowa prasa podała krótką notatkę wyjaśniającą, że po zbadaniu pozostawionych po Kalancie papierów, i świadków, władze śledcze z udziałem czterech psychiatrów uznały go za umysłowo chorego i narkomana. Ktoś podał telefonicznie wiadomość o zajściach korespondentowi UPI w Moskwie, po czym został aresztowany.

Korespondent (NC) z Moskwy podaje, że tak Kalanta, jak i młodzież, biorąca udział w pogrzebie, była przeważnie katolicka, i że jest to dalszy ciąg akcji oporu, zapoczątkowanej zbieraniem podpisów na petycjach do Breżniewa i Narodów Zjednoczonych.

W dniu całopalenia odbyło się, jak gdyby nigdy nic, przedstawienie amatorskie kowieńskiej Polonii pt. „Teatralizowana Żołnierska Piosenka”. Zaś w najbliższą niedzielę, ale już w stolicy, w Wilnie (jak podaje *Prawda* moskiewska):

„Dziesiątki tysięcy ludzi zapełniły park Wingis. Obchodzono tu święto pieśni, poświęconej 50-leciu ZSSR. Z estrady brzmia potężnie, w wykonaniu zbiorowego chóru, pieśń 'Ziemia Braterstwa', skomponowana przez A. Brażinskasa, do słów B. Barauskasa. Pieśń o przyjaźni narodów była wykonana w języku litewskim i w językach innych licznych narodów naszego kraju. W koncercie brało udział 20 chórów mieszanych, 11 żeńskich, 5 męskich — ponad dwa tysiące młodzieży szkolnej”.

Dalej *Prawda* wymienia kilka nazwisk znanych litewskich artystów i dyrygentów.

Korespondenci zagraniczni, czytający ten opis, mogli wnosić, że cała Litwa w swej stolicy pieje hymny lojalności, zaś sprawdzenie nastrojów na miejscu było uniemożliwione. Nie tylko korespondenci zagraniczni nie mieli dostępu do Kowna (zresztą od 25 lat), miasto zostało izolowane podobnie jak polskie porty bałtyckie w pamiętnym grudniu. Toteż wiadomości są bardzo niekompletne i czasami sprzeczne.

E. ŻAGIELL

P.S. Paryski *Figaro* z 14 czerwca podaje wiadomość o nowym fakcie samospalenia się młodego Litwina w Oranach.

## Kronika czeska i słowacka

Naczelny ideolog Czechosłowacji posierpniowej Vasil Bilak wygłosił na zjeździe pracowników kultury i sztuki przemówienie, które jest w pewnym sensie odpowiedzią na rozpowszechnianą na Zachodzie wersję jego wystąpienia na plenum KC w październiku 1971 (por. *Kultura* nr 4 z 1972 r.). Bilak zaprzeczył oczywiście — zgodnie z wieloletnią praktyką — istnieniu poważniejszych sporów, choć przyznał, że wymiana poglądów ma oczywiście miejsce. „Nie chwalimy się nawzajem w Prezydium... Właśnie ów kryzys w społeczeństwie, który niedawno przeżyliśmy, stanowi dla nas dostateczną naukę, że jakiegokolwiek fałszywe pochlebstwa tudzież unikanie problemów, jak to było za czasów Novotnego a potem Dubczeka, zawsze prowadzą do niedobrych rezultatów”. Następnie Bilak zatrzymał się na kwestii stosunków jego i Husaka. Jakiegokolwiek pogłoski o sporach między nami to oszczerstwo. Towarzysz Husak uciecwie wykonuje swe obowiązki i to określa nasz stosunek do niego, stwierdza naczelny ideolog. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, iż cenzurka jaką dał on bądź co bądź swemu przełożonemu, została udzielona z pozycji wyższości i główną intencją udzielającego było podkreślenie, że ocena może być inna, o ile Husak nie będzie „sumiennie i uciecwie” robił tego, co Bilak i jego mocodawcy uznają za stosowne i właściwe.

Przy okazji kilka słów charakteryzujących sposób działania Bilaka. Swe przemówienie zaczyna on od słów: „Delegacja KC przybywa na wasz zjazd nie po to, by wam udzielać rad i kontrolować waszą działalność, lecz po to, by przekazać wam serdeczne pozdrowienia...”, po czym następuje długi rejestr rad i pouczeń. A zatem już na wstępie Bilak zwraca uwagę, że niedocenywanie pracy ideologicznej wśród mas doprowadziło do szkodliwych następstw i właśnie przed związkiem pracowników kultury i sztuki stoją ważne zadanie w tej dziedzinie...

Jaka ma być kultura? Bilak wypowiada się wyraźnie przeciw sztuce abstrakcyjnej. Jego zdaniem 1% ludzi chorych nie może reprezentować ogółu twórców. Dla niego wzorem jest i będzie nadal Związek Sowiecki. Bo czyż łatwo przyszła decyzja (o ingerencji) w roku 1968? Przecież zdawano sobie tam sprawę, że decyzja wywołała falę krytyki, niezrozumienia, a przecież należało wykonać internacjonalistyczny obowiązek... Rok 1968 powinien stanowić dla nas nauczkę. Mimo że mamy dojrzałą klasę robotniczą, że lud jest na wysokim stopniu kultury udało się sparaliżować organy partyjne i państwowe, wojsko i bezpieczeństwo, nadużyć środków masowego przekazu. Dlaczego? Bilak twierdzi, iż odpolitycznienie sztuki, brak ofensywności jest tego przyczyną.

Od dłuższego czasu radio Praha organizuje kilkugodzinne audycje zatyłowane skromnie „Odpowiadamy na wasze pytania” a poświęcone głównie „demaskowaniu” elementów „prawicowych i rewizjonistycznych z lat 1968-1969”. Audycje te prowadzą różni przedstawiciele aparatu propagandy, niekiedy nawet na bardzo wysokim szczeblu. I tak w dniu 2 maja 1972 roku odbyła się kolejna audycja tym razem poświęcona takim organizacjom „kontrewolucyjnym” jak Klub Zaangażowanych Bezpartyjnych (KAN) oraz K 231, czyli stowarzyszenie byłych więźniów politycznych skazanych

na podstawie § 231 kodeksu karnego. Audycję prowadzili: docent dr Ivan Hruza, docent dr Miroslav Szolc oraz dr Jaroslav Žižka — wszyscy wymienieni z Wyższej Szkoły Nauk Politycznych przy KC KP Czechosłowacji.

Czym był według tych panów K 231- Hruza stwierdza kategorycznie, iż w ramach K 231 działali ludzie, którzy byli *slusnie* (podkreślenie moje — S.M.) skazani na kary więzienia za szpiegostwo przeciw republice, że byli to „wysyłani z Zachodu agenci”. Hruza dodaje, że K 231 zaczęło organizować na wiele lat przed rokiem 1968, a w szczególności po roku 1960, kiedy to zaczęło przeprowadzać pierwsze rewizje procesów i zwalniać ludzi z więzień. Žižka posuwa się jeszcze dalej — bo według niego wszystko zaczęło się w roku 1956! Na dowód przytacza artykuły Svitaka, Kosika i innych w *Literarnich Novinach* i innych pismach literackich. Wydana w roku 1968 książka Milana Makovca o Tomaszu Masaryku jest dodatkowym dowodem jako że w 1972 twórca republiki czechosłowackiej jest jej największym wrogiem. O czołowych osobistościach K 231 wspomniano, iż jego sekretarzem generalnym był Jaroslav Brodsky, z zawodu nauczyciel, skazany po roku 1948 „za działalność antypaństwową”, który rzecz jasna reprezentował tendencje „antysocjalistyczne”, mimo że stowarzyszenie oficjalnie występowało jako organizacja pomocy wzajemnej etc.

Co do genezy KAN to stwierdza się, iż założycielami organizacji byli przedstawiciele czeskich kół intelektualnych skupionych wokół akademii nauk: docent Rybacek z instytutu chemii nieorganicznej, dalej profesor Batek, zaś ideologiem związku od drugiego jego posiedzenia był Ivan Svitak. Žižka konstatuje, iż była to nieliczna grupa niezadowolonej inteligencji, która mimo dobrych warunków, w tym możliwości wyjazdów zagranicę (sic!) była krytycznie ustosunkowana do socjalizmu.

Główne winy KAN to: 1) opublikowanie deklaracji praw człowieka; 2) nawiązanie do humanistycznych tradycji kultury czechosłowackiej (KAN-owi zarzuca się, iż porzucił klasowe kryteria oceny i postępowe tradycje, podkreślał natomiast jakąś ogólną egzystencję człowieka); 3) deklaracja o tzw. eksperymentach czechosłowackim oznaczająca w istocie ideologię socjal-demokratyczną.

Zdaniem autorów audycji podstawowym celem KAN było utworzenie opozycji politycznej, przeciw KPCz. Autorzy powołują się przy tym na wypowiedź Svitaka dotyczącą ewentualnego utworzenia partii chrześcijańskiej oraz socjal-demokratycznej.

Autorzy audycji podkreślają, iż działalność obu organizacji była nielegalna, ponieważ władze nie wydały odpowiedniego zezwolenia.

Podczas audycji poruszono również kwestię kontaktów obu organizacji z socjal-demokracją, która według autorów audycji zamierzała wznowić swą działalność, a następnie domagać się wstąpienia do EWG i NATO (sic!).

#### PAX W WYDANIU CZECHOSŁOWACKIM

W sierpniu 1971 roku powstało na terenie Czechosłowacji stowarzyszenie duchownych katolickich „Pacem in terris”, które stawia sobie za cel współpracę z organami „cywilnymi”. Stowarzyszenie angażuje się we wszystkich niemal akcjach jak wybory, apele itp. Przewodniczący grupy czeskiej wikary kapituły ołomunieckiej ks. prof. J. Vrana oraz przewodniczący grupy słowackiej ks. dziekan M. Visnovsky zostali na przykład członkami Centralnej Komisji Wyborczej Frontu Narodowego CSSR, inni członkowie stowarzyszenia zajęli miejsca w komisjach wyborczych na niższych szczeblach. Władze stowarzyszenia odbywają regularne spotkania z przedstawicielami rządu CSSR. Stowarzyszenie opublikowało dwa dokumenty (po-

pierające politykę rządu): „Apel o współpracę europejską” oraz „Apel dotyczący problemów współczesnego świata”. Stowarzyszenie nawiązało kontakt z odpowiednimi organizacjami katolickimi w Polsce, na Węgrzech i w Związku Sowieckim. Przedstawiciele stowarzyszenia spotkali się w Pradze z metropolitą leningradzkim i nowogrodzkim Nikodemem, który przybył tam w związku z pracami chrześcijańskiej konferencji pokojowej.

Stowarzyszenie wydaje miesięcznik *Duchovní pastyrz* oraz tygodnik *Katolické noviny*. Stopień i kierunki zaangażowania ilustrują następujące punkty sprawozdania stowarzyszenia: „Zgodnie z programem Frontu Narodowego wspierać politycznie tak na terenie kraju jak i zagranicą i współdziałać w kierunku umocnienia socjalistycznego ustroju społecznego; informować wiernych o aktualnych zagadnieniach budzących powszechne zainteresowanie w celu ukształtowania należytych postaw obywatelskich”.

W Czechosłowacji wznowiły działalność specjalne komisje lekarskie (zniesione w okresie „praskiej wiosny”) powołane do kontroli absencji chorobowej.

Generalny prokurator Słowacji, dr Martin Kovacz, oświadczył, że od roku 1965 krzywa przestępczości poważnie wzrosła w skali całego kraju, przy czym jego zdaniem jedną z przyczyn tego zjawiska jest przecenianie pracy wychowawczej i niedocenywanie represyjnego charakteru działalności organów ścigania.

Sekretarz KC KP Czechosłowacji Oldrich Szvestka przemawiając na zjeździe dziennikarzy czeskich oświadczył, iż o ile w pierwszym okresie drobnomieszczaństwo odegrało pozytywną rolę jako nosiciel idei nacjonalistycznych, to obecnie właśnie z tego powodu jest ono rzecznikiem najbardziej wrogich i niebezpiecznych prądów i ideologii.

Plenum Czeskiej Rady Narodowej (parlament czeski) odwołało ze stanowisk 40 sędziów powołując na ich miejsce 68 innych.

Czechosłowacja udzieliła Iranowi kredytu w wysokości 200 milionów dolarów — oświadczył na konferencji prasowej w Teheranie przewodniczący czechosłowackiej izby handlowej Ludwik Czerny.

W miejscowości Vsetin odłonięty został pomnik pierwszego komunistycznego prezydenta Czechosłowacji Klementa Gottwalda. Odsonięcia pomnika dokonał Alois Indra, który przy tej okazji stwierdził, że największą zasługą Gottwalda było „nieustanne pogłębianie i umacnianie sojuszu czechosłowacko-sowieckiego”.

Stefan MICHNIK

## Kraj

### Polska klasa robotnicza

*Wydarzenia 1970/71 roku, które odbyły się szerokim echem na całym świecie, zmuszają do zrewidowania dotychczasowych pojęć o polskiej klasie robotniczej i jej roli w procesie ekonomiczno-społecznym kraju. Przejawem zmian, również w postawie polskiej emigracji politycznej, był oddźwięk na szereg pozycji publikowanych w ostatnim dwuleciu w Kulturze i w serii „Dokumenty”.*

*Redakcja zwróciła się do p. Ewy Wacowskiej, jako do jednej z nielicznych osób znających ten temat, by zechciała opracować go dla Kultury. P. Wacowska wzbraniała się przed publikowaniem jej materiałów ze względu na ich niekompletność i niedopracowanie, ale przeważył argument spodziewanej dyskusji, jaką jej artykuł wywoła zarówno w Kraju jak i wśród nowych emigrantów — zawodowo przygotowanych do podjęcia tej tematyki. Do tej dyskusji zachęcamy.*

#### REDAKCJA

##### 1.

Współczesny proletariats robotniczy w Polsce jest formacją młodą w sensie klasowym.

Ilość robotników (poza rolnictwem) w 1939 roku szacowano na niespełna 3 miliony. W trzydzieści lat później pracownicy fizyczni (poza rolnictwem i leśnictwem) stanowią w Polsce grupę prawie dwukrotnie wyższą, bo około 5,7 miliona osób.

Przedwojenny, „rodowy” proletariats robotniczy uległ bardzo poważnemu zmniejszeniu w okresie wojny, okupacji i przemian powojennych. Poza względami naturalnymi — jak starzenie się

i śmierć naturalna — zdecydowała o tym specyficzna sytuacja okresu 1939-1945; a więc: ograniczenie produkcji i zatrudnienia na ziemiach polskich przez władze hitlerowskie oraz polityka masowego naboru (dobrowolnego i przymusowego) do pracy w głębi Niemiec hitlerowskich i Sowietów; deportacja Polaków — w tym znacznej części robotników — do obozów koncentracyjnych i obozów zagłady; nędza i zniszczenia powodujące przyspieszony ubytek ludzki na terenach okupowanych i w okresach działań frontowych; straty ludzkie polskich sił zbrojnych, partyzanckich i w jednostkach regularnych; totalna eksterminacja ludności żydowskiej, wśród której robotnicy stanowili dość znaczny odsetek.

Polityka narodowościowa Niemiec hitlerowskich, ZSSR a także władz PRL spowodowała całkowite zniknięcie z terytorium współczesnej Polski nie tylko ukraińskich, niemieckich i żydowskich robotników — jednoznacznie określających swoją przynależność narodową — ale również wcale niemałych grup spolszczonych robotników oraz znacznej większości robotniczej ludności etnicznie polskiej z terenów odzyskanego Śląska, Warmii, Mazur, Pomorza i zachodnich połaci Wielkopolski.

Repatriacja z terenów włączonych do ZSSR (zabużańskich) nie objęła ogółu polskiego. Najślabiej przebiegła w środowiskach robotniczych. Jeżeli zachętą do trudnej decyzji repatriacyjnej była dla chłopstwa obawa przed przymusem kolektywizacyjnym, dla inteligencji obawa przed prześladowaniami politycznymi i ściśle związane z kulturą polską, to czynniki te o wiele słabiej oddziaływały na robotników w miastach i ośrodkach przemysłowych zachodniej Ukrainy, zachodniej Białorusi i Wileńszczyzny. Dodatkowo występowała presja miejscowych władz sowieckich, którym ze względów gospodarczych zależało na zatrzymaniu miejscowego żywiou robotniczego.

Nie ma żadnych źródełowych opracowań społeczno-demograficznych, pozwalających na choćby przybliżony szacunek ubytków przedwojennego proletariatu polskiego. Jeżeli jednak w tak specjalistycznych przemysłach jak górnictwo i hutnictwo, na terenach stosunkowo nieznacznie doświadczonych w okresie wojny i okupacji oraz o stosunkowo niewielkim ruchu migracyjnym jak Zagłębie Dąbrowskie i Śląsk — w początkach 1948 roku udział przedwojennych robotników w ogólnym zatrudnieniu nie przekraczał 38 % (dane z ankiety WK PPS woj. śląsko-dąbrowskiego z 1948 r.), to można sobie wyobrazić jak drastyczne różnice wystąpiły w innych ośrodkach przemysłowych.

Wydaje się, że już w 1953 roku pozarobotnicze (w sensie pochodzenia społecznego) uzupełnienia czynnego zawodowo proletariatu fizycznego stanowiły zdecydowaną większość tej grupy



społecznej. Wydaje się także, że nie popełnimy błędu przyjmując, iż po zakończeniu repatriacji pierwszych lat powojennych — czyli około 1948 roku — w granicach PRL mniej jak połowa robotników, ujętych przedwojenną statystyką, znalazła się w poprzedniej sytuacji społeczno-zawodowej. Nie będzie także błędem stwierdzenie, że w pierwszym piętnastoletniu powojennym, osiągnęła dojrzałość produkcyjną dzieci robotnicze w znacznie mniejszym stopniu niż przed wojną uzupełniały szeregi proletariatu fizycznego.

W rezultacie, pod względem pochodzenia społecznego współczesny proletariatus fizyczny w Polsce składa się z:

20-25 % robotników o stażu pracy dłuższym niż 30 lat i z robotników w drugim oraz dalszym pokoleniach,

5-7 % osób wywodzących się ze środowisk drobnomieszczańskich, miejskich i małomiasteczkowych w przeważającej części rzemieślniczych,

70-75 % osób pochodzenia wiejskiego, które stanowią pierwsze pokolenie pracujące poza rolnictwem, bądź nawet nie zerwały związków z rolnictwem podejmując najemną pracę zawodową (1,3 - 1,5 miliona „chłopów-robotników”).

Wskaźniki te wyraźnie określają „młodość” klasową współczesnego proletariatus fizycznego w Polsce.

## 2.

O „młodości” klasowej współczesnego proletariatus polskiego decyduje nie tylko jego skład personalny, ale również zanik tradycji i doświadczeń niezależnego klasowego ruchu robotniczego.

Przedwojenne aktywa klasowego ruchu robotniczego w Polsce nie przedstawiały się imponująco. Legitymuje się on wprawdzie długą i bogatą tradycją (rola Polaków w Komunie Paryskiej, uczestnictwo dwóch Polaków w założycielskim zebraniu I Międzynarodówki, rola PPS i SDKPiL w osłabianiu imperium carskiego, rola PPS w budowie Polski niepodległej, uczestnictwo Polaków w rewolucji październikowej, uczestnictwo w walkach przeciw faszyzmowi w Hiszpanii, itd.) ale dorobek historyczny lewicowego nurtu w Polsce wystawia bardziej świadectwo postępowemu odłamowi inteligencji, niż ogółowi proletariackiemu.

Specyficzne warunki społeczne i polityczne (nacjonalizm wykształcony w wyniku niewoli, wojna z ZSSR bezpośrednio po uzyskaniu niepodległości, klerykalizm, jawne odstąpienie od socjalizmu znacznego odłamu przywódców socjalistycznych z okresu rozbiorowej konspiracji, delegalizacja partii komunistycznej,

wielonarodowość kraju, wpływy prawicy społecznej, niedorozwój przemysłowy, itd.) utrudniały zakorzenie myśli socjalistycznej i umocnienie organizacji klasowych w szerszych kręgach proletariatus. Wymownym tego stanu dowodem jest fakt, że przed wojną, wśród kierowniczych działaczy PPS, KPP, klasowych związków zawodowych, i ich kulturalnych, rozrywkowych, sportowych przybudówek trafiały się zaledwie jednostki z proletariatus, jednostki z własnym robotniczym doświadczeniem życiowym.

Tak więc polski proletariatus wkroczył w okres wojny bez autorytatywnego i niebudzącego wątpliwości kierownictwa politycznego.

Wystąpienie ZSSR przeciw Polsce, dalsze warunki konspiracji w okresie okupacji, wewnętrzne rozbięcie PPS — jeszcze bardziej osłabiały związki między przywódcami a środowiskami robotniczymi. Naturalne preferencje dla walki z okupantem i wynikająca stąd tendencja PPS do koncentrowania sił w ramach jednolitej, ogólnonarodowej organizacji zbrojnej — dopełniły reszty.

Rozbrat klasy robotniczej z ruchem i tradycjami niezależności klasowej przypieczętował Związek Sowiecki, likwidując (już po wojnie) ocalałych od śmierci z rąk hitlerowskich — przywódców socjalistycznych. Na arenie publicznej pojawili się nieznanzi szerszemu ogółowi, na ogół prowincjonalni, działacze PPS — konformiści i karierowicze, uznający się za kontynuatorów PPS i komuniści „pełniący obowiązki socjalistów”, których pierwsi bez skrupułów przyjęli do kierowniczych instancji PPS. W roli sukcesorów KPP wypłynęli z cienia wieloletni współpracownicy sowieckiego wywiadu oraz podrzędni przedwojenni aktywiści, którzy zdecydowali się przejść do porządku dziennego nad trupami swoich ideowych przywódców i podjąć władzę państwową zgodnie z nakazem sowieckim.

Państwo „dyktatury proletariatus” musiało jakoś uwierzytelnić, że proletariatus polski istotnie walczył o swoje polityczne wyzwolenie. To propagandowe zadanie wcale nie było łatwe biorąc pod uwagę antysowieckie nastawienie PPS i opanowanych przez nią klasowych związków zawodowych a także infamię i milczenie o działalności KPP. Tak więc tradycje ruchu robotniczego — według rozpętanej wrzawy wokół przeszłości ruchu robotniczego — personifikowali jedynie wybrani spośród niezających działaczy, jak Dubois, Niedziałkowski — z PPS, Lampe, Buczek, Wieczorek — z KPP oraz grono niższych funkcjonariuszy partyjnych z „techniki” i „wojskówki” — jak Harnam, Botwin, Rutkowski, Hibner. Dla niezbyt licznych, zorientowanych w rzeczywistej przeszłości ruchu robotniczego robotników, taka działalność była wymowną wskazówką o kim i o czym trzeba

milczeń — pod groźbą popadnięcia w niebezpieczną niełaskę nowej władzy.

Wytwarzaniu pustki w miejsce tradycji niezależnego ruchu klasowego sprzyjało milczenie zagranicznych (emigracyjnych) ośrodków polskiej lewicy.

Milczenie PPS wynikało z ogólnego poczucia klęski po Jałcie oraz — wydaje się — miało na celu ochronę ocalałego aktywu partyjnego i związkowego od dalszych, bezcelowych (w panujących stosunkach) ofiar. Jeżeli nawet zagraniczne ośrodki PPS podejmowały próby oddziaływania na kraj, to adresowały je do wypróbowanych działaczy starego PPS — inteligentów a nie do robotników.

Żadnych prób dotarcia do społeczności robotniczej nie podejmowały także zachodnie ośrodki antystalinowskiego ruchu komunistycznego.

Jeżeli w pełnym cynizmem i bezceremonialnością władze PRL potraktowały tradycje robotniczego ruchu marksistowskiego, do którego formalnie przyznają się, to wobec innych organizacji robotniczych („moraczewszczyzny”, chadeckich związków zawodowych) odniosły się z nieukrywaną wrogością. W ośrodkach szczególnej aktywności tych organizacji (np. w fabryce Biedermanna w Łodzi, obecnie zakłady im. Harnama) załogom narzucono jawny dyktat policyjny. Na Śląsku, gdzie wpływy chadeckie dominowały w zakładach górniczych i hutach, wymuszenie potulności ułatwiła polityka narodowościowa okupanta: zdecydowana większość miejscowej ludności otrzymała „przywileje *Leistung-pole*”, a więc jako z „tolerowanymi odstępami” władza poczyniała sobie nie inaczej, niż było to w tradycji niemieckich baronów węglowych i ich hitlerowskich następców. Niższy aktyw organizacyjny został całkowicie zlikwidowany, bądź zmuszony do opuszczenia Polski.

Bardziej „subtelne”, selektywne sposoby izolacji zastosowano wobec niższego aktywu klasowych związków zawodowych, PPS i innych, opozycyjnych wobec sanacji, lewicowych związków przedwojennych. Ludzie, którzy zadeklarowali przystąpienie do PPR lub reaktywowali się jako „jednolitofrontowcy” w PPS, uzyskali czasowe „rozgrzeszenie” z „błędów przeszłości” przedwojennej i szerokie możliwości awansu. Awans z reguły prowadził do opuszczania starych miejsc pracy i stanowisk robotniczych, do opuszczania naturalnych środowisk. Wielu z tych starych aktywistów robotniczych w krótkim czasie padło zresztą ofiarą czystki przedjednoczeniowej w 1948 roku, permanentnych czystek w PZPR, prowokacji X departamentu MBP, który nietylko zajmował się bieżącą działalnością starego aktywu marksis-

towskiego, co prześwietlaniem jego przedwojennej i wojennej postawy.

Brak akcesu do partii ze strony starego aktywu robotniczego powodował automatycznie podejrzenia o prowadzenie działalności opozycyjnej i kończył się dla większości prowokacyjnymi procesami lub wymuszoną współpracą agenturalną z organami bezpieczeństwa.

Represje najmniej dotknęły tę część przedwojennego i wojennego aktywu robotniczego, która istotnie miała podstawy do obaw o bezpieczeństwo osobiste z racji jawnie antykomunistycznej działalności i z tego powodu zdecydowała się zniknąć z dotychczasowego terenu działania, a na nowym miejscu osiedlenia (głównie na Ziemiach Zachodnich) wystrzegać się pracy w środowiskach robotniczych i jakiegokolwiek działalności publicznej.

Nazajutrz po wyzwoleniu opuścili swoje robocze miejsca pracy członkowie b. KPP, KZMP, MOPR — komunistycznych związków zawodowych oraz uczestnicy PPRowskiej konspiracji. Okres ich „rewolucyjnego awansu” w miejscach poprzedniej pracy nie trwał długo. Zrośnięcie z załogami byłoby niebezpieczne dla reżymu i niewygodne dla nich samych: zmuszało do codziennych konfrontacji poprzednich zapowiedzi propagandowych z ponurą rzeczywistością, wywoływało więc wiele konfliktów moralnych. Dlatego w roli partyjnych dygnitarzy czy członków dyrekcji ostali się w „swoich” fabrykach i miastach jedynie ludzie pozbawieni skrupułów, faktycznie obcy i nienawistni czwórajszym towarzyszom pracy. Ogromna większość starych członków i sympatyków partii komunistycznych „awansowała” poza teren im najbardziej znany i bliski. Tam ulegała przyspieszonemu przekształcaniu w służbistych nadzorców robotników i społeczeństwa. zgodnie z dyrektywami „wyższego szczebla”.

Materialne symbole klasowej aktywności robotniczej zniknęły z powierzchni życia publicznego w okresie okupacji. Ten pozorny niebyt usankcjonowały władze powojenne. Pod pretekstem zachowania „cennej historii”, wszystkie ocalałe archiwa, sztandary związkowe itd., skazane zostały na „wieczne milczenie” w składnicach agent historii partii. Na wszelki wypadek załogom — prawowitym właścicielom tych relikwów walk antykapitalistycznych — nie pozostawiono nawet kopii zarekwirowanych oryginałów.

W nielicznych ośrodkach (np. tramwaje warszawskie, krakowski „Semperit”, Łódź, Żyrardów) utrzymywały się w świadomości załóg tradycje niezależności klasowej i ideowe przywiązanie do socjalizmu. Tam więc koncentrował się szczególnie nasilony ogień propagandowego obstrzału. Ponieważ w stworzo-

nych przez Sowiety warunkach utrzymać się mogła jedynie legenda PPS i związków zawodowych, walka przeciw nim nie przebiegała w środkach. Oczywiście, głównymi „argumentami” był pepesowski nacjonalizm i ugodowość, oraz „wąski ekonomizm” związków zawodowych.

Ogólne warunki presji policyjnej i zależności ekonomicznej nakazywały coraz mniej licznym, uświadomionym i zaangażowanym ideowo, robotnikom ostrożność w formułowaniu sądów o przeszłości i teraźniejszości oraz nie prowokowały do wskrzeszenia tradycji w nowej sytuacji społeczno-politycznej.

Praktycznie więc cały dorobek trzech pokoleń polskich socjalistów i komunistów przestał mieć wartość tradycji kulturowanej w środowiskach robotniczych. Przytłaczająca większość współczesnych robotników polskich wchodziła w życie zawodowe bez wiedzy o przeszłości i o prawdziwej walce robotniczej o własne interesy klasowe.

Sytuacja była jeszcze gorsza w nowych obiektach przemysłowych, szczególnie zbudowanych w okręgach rolniczych, oraz na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Trudno tam szukać jakiegokolwiek wspomnienia o niezależnym ruchu robotniczym, ze względu na całkowity brak jego uczestników i sympatyków. O wadze tego zjawiska orientuje fakt, że w zbudowanych od podstaw oraz uruchomionych przez władze polskie poniemieckich zakładach przemysłowych skupia się ponad 60 % robotników przemysłowych.

## 3.

Współczesny proletariats robotniczy w Polsce został klasowo osłabiony wskutek naturalnego awansu zawodowego najwyższej ukształtowanych robotników, a to na skutek ostrego braku kadr technicznych w pierwszym okresie powojennym.

Zastąpienie wysokoukształtowanych zawodowo robotników przedwojennych przez element zawodowo i społecznie niedojrzały, warunki polityczne w jakich to przewarstwienie nastąpiło, niedostatek i tendencyjne rozbijanie pozostałych tradycji niezależnego ruchu robotniczego spowodowały, że ów awans rzetelnego trzonu robotniczego nie oznaczał w praktyce społecznej wzrostu wpływów klasowych, lecz prowadził do osłabiania i zamierania więzi między robotnikami, awansowanymi na stanowiska techniczne, a ogółem robotniczym oraz — w dalszej kolejności — do narastania między nimi a robotnikami elementów obcości. Dystansowanie to nie przyjmuje postaci ostrej sprzeczności antagonistycznej, tym niemniej różnice poziomu kulturalnego i zawodowego a także snobowanie się na wyższe kręgi społeczne

w PRL prowadzą do pogłębiającego się przedziału między ogółem obecnych techników — awansowanych robotników, a masą nowych uzupełnień robotniczych, nadającą nowe oblicze powojennemu proletariatsowi polskiemu.

Proces deklasacji awansowanych robotników w znacznej mierze wiąże się z powszechnym stereotypem — charakterystycznym dla społeczeństw zacofanych — zgodnie z którym praca fizyczna jest „czymś gorszym”, czymś niemal na kształt biblijnej „kary za grzechy”. Stale utrzymująca się w Polsce nadwyżka podaży nad zapotrzebowaniem siły roboczej, związany z nią rzeczywisty niski materialny i społeczny status robotnika, nie sprzyja rewidowaniu tego stereotypu w duchu i kierunku powszechnie obserwowanym w wysokouprzemysłowionych krajach.

## 4.

Współczesny proletariats robotniczy Polski jest grupą biologicznie młodą. Zdecydowały o tym warunki jego kształtowania się. Przy znacznie wyższym niż w miastach przyroście naturalnym wsi, liczba mieszkańców wsi nie uległa zwiększeniu od 1946 roku. Równowartość przyrostu naturalnego wsi pochłania migracja do miast i ośrodków przemysłowych roczników osiągniętych wiek produkcyjny.

Podstawową przyczyną migracji ze wsi były względy ekonomiczne. Do miast popłynął element szczególnie zaprawiony do skrajnej nędzy i znający jej smak z tradycji rodzinnej, element w znacznej większości bez kwalifikacji zawodowych, dla którego każda praca w mieście i każde warunki zakwaterowania oznaczały polepszenie bytu własnego i ulgę dla pozostałej na wsi rodziny. Migracja obejmowała głównie młodzież męską o wysokiej odporności psychicznej i dobrych warunkach fizycznych.

Pokrewna temu głównemu nurtowi jest praktyka pracy najemnej — głównie poza miejscami stałego zamieszkania, przy jednoczesnym dalszym prowadzeniu gospodarstw rolnych. W odniesieniu do tej grupy przymus ekonomiczny działa z nie mniejszą bezwzględnością. Jest rzeczą charakterystyczną, że chłopcy-robotnicy dojeżdżają do ośrodków przemysłowych z odleglejszych wsi, tracąc na komunikację wiele czasu i siły, że przyjmują najprymitywniejsze prace niekwalifikowane, z którymi wiąże się niska płaca, ponieważ ich gospodarstwa nie przynoszą relatywnie wysokiego dochodu jak np. gospodarstwa podmiejskie i ponieważ zarobki w przemyśle, transporcie i budownictwie (gdzie się oni głównie grupują), decydują o możliwości utrzymania rodzin przy życiu.

Średni wiek ogółu zatrudnionych w tych trzech działach gospodarki (które skupiają około 3/4 pracowników fizycznych w Polsce) wynosił w 1968 roku 35 lat. Jeżeli zważyć, że pracownicy umysłowi stanowią około 20 % zatrudnienia, że współczynnik stabilizacji zawodowej pracowników umysłowych jest o wiele wyższy niż robotników, że pracownicy umysłowi rozpoczynają pracę zawodową w późniejszym wieku od robotników — nie będzie błędnym określenie średniego wieku robotników na 28-30 lat. Oznacza to, że ogromna większość proletariatu robotniczego podjęła pracę zarobkową po 1950 roku, że wywodzi się w pierwszym pokoleniu ze wsi, że utrzymuje się jeszcze silne, acz malejące z każdym rokiem, powiązanie młodych robotników z ich rodzinnym środowiskiem chłopskim.

## 5.

Charakter robotniczego wychodźstwa ze wsi, odczuwany przez nie awans ekonomiczny, społeczny i kulturalny, wpływają na aktualną politykę płac z jednej strony i na ograniczenie robotniczych rewindykacji materialnych z drugiej.

Ze względu na specyficzne warunki demograficzne oraz wobec charakterystycznego dla młodzieży wiejskiej „pędu do miast” — państwo znajduje wciąż dostateczne rezerwy taniej siły roboczej. Od 1945 roku do dnia dzisiejszego w PRL nie występował nigdy bezwzględny niedobór siły roboczej w skali ogólnokrajowej. Okresowe regionalne deficyty nie tworzyły sytuacji podobnej do sytuacji w krajach zachodnich ( w tym także NRD), ściągających robotników zza granicy. Innymi słowy polski robotnik zawsze i wszędzie mógł być zastąpiony przez dostateczną ilość czekających na jego miejsce pracy. Okoliczności tej sprzyja szczególnie wysoki udział żywej robocizny w produkcji, budownictwie i transporcie a to wobec niedostatecznego zmechanizowania i automatyzowania produkcji i usług produkcyjnych.

Potrzeby życiowe młodych robotników ze wsi są bardzo niskie, o wiele niższe niż tradycyjnych robotników. Znajduje to odbicie w strukturze wydatków i w budżetach tych różnych części współczesnego proletariatu. Młodzież wiejska nie jest obciążona utrzymywaniem rodzin, wydatkami na kosztą samodzielnego mieszkania i jego wykupienia, które pochłaniają ogromną większość zarobków robotniczych. Pewną rolę odgrywa także pomoc żywnościowa z domów rodzicielskich. Potrzeby kulturalne, względnie do środowiska, kosztą wychowania i wykształcenia dzieci itd., w wypadku młodych robotników ze wsi praktycznie w grę nie wchodzi. Dlatego też obiektywnie niskie płace —

niewystarczające normalnej rodzinie robotniczej — mogą przez dłuższy czas zadowalać chłopców przekształcających się w robotników, mogą także zaspokajać potrzeby chłopów-robotników (na ogół obarczonych rodzinami).

Dla określenia skali zjawiska wystarczy wziąć dwie oficjalnie publikowane liczby z 1970 roku: 1,3-1,5 miliona chłopów-robotników i 250 tysięcy pensjonariuszy tzw. hoteli robotniczych. Stanowi to około 30 % zatrudnienia pracowników fizycznych w całej gospodarce uspołecznionej (poza rolnictwem i leśnictwem).

Od wymienionej grupy (która w rzeczywistości jest niewątpliwie większa) różnią się coraz bardziej robotnicy pochodzenia wiejskiego, już na dobre ustabilizowani w miastach i ośrodkach przemysłowych. Ich wyobrażenia o własnej sytuacji materialnej uległy zdecydowanym zmianom, tym niemniej stopień ich materialnego usatysfakcjonowania wciąż jeszcze różni się zasadniczo od tego, co mogłoby zadowolić prawdziwy trzon robotniczy współczesnego proletariatu robotniczego.

Dla potwierdzenia powyższej konkluzji wypada sięgnąć do danych liczbowych. W 1969 roku przeciętna płaca miesięczna brutto ogółu pracowników fizycznych kształtowała się na poziomie nie wyższym jak 2.060 złotych. Jej siłę nabywczą łatwo określić w oparciu o indeks cen towarów i usług, publikowany w każdym wydaniu *Rocznika Statystycznego GUS*, pamiętając zarazem, że w rodzinach robotniczych — jak wynika z różnych niepublikowanych danych statystycznych oraz publikacji CRZZ — wypada ponad 130 osób utrzymywanych na 100 osób pracujących zarobkowo.

Poziom zarobków robotników ogromnej ich większości nie pozwala na żadne oszczędności. Z badań przeprowadzonych w 1967 roku przez centralę PKO wiadomo, że suma wkładów robotniczych na rachunkach oszczędnościowych nie przekracza 10 % ogólnych nagromadzeń oszczędnościowych ludności miejskiej, wówczas, gdy pracownicy fizyczni z członkami rodzin stanowią powyżej 3/4 populacji miejskiej.

Jeszcze drastyczniejszy obraz wynika z rachunków kas zapomogowo-pożyczkowych, czyli instytucji opierającej swoją egzystencję na „zorganizowanych” formach oszczędzania, jako że zadeklarowany odsetek bieżących zarobków rachunkowość przedsiębiorstwa odprowadza automatycznie do kasy. Otóż powszechnym zjawiskiem jest brak zasobów pieniężnych na kontaktach tych kas, bowiem wszystkie zasoby są natychmiast przekazywane członkom kasy w postaci pożyczek. Tak np. na dzień 31 grudnia 1970 roku z formalnie zgromadzonych w kasach zapomogowo-pożyczkowych przeszło 13,6 miliarda złotych, na rachunkach

bankowych pozostawało jedynie 980 milionów złotych (*Rocznik Statystyczny GUS* — 1971, str. 613 i 610).

Nie od rzeczy będzie porównanie średniej płacy miesięcznej brutto pracowników fizycznych w PRL z ustawowym minimum zarobkowym np. we Francji. W oparciu o „koszykowe” można przyjąć z pewnością, że 1 frank ma co najmniej siłę nabywczą 5 złotych polskich. Tak więc *minimum zarobkowe* we Francji (850 franków miesięcznie) dwukrotnie przekracza *średnią zarobkową* polskiego proletariatu fizycznego. Dodajmy do tego komentarz sekretarza generalnego CGT i członka biura politycznego Komunistycznej Partii Francji — Séguy, wygłoszony po strajku generalnym w dniu 7 czerwca br.: „Płace poniżej 1.000 franków miesięcznie są niehumanne (*inhumain*)”. Dodajmy także, że zarobki robotnicze we Francji i system zabezpieczeń społecznych kształtują się znacznie mniej korzystnie, niż w większości krajów wysokorozwiniętych.

## 6.

Brak zorganizowania, obiektywnie niski poziom kulturalny, brak szerszych aspiracji społecznych, bierność współczesnego proletariatu polskiego stanowią istotne przyczyny jego klasowego osamotnienia.

Nie są to jedyne przyczyny braku prób wskrzeszenia historycznej więzi między inteligencją a proletariatem, ale są to czynniki o dużym negatywnym znaczeniu emocjonalnym. Zwłaszcza, jeżeli wziąć pod uwagę przekształcenia wyobrażeń inteligencji polskiej o społecznej roli proletariatu we współczesnym świecie oraz upadek nadziei na socjalizm jako polityczny instrument idei humanistycznych (po doświadczeniach obozu sowieckiego i wobec zdeformowanych wyobrażeń o sytuacji społeczno-ekonomicznej w krajach wysokorozwiniętego, zreformowanego kapitalizmu).

Osamotnienie klasowe proletariatu ma szerszy jeszcze zakres. W miarę upływu czasu wychodzący ze wsi, współcześni polscy robotnicy, osłabiają więź z chłopstwem. Różni ich aktualne położenie społeczne i ekonomiczne; dystansuje świadomość korzyści, jakie odnoszą chłopcy na skutek migracji nadwyżek ludzkich do miast; dystansują rosnące różnice obyczajowe.

W przeszłości przedwojennej więź między chłopami a robotnikami nigdy w Polsce nie występowała szerzej. Różne incydenty z okresu międzywojennego były raczej sprawdzianem dojrzałości politycznej wąskich kręgów przywódczych ruchu ludowego oraz wpływów socjalistycznych i komunistycznych w pewnych regionach wiejskich, niż przejawem dojrzałej świadomości spo-

łecznej w obu klasach. Tym bardziej warunki panujące w PRL nie sprzyjają utrzymywaniu rzeczywistej politycznej i społecznej łączności między proletariatem a chłopstwem.

Specyficzny klimat społeczny i stereotyp „prawdziwego urzędowania” przesądza, podobnie jak w poprzednich okresach historycznych, o utrzymywaniu głębokiego przedziału między drobnomieszczaństwem urzędniczym a robotnikami. Sytuacji nie zmienia fakt, że znaczna część aparatu urzędniczego wywodzi się w pierwszym pokoleniu z rodzin chłopskich i robotniczych. Wy-mogi i charakter służby urzędniczej, pogoń za „karierami”, snobowanie się na zwierzchność, kompleksy psychiczne — powodują stałe — zamierzone przez urzędników — dystansowanie się od proletariatu. Podobne nastroje cechują również zawodowych żołnierzy WP, będących w istocie społecznej częścią drobnomieszczaństwa urzędniczego.

Drobnomieszczaństwo pracujące na własny rachunek, nie ma — w odróżnieniu od sytuacji znanej w krajach kapitalistycznych, a w tym także Polsce przedwojennej — żadnych wspólnych interesów z proletariatem. W tamtych warunkach pomyślność drobnych wytwórców i kupiectwa wiązała się ze zdolnością nabywczą świata pracy, głównym dla nich problemem była sprzedaż wytworzonych czy zbywanych towarów na rynku ukształtowanym przez wyższą od popytu podaż towarów i usług. W PRL, gdzie chronicznie utrzymuje się stan nienasycenia rynku, gdzie „sektor prywatniacki” obsługuje głównie pozarobotnicze warstwy ludności — „prywatniacka” część drobnomieszczaństwa nie znajduje żadnych wspólnych interesów z proletariatem.

Tak więc współczesny proletariatu polski jest osamotniony społecznie w stopniu nieznanym w poprzednich okresach historycznych, bowiem w obecnej sytuacji społecznej znikły bodźce (brak kapitalistów przy władzy) skłaniające inteligencję, drobnomieszczaństwo oraz chłopstwo do łączenia własnych akcji klasowych z walką robotników.

Tak więc w warunkach tendencyjnego odgradzania przez reżym proletariatu od warstw wyżej ukształtowanych kulturalnie i społecznie — proletariatu został pozbawiony owych wartości, jakie charakteryzowały ruch robotniczy w przeszłości polskiej i międzynarodowej. Z drugiej strony — młodość klasowa proletariatu, wątkość tradycji niezależnego ruchu robotniczego, brak publicznej areny politycznej oraz tendencyjne ograniczanie przekazów informacyjnych, zapładniających do krytycyzmu, utrudniają i opóźniają wyrastanie spośród proletariatu aktywnego zdolnego do uczciwego i skutecznego reprezentowania interesów robotniczych.

## 7.

Omówiona struktura społeczna proletariatu, brak opozycyjnego nurtu ideowo-politycznego, bazującego na klasowej odrębności proletariatu — przyczyniają się do wysokiej popularności kościoła jako jedynej, legalnej instytucji opozycyjnej.

Świadomie pomijamy określenie „klerykalizm”, jako sprzeczne z istotą zjawiska. „Klasykny klerykalizm” w Polsce już nie istnieje. Autorytet kleru zdecydowanie obniżył się w porównaniu z okresem przedwojennym, co łatwo zaobserwować nawet na wsi. Tym jaskrawiej występuje to zjawisko wśród wychodźców ze wsi, goniących za łatwymi „ucieczkami życia” w nowych, obcych środowiskach zurbanizowanych, żyjących w rzeczywistości na marginesie tych środowisk i poddających się łatwo moralnie destrukcyjnemu oddziaływaniu miejskiego marginesu społecznego.

Tym niemniej uczuciowe związanie z kościołem nie maleje. Składa się na nie wiele zakorzenionych obyczajów i przejawów masowej kultury narodowej, wychowanie wyniesione z domów rodzinnych, atmosfera spokoju i ukojenia jaskrawo konfrontująca z warunkami życia pełnymi niepokojów i permanentnych zagrożeń. Główną jednak, rozumową podstawą wysokiego autorytetu kościoła w środowiskach robotniczych jest jego niezależność i ideowa opozycyjność wobec panującego systemu. Tak więc kościół, nie tyle realny co mistyczny, urasta do miary symbolu zgodnego w ogólnym wyrazie z milczącym — i nieukierunkowanym politycznie i ideowo — niezadowolaniem robotniczym z panujących stosunków.

Tym przede wszystkim tłumaczyć wypada różne akty w okresie ostatniego piętnastolecia, które posłużyły kręgom katolickim za podstawę do wniosków o wzroście nastrojów religijnych. W rzeczywistości zachodzi zasadnicza różnica jakościowa między np. wydarzeniami towarzyszącymi tzw. „cudowi lubelskiemu” a katolickimi akcentami w wydarzeniach poznańskich 1956 roku; okrzykami „Wyszyński do KC — Rokossowski do Moskwy” — w Październiku; udziałem całych załóg w uroczystościach ślubowań NMP w trakcie „kościelnego Millenium”, wypadkami w Nowej Hucie — w związku z usunięciem krzyża misyjnego i przeznaczeniem terenu wyznaczonego pod kościół na lokalizację szkoły, czy, wreszcie, częstym intonowaniem „Boże coś Polskę” — przy różnych okazjach robotniczych manifestacji.

Do traktowania kościoła jako przeciwwagi systemu przyczyniają się w znacznej mierze same władze bezceremonialnymi i

brutalnymi wystąpieniami przeciw masowym uroczystościom kościelnym, katechezie, budownictwie dążeń itd.

Terenowy kler, bez celowego dążenia do tego, odgrywa w życiu robotników wciąż znaczną i szczególną rolę. Jest mianowicie jedynym przedstawicielem inteligencji, do którego każdy robotnik łaknący oparcia duchowego, potrzebujący pomocy czy porady światlejszej jednostki, może zwrócić się bez wątpliwości co do intencji rozmówcy. Dotarcie do księży jest powszechne, łatwe, nie wiąże się z poczuciem poniżenia. Nie ma w PRL żadnej innej placówki, która grupowałaby owych „światlejszych” doradców-inteligentów, obiektywnie — a bodaj tylko z naturalną ludzką życzliwością i cierpliwością — odnoszących się do rozmówców-robotników. Totalitaryzm zlikwidował wszelkie naturalne platformy międzyklasowej więzi ludzkich poza tą jedną, kościelną. Wprawdzie rezultaty kontaktów robotników z klerem nie mogą zadowolić robotników werbalną „pociechą duchową” ale w warunkach powszechnej frustracji i goryczy samo „ludzkie słowo” odgrywa wcale nie błahą rolę w życiu robotników.

## 8.

Współczesny proletariatu robotniczy w Polsce cechuje dalekozaawansowany bezkrytycyzm polityczny.

Podstawową przyczyną tego stanu rzeczy jest likwidacja publicznej areny politycznej i zmonopolizowanie środków informacji. Ponieważ tradycje niezależnego ruchu robotniczego zanikły, robotnik skazany jest na odbieranie reżymowych komentarzy do wszelkich zjawisk politycznych, bez możliwości konfrontowania ich z innymi punktami widzenia.

Sytuacja nie uległa bynajmniej zmianie po likwidacji zagłuszania zagranicznych radiostacji nadających w języku polskim. Ich poparcie dla zmian październikowych robotnik odbierał jako potwierdzenie, że przeprowadzono w Polsce maksimum możliwych zmian i ze zmianami tymi łączył nadzieje na dalszą poprawę własnej sytuacji. Jeżeli w wyniku Października i pod kierownictwem tego samego bohatera narodowego warunki materialne proletariatu robotniczego poprawiły się w stopniu znacznie mniejszym niż wszystkich pozostałych warstw społecznych, jeżeli w następnych latach ponawiało się stale zamachy na osiągniętą w 1957-58 roku stopę życiową robotników, to proletariatu musiał rozumieć te niekorzystne przemiany zgodnie z wykładnią reżymu, nie jako wyraz klasowej polityki ale wynik rzeczywistych trudności, jakim centralne władze sprostać nie mogą „z obiektywnych” względów.

Dlatego obserwuje się w Polsce paradoksalne zjawisko, że najostrzejsza krytyka robotnicza nie dotyczy kręgów władzy lecz niższych szczebli hierarchii biurokratycznej. Władza zdaje sobie z tego sprawę i w warunkach szczególnych napięć odwraca uwagę od sprawy zasadniczej poświęcając „kozły ofiarne” z własnych szeregów. „Kozły ofiarne” — czy to na stanowisku I sekretarza KC czy to uczestników „gangu mięsnego”, czy to „syjonisty” — stanowią niejako „koszta własne” biurokracji i sprzyjają pogłębieniu bezkrytycyzmu proletariatu robotniczego wobec samego systemu. Miarą bezkrytycyzmu jest naturalnie utrzymujący się kult jedynki, który utrzymuje się nawet dłużej od samej „jednostki”.

Na klasowy bezkrytycyzm stabilizująco wpływa fakt szerokiego awansu biurokratycznego z tych samych kręgów społecznych, z których wywodzi się współczesny robotnik. Z każdego polskiego zaścianka, z każdej polskiej rodziny bodaj jeden przedstawiciel zrobił „karierę życiową”. Są to kariery na miarę określonych wyobrażeń — od munduru wojskowego czy milicyjnego do krzesła w sejmie czy komitecie centralnym — tym niemniej cenią się i rozumiane są jako pozytywny skutek zmian ustrojowych tym bardziej, że dla większości chłopów w okresie przedwojennym nawet do stanowiska woźnego w instytucji państwowej czy służby podoficerskiej dostęp był trudny.

Awans o charakterze urzędniczo-biurokratycznym sprzyja stosowaniu „ulgowej taryfy” w ocenach praktyk władzy, na skutek identyfikacji kręgów właściwej władzy ze znanymi osobiście krewniakami i sąsiadami, którzy nie dorastają poziomem wiedzy i kwalifikacjami zawodowymi do zajmowanych stanowisk i pełnionych funkcji publicznych.

Masowość awansu z kręgów chłopskich w poprzednich latach tworzy także złudzenia „pozytywnej”, pozarobotniczej przyszłości dla dzieci z pierwszego robotniczego pokolenia. Złudzenia — jako że nie powtórzy się już nigdy podobna możliwość zajęcia znaczących stanowisk przez dzieci robotnicze a to z racji ich gorszego przygotowania intelektualnego i wobec zasklepiania się klasy drobnomieszczańsko-biurokratycznej.

Bezkrytycyzm polityczny współczesnego robotnika polskiego wiąże się z niezmiennym od czasów przedwojennym stereotypem kapitalizmu. Tradycja rodzinna, dotkliwy niedostatek ekonomiczny i poniżenie społeczne w Polsce przedwojennej zachowała się w pełni i ogranicza do minimum wpływ tych przekazów — rzadkich i niepełnych, z których można by wnioskować o radykalnych zmianach stosunków społecznych w systemie kapitalistycznym, szczególnie tam, gdzie zostały one zagwarantowane aktywną walką robotników.

Bezkrytycyzm robotniczy pogłębia „branie na zdrowy rozum” skomplikowanych spraw społecznych, ekonomicznych i politycznych — wobec braku wierzytelnych i przekonujących opracowań tematów. Ów „zdrowy rozum” podpowiada dotychczas, że skoro zlikwidowano kapitalistów i kapitalizm nikt — poza państwem — nie przejmuje planów pracy robotniczej.

Wystąpienia przeciwko kapitalizmowi wydają się współczesnemu robotnikowi nie tylko naturalne ale — dzięki propagandzie reżymowej — nawet łatwe. Trudno jednak, by robotnik jednakowo traktował państwo i kapitalistę, trudno by robotnik polski decydował się na wystąpienia przeciwko państwu polskiemu. Na tym tle doszło do głębokich rozczarowań KPP w okresie międzywojennym i pod tym względem trudno oczekiwać zmiany we współczesnym pokoleniu robotniczym. Robotnik nie rozumie, że punkt ciężkości zagadnienia przeniósł się ze sfery własności środków produkcji na sferę podziału dochodu narodowego, że współczesne państwo polskie jest instrumentem panowania klasy drobnomieszczańsko-biurokratycznej.

Podobnemu przejawowi „zdrowego rozumu” sprzyja powszechne i nierewidowane przeświadczenie o niedorozwoju gospodarczym i ubóstwie ekonomicznym Polski. Czynniki reżymowe nigdy nie głosiły takiej tezy, przeciwnie — określały zawsze Polskę jako kraj ogromnych możliwości rozwojowych i niewykorzystanych zasobów ekonomicznych. Współczesny proletariusz traktuje podobne oświadczenia jako przejaw propagandy „ku pokrzepieniu serc”. Przekonanie o polskiej biedzie ogranicza jego dążenia rewindykacyjne, nie pozwala kojarzyć drastycznej nierówności między rozwojem gospodarczym kraju a niezwykle ograniczoną partycypacją proletariatu w efektach uprzemysłowienia i podniesienia produkcji rolnej. Proletariusz nie zagląda do oficjalnych statystyk z których wynika, że już w 1949 roku Polska osiągnęła wyższy dochód narodowy w przeliczeniu na mieszkańca, niż miała przed wojną.

Proletariacki bezkrytycyzm polityczny ma swoje źródła w anachronicznym stereotypie wolności. Dla współczesnego proletariusza dowodem wolności jest fakt, że nad Warszawą powiewa flaga z orłem białym a nie czarnym, dwugłowym czy innym symbolem narodowej udreki, że ma nieograniczone warunki posługiwania się ojczystym językiem. Wszystkie inne postaci wolności traktuje jako zjawiska drugorzędne. Nie to, że są mu zupełnie obce ale nie wywołują szczególnych emocji.

Reżymowa propaganda w groteskowy sposób konfrontuje tę nadrzędną wolność narodową z wszelkimi innymi rewindykacjami wolnościowymi. Sprzyja jej cała przeszłość narodowa, w której masy ludowe nie miały warunków dla przyswojenia sobie

pojęć wolnościowych i na korzystanie z wolności we własnym interesie. Dlatego też dziś proletariusz nie znajduje żadnej riposty na propagandową karykaturę „wolności”, ofiarowanej mu przez reżym.

— Wolności wyznania? — Przecież kościoły są otwarte.

— Wolność związków zawodowych? — Przecież odbywają się wybory od najniższych do najwyższych ogniw, czyli system jest demokratyczny.

— Wolność krytyki? — Oczywiście, istnieje wolność krytyki „pozytywnej”, bo „negatywna” podważa siłę ludowego państwa i sprzyja wrogom klasowym — kapitalistom.

— Wolność obywatelska? — Oczywiście, w ramach konstytucji demokratycznie ustalonej i pod kierownictwem partii, która jest najlepszym rzecznikiem proletariackich wolności.

Pozostając od ćwierćwiecza pod biurokratyczną kuratelą, proletariusz na razie jeszcze nie rozumie jak spostrzegane ograniczenia wolności ograniczają nie obce (czy obojętne) mu kręgi ale jego samego osobiście. I choć hasło wolności ma w Polsce niesłabnącą popularność, to przecież nawet w tak specyficznych okolicznościach jak szczeciński strajk, wywołany formalnie fałszywym przekazem prasowym, pozwala Gierkowi uzyskać aprobatę panującego systemu cenzury prasowej, pozwala na jawnie totalitarny jego komentarz wolności wyborów w związkach zawodowych i partyjnych na stoczni. Dzieje się to w chwili, gdy stocznia — w pełnym tego słowa znaczeniu — znajduje się we władzy samorzutnie kreowanego niezależnego komitetu robotniczego.

Tragiczne dzieje narodowe sprzyjały ukształtowaniu stereotypu (panującego nie tylko wśród robotników), że Polska jest stale zagrożona przez Niemcy i że na jej zgubę czyhają jeszcze inne, niełatwe do określenia, międzynarodowe moce. Stereotyp ten umacnia propaganda partyjna, znajdując w nim ogromne korzyści dla stabilizacji stosunków wewnętrznych. Mimo nowych układów sytuacji międzynarodowej, robotnicy i dzisiaj jeszcze nie orientują się w braku jakichkolwiek zagrożeń zewnętrznych ze strony Zachodu i nadal gotowi są do znacznych wyrzeczeń, byle zachować siłę obronną kraju i ochronić kraj przed zawieruchą wojenną.

Z powyższym wiąże się także znaczna powściągliwość środowisk robotniczych wobec ZSSR w obawie przed sprowokowaniem sowieckiej interwencji w Polsce. Nie jest to wszakże uczucie identyczne z antysowieckimi nastrojami inteligencji. Obok słabnących urazów antysowieckich (czy antyrosyjskich) występuje przeświadczenie o wartości sowieckiego patronatu obronnego nad Polską, jako właściwej przeciwwagi wobec imperialistycz-

nych mocy Zachodu (bliżej nieokreślonych ale — w przekonaniu robotniczym — na pewno istniejących, skoro w okresie powojennym wciąż, gdzieś toczą się jakieś wojny).

## 9.

Zachodni obserwatorzy (w tym również komuniści) zauważyli znaczny i znaczący wzrost nastrojów nacjonalistycznych i szowinistycznych w krajach „socjalistycznych”. To stwierdzenie podnosi się niemal do poziomu „prawa powszechnego” przeocząc, że w Polsce, szczególnie w środowiskach proletariackich, nacjonalizm zdecydowanie zmalał w porównaniu z okresem międzywojennym i nadal wykazuje tendencję malejącą.

Sprzyjają temu specyficzne polskie warunki:

— niezwykle wysoka jednolitość etniczna społeczeństwa, która praktycznie wyklucza szowinizm wobec nieistniejących mniejszości narodowych;

— malejąca z biegiem czasu fobia antyrosyjsko-antysowiecka, wobec powojennego braku demonstracji siły i przewagi nad społeczeństwem polskim, występującej w formach oczywistych dla ogółu społeczeństwa (nawet w okresie „walk z bandami” w czasie Października, w wypadkach poznańskich czy nadbałtyckich rozlokowane na terenie kraju jednostki sowieckie nie występowały w roli strony walczącej);

— niedostateczne zrozumienie zakulisowej presji sowieckiej, wywieranej na każdorazowe władze polskie, a to ze względu na ich milczenie o tych sprawach (np. łagodzące wypowiedzi Gomułki o „kontrybucji węglowej” nazajutrz po objęciu władzy) i wobec utrzymujących się i szeroko rozreklamowanych pozorów bezinteresownej pomocy gospodarczej dla Polski;

— stopniowe przekształcanie potężnej fobii antyniemieckiej w bardziej umiarkowane uczucie braku zaufania do Niemców — w wyniku zmiany stosunków międzypaństwowych z NRF i powstrzymaniem od kilku lat propagandowej histerii antyniemieckiej;

— świadomość korzystnego uregulowania problemów terytorialnych kraju przez uzyskanie uprzemysłowionych i wysokozaoposobionych połączy zachodnich jako rekompensaty za utracone tereny zabużańskie, zamieszkałe w znacznym stopniu przez ludność pozapolską. Świadomość pozytywnej roli, jaką odegrał ZSSR w utrzymaniu przez Polskę ziem nadodrzańskich;

— kompromitacja tendencji nacjonalistyczno-szowinistycznych w marcu 1968 roku i ujawniająca się ich fałszywość w okresie pomarcowym;



— brak bezpośredniego sąsiedztwa z jakimkolwiek krajem (poza ZSSR), wobec którego Polacy rościliby jakiejkolwiek pretensje terytorialne lub — w utrzymujących się stosunkach międzynarodowych — mogliby przejawiać dążenia ekspansjonistyczne.

Ten stan nastrojów jest wyraźnie odmienny od sytuacji we wszystkich krajach „socjalistycznych”, gdzie utrzymuje się wiele przesłańek do nasilania nastrojów nacjonalistycznych i szowinistycznych.

Skonfrontować należy taką ocenę upadku tendencji nacjonalistycznych wśród robotników z utrzymywaniem się swoistego nacjonalizmu w kręgach polskiej inteligencji. Jej antyrosyjskość i antysowietyzm jest częścią składową postawy opozycyjnej wobec władzy państwowej, utrzymującej się dzięki sowieckiemu patronatowi i nie zabezpieczającej krajowi właściwego rozwoju społecznego i gospodarczego. Jest to zarazem problem „godności narodowej” w tradycyjnym rozumieniu. Towarzyszy mu jednocześnie irracjonalna, tradycyjna wiara i zaufanie do zachodnich demokracji parlamentarnych, jak gdyby dotychczasowe nauki historii współczesnej nie wykazały złudności jakichkolwiek nadziei na Zachód. Ten typ nacjonalizmu, zresztą również pozbawionego cech agresywnych, nie wyraża nic innego jak próbę samookłamania wobec nieumiejętności sformułowania myśli politycznej, odpowiadającej realnemu układowi sił społecznych w samym kraju i rzeczywistości międzynarodowej.

Utrzymywanie anachronicznej świadomości proletariatu robotniczego jest przede wszystkim skutkiem określonej polityki klasowej reżymu.

## 10.

Na podstawie powierzchownej i bezkrytycznej konstatacji faktów, różne siły na Zachodzie (w tym — po wypadkach grudniowych — ogół polskiej emigracji politycznej) skłonne są do przyjęcia tezy o „naturalnej rewolucyjności proletariatu polskiego”. Wypadki łódzkie 1947 roku, Poznań — 1956, Gdańsk i Szczecin — 1970, Łódź — 1971 roku okazały się najpoważniejszymi przejawami niezadowolenia i wybuchami opozycyjnymi, z którymi nie dadzą się porównać żadne inne akty opozycyjne. Słusznie podkreśla się przy tym, że wybuchy robotnicze dwukrotnie zdecydowały o niechcianej przez sowieckie zwierzchnictwo zmianie władz naczelnych. Jeżeli między Poznaniem a Październikiem nie występuje związek w pełni widoczny, jeżeli w Październiku istotny udział robotników w zmianach politycznych nie był wielki, to wybuch grudniowy wykazał, że jedyną siłą

zdolną do skutecznego przeciwstawienia się antyspołecznym przedsięwzięciom władz i do wymuszenia przez nie prewencyjnej (w obawie przed rozpaleniem napięć rewolucyjnych) dymisji ludzi symbolizujących deformację stosunków wewnętrznych — jest właśnie proletariat.

Zarysowany wyżej obraz współczesnego proletariatu polskiego wydaje się więc pozostawać w sprzeczności z jego praktycznymi dokonaniem. Jak to możliwe — można zapytać — nie-uformowana masa robotnicza, skłonna do dalekoidących ustępstw i wyrzeczeń, w pewnych momentach wybuchu? Jak to możliwe, że masa robotnicza o niskim poziomie świadomości klasowej i małym wyrobieniu politycznym przekształca swoje wybuchy w demonstracje *par excellence* polityczne?

Wszystkie wybuchy robotników te najgłośniejsze i te o lokalnym charakterze, łączy wspólnota obrony ustabilizowanego, minimalnego poziomu ich ekonomicznego bytowania. W pierwszych latach powojennych strajki i zaburzenia wyrażały sprzeciw wobec drastycznego ograniczenia realnej siły nabywczej robotniczych uposażeń w porównaniu z okresem przedwojennym. W latach późniejszych wszystkie wystąpienia robotnicze miały również ten sam charakter — obrony zdobytej już pozycji ekonomicznych. Dotyczy to nie tylko gwałtownych wybuchów ale i — umiarkowanych w formach — akcji o charakterze ciągłym (np. wzrost „absencji chorobowej” i poważna obniżka wydajności pracy w przemyśle włókienniczym aż do chwili wydatnego podniesienia funduszu płac we włókiennictwie w 1967 roku). Dotyczy to strajku pod hasłem podniesienia płac (np. strajk tramwajarzy łódzkich w 1957 roku), akcji o egzekucję formalnych praw do ulg fiskalnych i przywrócenie starego poziomu funduszu płac (np. Poznań — 1956), akcji o zabezpieczenie zaopatrzenia żywnościowego (np. „strajki mięsne” na Śląsku), ustalenia warunków wynagradzania i premiowania oraz relacji między zarobkami robotniczymi a cenami towarów konsumpcyjnych, na poziomie z poprzedniego okresu (np. Gdańsk, Szczecin — 1970) czy, wreszcie, akcji o same relacje płac i cen rynkowych (Łódź 1971). Tak więc u podstaw lokalnych, szerzej nieznanych przejawów robotniczego sprzeciwu a wydarzeniami na miarę Poznania czy Wyrbrzeża tkwią te same niemal przyczyny. W każdym wypadku mają one tło ekonomiczne.

Katalog żądań robotniczych poszerza się na inne dziedziny życia i przybiera postać demonstracji zdecydowanie politycznych jedynie w tych przypadkach, gdy pod wpływem działania władz wypadki przenoszą się poza teren zakładów pracy i gdy — jak w Poznaniu czy Gdańsku — postawa władz prowokuje do wybuchu walk ulicznych. Odwrotnie, brak elementów prowokacji

ze strony władz polityczne negocjowanie nabrzmiałych problemów na terenie zakładu pracy, nie prowadziło do konfrontacji politycznych. Nawet w okresie wyjątkowej, nieograniczonej żądnymi obawami jawności wypowiedzi — bezpośrednio po Październiku 1956 roku, wystąpienia robotnicze nie miały charakteru postulatów politycznych dotyczących przyszłości a ograniczających się do „rozliczeń z przeszłością”.

Można więc stwierdzić, że akcje robotnicze miały dotychczas charakter defensywny, wąskoekonomiczny, przypominający początkową fazę walk klasowych w XIX wieku. Stan taki zdecydowanie różni się od współczesnej walki robotniczej na Zachodzie, gdzie przedmiotem konfrontacji nie jest zagwarantowanie minimum środków bieżącej egzystencji, nie obrona zdobytego poziomu stopy życiowej lecz zaawansowana i wszechstronna zmiana podziału dochodu narodowego i zwiększonej partycypacji w zyskach osiąganych przez właścicieli środków produkcji. Coraz częściej wybuchy robotnicze stanowią ripostę na uchybienia natury moralnej ze strony kapitalistów i ich aparatu. Taka ewentualność w polskim środowisku robotniczym na razie w rachubę nie wchodzi.



Wydarzenia z przełomu 1970/71 roku, chociaż mieszczą się w pełni w stereotypie dotychczasowego defensywnego działania robotników, to jednak — bynajmniej nie ze względów zamierzonych przez samych robotników a wynikających z ogólnej sytuacji w kraju — stały się czynnikiem znamionującym nieunikniony przełom.

Po raz pierwszy robotnicy wystąpili całkowicie samodzielnie bez udziału innych grup ludności w manifestacji kojarzącej (w miarę narastania konfliktu) elementy ekonomiczne z politycznymi. Charakterystyczne jest przy tym, że szczeciński „ciąg dalszy” z drugiej połowy stycznia (choć — jak się okazało na spotkaniu stoczniovym — również miał charakter zrywu ekonomicznego), wykorzystał preteksty polityczne dla proklamowania strajku i przekształcił się w strajk powszechny w Szczecinie.

Po raz pierwszy w dziejach ustroju (nie tylko w Polsce) zmiana centralnych władz nastąpiła w trakcie robotniczego wrzenia i w bezpośrednim z nim związku.

Po raz pierwszy nowoustawiona władza musiała po trzech miesiącach ulec presji robotniczej, zgodnej z interesami ogółu obywateli, mimo wielokrotnych i solennych zapewnień, że powrót do starych cenników przedgrudniowych nie mieści się w możliwościach ekonomicznych gospodarki narodowej. Był to chyba

jedyny incydent w historii kiedy jeden ośrodek robotniczy wystąpił w roli rzecznika interesu ogólnonarodowego i walkę wygrał.

Wymuszone ustępstwa nie mogą minąć bez szerokiego echa w społeczeństwie. Podważyły one autorytet nowego kierownictwa i wiarę w prawdziwość jego zapewnień. Wykazały, że zdecydowana postawa robotników sprzyja poprawie ich ekonomicznego położenia. Nakazały ostrożność i umiar w ewentualnych próbach ograniczania spożycia wewnętrznego przez władzę. Uprzytomniły samym robotnikom (a także ogółowi społeczeństwa), że władza obawia się konfrontacji z robotnikami nawet w warunkach pokojowego strajku. Ujawnili wreszcie z całą ostrością wstydlivy problem (nie tylko w PRL): legalności strajku. Rozstrzygnięcie konfliktu łódzkiego i szczecińskiego, brak represji wobec jego przywódców i uczestników, oficjalne deklaracje nowego kierownictwa na ten temat — muszą uprzytomnić ogółowi robotniczemu i skuteczność tej formy opozycji, i jej legalność, i absurdalność groźnych poprzednio posądzeń, jakoby każdy strajk był „obiektywnym” lub tendencyjnym sprzyjaniem obcym i wrogim Polsce siłom.

Przebieg wypadków wykazał, że wbrew obawom (chyba nie robotniczych środowisk) Sowiety w obecnej sytuacji międzynarodowej, po smutnych doświadczeniach i po negatywnych w ogólnym rachunku skutkach interwencji w Czechosłowacji za wszelką cenę będą zabiegały o powściągnięcie „argumentu siły” wobec masowych demonstracji sprzeciwu robotniczego w krajach obozu (to nie znaczy, że w samym ZSSR). Fakt, że trzykrotnie gwałtowne poruszenia społeczne w Polsce (Poznań-Październik-Wybrzeże) nie spotkały się z militarną interwencją sowiecką, sprzyja ukształtowaniu przekonania o nieprawdziwości takiej ewentualności. Tym bardziej, że najgorętszymi rzecznikami poglądów o zagrożeniu sowieckim są sami biurokraci.

Biurokraci nie mogą w żadnym wypadku ujawniać prawdziwej zależności od ZSSR i jej ekonomicznych skutków dla kraju oraz ogółu społeczeństwa. A więc całe niezadowolenie robotników, którzy ponoszą najwyższe koszty systemu, będzie kierowało się przeciw rodzimej biurokracji i będzie coraz zdecydowaniej przybierać postać świadomej walki klasowej.

Jej akt pierwszy rozegra się prawdopodobnie na płaszczyźnie związków zawodowych, które — zgodnie ze zdobytym już doświadczeniem — proletariat zechce przekształcić w rzeczywiste, wybieralne, w pełni przezeń kontrolowane przedstawicielstwa wobec...? Państwa? Biurokracji? Pracodawcy?

W warunkach polskich wszystkie te określenia traktują o jednej i tej samej sile klasowej.

## Inteligencja polska : rzeczywistość czy mit

Oficjalny podział ludności Polski Ludowej ze względu na stratyfikację społeczne wykazuje, że społeczeństwo polskie dzieli się na trzy nieantagonistyczne klasy (warstwy): robotników, chłopów i inteligencję pracującą. Z tych trzech warstw tylko jedna była zaangażowana w wypadki grudniowe — dwie pozostałe ustosunkowały się do nich — w najlepszym razie — z cichą aprobatą i — również w najlepszym razie — wydawały się rade, że ktoś inny przejął na siebie ciężar i ofiary walki z reżymem, licząc, jak się okazało nie bez racji, na to, że jeśli Partia poczyni ustępstwa na rzecz robotników, to poczyni je również na rzecz innych warstw społecznych.

W związku z tym, że tylko robotnicy wzięli udział, czy spowodowali wypadki grudniowe, hasła i postulaty wówczas wysuwane były postulatami wyłącznie ekonomicznymi, choć — gdyby inteligencja wzięła udział w Grudniu — mogłyby być rozszerzone i na sprawy polityczne; nie stało się tak jednak i dlatego wypadki te nie doprowadziły do żadnych zmian polityczno-społecznych, bo przecież trudno nazwać przewrotem politycznym przewrót pałacowy, przechwycenie władzy przez inną klikę w łonie tej samej grupy, nieco tylko (oby!) sprawniejszą w realizacji tego samego programu politycznego.

W Marcu natomiast było zgoła inaczej. Wówczas to, grupa studentów i pracowników naukowych wystąpiła przeciwko reżymowi głosząc hasło wolności słowa i swobody twórczej. Hasło to brzmiało, jak wiadomo: „Nie ma chleba bez wolności”. Była to mała grupa — w zasadzie tylko nieliczni asystenci i profesoria uniwersytetu, gdyż pracownicy instytutów naukowych, nie prowadzący działalności dydaktycznej, powstrzymali się przed manifestowaniem postawy sprzyjającej studentom, natomiast rezolucje wiernopoddańcze uchwalono niemalże natychmiast.

Oczywiste więc jest — pomijając motywy natury propagandowej — że robotnicy, którym nie tyle brakowało wolności słowa, co właśnie chleba, którzy w sklepach mięsnych widzieli tylko gołe haki, odnieśli się do tak sformułowanego hasła nieufnie, lub wręcz wrogo. Pozwolę sobie nawet na uogólnienie tego ostatniego stwierdzenia: nie tylko robotnicy ale w ogóle „ulica” patrzyła niechętnym wzrokiem na manifestujących studentów. Dodajmy, że nie bez racji, bo specyficzne problemy studentów i intelektualistów, nie dotyczące spraw ekonomicznych, były i będą niezrozumiałe dla innych warstw społecznych. Hasło to — co także trzeba stwierdzić — nie zostało zresztą

poparte *en masse* przez studentów, szczególnie przez tych, którzy musieli utrzymywać się z głodowego stypendium (300 zł. na pierwszych latach i 500 zł. na ostatnim roku) i mieszkać w domach akademickich w warunkach więziennych — jeśli chodzi o metraż 3-4 m<sup>2</sup> na osobę).

Jeśli powyższe jest słuszne, to w takim wypadku nawet Marca nie można uważać za wystąpienie inteligencji jako klasy społecznej — choć niewątpliwie było to wystąpienie inteligenckie — lecz jedynie jej drobnej części, na którą złożyli się studenci (dość masowo) i intelektualiści (nieliczni).

W każdym razie natomiast historyk nie zanotuje żadnego wystąpienia chłopów, jeśli nie liczyć drobnych incydentów związanych z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, czy też z pewnymi obrzędami religijnymi, które to zadrażnienia wynikały na skutek prostackich ingerencji milicji i nie były skierowane przeciwko komunistycznemu systemowi polityczno-społeczному. Zjawisko owej „niewrażliwości” chłopskiej na reżym (uściślijmy, że od roku 1956) można by, ale tylko z grubsza, wyjaśnić tym, że właśnie chłopstwo jest tą warstwą społeczną, której powodzi się jeśli nie dobrze, to przecież najlepiej — po prostu dlatego, że warstwa ta nie cierpi głodu, który był udziałem robotników i drobnych urzędników (spotykane niekiedy twierdzenie, iż w Polsce jedzenie jest tanie, woła o pomstę do nieba), oraz tym, co postaram się udowodnić dalej, że chłopci doceniają fakt, iż dopiero ten reżym otworzył chłopstwu — zresztą przypadkowo — możliwość awansu społecznego i kulturowego w skali niespotykanej dotąd w historii Polski. Awans ten oznacza możliwość przeniesienia się do miasta, wykonywania „miejskiego” zawodu, i możliwość kształcenia dzieci. Tak rozumiany „awans społeczny” jest nie tyle wynikiem dobrej woli reżymu czy świadomej polityki kulturalnej, ale w dużej mierze wynika z napięć ekonomicznych, gdyż drobne gospodarstwa chłopskie, typowe dla polskiej wsi, nie są w stanie wyżywić zbyt wielu członków rodziny. Młodzież wiejska jest więc zmuszona — zdając sobie z tego sprawę, lub nie — szukać pracy w mieście, co zresztą na ogół uważa za dobrodziejstwo ustroju społecznego i właśnie za awans społeczny, a nie za przymus, wynikły z niedostatecznego zaplecza ekonomicznego gospodarki wiejskiej.

Historyk czy socjolog winien jednak w tym miejscu zauważyć, że ten proces, owa zmiana struktury społecznej — niezależnie od racji genetycznych — winna być zawsze uważana za przemianę pozytywną zarówno w obrębie stratyfikacji społecznej, jak i w zakresie kultury narodowej. W normalnym społeczeństwie oznacza to bowiem dopływ nowych, prężnych ludzi; świeżych, otwartych umysłów, nie związanych z rodzinnymi kotteriami pracowników etc. W normalnym społeczeństwie — ale nie w polskim.

Te subiektywne odczucia „awansujących” chłopów, jak i fakt posiadania własnego gospodarstwa rolnego sprawia, że chłopstwo akceptuje w zasadzie obecny reżym i będzie go tak długo akcep-

tować, póki nie odbierze się im gospodarstw. Jednocześnie chłop posiadający swoją ziemię myśli na ogół kategoriami patriotycznymi o zabarwieniu szowinistycznym, co słusznie zauważył Stalin pisząc, że mentalność chłopska nie rozróżnia pojęcia „swego gospodarstwa” od pojęcia „swojej ojczyzny”. Aparat policyjny złożony z chłopów (dzieci chłopskich), obdarzony dodatkowymi przywilejami i na skutek tego szczególnie świadomy swego awansu społecznego — jest wyjątkowo wierny, lojalny i całkowicie oddany „sprawie narodowej”.

Podobnie jak chłopci tak i inteligencja po roku 1956 zniknęła jakby z powierzchni życia politycznego kraju. Oczywiście inteligencja w najszerszym tego słowa znaczeniu, bo przecież nie intelektualisci. Pytanie dlaczego tak się stało, dlaczego ani w Marcu, ani, przede wszystkim w Grudniu, inteligencja nie była obecna, przejawia się w wielu dyskusjach na tematy krajowe. Stawiał to pytanie parokrotnie Herling-Grudziński, starali się na nie odpowiedzieć w *Kulturze* Matejko i Kołakowski. Ale — o ile pytanie jest niezwykle ważne i istotne — odpowiedź Matejki, polegająca w zasadzie na ironii z inteligencji krajowej, nie rozwiązała wcale postawionej kwestii.

Matejko próbuje zdefiniować inteligencję następująco:

Być inteligentem znaczy dziś w Polsce wykonywać pracę umysłową (co najmniej w poważnej części), mieć dostateczne wykształcenie ogólne (średnie już dziś nie wystarcza), wykazywać jaką taką ogładę towarzyską i kulturalną, podkreślać w jakimś stopniu swą identyczność i poczucie honoru. Inteligent bywa w teatrze, w kinie szuka nie tylko taniej rozrywki, czytuje tzw. czasopisma społeczno-kulturalne i książki modnych pisarzy, potrafi w towarzystwie sformułować opinie na przeróżne, ogólne tematy, dba o schludny wygląd zewnętrzny (a jeśli nie dba, to robi to celowo) i o godność własną, nie pospolituje się z byle kim, jest patriotyczny (tzn. nie lubi Niemców i Rosjan, a do Czechów ma stosunek protekcyjny), nie bierze na serio żadnej ideologii.

Oczywiście, weźmiemy pod uwagę tylko pierwszą część powyższej definicji, ale i ona — jeśli nawet odpowiadająca w jakiś sposób obrazowi inteligencji XIX wieku — nie uwzględnia, moim zdaniem, przemian społecznych tejże grupy, dokonanych przez wiek dwudziesty, nie rozróżnia np. inteligencji z grupy tzw. wolnych zawodów od drobnych urzędników, a rozróżnienie to istnieje realnie w świadomości społecznej.

W tym samym numerze *Kultury* inną definicję podaje, cytując Jacka Kurońa, Herling-Grudziński:

„Jestem inteligentem... Funkcją inteligencji jest myślenie i przedstawianie społeczeństwu obrazu rzeczywistości... Moralnym obowiązkiem inteligencji jest przedstawić klasie robotniczej i społeczeństwu prawdziwy obraz rzeczywistości”

i dalej dodaje od siebie (Grudziński):

W naszej części świata... inteligencja nie jest ścisłą kategorią socjolo-

giczną, ani nawet zawodową, jest raczej — jak słusznie zauważył Kuroń — swoistym powołaniem w społecznym podziale obowiązków i zadań”.

Te dwie próby definicji — socjologa z jednej strony i moralisty z drugiej — uzupełniają się w wysiłku uchwycenia fenomenu „inteligencji” w kontekście Europy Wschodniej, i wychodzą, choć może nie całkowicie, naprzeciw intuicjom potocznym. Podkreślają więc, że grupę społeczną nazwaną „inteligencja” należy wyróżnić ze względu na: zawód wykonywany przez członków tej grupy, określone tradycje i funkcje społeczne. Wyróżnienie tej grupy będzie oczywiście możliwe, jeśli owe kryteria stosowane będą łącznie, to znaczy, że jeśli chcielibyśmy wyróżnić tę grupę tylko ze względu na kryteria zawodowe, to może się w niej znaleźć magazynier, drobna urzędniczka Powiatowej Rady Narodowej, czy też pracownik terenowego aparatu partyjnego, którzy — w odczuciu społecznym — na pewno nie będą zaliczani do inteligencji. Również i tradycje, wzięte same w sobie, nie są kryterium przesądzającym o przynależności grupowej, podobnie zresztą jak i funkcje społeczne, o których mówił Kuroń.

Po poczynieniu tych uwag i zastrzeżeń wstępnych, których sposób przedstawienia daleki jest od ścisłości naukowej, a które raczej dają wyraz prywatnym przekonaniom autora tego artykułu, przejdźmy do pytania zasadniczego: jak to więc jest z tą polską inteligencją? Czy grupa ta — nieobecna od szesnastu lat w życiu politycznym Polski — zdradziła swoje powołanie — jak sugeruje Herling-Grudziński; czy też pozwoliła tchórzliwie zastraszyć się policji — jak sugeruje Kołakowski; czy też grupa ta składa się z nicponi, snobów i letkiewiczów — to Matejko. Nie jest wykluczone, że wszyscy trzej mają rację, ale również nie jest wykluczone, że „nieobecność polityczna” polskiej inteligencji krajowej spowodowana jest po prostu tym, że w Polsce lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych *inteligencja, jako warstwa społeczna, w znaczeniu naszkicowanym powyżej, po prostu nie istnieje*, to znaczy, jeśli nawet istnieje, to stanowi grupę tak nieliczną (np. profesorowie uniwersyteccy), że siłą rzeczy niemal niezauważalną w procesach społecznych.

Aleksander Matejko, na wstępie wyżej cytowanego artykułu pisze, że przed drugą wojną światową inteligencja stanowiła w Polsce ok. 6% ludności, tzn. ok. 2-ch milionów. Następuje wojna, Katyń, sowiecko-hitlerowska polityka eksterminacji w pierwszym rządzie właśnie inteligencji, emigracja wojenna i powojenna. Trudno teraz, nie dysponując odnośnymi materiałami, stwierdzić jaki procent tej grupy pozostał w Polsce przy życiu, ale zapewne nie bardzo się omylimy, jeśli stwierdzimy, że niewielki. Ci ludzie, ci nieliczni inteligenci — z tego między innymi powodu, że tak nieliczni — cenieni byli zaraz po wojnie na wagę złota. Ale flirt z inteligencją trwał niedługo. Rok, może dwa, trzy. Bezwzględna i krwawa rozprawa z A.K., wytaczanie procesów w istocie za nic innego, jak właśnie za „inteligencckość”,

dopełniły reszty. Inteligencja jako klasa społecznie istotna przestała istnieć, niedobitki zaś — co rozumiałe — przeszły na „emigrację wewnętrzną”. Wygrał oficer śledczy mówiący zaraz po wojnie do badanego Akowca: „A teraz ty inteligencki ch... poczujesz pięść polskiego robotnika”. I, ten, cytowany przez mnie, poczuł — 10 lat w celi śmierci — i do końca życia jej nie zapomni. Czy można się dziwić, że ten człowiek nie będzie jawnie, solidarnie z robotnikiem z Grudnia, manifestować swej nienawiści do reżymu?

Na opróżnione miejsce przyszła nowa klasa. 30 % czy 40 % studentów autentycznego pochodzenia chłopskiego (mniej robotniczego) na uniwersytetach, to rzecz niespotykana. Przyszli i nadal przychodzą do szkół wyższych, świadomi że na zawsze rzucili wieś, świadomi swego awansu. Na uniwersytetach, co rozumiałe, spotkali się tylko z afirmacją swej postawy. Nie wychował ich nikt, nikt nawet nie starał się ich wychowywać, gdyż ci prawdziwi wychowawcy — dla przykładu: Ossowski, Kotarbiński etc. — odsunięci byli przez wiele lat od młodzieży. Co prawda wrócili po Październiku ale, niestety, niektórzy ze względu na wiek, na bardzo krótko. Ich przedwojenni uczniowie, którzy winni byli zająć ich miejsca, to ludzie o biografiiach wojennych, które opisywaliśmy wyżej; nowych uczniów ci starzy nie zdążyli wychować. Ale przecież mała grupa, wychowana jeśli nie przez nich bezpośrednio, to przez ich pisma, książki, przykład — dała o sobie znać w marcu 1968. Dostyc brutalnie rozbito i tę niewielką, dopiero pączkującą grupę. Dano zaraz inteligencji pochodzącej z grup awansujących lekcję pokazową jak Partia karze zdradę, a jak wynagradza wierność. Obok nowych docentów, ludzi nie będących w stanie napisać najbłahszej pracy naukowej, pozostali na placu boju ludzie, którzy dalej pograżali się w stan apatii nie chcąc płacić — drogo, to trzeba dodać — za to, że nowa klika pałacowa dojdzie do władzy. No i ci z powszechnego awansu — „nowi”, nawet „nowi” w stosunku do grup, które przed, czy zaraz po Październiku osiągnęły status inteligencki. Trudno nie zauważyć ciągłej antyinteligentkiej polityki Partii, stawiającej na ludzi którzy nie zakończyli drogi awansu społecznego, a która zaawansowanych degraduje. Pytanie, kiedy wreszcie młodzież awansująca, owe 40 % na uniwersytetach, przejrzy tę politykę, która polega nie na dawaniu ale na kuszeniu owym awansem. Tych bowiem, którzy swój awans wezmą na serio i zaczną realizować funkcje „bycia inteligentem”, spycha się natychmiast tam, gdzie nie mają już nic do powiedzenia.

Na poparcie powyższego zacytuję Henryka Kosowego (*Tygodnik Powszechny* z 4. IV. 1971):

„Paradoks obecnego etapu naszego rozwoju, zdaje się bowiem polegać na tym, że stając się — w zgodzie ze statystyką — krajem przemysłowym, nie przestaliśmy zarazem — wbrew statystyce — być krajem chłopskim. Polska była nim co najmniej od stu lat, od momentu ostatecznego załamania się dominacji kultury szlacheckiej i opierającego się na niej modelu społeczeń-

stwa. Nigdy zresztą w swoich dziejach Polska nie była tak bardzo jednolicie chłopskim krajem, jak w roku 1945, po zakończeniu drugiej wojny światowej. Warstwy miejskie nie były i przed wojną zbyt liczne. Podczas okupacji zostały one praktycznie wyniszczone fizycznie... Ziemianstwo i inteligencja podzieliły losy mieszczaństwa, likwidowane planowo i świadomie w toku prowadzonej walki. Hegemonem procesów naszej powojennej industrializacji i urbanizacji musiała się więc stać warstwa chłopska, która wniosła do obu tych procesów swoje specyficzne cechy społeczne i kulturowe... Wytworzyła się pewna przejściowa formacja nowoczesnej cywilizacji przemysłowo-miejskiej, którą można by określić jako cywilizację chłopską... Ogromna większość dzisiejszych mieszkańców nowych miast... urodziła się na wsi, gdzie spędziła pierwsze lata swego życia... Wczesne lata życia mają, jak wiadomo, decydujące znaczenie dla rozwoju osobowości osobnika... Późniejsze systematyczne zabiegi wychowawcze, realizowane przede wszystkim przez system szkolny, nie mogły już odegrać większego, korygującego wpływu. Przede wszystkim dlatego, że nauczycielstwo w swojej podstawowej masie, jest również w pierwszym pokoleniu pochodzenia chłopskiego... Głęboko chłopska, pod względem nawyków społecznych, obyczajowości i kultury, jest znaczna część inteligencji i administracji”.

I wreszcie:

„W całym tym skomplikowanym procesie stawania się w nowych kształtach społecznych i kulturowych, procesie bez głębszych lokalnych tradycji, nie ma nauczycieli, są tylko sami, pozostawieni sobie, uczniowie”.

H. Kosowy udowadnia tezy naszego szkicu z innych pozycji obserwacyjnych — mianowicie z pozycji przemian kulturowych. Powtórzmy je: brak po wojnie inteligencji jako klasy społecznej mającej znaczenie; brak wychowawców; model kulturowy, model awansu i model potrzeb tkwiące głęboko w odpowiednich modelach chłopskich. Cytat powyższy potwierdza również tezę, że do chwili obecnej nie ma w Polsce inteligencji w pełnym tego słowa znaczeniu. Na terenie walki politycznej — co rzeczywistość gorzko potwierdziła — oznacza to, że inteligencja jest nieobecna, gdyż mamy — w najlepszym razie — do czynienia z grupą społeczną mogącą, przy sprzyjającej — polityce społecznej Partii (co wydaje się niemożliwe, ponieważ tępienie inteligencji stanowi rację jej istnienia), stać się (sprawa pokoleń) inteligencją. Na kontr-przykład Herlinga-Grudzińskiego (Odpowiedź na list Korespondenta, *Kultura* nr 3/282) odpowiedziałbym, że proces ten dokonał się w Czechosłowacji jeszcze przed pierwszą wojną światową i dlatego mogła mieć miejsce Praska Wiosna 1968. Być może, że upodlenie czeskiej inteligencji było nieporównanie większe niż polskiej i tu można przyznać rację znakomitemu polemiciście — ale przecież to była w ogóle inteligencja, która otrząsnęta się w 1968 i nie akceptuje żadnych form kolaboracji z sowieckim rządem Husaka. Natomiast w Polsce wszystko odbywa się w zgodzie nieomal ze stereotypami dotyczącymi kultury i obyczajowości chłopskiej, a więc zgoda na feudalne obyczaje urzędni-

ków, bojaźliwe czapkowanie i lęk przed gniewnym wrzaskiem półinteligenta partyjnego.

Tak więc ów naturalny, spontaniczny i tak ważny społecznie pęd chłopstwa do awansu społecznego kończy się dojściem do ideału kulturowego drobnomieszczaństwa. Pozostaje nam tylko nadzieja, że wbrew dotychczasowym doświadczeniom, które wskazują że drobnomieszczenie są z zasady społecznie najmniej ruchliwi, zamknięci i nie pretendują do dalszego awansu społecznego, że mimo to jednak — zdolnym jednostkom uda się wyrwać z jej kręgów i przejść, czy też stworzyć grupę nowej, autentycznej inteligencji. Ale równie dobrze może być odwrotnie. Psychologia społeczna udowodniła łatwość przyswajania sobie cech, z którymi jednostka styka się dostatecznie długo, a które jeśli nawet nie są spotkają się z aprobatą społeczną, to przecież równie nie są oceniane jako naganne. To ostatnie zdanie, nawet z punktu widzenia socjologa, podkreśla konieczność ostrej krytyki stosunków społecznych w dzisiejszej Polsce.

Zreasumujmy. Narzekania na inteligencję polską jest o tyle pozbawione sensu, że w Polsce inteligencja, jako warstwa mająca społeczne znaczenie, nie istnieje. Niedobitki tej warstwy są sterroryzowane, rozłożone psychicznie wydarzeniami ostatnich 33 lat i wskutek tego podatne na bierne przyjmowanie „wartości kultury socjalistycznej”. Są to ludzie zastraszeni którzy, zresztą nie bez oporów, zaakceptowali reklamowany przez policję mit strachu, ludzie wierzący w swoją bezsilność, a przez to — Kołakowski ma tu całkowicie rację — pogarszający jeszcze bardziej swoją sytuację. Ale stanowią oni nikłą grupę. Do nich można by zaliczyć i ową garstkę intelektualistów uniwersyteckich, w stosunku do których nie stosowałbym taryfy ulgowej. Ich oportunistyczny, służalstwo — szczególnie humanistów — jest niewybaczalne, nie tylko ze względu na doraźną szkodliwość, ale przede wszystkim ze względu na młodzież, która z ich postawy czerpie wzory moralne. Dowodem tego był Marzec 1968 roku. To oni, zaakceptowawszy bez protestu wyrzucenie kolegów, głosili wszem i wobec, że trzeba „ratować”, mając chyba na myśli swoje, tak źle płatne posady. Nie można im też wybaczyć oportunistu i z tego powodu, że właśnie oni (a także i pisarze) są w zasadzie bezkarni. Można wyrzucić sześciu, czy siedmiu profesorów filozofii czy socjologii, ale nie wyrzuci się wszystkich fizyków, polonistów, historyków etc., gdyż żadne państwo, nawet — jeśli idzie o politykę kulturalną — tak prymitywnie rządzone jak Polska, nie jest w stanie obejść się bez wysoko wykwalifikowanych nauczycieli. Ale, powtórzmy, to jest właściwie garstka ludzi.

Nowa pseudo-inteligencja, wychowana w duchu ideałów chłopsko-drobnomieszczańskich, nie widzi powodu — co jest zrozumiałe — do zadzierania z państwem ludowym. Ma, albo może mieć, wszystko o czym marzyła. Nie zmienia tego fakt, że są to marzenia niewygodowane. Mają mieszkania, stanowiska, pieniądze. Ich rodzice tego nie mieli. Nie posiadając wychowa-

nia (w sensie w jakim pisał Kosowy), pozbawieni wzorów kulturowych, żądają tylko — i chyba skutecznie — zaspokajania potrzeb konsumpcyjnych.

Nie zapominajmy przy tym o pookupacyjnym spadku, o cynizmie i nihilizmie, które w nieco innych warunkach rugują nawet „ideały komunistyczne”. Prasa zajmuje się wyłącznie sprawami produkcji, konsumpcji etc. (*Tygodnik Powszechny* stanowi tu chlubny wyjątek, ale to jest pismo katolickie). Poważane są tylko takie cechy ludzkie jak: sprawność, operatywność, bystrość. O innych się zapomina. Toteż coraz powszechniej zwiększa się cyniczne poczucie bezkarności moralnej. Bowiem system — to znaczy ludzie ratujący swoje synekury — dał możliwość tłumaczenia wszystkiego koniecznością posłuszeństwa rozkazom Partii. Tacy ludzie jak Kąkol i S-ka natychmiast po Grudniu zmienili bezkarnie skórę i nawet — co nie dziwi — awansowali. Są to przykłady smutne i pouczające. Zwłaszcza jeśli się nie zapomni, że Kąkol jest również i profesorem uniwersytetu!

Konkluzja: Trzeba dość długo jeszcze poczekać na to, aby w Polsce powstała nowa, prawdziwa inteligencja. Ale nie wolno czekać biernie. Trzeba już dzisiaj — zastępując oportunistycznych nauczycieli — podsuwać wzory wychowawcze, kształtować ideały i uczyć zasad elementarnej uczciwości, choćby względem siebie samego. Trzeba urabiać przekonanie, że „być inteligentem, to znaczy spełniać określone funkcje społeczne”, i że to nie tylko przywileje, ale i ciężkie niekiedy obowiązki wobec społeczeństwa. Takie zadanie chciałoby się postawić przed wychowawcami młodzieży uniwersyteckiej, pisarzami, publicystami. Zadanie, za które być może przyjdzie im drogo zapłacić! Ale właśnie dlatego — łącznie z płaceniem kosztów — zostali wyróżnieni przez społeczeństwo. Warto więc by wreszcie uświadomili sobie, że mimo tak wielu „okoliczności łagodzących” nic nie usprawiedliwia ich nieobecności w Grudniu, nieobecności która zwiększyła tylko rozdźwięk między nimi a robotnikami. Oni bowiem, ta nieliczna inteligencja, powinni stać się *spiritus movens* walki o nowe społeczeństwo, w której — jak pisał niegdyś Kołakowski — nie ma co prawda ostatecznych zwycięstw, ale nie ma też ostatecznych porażek.

Wojciech RYSAK

## Gospodarka narodowa

David Bonavia, do niedawna stały korespondent *Times'a* w ZSSR, powrócił do Anglii i w serii artykułów stara się powiedzieć to, czego auto-cenzura nie pozwalała mu umieścić w dotych-

czasowych sprawozdaniach. Jego artykuł w *Times*'ie z dnia 22 maja zajmuje się planowaniem *à la Russe*. Bonavia stwierdza w nim, że sowieckie planowanie gospodarcze jest „fundamentalnie niewydajne”, a „zaczarowany krąg dogmatów” służy do ukrycia „fantastycznego chaosu”. „Nie trzeba robić nic poza czytaniem prasy sowieckiej, aby odkryć prosty fakt, że gospodarka sowiecka jest w stanie najokropniejszego bałaganu”. Działanie systemu, który sprawia, że różnica dobrobytu między krajami rozwiniętymi a ZSSR pogłębia się zdecydowanie z każdym rokiem, wygląda według Bonavii jak następuje: Co pięć lat władcy kraju ogłaszają Plan, który jest czymś w rodzaju obietnicy wyborczej. Plan proklamuje osiągnięcia najbliższych pięciu lat w formie szczegółowo podanych (dużych) procentowych wzrostów produkcji w poszczególnych działach. W tym momencie następuje samo-gratulacje i szydercze aluzje pod adresem dekadentów z Zachodu. Ale już w drugim roku Planu ogłasza się, tym razem już bez reklamy, obniżenie zadań Planu. Przy końcu Planu ludność dowiaduje się, iż „podstawowe zadania Planu zostały w zasadzie wykonane”, mimo że wyniki w poszczególnych działach, np. produkcja elektryczności, stali, przędzy, ciężarówek itd. są w rażącej sprzeczności z tym stwierdzeniem. Ta łatwość, z jaką władcy kraju mogą zbyć oczekiwania społeczeństwa, jest dla Bonavii „najbardziej przerażającym i przygnębiającym składnikiem atmosfery rosyjskiej”.

W Polsce jest podobnie, a jednak inaczej. System planowania i jego ogólne wyniki są mniej więcej takie same, nie ma natomiast tej „przygnębiającej atmosfery”, w której pierwszy sekretarz może np. oświadczyć, że brak mięsa został z nadwyżką pokryty ponadplanowym wzrostem produkcji słomkowych kapeluszy i otrzymać za to huczne, a nawet burzliwe oklaski. W Polsce po każdym Październiku czy Grudniu jest okres mówienia prawdy, który oczyszcza atmosferę i uzbraja ludzi duchowo na kilka lat. Tak więc i teraz, jakby w odpowiedzi Bonavii, słyszymy wypowiedzi jak poniższa (Z. Szeliga w *Polityce* z 27 maja): „Chcemy skończyć z sytuacją, że wprawdzie ogólne wskaźniki rozwoju wskazywałyby poprawę, ale w odczuciach społecznych i wskaźnikach poziomu życiowego — poprawa nie znajdowała odzwierciedlenia”. Okazją do tej wypowiedzi jest typowa sytuacja z modelu Bonavii, mianowicie dyskusja nad nowym projektem Planu na lata 1971-75. Ale znów podobieństwo jest tylko formalne. O ile w Rosji w analogicznym punkcie harmonogramu odbywa się ciche obniżanie zadań Planu, to w Polsce przyczyną obecnej rewizji Planu jest konieczność prostowania błędów i wypaczeń popełnionych przez Gomułkę (który, jak pamiętamy, doszedł do władzy po to, aby korygować poprzednie błędy i wypaczenia); w wyniku tej rewizji cały szereg wskaźników powinien ulec podwyższeniu, a warunki życiowe ludności — polepszeniu.

Zgodnie z konsumpcyjnym nastawieniem nowego kierownictwa w kraju, pierwszym zadaniem nowej wersji starego planu

jest zapewnienie obywatelom „odczuwalnie większych” zarobków niż w 1970 roku. Strumień pieniędzy, płynący do kieszeni ludności (tzw. przychód) ma być w 1975 roku o 45 % większy, niż w roku 1970. Składniki tego strumienia przedstawiają się jak następuje (w miliardach z.):

Rok	Fundusz płac	Świadczenia społeczne	Skup rolny	Kredyty	Inne	Razem na osobę w zł.
1970	315	52	88	36	73	564
1975	447	90	135	50	96	818

W powyższym zestawieniu budzi refleksje mały (ok. 31 %) wzrost „Innych” źródeł przychodu, które zawierają m.in. ważny dla dobrobytu ludności sektor prywatnej inicjatywy, oraz duży (73 %) wzrost wypłat z tytułu świadczeń społecznych, tzn. rent, emerytur, zasiłków itd. W 1975 roku 11 % całego przychodu ludności będzie pochodzić z tego źródła. W związku ze starzeniem się ludności rosnący trend świadczeń społecznych nie kończy się na 1975 roku i w latach późniejszych może stać się albo dodatkowym bodźcem do reformy, albo jeszcze jednym czynnikiem pauperyzacji społeczeństwa.

Planowany 40-procentowy wzrost funduszu płac przeznaczony jest głównie na wzrost zatrudnienia. Znalezienie pracy dla dużych roczników wyżu jest jednym z zadań Planu. Odbiją to korzystnie od polityki poprzedniego okresu, charakteryzującej się forsowaniem bezrobocia. Płace realne mają wzrosnąć o 18 %, przy czym ulegną zmniejszeniu różnice między poszczególnymi sektorami. Skorzysta na tym oświata i służba zdrowia, które dotychczas zajmowały ostatnie miejsca w tabeli płac. Na skutek znacznych podwyżek płac dla nauczycielstwa — które już zaczynają wchodzić w życie — oświata przesunie się w 1975 roku o kilka pozycji w górę (średnia płaca miesięczna 3.000 zł), a najniższe miejsce w tabeli przypadnie handlowi (średnia płaca 2.410 zł). Niezależnie od dowcipów typu „oni sobie dokradną ile potrzeba”, handel czyli oświata dystrybucja potraktowany został przez Plan surowo. Dostawa na rynek mają być w 1975 roku o 43 % wyższe niż w 1970 roku (z tego żywności o 37 % wyższe), lecz ani zatrudnienie ani inwestycje w handlu nie rosną tak szybko i w rezultacie personelowi tego sektoru przypadnie o wiele więcej pracy. O ile w 1970 roku jeden pracownik w dystrybucji sprzedawał towarów za 585.000 zł. rocznie, to w 1975 roku ma sprzedawać za 725.000 zł. Można więc oczekiwać, że problem dystrybucji, który nigdy zupełnie nie wygasł, odżyje z nową siłą w najbliższych latach. A *propos* dystrybucji: 1 maja 1972, dwadzieścia siedem lat po zakończeniu wojny, zniesiono w Polsce racjonowanie węgla.

Wspomniane wyżej zwiększenie dostaw na rynek ma dokonać się częściowo dzięki zwiększonemu importowi. Limity dewizowe na import towarów rynkowych zostały zwiększone o 75 %, przy czym import z krajów nie-socjalistycznych ma wzrosnąć prze-

szo dwukrotnie (porównania między rokiem 1970 a 1975). Szczyt marzeń każdego Polaka — towary od Marksa i Spencera, są już sprowadzane i rozprowadzane przez handel uspołeczniony. Niezależnie od tego toczy się akcja zwiększenia dostaw krajowych, głównie żywności. W ciągu dyskusji na ten temat usłyszeliśmy odkrywcze stwierdzenie: „Poszerzenie skali Państwowych Gospodarstw Rolnych zwiększa koszty produkcji żywności” (*Życie Gospodarcze* z 30. 4. 1972) i jeszcze bardziej sensacyjne pytanie: „Jeśli zwiększa koszty, to kto nam każe to robić?” (*Życie Gospodarcze* z 7. 5. 1972). Rzeczywiście, kto?

W dziedzinie mieszkaniowej Plan zaledwie „zapoczątkuje rozwiązywanie” problemu. Nakłady w pięciolatce wzrosną o 54 miliardy zł., czyli o 34 % w porównaniu z pięciolatką 1966-70. Jednak mierzony powierzchnią budowlaną wzrost wyniesie zaledwie 25 % czyli niewiele ponad 4 % rocznie. Analiza działalności budowlanej w bieżącej pięciolatce w porównaniu z poprzednią wygląda jak następuje (w milionach metrów kwadr. budowy):

Rady narod.	Spół- dzielnie	Zakłady pracy	Rolnicze (uspoł.)	Prywatne		Razem
				miejskie	wiejskie	
5,5	17,0	3,4	2,6	8,5	11,2	48,2
5,0	22,4	5,2	2,9	10,2	14,6	60,3

Obserwujemy tu postępujący zanik budownictwa rad narodowych, czyli przeznaczonego na przydział, i „żywiłowy” rozwój budownictwa prywatnego (do którego należy zaliczyć również spółdzielnie). Nie to jest jednak ważne a fakt, że obecny Plan nie potrafi wyjść poza gomułkowskie normy. Sytuacja na odcinku mieszkaniowym jest przypuszczalnie gorsza niż na jakimkolwiek innym z wyjątkiem wolności osobistych i pogarsza się z jednej strony na skutek przesuwania się wyżu demograficznego na roczniki zdolne do małżeństwa, a z drugiej z powodu tragicznych wprost zaniedbań. Dość przypomnieć, że 25 % mieszkańców w miastach nie ma wody, a blisko 50 % — WC.

Na inwestycje Plan przeznacza 1.454 miliardy zł. (46 % więcej niż w ubiegłej pięciolatce). Największą dynamikę wzrostu wykazuje nauka (nakłady większe o 96 %), potem przemysł i służba zdrowia. Wewnątrz przemysłu główny nacisk idzie na hutnictwo, materiały budowlane, tekstylia i elektrotechnikę, natomiast zaznacza się spadek dynamiki nakładów na węgiel i chemię.

W Polsce dyskusja na temat Planu daleka jest od narcyzmu. Podkreśla się, że nie wszystkie zmiany na korzyść będą dostatecznie odczuwalne, a podaż towarów i usług nie da pełnego zaspokojenia potrzeb ludności. Poziom spożycia żywności będzie nadal pozostawał za krajami rozwiniętymi (do niedawna mówiono, że Polska należy do czołówek!). No i, niestety, wszyscy wiedzą, że nie ma mowy o „skoku” w budownictwie mieszkaniowym.

W obecnej fazie nie można traktować Planu jako programu na przyszłość. Duża jego część jest już przeszłością, duża teraz-

niejszością. Dlatego nie należy uważać go za platformę wyborczą, zbiór obietnic bez pokrycia; jest on na to zbyt sprawdzalny. Po drugie nie należy spodziewać się, żeby Plan mógł radykalnie polepszyć sytuację gospodarczą w Polsce. Nie działa on w próżni, lecz w rzeczywistości uwarunkowanej rządami Gomułki i używa środków i inwestycji pozostawionych przez Gomułkę. Jest on próbą przestawienia jadącej lokomotywy na inny tor. Jest rzeczą zrozumiałą, że nowy tor nie może być pod zbyt ostrym kątem do starego. Zmiany priorytetów, dokonane w takich warunkach nie mogą być zbyt dalekosiężne.

W samym Planie przewidziano spore ramy działalności poza-planowej (!). W roku bieżącym pozaplanowa produkcja ma mieć wartość 20 miliardów zł. Niezależnie od tego wyrażane są nadzieje na dalsze nieokreślone powiększenie produkcji, zwłaszcza w budownictwie indywidualnym. Powyższy przegląd wykazał, że istnieje paląca potrzeba takiej produkcji również i w innych niedofinansowanych dziedzinach, np. w rzemiośle i w handlu. Próba wydolności nowego systemu będzie m.in. to, czy potrafi on pokonać tendencje dogmatyczne, które w przeszłości udaremniały wszelką próbę ulżenia gospodarce za pomocą wykorzystania inicjatywy prywatnej.

Niewątpliwie, jak dawniej, działać będzie straszak wielkiego brata, który tylko czeka, aby zmiażdżyć czołgami prywaciarskie kioski z wodą sodową. Straszaka tego nadużywano w przeszłości, a jednak krwi na Wybrzeżu polało się więcej, niż przy inwazji Czechosłowacji.

Na zakończenie ciekawostka o jeszcze jednej poza-planowej akcji gospodarczej. W pierwszym kwartale br. jeden i ćwierć miliona turystów polskich odwiedziło NRD, a tyle samo turystów wschodnio-niemieckich przyjechało do Polski. A więc w stosunku rocznym — dziesięć milionów ludzi! Oczywiście jadą oni głównie na handel a nie dla zabawy. W ten sposób spełniają ważną funkcję gospodarczą, wzbogacając rynek i korygując wypaczenia produkcji planowej. Jakiego rządu fundusze wchodzi tu w grę? Jeśli, powiedzmy, 1.000 zł. na osobę, to suma obrotów wyniesie 10 miliardów zł. rocznie, a jeśli 10.000 zł., to aż sto miliardów zł., a więc więcej niż na przykład wartość całego skupu rolnego. W tych warunkach plan obrotów handlu zagranicznego traci swą wagę, a cała gospodarka zyskuje nowy wymiar.

Bohdan BRODZIŃSKI



## O religii bez namaszczenia

### Likwidatorzy Unii

Rzym z pierwszej połowy lutego br. Zimny, siąpiący deszczyk. Na placu przed bazyliką prawie pusto, nieliczni przechodnie przemykają wzdłuż kolumnady Berniniego. Przed głęboką, ciemną bramą sylwetki Szwajcarów. Sądziłem, że ta szwajcarska gwardia już nie istnieje, że została zniesiona falą reformatorskich poczynań i zamachów. Byłem w błędzie. Są — w swoich „łowickich” pasiakach, tyle, że zamiast halabard, karabiny z nasadzonymi bagnietami, zamiast hełmów — berety. Pilotuje mnie Witold Zahorski. Krótkie pertraktacje, idziemy dalej. Teraz obstępuje nas trzech panów, ubranych na czarno, ale w białych rękawiczkach. Znowu króciutka indagacja. Przed nami „Palazzina dell'Arciprete”, gdzie rezyduje kardynał Józef Slipyj.

Potężne drzwi w obramowaniu nałożonych na mur kamieni, nad nimi herb, także kuty w kamieniu. W głębi ciemniej niewyraźne o tej porze zarysy drzew ogrodów watykańskich. W przedsionku trzeba się opowiedzieć po raz trzeci — telefonicznie. Wjeżdżamy windą, na spotkanie wychodzi szambelan, O. Iwan Choma, najbliższy współpracownik kardynała. Nie ma go jeszcze, wróci za kilkanaście minut. Rozmawiam z ojcem Chomą w pięknej renesansowej sali. Długi, masywny stół, na nim rozłożone wydawnictwa, książki. Wolno mi zabrać te z nich, które zawierają najciekawszy dla mnie materiał. Wybieram, mój rozmówca zapewnia, że następnego dnia wyśle paczkę pod moim adresem. Rozmowa początkowo nieco utyka, jak zwykle, gdy stykają się z sobą dwie nie znające się osoby, ale już po kilku minutach rozwija się gładko.

W pewnej chwili O. Choma znika, teraz czekam bardzo krótko, otwierają się boczne drzwi, w nich znana z tyłu zdjęć sylwetka kardynała. Szerokim gestem zaprasza, bym mu towarzyszył do sąsiedniej, nieco mniejszej sali. Przyglądam się. Nie, nigdy bym się nie domyślił, że za tydzień skończy osiemdziesiąt lat. Słusznego wzrostu, wyprostowana postać, pewne ruchy, siwa broda i wąsy, ale włosy tylko przyprószone siwizną. W głosie ani śladu starczego brzmienia, stanowczo, gdy nie ta biała broda, można by mu dać sześćdziesiąt.

Dopiero po prawie godzinie bardzo żywej rozmowy dostrzegam pierwsze lekkie objawy zmęczenia. Głos zaczyna opadać, traci swoje nasilenie, gest ręki jest mniej pewny, rozmowa zwalnia tempo. Przecież wiem, ten, potężnie na pierwszy rzut oka wyglądający starzec ma za sobą prawie osiemnaście lat, spędzonych w sowieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Każdy, kto tam był, albo zna odpowiednie relacje, orientuje się, co to znaczy.

#### „Galernik Chrystusowy”

Podaję, że czytelnik polski na emigracji (o krajowym nie mówiąc) nie wie nic, a w najlepszym razie niewiele o osobie kardynała Slipyja. Oto garść informacji w telegraficznym skrócie. Józef Kubernyckij-Slipyj urodził się 17 lutego 1892 roku, gimnazjum ukończył w Tarnopolu, po czym wstąpił do lwowskiego seminarium. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1917, studia uzupełnił na uniwersytecie w Innsbrucku i w rzymskim Gregorianum. Gdy wrócił do Lwowa, był już doktorem teologii i posiadał tytuł „magister agregatur”, zdobyty właśnie w Gregorianum. W roku 1925 został rektorem seminarium we Lwowie, a jednocześnie, zgodnie z wolą metropolity Szeptyckiego, przygotowywał się do objęcia po nim stolicy metropolitalnej. Oficjalna nominacja nastąpiła w listopadzie 1939, w kilka tygodni po wejściu Armii Czerwonej do Lwowa. Ówczesny papież, Pius XII, natychmiast zatwierdził tę nominację.

Władzę nad metropolią arcybiskup Józef Slipyj objął w 1944, zaraz po zgonie metropolity Szeptyckiego, już pod powtórłą okupacją sowiecką. Przez całą pierwszą zimę NKWD nie ruszało arcybiskupa; aresztowało go dopiero w kwietniu 1945. Zaczęła się długoletnia martyrologia. Najpierw prawie dwa lata pobytu w więzieniu w Kijowie, uciążliwe badania, nawet fizyczne tortury. W wyniku odmowy przejścia na prawosławie i podporządkowania się władzom cerkiewnym, wyznaczonym przez Moskwę,

wyrok na osiem lat. W roku 1953 ponowny wyrok, tym razem bezterminowy; w 1957 — dalsze siedem lat. Jednocześnie wędrowka etapami z jednego więzienia do drugiego, łagry w autonomicznej Republice Komi, w kraju Jenisejskim, wreszcie w lasach mordwińskich. Droga Uchta-Koźwa-Pieczora-Inta-Workuta dobrze musiała zapisać w pamięci niejednego polskiego zesłańca z lat 1940-41. Kardynał Slipij przebył ją na samym początku swej martyrologii.

Przez długi czas na Zachodzie nie wiadano nic o jego losach, nawet — czy żyje. Pierwsza autentyczna wiadomość przyszła wczesną wiosną 1956 roku, a więc po jedenastu latach katorgi. Była to kartka pocztowa, zaadresowana do O. Łady, zamieszkałego w Wiedniu. Jak wynikało z adresu nadawcy, kartka nadana została w łagrze Makłakowo, poczta Kuzminka, Krasnojesejskij Kraj. Oto lakoniczny, ale jakże wymowny tekst:

*„Drogi Bracie! Serdecznie dziękuję za pamięć, za tak wielką ofiarę i pomoc. Niech modły do Najwyższego będą dla Was zapłatą. Niestety, proszę nie wysyłać więcej, by jeszcze bardziej nie komplikować mojej sytuacji. Niechaj Chrystus będzie z Wami. Józef M.”*

To zrozumiałe. Paczki z zagranicy narażały arcybiskupa na dodatkowe przykrości i szykany, więc wolał z nich zrezygnować. Kartka ta to jedyny znak życia, podany osobiście. Należy założyć, że poczta sowiecka przekazała ją do Wiednia przez nieuwagę. Niekiedy nawet bolszewiczcy cenzorzy zapadają na brak czujności klasowej i uprawiają zdrożne brakoróbstwo.

W roku 1959 ukazała się książka włoskiego jezuita, Pietro Leoni, pt. „Watykański szpieg”. Leoni był podczas wojny kapłanem przy włoskim korpusie ekspedycyjnym na wschodnim froncie. Pozostał w Odessie przy tamtejszym kościele katolickim i wkrótce został aresztowany. Oskarżony o szpiegostwo na rzecz Watykanu (stąd tytuł książki), otrzymał 25 lat ciężkich robót. W 1955, na skutek licznych i wpływowych interwencji, zwolniono go i pozwolono wrócić do Włoch.

W jesieni 1947 roku Leoni zetknął się z arcybiskupem Slipijem w etapowym więzieniu w Kirowie. Rozmawiał z nim, a następnie odbył razem część katorżnej podróży, aż do Pieczory, gdzie nastąpiło rozstanie. „Galeotto di Gesù Cristo” — „galernikiem Jezusa Chrystusa” nazwał Leoni arcybiskupa.

W roku 1961 ukazało się w jednym z kanadyjskich wydawnictw wspomnienie Ukraińca, który przebywał przez prawie cztery lata w tym samym łagrze, co metropolita (w Tiemriakowskim

rejonie na terenie Mordwińskiej Republiki Autonomicznej). Z relacji tej dowiedziano się wielu szczegółów: że metropolita ciągle choruje, ale nie załamał się psychicznie ani na chwilę; że kilkakrotnie zabierano go z obozu na ponowne badania, raz zawieziono aż do Kijowa „na dodatkowe przeszukiwania, próby i pokusy”. Współwięźniów często wypytywano, co arcybiskup mówi, jakie są jego poglądy, a szczególnie o stosunek do prawosławia i oficjalnej cerkwi prawosławnej. Widocznie wciąż jeszcze żywiono nadzieję, że ugnie się i pójdzie na kompromis.

Już po zwolnieniu metropolity i jego przyjeździe do Rzymu, w wiedeńskim dzienniku *Neues Oesterreich* ukazało się wspomnienie Franza Grobauera, jeńca wojennego, skazanego na katorgę i repatriowanego do Austrii po wielu latach. Grobauer spotkał metropolitę w łagrze Inta, niedaleko Workuty, i poznał go bardzo blisko. Z jego wspomnień wyłania się postać człowieka, który w najstraszliwszych warunkach, poddany nieludzkim cierpieniom, schorowany i sponiewierany, potrafił zachować się z najwyższą godnością, dając przykład towarzyszom niewoli i budząc szacunek nawet u swoich katów.

Sam metropolita niechętnie opowiada o swoich przeżyciach w sowieckich więzieniach i łagrach. Raz tylko, w dwa lata po zwolnieniu, podczas uroczystego wręczenia kapelusza kardynalskiego, wyrwał mu się kilka słów nie tyle może skargi, co stwierdzenia, jak wyglądały te prawie osiemnaście lat. „Musiałem przejść przez palenisko męki i wypić do dna gorzką czaszę cierpienia. Zbyt świeży jest ten ból, zarówno naszego Kościoła, jak mój, aby się nad nim zatrzymywać...” (22 lutego 1965 r.).

„Zarówno naszego Kościoła...” Oto lista biskupów, którzy podzielili losy metropolity, z tą zasadniczą różnicą, że żaden z nich nie wydostał się z domu niewoli. Biskup przemyski, Jozafat Kocyłowski i stanisławowski, Hryhorij Chomyszyn, zmarli wkrótce po uwięzieniu w roku 1945. Biskup-sufragan lwowski, Nykita Budka, zmarł w 1949, na zesłaniu w Karagandzie; sufragan przemyski, Hryhorij Łakota, zmarł na Workucie w 1950; sufragan stanisławowski, Iwan Latyszewskij, zmarł wkrótce po zwolnieniu w 1957, na skutek nabytych w łagrze chorób i ogólnego wycieńczenia; z tych samych powodów zmarł w 1959 biskup chełmski, podlaski i wołyński, Czarneckij. Listę uzupełniają wizytator apostolski na Niemcy (opiekun zamieszkałych tam Ukraińców), Petro Werhun, zmarły na Sybirze, w 1957, i trzech biskupi z Zakarpacia: mukaczewski, Teodor Romża, rozstrzelany w 1947, priaszowski, Pawło Gojdycz, zmarły w łagrze, w 1960, sufragan priaszowski, Wasyl Hopko, zwolniony po siedemnastu latach.

Ofiary wśród księży, zakonników i zakonnice poszły w setki

i tysiące. Nikt ich nie zliczy, a ich męczeńskie zgony były prze-  
ważnie bezimienne.

### *Jak doszło do zwolnienia*

Zwolnienie i przyjazd metropolity Slipyja do Rzymu były tak niespodziewane, że całkowicie zaskoczyły opinię włoską i międzynarodową. Wszystko odbyło się w największej tajemnicy. Do Moskwy pojechał po metropolitę kardynał Jan Willebrands, droga do Rzymu prowadziła przez Wiedeń, gdzie obydwa dostojnicy zatrzymali się na dwa dni. By uniknąć spotkania z dziennikarzami, którzy tłumnie zjawili się na Termini, metropolita wysiadł, nie dojeżdżając do Rzymu na niewielkiej stacji Orte, gdzie już oczekiwała watykańska limuzyna. Zawieziono go początkowo do klasztoru w Grotta Ferrata na odpoczynek. Dopiero po dwóch tygodniach przeniósł się na stałe do Rzymu i zamieszkał w obrębie Watykanu, w Palazzina dell' Arciprete, gdzie przebywa po dziś dzień. Tam, jak już napisałem na wstępie, przyjął mnie 9 lutego 1972, dokładnie w dziewiątą rocznicę swego przybycia do Rzymu.

Gdy sensacyjna wiadomość stała się ogólną własnością, zadawano sobie pytanie: — Jak do tego doszło, dlaczego Chruszczow zgodził się na zwolnienie metropolity i jego wyjazd za granicę. Dziś, gdy Jan XXIII od dawna nie żyje, wszystkie tajemnice zostały wyjaśnione, znikły nieudomowienia.

Ale wtedy, na początku roku 1963 prasa gubiła się w domysłach i sprzecznych hipotezach. A gdy wkrótce potem (w marcu) Ojciec Święty przyjął na audiencji towarzysza Adzubeja, czołowego w owym czasie publicystę sowieckiego, i jego żonę, Radę, rodzoną córkę Chruszczowa, wiadomość tę przyjęto jako pierwszorzędną sensację. Nie zabrakło ostrych protestów. Rzymski tygodnik *L'Espresso*, napisał bez ogródek, że „wizyta Aleksiego Adzubeja u papieża stała się dla katolickiej opinii wielkim psychicznym wstrząsem”. Większość komentatorów skłaniała się do przypuszczenia, że chodzi o taktyczne posunięcie ze strony Moskwy.

Interpretacja najbardziej rozpowszechniona: przyjęcie zięcia Chruszczowa przez Jana XXIII było swego rodzaju rewanżem za uwolnienie metropolity Slipyja. Włoski tygodnik *Il Borghese* poszedł nieco dalej, sugerując, że inicjatywa wyszła od Chruszczowa, że to on wpadł na cały pomysł, przyjęty następnie z radością przez Stolicę Apostolską. Ten sam tygodnik pisał w owych dniach, co następuje: „Stwierdzamy, że poruszenie w obozie

katolickim weszło w niebezpieczne stadium i że obowiązują obecnie zasady, wyłącznie czysto religijne, oparte na dogmatach, Objawieniu, prawdach Wiary. Cała reszta się nie liczy”. W ten sposób autor artykułu dawał do zrozumienia, że papież pozostaje nadal najwyższym autorytetem w sprawach wiary, natomiast jego dyplomatyczne poczynania w stosunku do Moskwy zasługują na odrzucenie i nawet najbardziej prawowierny katolik nie musi się do nich stosować.

Owa wizyta miała natychmiastowe i dość niewesołe skutki. Faktem jest, że z najbliższych wyborów lewica włoska wyszła wzmocniona; sami komuniści otrzymali o przeszło milion głosów więcej. Trudno było nie dostrzec tu związku przyczynowego. Co prymitywniejsi wyborcy rozumowali, że skoro papież przyjmuje komunistów na audiencji, nic nie stoi na przeszkodzie, aby katolik oddał głos na listę komunistyczną. Później rozeszła się wiadomość — może plotka — że Jan XXIII rozplakał się, gdy mu to wytknięto. Bo przecież działał z całą dobrą wolą, nie spodziewał się takich konsekwencji. Zakładam, że tak było istotnie. Ale Jan XXIII pierwszy zaczął wydeptywać ścieżki, na które za Pawła VI Watykan wszedł jawnie i wyraźnie, żeby nie powiedzieć — z całą ostentacją. Polityka wschodnia Stolicy Apostolskiej skonsolidowała się w latach 1970-71, a ironia losu chciała, że jej nasilenie zbiegło się w czasie z 375-tą rocznicą Unii Brzeskiej i 325-tą Unii Użhorodskiej, która rozszerzyła dzieło unijne na Zakarpacie, stanowiące od dawna część państwa węgierskiego.

Odpowiedzią Moskwy na przypomnienie tych historycznych rocznic było uroczyste oświadczenie o definitywnej likwidacji Unii na ziemiach, okupowanych przez Sowiety w wyniku drugiej wojny światowej. Owa uroczysta proklamacja nastąpiła podczas intronizacji nowego patriarchy moskiewskiego, Pimena, w Zagorsku, w obecności przedstawicieli Watykanu, którzy nie uważali za wskazane założenie protestu. Powiedzmy, że taki protest, założony na gorąco, w samym Zagorsku, mógłby być uznany za jaskrawe nadużycie gościnności, a nawet za prowokację. Niestety, *post factum* Stolica Apostolska również nie zabrała głosu. Jednostronne, uzurpatorskie skasowanie Unii nastąpiło przy akompaniamencie głuchego milczenia Stolicy Apostolskiej. A w takich wypadkach milczenie bywa zazwyczaj uważane za zgodę.

Przypomnijmy, że władze sowieckie skasowały Unię w roku 1946, na tzw. synodzie, zwołanym do Lwowa przez NKWD. Spędzono wówczas garść księży odstępców (nie było wśród nich ani jednego biskupa), którzy zgodzili się przejść na prawosławie, i ci uchwalili wszystko, co im poddyktowano. Głównym likwidatorem był towarzysz Podgorny, ten sam, co po latach został

prezydentem Związku Sowieckiego. Ten sam, którego Paweł VI przyjął stosunkowo niedawno na audiencji. Po co była Moskwie potrzebna ta uroczysta powtórka po 25 latach? Prawdopodobnie, chodziło o danie Rzymowi ostrzeżenia: „Niech się wam nie marzą jakieś rewindykacje kościelno-religijne, nie ma żadnych unitów, wolno wam rozmawiać wyłącznie z przedstawicielami patriarchatu moskiewskiego, ściśle kontrolowanymi przez towarzysza Kurojedowa!” Nicco dalej wypadnie mu poświęcić więcej uwagi.

### *Kilka danych historycznych*

Unia Florencka, zawarta w połowie XV wieku, nie udała się z bardzo wielu przyczyn i pozostała na ozdobnych pergaminach. Nie udała się przede wszystkim dlatego, że Zachód europejski nie był w stanie przyjąć ze skuteczną pomocą dogorywającemu cesarstwu bizantyńskiemu. A gdy po bohaterskiej obronie padł Konstantynopol i półksiężyc ukazał się zamiast krzyża na kopule katedry świętej Zofii, sprawa została przesądzona na niekorzyść.

Dopiero po stu kilkudziesięciu latach idea florencka podjęta została w Rzeczypospolitej Polskiej, zyskując gorliwych zwolenników i bojowników zarówno po polskiej, jak ruskiej (ukraińskiej i białoruskiej) stronie. W listopadzie 1596 roku, w cerkwi św. Mikołaja w Brześciu Litewskim (nie w Brześciu nad Bugiem, jak się podobało nazwać historyczne miasto jakimś tępym urzędasom) nastąpiło proklamowanie Unii. Głównymi promotorami ze strony ukraińskiej byli metropolita kijowski, Rohoza, oraz biskupi, Cyril Terleckyj i Potij (Pociej). Ówczesny papież, Klemens VIII, rozumiejąc doniosłość zjednoczenia kościołów, poszedł na wszelkie ustępstwa co do zachowania obrzędowości wschodniej, a zwłaszcza, co miało decydujące znaczenie, udzielał Komunii Świętej pod dwoma postaciami.

Unia Brzeska, uzupełniona w pięćdziesiąt lat później przez Unię Użhorodzką, rozszerzającą zjednoczenie na Podkarpacie, miała stać się pierwszym krokiem na drodze do utworzenia Patriarchatu Ukrainy, z dalszym zadaniem promieniowania na cały Wschód prawosławny. Tak właśnie widziano rolę przyszłego patriarchatu w Rzymie, jak o tym dobitnie świadczą komentarze sekretarza Świętej Kongregacji do Spraw Rozszerzania Wiary, O. Francesco Ingoliego, do projektu wysuniętego w roku 1629 przez metropolitę Welamina Rutskiego (katolika), oraz biskupów Hioba Boreckiego i Piotra Mohyły (prawosławnych). Gdyby pro-

jekt ten został zrealizowany, za jednym zamachem ucięto by wszystkie wpływy obydwu, rywalizujących na tych terenach patriarchatów: konstantynopolitańskiego i moskiewskiego.

Ale ta potężna, historyczna wizja nie mogła się zrealizować, gdyż na przeszkodzie stanęły nieszczęsne wojny polsko-kozackie, a w ich wyniku rozcięcie żywego ciała Ukrainy w pokoju Andruszowskim. Niepełny sukces Unii legł u fundamentów niepowodzenia Unii Hadziackiej, która nie potrafiła odrobić fatalnych postanowień perejaślawskich. Czyja wina? Jeżeli zechcemy ją przypisać tylko jednej stronie, na pewno rozmieniemy się z prawdą. Gdy pod kijami czerni kozackiej w Niżynie padł Jurij Niemirycz, Unia Hadziacka już była pogrzebana. Nieustępliwość polskiej strony też zrobiła swoje. A i to trzeba przypomnieć, że nuncjusze papiescy nieustępliwość tę utwierdzali, wywierając stały nacisk na króla, senat i sejm.

W ciągu wieku XVIII Unia Brzeska stopniowo opanowała przeważną część Białorusi i Czarnej Rusi, metropolię halicko-łwowską, część Wołynia i Podola. W cesarstwie Habsburgów rozszerzyła się na Ruś Zakarpacką, na Bukowinę i częściowo na rumuńskie połacie Siedmiogrodu. Rozbiory Rzeczypospolitej zadały Unii pierwszy potężny cios. Katarzyna II, która w swej polityce była na tyle elastyczna, że w pewnej chwili stała się protektorką zakonu jezuitów (na Witebszczyźnie i Mohylowszczyźnie), z miejsca przystąpiła do likwidowania Unii przy pomocy najbardziej drastycznych i barbarzyńskich środków.

Po jej śmierci nastąpiło czasowe złagodzenie i odprężenie. Paweł I, który nienawidził swojej matki, z zasady odrabiał jej poczynania; jego syn, Aleksander, starał się zarobić na opinii oświeconego liberała. Dopiero represje, podjęte przez Mikołaja I po upadku powstania listopadowego, ponownie całą siłą uderzyły w kościół unicki. Za panowania Mikołaja I i Aleksandra II Unia znikła na wschód od Bugu; za Aleksandra III przyszła kolej także na tereny zabużańskie: Chełmszczyznę, Podlasie. Martyrologii unitów chełmskich nie potrzeba opisywać, znana jest powszechnie. Gdy zmuszony przez ruch rewolucyjny, Mikołaj II ogłosił edykt tolerancyjny, sprawosławnieni siłą unicy przechodzili najczęściej na rzymski katolicyzm.

Unia utrzymała się pod zaborem austriackim i trwała, rzecz oczywista, w Drugiej Rzeczypospolitej. W drugiej połowie września 1939, gdy Armia Czerwona wdarła się w prawie niebronione granice i zalała kraj między Zbruczem i Sanem, metropolita, Andrzej Szeptyckyj zwrócił się do podległego mu duchowieństwa z następującymi słowami: „Przewróciła się stronica historii, nastąpiła nowa epoka. Spotkajmy ją pokorną modlitwą i mocną nadzieją na bezgraniczną dobroć i miłosierdzie Jezusa

Chrystusa, który wszystko obraca na chwałę Bożą i ku naszemu dobru...”.

Istotnie! W nowo powstałej sytuacji cóż pozostało unickiemu duchowieństwu, prócz modlitwy i cichej nadziei? Ale wówczas, w 1939 jeszcze nie wybiła ostatnia godzina grozy i męczeństwa. Wprawdzie władze sowieckie prawie natychmiast zlikwidowały Akademię Teologiczną we Lwowie, zamknęły sporo świątyń unickich, aresztowały pewną ilość księży, ale masowych prześladowań na razie nie było. Dopiero druga okupacja bolszewicka, poczynając od lata 1944, przyniosła to, czego można było obawiać się od początku: likwidację Kościoła unickiego. Pewnie, nie była to likwidacja całkowita. Mimo poniesionych straszliwych strat, kościół ten istnieje nadal, zeszedł do podziemi, do katakumb. Wiadomo, że nielegalnie działa pewna ilość księży, odprawiają oni potajemnie nabożeństwa i udzielają sakramentów. Ilu ich jest — któż obliczy! Dzieje tego Kościoła zostaną kiedyś napisane; ufajmy, że w szczęśliwszej przyszłości!

#### Czy odpisani na straty?

W miarę rozwijania się dialogu między Watykanem i Moskwą, rósł niepokój w ukraińskiej diasporze. Doszła najeżona ostrymi kolcami sprawa negatywnego ustosunkowania się do projektu utworzenia ukraińskiego patriarchatu. Szerokim echem odbił się na ukraińskiej emigracji znany list zmarłego niedawno, a wtedy jeszcze żyjącego kardynała Tisseranta (pisałem o tym szczegółowo przed rokiem w *Kulturze*, w artykule pt. „Cień Possewina”). Paweł VI przez dłuższy czas nie zabierał głosu osobiście w tej sprawie i z jego milczeniem łączono pewne nadzieje, które ostatecznie okazały się bezpodstawne. Gdy Ojciec Święty wreszcie odezwał się, potwierdził wszystkie obiekcje, wysunięte uprzednio przez Sekretariat Stanu.

Są to przede wszystkim obiekcje typu formalnego; ich roztrząsanie zajęłoby zbyt wiele miejsca. Nietrudno obalić argument, że ogłoszenie Patriarchatu rozjątrzyłoby władze sowieckie i pociągnęło za sobą jeszcze większe prześladowania unitów narodowości ukraińskiej. Prasa emigracyjna odpowiada na to z pełną racją, że pogorszenie sytuacji jest w ogóle niemożliwe; większych prześladowań nie podobna sobie wyobrazić. I gdybyż chodziło tylko o patriarchat! Panuje ogólne przekonanie, że Watykan zrezygnował z obrony Kościoła unickiego w imię mglistych nadziei na ekumeniczne zbliżenie z rosyjskim prawosławiem. Nie podobna oprzeć się wrażeniu, że chodzi nie tylko o ekumenizm, że odżyło stare marzenie o nawróceniu Rosji na katolicyzm.

Jak to sobie purpuraci rzymscy wyobrażają w praktyce — nie wiadomo. Pięćsetletnie przeszło doświadczenia z Moskwą (poczynając od Unii Florenckiej) najwidoczniej poszły w las.

Jakiegokolwiek kontakty Watykanu z Rosjanami nigdy nie były i nie są w stanie zmienić bezkompromisowo wrogiej postawy Moskwy wobec Kościoła unickiego. Tak było za carów, tak jest obecnie. Nie chodzi tylko o sprawy religijne, bardziej jeszcze — o narodowe. Unia brzeska uznana została od samego początku za podstępny próbę (wiadomo: „kawarnyje Lachi”!) wbicia klinu między „dwa odgałęzienia jednego narodu rosyjskiego”. Prawosławie miało niwelować różnice narodowe, psychiczne i kulturalne między Moskwą i Ukrainą; Unia te różnice podtrzymywała.

Niszcząc Unię, reżym sowiecki nie zrobił żadnego oryginalnego wynalazku, nawiązał do starej tradycji, poszedł drogą, dokładnie wytyczoną przez Katarzynę II i Mikołaja I. Skrajnie nacjonalistyczny, monarchiczny odłam emigracji rosyjskiej przyjął likwidację Unii z nieukrywany entuzjazmem. Pisałem już przy innej okazji, że czasopismo *Nasza strana* („Nasz Kraj”), wychodzące w Buenos Aires nazwało tę likwidację „aktem sprawiedliwości historycznej”. Oto „sztucznie oderwana od jedności religijnej część narodu rosyjskiego” powróciła do tej jedności. Jakże się nie radować! A że „aktu sprawiedliwości” dokonały ręce enkawudzystów sowieckich — trudno. Różnie z tym bywa. Duch Święty tchnie, gdzie chce, zaś Opatrzność Boska przejawia się nieraz w sposób najbardziej niespodziewany. Wrogość czerwonego Kremla do Unii odziedziczona została po imperium carskim, jako jeden z postulatów typu *non possumus*.

Kardynał Slipij jeszcze przebywał w sowieckim łagrze, gdy nastąpiło otwarcie II Soboru Watykańskiego. Znaleźli się na nim, w charakterze obserwatorów, dwaj przedstawiciele oficjalnej cerkwi prawosławnej w Sowietach, protojerej, Witalij Borowoj, i archimandryta, Władimir Kotlarow. Zgromadzeni na soborze, unicy biskupi ukraińscy postanowili wykorzystać tę okazję i ogłosić memoriał w sprawie prześladowań Kościoła unickiego w Sowietach. Memoriał ten został storpedowany i tylko jego urywki trafiły do prasy, dzięki niedyskrecji amerykańskiego dziennikarza, wydawcy i redaktora *Saturday Review*, Normana Cousina, który następnie odegrał pewną rolę przy zwolnieniu Slipija.

Archimandryta Kotlarow zaprotestował przeciw memoriałowi w dość ostrej formie. „Obiecujący początek soboru — oświadczył — przekonał nas, że zgromadzeni Ojcowie także w pracach końcowych wypowiedzą się na rzecz pokoju i międzynarodowej współpracy. Muszę jednak stwierdzić obiektywnie, że w Soborze biorą udział osoby, którzy wcale nie są zadowolone z takiego

obrotu rzeczy. Należą do nich przede wszystkim emigranci polityczni, wchodzący w skład ukraińskiego duchowieństwa. Próbowali oni zakłócić przyjazną atmosferę, jaka towarzyszyła naszemu przyjazdowi i rozbić początek dobrych stosunków z kościołem katolickim. Próby te jednak zostały jednogłośnie potępione... i nie znalazły odzewu w szerokich kołach kościelnych...”

Kotlarow miał o tyle rację, że istotnie w Watykanie uczyniono wszystko, by inicjatywa kilkunastu biskupów ukraińskich nie chwyciła i nie nabrała rozgłosu. Ale lęk, że biskupi mogą do niej powrócić, pozostał. Może właśnie dzięki temu udało się wytargować uwolnienie biskupa Slipyja? Czy myśl o nim dojrzała podczas „dyplomatycznej herbatki”, urządzonej dla gości z Moskwy przez generała Gustavo Testę, z udziałem kardynała Willebrandsa? Tak właśnie przedstawił tę sprawę znany włoski dziennikarz, Fabrizio de Santis, w mediolańskim *Corriere della Sera*. De Santis jest zazwyczaj dobrze poinformowany o zakulisowych rozgrywkach w Watykanie.

Jak tam było, tak było, ale niewątpliwie na Kremlu doszli do wniosku, że dla utrzymania polityki zbliżenia trzeba pójść na efektowny gest, na jakieś sensacyjne posunięcie, które ułatwiłoby Watykanowi kontynuację podjętej polityki. Interes leżał, jak na dłoni, więc też nie trzeba było czekać zbyt długo na odpowiednią decyzję. Sobór rozpoczął się w październiku 1962, w połowie listopada utracono memoriał ukraińskich biskupów, „dyplomatyczna herbatka” odbyła się gdzieś na początku grudnia, a już 27 stycznia 1963 kardynał Willebrands przybył samolotem do Moskwy, by zaopiekować się Slipyjem, zwolnionym z łagru poprzedniego dnia.

Willebrands to niewątpliwie *persona grata* w sowieckiej stolicy. Jeszcze przed soborem odbył on podróż, otoczoną ścisłą tajemnicą, choć nie mogła utrzymać się w sekrecie. Mam na myśli jego moskiewskie pertraktacje (wrzesień 1962) w sprawie przybycia obserwatorów na Sobór, przed czym sam patriarcha Aleksiej tak energicznie się zastrzegął. Misja Willebrandsa uwieńczona została pełnym powodzeniem. Jako osoba, dobrze już wprowadzona w „środowisko”, pojechał po kardynała Slipyja, a w osiem lat później reprezentował Watykan na uroczystościach w Zagorsku, gdzie raz jeszcze pogrzebano Unię Brzeską. Przy milczącej, jako się rzekło, aprobacie Rzymu. Ale wtedy, w okresie soborowym, jeszcze nie podejrzewano, że może dojść do tak drastycznych posunięć, będących, niestety, oczywistą kapitulacją wobec Moskwy.

O memoriale biskupów ukraińskich rychło zapomniano, bo też wydarzenia szły jedno po drugim z piorunującą szybkością. W lutym przyjechał do Rzymu kardynał Slipyj, w marcu przy-

znano papieżowi nagrodę szwajcarsko-włoskiej Fundacji Bolzano, „za działalność na rzecz pokoju”, zaraz potem przysłała wizyta Adzubeja, a w czerwcu tegoż roku umarł Jan XXIII. Nowym papieżem został dotychczasowy arcybiskup Mediolanu, kardynał Montini, który pod imieniem Pawła VI, kieruje nawą Piotrową po dziś dzień. Polityka zbliżenia do Związku Sowieckiego nabrała za jego pontyfikatu jeszcze większego dynamizmu.

Nie brakuje przecież głosów protestu, choć nie zawsze wymierzonych bezpośrednio. W jesieni 1971 odbył się w Rzymie V Synod episkopatu ukraińskiego, z udziałem dwudziestu biskupów unickich, przybyłych ze wszystkich ośrodków ukraińskiej diaspory: z krajów Zachodniej Europy, ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii, Argentyny, nawet z Australii. Uroczystości obchodzono 375 rocznicę Unii Brzeskiej i 325 rocznicę Unii Užhorodzkiej. Z tej okazji wydano wspólny list pasterski do wszystkich wiernych, rozsianych po całym świecie. List ten zredagowany został bardzo ostrożnie, by nie urazić Watykanu. Znalazło się w nim kilka zdań protestu przeciw prześladowaniom religijnym w Związku Sowieckim, a zwłaszcza przeciw oświadczeniu patriarchy moskiewskiego, Pimena, o likwidacji Unii.

Delikatnie poruszono sprawę Patriarchatu, którego powstanie „byłoby zgodne z naszą historyczną walką i z postanowieniami II Soboru Watykańskiego”. A jednocześnie: „musimy zrozumieć chwilowe trudności, na jakie natrafia obecnie Ojciec Święty, Paweł VI, niezależnie od jego najlepszej woli...”. Ostrzejszych słów użył w swoim przemówieniu, wygłoszonym podczas poświęcenia cerkwi Żyrowickiej Matki Boskiej w Rzymie, arcybiskup-metropolita Winnipegu, Maksym Hermaniuk:

„Protestujemy przed całym cywilizowanym światem przeciw deptaniu przez sowiecki reżym komunistyczny podstawowych praw człowieka, poprzez bezwzględne i bezlitosne prześladowanie Ukraińskiego Kościoła katolickiego i Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, oraz innych chrześcijańskich gromad w Związku Sowieckim. A specjalnie zgłaszamy nasz ostry protest przeciw oświadczeniu nowego patriarchy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, Pimena, który na soborze w Zagorsku, w czerwcu 1971, oświadczył, że likwidacja Unii Brzeskiej w 1946, we Lwowie, i w 1950, w Priaszowie, stanowi wielkie wydarzenie w historii Cerkwi Rosyjskiej. Cerkiew rosyjska nigdy nie miała i dziś także nie ma najmniejszego prawa do przemawiania w imieniu naszego Katolickiego Kościoła Ukraińskiego”.

Zarówno w liście pasterskim, jak w przemówieniu Hermaniuka został energicznie podkreślony fakt, że walka toczy się nie tylko o Kościół Unicki, ale również o wolność i niepodległość ukraińskiego narodu. W prasie międzynarodowej uroczystości

rocznicowe i wydane oświadczenia odbiły się bardzo słabym echem. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju enuncjacje najchętniej są pomijane milczeniem. A już Watykanowi na pewno nie zależy na ich rozpowszechnianiu.

Wśród Ukraińców coraz bardziej utrwała się gorzkie przekonanie, że Kościół ich, na terenach znajdujących się pod władzą sowiecką, został definitywnie odpisany na straty. Paweł VI wielokrotnie dawał wyraz swoim ojcowskim uczuciom do ukraińskich katolików wschodniego obrządku, ale piękne słowa nie mogą przekreślić faktów. W swojej odpowiedzi na hołdownicze pismo, złożone przez Synod biskupów ukraińskich, datowanej pod 6-tym listopada 1971, Paweł VI udzielił apostołskiego błogosławieństwa, ale wyraźnie podkreślił, że chodzi o Ukraińców-uników, rozsianych po świecie (*fedeli ucraini sparsi nel mondo*).

### *Ekumenistyczne złudzenia*

Z fotografii sprzed dziesięciu lat spogląda dobrotliwe oblicze Jana XXIII: przyjazny gest, uśmiech nieco jowialnego, wiejskiego proboszcza. Papież rozmawia z obserwatorami, wydelegowanymi na Sobór przez moskiewski patriarchat. Szyby, asyryjskie twarze, czy ledwie spoglądają spod opuszczonych powiek, wyraz ust gubi się w gęstych, czarnych brodach. „Ojcowie” — Witalij Borowoj i Władimir Kotlarow, wyznaczeni — przez kogo? Formalnie przez ówczesnego patriarchę, Aleksego, faktycznie — przez szarą eminencję oficjalnego kościoła prawosławnego, metropolitę leningradzkiego, Nikodima.

Ten Nikodim (Nikodem) nazywa się w rzeczywistości Boris Rotow i, jak się zdaje, dobiega obecnie czterdziestki. Nie znam dokładnej daty jego urodzenia, ale jeżeli pomyliłem się, to za ledwie o parę lat. Ma za sobą karierę prawdziwego meteoru. Wszedł z akademii duchownej w 1955 roku, a już po czterech latach został sekretarzem patriarchatu i zastępcą Karpowa, przewodniczącego tzw. Rady do Spraw Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przy Radzie Ministrów ZSSR. Wkrótce potem zostaje metropolitą leningradzkim. W wieku 32 lat! Zaiste, kariera bez precedensów! Co do Nikodima, nikt zorientowany nie wątpi, że jest wybitnym agentem KGB, podobnie, jak wyznaczeni przez niego wystannicy na Sobór.

Wspomniana Rada jest zresztą nadrzędną władzą nad patriarchatem. Pomysł był niewątpliwie genialny. Bolszewicy znieśli „Świątyszyj Sinod”, odrodzili patriarchat, ale uczynili z niego swoje posłuszne narzędzie. Towarzysz Kurojedow, obecny przewodniczący Rady, bardziej rzutki, dynamiczny i bezwzględny od

swego poprzednika, jest po prostu sowieckim wcieleniem osławionego ober-prokuratora Pobiedonoscewa. Patriarchat to parawan dla oszukiwania naiwnych, lub takich, którzy chcą być oszukani. Gdy Jan XXIII przyjął Adzubeja, niektórzy uznali to za policzek pod adresem chrześcijan różnych wyznań, przesładowanych i cierpiących w Związku Sowieckim. Paweł VI poszedł dalej, przyjmując Podgornego, a w 50-tą rocznicę wznowienia patriarchatu wysłał do Moskwy pismo gratulacyjne, w którym wspominał z uznaniem o odrodzeniu się i uniezależnieniu prawosławia od władzy świeckiej. Czy chodziło tu o absolutną, przerażającą dezinformację, czy o coś innego? I czy wolno być tak dezinformowanym?!

Ekumenizm ma sens, gdy włączają się w jego nurt hierarchie kościelne, mające za sobą zaplecze w postaci masy wiernych. Otóż prawdziwi prawosławni uważają oficjalną cerkiew prawosławną, tę od Aleksych, Pimenów, Nikodimów, Borowojowych i Kotlarowych za instytucję, wysługującą się Antychrystowi. A tych, co wchodzi z nimi w konszachty, traktują nie jako sługi Chrystusa, lecz wrogów Chrystusa. Nie udała się próba podporządkowania cerkwi prawosławnej na Zachodzie moskiewskiemu patriarchacie. Osiągnięte pod tym względem sukcesy wyglądają raczej mizernie w stosunku do zakreślonych planów. I zdarzyła się rzecz niespodziewana. Aleksander Sołżenicyn wystosował list do patriarchatu, oskarżając go o zdradę chrześcijaństwa. Gdyby ten list napisał ktoś inny, nikt nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi. A że to jednak laureat Nobla, prasa na Zachodzie nadała mu rozgłos, dość nieprzyjemny dla entuzjastów, z takim zapałem rozszerzających ekumenizm na oficjalną cerkiew rosyjską, na przebiegłych agentów policyjnych, po-przebieganych w szaty biskupie.

Gdy wczesnym wieczorem 9 lutego br. kończyłem rozmowę z „galernikiem Chrystusowym”, ex-katorżnikiem sowieckim, wygnańcem z metropolii, odziedziczonej po Andrzeju Szeptyckim, rześisty deszcz zaczął w ciemne szyby Palazzina dell'Arciprete. Kardynał Slipij starał się nie okazywać zmęczenia, ale nie miałem wątpliwości, że już czas kończyć. Kardynał niechętnie spotyka się z dziennikarzami, nie udziela wywiadów i ma ku temu poważne powody. Może bym nalegał, gdybym nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Ale w pewnych układach życiowych milczenie bywa wymowniejsze od wielosłownych oświadczeń.

Kardynał Slipij spędził prawie osiemnaście lat w więzieniach i łagrach sowieckich. Gdy go aresztowali ci, co dziś gadają głoś-

no o pokojowej koegzystencji i wyrażają się z najwyższym uznaniem o idei ekumenizmu, był w sile wieku; obecnie jest starcem, na którego barki spadła niełatwa walka o sprawy, jakże w dzisiejszym świecie niepopularne. Ma przeciw sobie sprzysiężenie potężnych sił, tym trudniejszych do zwalczenia, że często działających z ukrycia.

Poruszone tu zagadnienia rzadko bywają omawiane na łamach polskiej prasy emigracyjnej; w kraju w ogóle o nich pisać nie wolno. A nie powinny być obojętne Polakom. To jednak osobny temat: czy i jaką rolę strona polska odgrywa w tym wszystkim? Nie należy tego pytania pomijać. Sądzę, że w najbliższym czasie *Kultura* zamieści wyczerpującą odpowiedź, choć by miała ona wypaść dla nas nieprzyjemnie.

Józef ŁOBODOWSKI

Wychodzący od 1932 roku

## ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

## Sprawy i troski

### Pełnoletnie UNESCO

Gdy powstawały Narody Zjednoczone marzyło się nam, że organizacja ta stanie się z czasem organizacją naprawdę ponadnarodową, może nawet zaczątkiem Rządu Światowego. Unesco w tym kontekście wymarzone miało być czymś w rodzaju extra-narodowego Ministerstwa Oświaty. Zgodnie z tradycjami racjonalizmu, w który wielu z nas nadal wierzyło może jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, pierwszym zadaniem pierwszego Sekretarza Unesco, Juliana Huxleya, było napisanie konstytucji, programu, manifestu, *blue-printu*, dla Unesco w którego „laboratoriach” miały powstawać lepiej niż kiedykolwiek empirycznie ugruntowane i bardziej racjonalne idee dla oświatowej i kulturalnej polityki społeczeństw całego świata „pragnących współpracy, pokoju i sprawiedliwości”.

W kilka lat jednak po ogłoszeniu manifestu Unesco, Julian Huxley doszedł do smutnego wniosku, że jasne sformułowanie „filozofii dla Unesco”<sup>1</sup> doprowadza do nieporozumień między państwowych raczej niż do porozumienia na płaszczyźnie szerszej ponadnarodowej ideologii i że same nawet próby takiego porozumienia uniemożliwiają jakąkolwiek konkretną współpracę międzynarodową.

W kilka lat więc zaledwie po stworzeniu Unesco, uczonej światowej sławy, sam głęboko wierzący w uniwersalizm, racjonalizm i jasne formułowanie długodystansowych celów, rezygnuje z „filozofii dla Unesco” i proponuje aby organizacja ta zajęła się konkretną, „pragmatyczną” pracą międzynarodową: realizacją krótkodystansowych „projektów” kulturalno-oświatowych, na które zgodzą się „państwa-członkowie Unesco” (oficjalna terminologia tej organizacji) o ile... nie będzie się dyskutowało zbyt dalekosiężnych implikacji tego rodzaju współpracy...

1. Julian Huxley, „UNESCO: Its Purpose and Its Philosophy”, Northrop, F.S.C., ed., *Ideological Differences and World Order*, Yale University Press, 1963, (Chapter XV), pp. 305-322.



Tego rodzaju rezygnacja z możliwości racjonalnego porozumienia się międzynarodowego nie była na pewno łatwa dla Juliana Huxleya i wielu innych podobnie do niego myślących, którzy za cenę tej rezygnacji uratować chcieli coś niewątpliwie ich zdaniem równie cennego: chociażby względny pokój i jakąś szansę na trochę większą sprawiedliwość społeczną. Ale o tym co chcieli w ten sposób uratować już się odtąd w każdym razie oficjalnie nie mówiło, bo mówienie pełnym głosem o „takich rzeczach” stało się unescowym tabu.

O tym czy warto było zrezygnować z walki o racjonalne porozumienie międzynarodowe i o tym czy się naprawde cokolwiek w zamian za tę wielką rezygnację zyskało, dowiemy się chyba dopiero albo po upadku albo po radykalnym przeorganizowaniu Narodów Zjednoczonych z Unesco włącznie.

Dziś, w dwudziestopięciolecie Unesco, warto się jednak zastanowić nad tym czym to niedoszłe Światowe Ministerstwo Oświaty i Kultury jest, a czym nie jest, jaki ma wpływ na społeczeństwa w których działa i jaki wkład do porozumienia międzynarodowego.

Przede wszystkim więc Unesco — jedno z wielu biur Narodów Zjednoczonych — wbrew pięknej nazwie nie jest organizacją narodów zjednoczonych lecz wprost przeciwnie, organizacją narodów bardzo niezjednoczonych i często pokłóconych. Podobnie jak ONZ, Unesco nie jest ani organizacją ponadpaństwową czy extra-państwową ani nawet organizacją międzynarodową (międzypaństwową) bo, aby zasługiwać na taką nazwę, za wiele w niej podskórnych międzypaństwowych konfliktów, za dużo zaciemniającej ideologicznej „drętwej mowy”, za mało rzetelnego między-państwowego porozumienia. Choć niewątpliwie niektórzy z wyższych i niższych funkcjonariuszy Unesco myślą i marzą o większym umiędzynarodowieniu tej organizacji, a może nawet wspólnie knują takie umiędzynarodowienie, aspiracje te jednak niestety są raczej ich osobistymi aspiracjami niż aspiracjami organizacyjnymi.

Podobnie jak ONZ, Unesco jest raczej tym co Amerykanie nazywają *clearing house*, a co po polsku brzmi bardziej dramatycznie i mniej śmietnikowo: jest areną (jedną z wielu aren) dla politycznych rozgrywek między wielkimi tego świata. Oficjalną monetą w tych rozgrywkach unescowych jest, jak wiadomo, oświata i kultura, podczas gdy monetą nieoficjalną jest, tak jak na wszystkich arenach tego typu, ludzkie życie w dosłownym tego słowa znaczeniu...

Wszystkie wielkie organizacje: uniwersytety, fabryki, szpitale, wytwarzają swoją własną organizacyjną kulturę, swój własny styl różniący się często znacznie od stylu otaczającego społeczeństwa. Będąc organizacją pod względem składu personelu naprawdę wielonarodową Unesco wytworzyło bardzo specyficzną unescową kulturę, częściowo podobną do kultur wielkich narodowych organizacji, częściowo odrębną ze względu na wielo-

narodowość personelu i na wszechobecną „drętwą mowę” pseudo-ethosu ponad-narodowego.

Gdy zetknęłam się po raz pierwszy osobiście z Unesco w 1969 roku, podczas długiej odprawy w Paryżu (nazwanej z amerykańską *briefieng*), przed wyjazdem na unescową „misję” do Ameryki Południowej, najbardziej rzuciły mi się w oczy trzy cechy unescowej kultury: wzmożona świadomość przynależności państwowej, idealizacja kompromisu moralnego i rodzaj elitaryzmu w stosunku do „reszty świata”, połączony z broniem unescowego *status quo*.

To ciągle podkreślanie przynależności państwowej, ubrane w terminologię ideologii międzynarodowej, ta ciągła świadomość Trzeciego, Drugiego i naturalnie Pierwszego Świata możliwych i ważnych, było dla mnie bardzo szokujące i przykre, zwłaszcza, że z moim paszportem amerykańskim należałam do świata możliwych i ważnych, podczas gdy będąc Polką czułam się raczej częścią Trzeciego Świata. Podczas tej długiej odprawy słuchałam odczytów o tym właśnie Trzecim Świecie, po-kolonialnym czy neo-kolonialnym, któremu Unesco przede wszystkim powinno służyć, jakiegokolwiek jednak napomknięcie o sowieckim neokolonializmie uznane tu było jednak za wielkie *faux pas*... Europa Wschodnia — a więc i Polska — zgodnie z myśleniem zbiorowym Unesco, należała zapewne do Drugiego Świata, była krajem niestłamszonym ekonomicznie i kulturalnie, jednym z krajów pomagających raczej niż wymagających pomocy.

Znając już od kilku lat artykuł Juliana Huxleya „Filozofia dla Unesco”, nie spodziewałam się naturalnie po Unesco jakiegokolwiek bezkompromisowości moralnej. Spodziewałam się jednak tego, co znalazłam u Huxleya: dostrzeżenia tragiczności takiego kompromisu, świadomości, że rezygnacja z racjonalnego porozumienia się między państwami nie jest łatwą lecz tragiczną rezygnacją, za którą kryje się podskórna ale silna nadzieja ewentualnego ujawnienia i uracjonalizowania się raz na zawsze.

Julian Huxley wiedział dobrze jaką drogą idzie Unesco rezygnując ze sformułowania unescowej filozofii i programu. Kto wie... może dla Juliana Huxleya owo biedne Unesco, już w kilka lat po urodzeniu skazane na niejasność i podskórność działania, było czymś podobnym do chesterońskiej *Intelligence Service*, organizacji skazanej na tajne działanie ale przyspieszającej świadomie własną likwidację działając na rzecz świata w którym tajność nie będzie konieczna... Może to z musu „pragmatyczne” Unesco widział on jako jeden z trudnych ale przemijających etapów rozwoju tej organizacji...

Tego rodzaju podejście do niedomówień, tajności, unikania tego co najważniejsze jest jednak, jak się przekonałam, rzadkością w pełnoletnim już obecnie Unesco. Nie usprawiedliwiano przede mną konieczności kompromisów moralnych podczas mojej długiej paryskiej odprawy. Wprost przeciwnie! Z dumą opowiedziano mi o unescowej konferencji, która miała miejsce w Europie w momencie gdy sowieckie czołgi wjeżdżały do Pragi.

Na konferencji byli i Czesi i Rosjanie i Francuzi i wielu innych „a jednak wszystko odbywało się spokojnie, bez demonstracji i protestów... był to niezwykle przykład współpracy międzynarodowej”... Kompromis moralny z aureolą!

Takich i tym podobnych „zdobyczy” Unesco broni zaciekle na każdym kroku, naruszenie ich bowiem uderzyłoby w „najświętsze” zasady tej organizacji, która przeżyła jednak „bez skazy” przeszło dwadzieścia pięć lat zimnych i gorących wojen. Z tego stylu niedopuszczającego do otwartych konfliktów Unesco jest wyraźnie dumne. *Status quo* „zdał egzamin” trzeba go więc kultywować i bronić. W związku z tym wszystko co nowe (nawet sugestie samych urzędników Unesco) jest z punktu podejrzanego, chyba że urodziło się w gabinetach wyższych funkcjonariuszy Unesco i przed oficjalnym chrztem unescowym przeszło przez wszystkie odpowiednie instancje.

Jak w każdej wielkiej organizacji, rozróżnienie między personelem organizacyjnym a resztą świata jest w Unesco podkreślane na każdym kroku i rzeczywiście bardzo silne, o czym przekonałam się dopiero wyjechawszy jako ekspert Unesco w „teren” do Ameryki Południowej.

Personel Unesco (przyjmowany na zasadzie kwot przynależności państwowej i z polecenia „komisji narodowych Unesco”, działających z ramienia rządów) zaklasyfikowany jest według trzech co najmniej kryteriów:

1. kryterium geograficzne:
  - a) personel pracujący w sekretariacie Unesco w Paryżu;
  - b) personel terenowy, pracujący na różnych „projektach” Unesco w terenie.
2. kryterium kompetencji:
  - a) personel z cenzusem naukowym (z ukończonymi wyższymi uczelniami);
  - b) personel bez cenzusu naukowego: urzędniczy i techniczny.
3. kryterium starszeństwa:
  - a) personel z etatem (przy czym termin „etat” używany jest w Unesco bardzo rzadko);
  - b) personel bez etatu czyli personel przechodzący „okres próbny” (termin używany w Unesco na każdym kroku i to nie tylko w stosunku do tych, którzy aspirują do stałej pracy w Unesco, ale także w stosunku do personelu tak jak ja, wypożyczonego przez uniwersytet, na krótki okres. Głębszy sens tej terminologii jest jasny: Unesco jest „rajem na ziemi” ktokolwiek więc dla tej organizacji pracuje ma „naturalnie” aspiracje przejścia przez okres próbny i uzyskania unescowego etatu).

Eksperci Unesco, te „główne sprzężyny organizacji” według unescowej „drętwej mowy”, to funkcjonariusze Unesco (termin „funkcjonariusz” jest terminem bardzo unescowym) z cenzusem naukowym, pracujący w terenie.

Reszta świata to „klienci Unesco” a ściślej mówiąc „klienci-

rzy” bo tylko z rządami, nie ze społeczeństwami Unesco pertraktuje.

W pierwszym okresie swego istnienia Unesco zajmowało się głównie kulturą przez duże „K”: wydawnictwami, pomocą dla uniwersytetów i naukowców, ochroną zabytków sztuki, pomocą dla muzeów etc. Od przeszło dziesięciu lat strategia unescowa zmieniła się radykalnie i od tego mniej więcej czasu Unesco koncentruje się na kulturze przez małe „k”: kulturze w tej właśnie epoce odkrytego „Trzeciego Świata”, alfabetyzacji, pomocy technicznej i w dziedzinie programów dla szkół powszechnych, szkół średnich, szkół technicznych etc.

W pierwszym okresie eksperci Unesco polegałi głównie na wiedzy wytwarzanej przez uniwersytety i instytuty naukowe. W drugim okresie instytuty ONZ i Unesco zaczęły wytwarzać własną wiedzę coraz bardziej ezoteryczną, anonimową i rywalizującą z nadal jednak w dużej mierze indywidualistyczną wiedzą wytwarzaną przez uniwersytety. Takie terminy jak „myśl Unesco z pierwszego pięciolecia lat sześćdziesiątych” są używane na każdym kroku i to właśnie ta myśl zbiorowa, przetrwiona na dziesiątkach seminariów i odpowiednio wysterylizowana przez wyższych funkcjonariuszy Unesco, przyczynia się do wzmocnienia władzy i prestiżu pełnoletniego Unesco, do wzmocnienia organizacyjnych więzi hierarchicznych, tajności i elitaryzmu.

Z siły tych więzi hierarchicznych zdałam sobie dopiero w pełni sprawę podczas mojej pracy w terenie. Ekspertowi pracującemu w terenie, który teoretycznie ma zupełną swobodę działania i zależny jest jedynie od funkcjonariusza Sekretariatu Unesco (przeważnie o tym samym wykształceniu co ekspert), nie wolno porozumiewać się bezpośrednio z własnym szefem, z którym podczas paryskiej odprawy omawiał szczegóły swego „projektu”. Listy eksperta do własnego szefa idą w otwartej kopercie pocztą dyplomatyczną Unesco i są czytane przez szereg lokalnych funkcjonariuszy, od których ekspert jest wprawdzie „niezależny zawodowo” ale za to „zależny administracyjnie”. Ta zależność administracyjna: częściowo rezultat przepisów Unesco, częściowo interpretacji tych przepisów przez panoszącą się z dala od Sekretariatu biurokrację unescową, w wielu wypadkach efektywnie uniemożliwia pracę zawodową eksperta. Na początku „misji” wyżsi funkcjonariusze terenowi Unesco przedstawiają nowego eksperta wyższemu urzędnikowi „rządu-klienta” przy czym ceremonie te zajmują czasem do dwóch tygodni, nie zostawiając czasu na nic innego. Po zakończeniu tych *rites de passage* ekspert jest poinformowany, że nie wolno mu osobiście utrzymywać kontaktu z żadnym z tych wyższych urzędników „rządu-klienta”, którym został przedstawiony (a których pomoc mogłaby często być zasadnicza w jego pracy) a o ile jest to nieodzowne — musi najpierw złożyć podanie na piśmie do terenowego funkcjonariusza Unesco, od którego jest bezpośrednio zależny, ten z kolei złoży podanie do swego szefa itd., itd. *Rationale* dla tego rodzaju restrykcji jest zawsze ta sama:

ekspert Unesco jest, jak wszyscy inni funkcjonariusze tej organizacji, dyplomata międzynarodowym, będąc jednak początkującym dyplomata, ma przydzielonego „starszego brata” z „rodziny Unesco”, którego sugestie (w gruncie rzeczy rozkazy) mają go uchronić przed „poważnymi przykrościami”. Te „poważne przykrości” to po prostu wyrzucenie z Unesco za „nieodpowiednie zachowanie” a o tym, że znacznie więcej ekspertów wylatuje za nieodpowiednie zachowanie niż za brak kompetencji zawodowej, dowiaduje się zwykle ekspert już podczas paryskiej odprawy.

Administracyjna kontrola nie ogranicza się do kontroli kontaktów eksperta z ludnością kraju, w którym ma miejsce jego „misja”. Nie tylko nie wolno mu wygłaszać odczytów ze swojej specjalności (czy nawet brać udziału w dyskusjach towarzystw naukowych (każda jego wypowiedź „może być bowiem wzięta za oficjalną wypowiedź Unesco”) ale nie wolno mu także pisać raportów unescowych w takim stylu, który uważa za najbardziej wskazany, nie wolno mu na przykład używać porównań z innymi krajami, takie porównania bowiem „charakterystyczne dla pierwszej epoki istnienia Unesco” są sprzeczne z „Myślą Unesco” z epoki obecnej! Podobne restrykcje, z silnym podkreśleniem struktury hierarchicznej organizacji, odnoszą się do zachowania ekspertów podczas wewnętrznych seminariów Unesco. Gdy kiedyś zabrałam głos podczas jednego z takich seminariów — na które zaproszono kilkunastu socjologów i psychologów społecznych z różnych krajów Ameryki Łacińskiej, w celu dyskusowania projektu nad którym pracowałam jako jedyny socjolog — terenowa reprezentantka Dyrektora Generalnego Unesco, powiedziała mi ni mniej ni więcej: „Gdyby Dyrektor Generalny interesował się pani opinią na ten temat napisałaby do pani list lub zapytał poprzez jednego ze swoich reprezentantów. Ekspertci Unesco niepytani o opinię, nie powinni w ogóle zabierać głosu”. Zresztą „wyniki badań socjologicznych” — jak to słyszałam potem wiele razy — „nie są w ogóle żadnymi wynikami dopóki nie dostaną oficjalnej aprobaty Sekretariatu Unesco”.



W krajach Trzeciego Świata, którym przede wszystkim Unesco stara się pomagać od przeszło dziesięciu lat, organizacja ta ma naturalnie opinię jak najgorszą i tym gorszą im liczniejsza jest kolonia Unesco (czy też szerzej: ONZ-tu) i im dalej od kwatery głównej Unesco w Paryżu. W takich warunkach semi-kolonialnych personel Unesco, fantastycznie wprost uprzywilejowany nie tylko w porównaniu z ludnością miejscową ale również w porównaniu z korpusami dyplomatycznymi innych krajów, pasyżuje wprost bezwstydnie na krajach „unescowych misji”. Przed funkcjonariuszami Unesco otwierają się wszystkie drzwi i opróżniają stoły w przepelnionych restauracjach. *Laissez-Passez* — (paszport ONZ-tu) jest rzeczywiście magicznym dokumen-

tem. Ogromne Mercedesy przywożą ekspertów Unesco na przedmieścia bez wody i elektryczności. W szkołach czy zakładach, które eksperci starają się unowocześnić, odbywają się długie pseudo-dyskusje, w których terenowi funkcjonariusze Unesco (im wyżej postawieni tym robią to efektywniej) narzucają swoje idee reorganizacyjne wmawiając tubylcom (często lepiej od nich wykształconym), że idee te zrodzone są z „demokratycznego dialogu”. Gazety pełne są ogłoszeń o „międzynarodowych dyplomatach” (często po prostu „dyplomatach ONZ-tu czy Unesco”), sprzedających nowe auta, telewizory, lodówki, etc. sprowadzane bez cła „na własny użytek”; kwitnie surowo przez paryskie władze Unesco wzbroniona wymiana dolarów na czarnym rynku, no i, niewątpliwie, odchodzą inne, jeszcze dużo intratniejsze interesy, eksperci bowiem bez etatów (zwłaszcza ci z krajów Trzeciego Świata, którym Unesco płaci wielokrotnie większą pensję niż ta, do której się przyzwyczaili „przed wstąpieniem do rajy”) starają się wszelkimi siłami zapewnić sobie dalszy byt na wypadek gdyby im się nie udało zostać w Unesco. Starają się więc wzbogacić nie tylko w dolary ale i w kontakty, no i może urządzić się na jakiejś intratnej synekurze w „krajach swoich misji”, kto wie... może jako ex-unescowi konsul-tanci...

Na tle tego rodzaju semi-kolonialnego rozpasania, na tle zbiurokratyzowanej irracjonalności, wśród drżenia mniej ważnych w obliczu unescowych ważniaków, tym bardziej zdumiewający są ci nieliczni unescowi „cisi-święci”, bez których organizacja ta — jestem przeświadczona — zdegenerowałaby się jeszcze gorzej. Spotkałam ich i w Paryżu i w terenie. Byli to przeważnie ludzie od wielu lat już w Unesco pracujący, o postawie podobnej do Juliana Huxleya: ludzie uważający rezygnację z racjonalności i jawności za prawdziwie tragiczny wybór i starający się aby Unesco mimo wszystko służyło nie tylko „rządom-klientom” ale po prostu ludziom, często przez własne rządy słamszonym i sponiewieranym. Ci „cisi-święci”, bez których opieki nie wytrzymałabym pewno nawet roku w Unesco, są powierzchownie — tak jak i inni wyżsi funkcjonariusze Unesco — bardzo posłuszni i zbiurokratyzowani. Ich „święte manipulacje” jednak, ich wielkie egzegezy uprawiane anonimowo pod postacią kolektywnych publikacji i raportów Unesco, są w gruncie rzeczy robotą prawdziwych choć skazanych na kolektywizm indywidualistów. Czy jednak warto uprawiać takie „święte hocus pocus”, czy nie lepiej byłoby zaryzykować i wołać o prawdę i sprawiedliwość pełnym głosem?

Alicja IWAŃSKA

Mexico, 27 maja 1972 r.

## Narkotyki contra społeczeństwo

Człowiek o wyobraźni nie wyłącznie „momentalnej” ma duże trudności z dostosowaniem się do diety informacyjnej, jakiej jesteśmy poddani. Przez tydzień czy dwa prasa, telewizja i wystawy dostarczają materiału do koszmarnych snów: samochody, statki i samoloty z ukrytymi w nich narkotykami, w ilościach wystarczających do wytrucia całego świata; hurtownicy o dochodach tak zawrotnych, że nic im nie dorównuje — jeśli którykolwiek dostanie się przypadkiem do więzienia na 10 lat to czas za kratami przyniesie mu więcej, niż wynosi uposażenie głowy państwa w kraju demokratycznym; szczególnie jednak owe widma młodych ludzi — roztrzęsione lub apatyczne — których ostatnim odruchem człowieczeństwa jest atak przerażenia lub wstydu, wywołany upadkiem. Po czym wszystko nagle uciucha. Można by sądzić, że sprawy te poszły w niepamięć. „Eksperci” najspokojniej w świecie wracają do swych dyskusji: w jakim stopniu szkodliwe jest LSD? marihuana? haszysz? heroina? Który z tych narkotyków jest najmniej szkodliwy, lub zgoła — najbardziej nieszkodliwy? Czy nie należałoby tego lub innego narkotyku potraktować na równi z alkoholem czy tytoniem? Należy wszak „oddramatyzować” w końcu cały ten problem, znieść „kompleks winy” z tym związany, rozbroić potępienie społeczne. Są co prawda ofiary narkotyków, ale są też ofiary tytoniu i alkoholu. Niektórzy powiadają nawet: liczniejsze. Ostatecznie chodzi przecież o historycznie uwarunkowane przesady, związane z pewną sytuacją i pewną kulturą — pożałowania godną, bo — jak wiadomo — „burżuazyjną”. Młodzież trzeba zrozumieć: doprowadzona do rozpaczycjąłowym zmateralizowaniem otaczającego ją społeczeństwa, szuka, jak umie, ucieczki w braterstwie halucynacyjnej utraty świadomości, dzięki której jest w stanie — jeśli nie zaspokoić, to w każdym razie zagłuszyć — swe potrzeby duchowe i religijne.

W ten sposób w odniesieniu do sprawy narkotyków szerzy się w społeczeństwie pewnego rodzaju paraliż moralny, intelektualny, i niemal fizyczny, źródłami jego zaś są: niezdecydowanie, relatywizm, niespokojne sumienie, nawet pewne tęsknoty duchowe. Niezdecydowanie co do szkodliwości zjawiska, relatywizm w odniesieniu do wszelkich kontekstów historycznych, niespokojne sumienie społeczeństwa obfitości, tęsknota za wspólnotą i Bogiem. Na tym grząskim terenie szerzy się — pośrednio

\* Jeanne Hersch (Genève): *La drogue contre l'humain*. „Médecine et Hygiène” — Journal d'informations médicales, Nr 997, 6. II. 1972, Genève).

i bezpośrednio — reklama na rzecz handlarzy narkotykami; spotyka się ją w miejscach najmniej oczekiwanych — gdy np. w *Czerwonej książeczce ucznia* po dwóch złowrogich rozdziałach na temat alkoholu i tytoniu i bezpośrednio przed równie niemal przerażającym rozdziałem poświęconym LSD, na pełnych uspokajających stwierdzeń stronicach rozkwita haszysz — jakoby nieszkodliwy; — lub gdy *Journal de Genève* ogromnymi literami na żółtym tle obwieszcza: „Haszysz — ten niezajomy”.

A potem ni stąd ni zowąd informuje się nas, że jakiś dwudziestoletni chłopak popróbował parę razy haszysz, uświadomił sobie, że nie może się już bez niego obejść i zastrzelił się.

W gruncie rzeczy zarówno „wrozumiałe” rozprężenie otoczenia jak i atrakcyjność samych narkotyków mają najczęściej to samo źródło: brak przywiązania do czegokolwiek. Człowiek do niczego nie przywiązany nie jest też nigdzie zakotwiczony. Jest „wolny” — w sensie unoszenia się na powierzchni niczym nie ograniczonego niezdecydowania. Toteż życie zaczęło się ograniczać do przestrzegania paru zasad higieny i jedynie oficjalnie stwierdzona szkodliwość określonego narkotyku brana jest jeszcze w pewnym stopniu pod uwagę. Osobiście uważam, że ocena stopnia szkodliwości jakiegokolwiek narkotyku winna interesować jedynie lekarzy, z uwagi na czysto techniczną stronę ich działalności terapeutycznej. Nie ma ona natomiast znaczenia na *plaszczynie ludzkiej*, na której rozstrzygnąć należy kwestię fundamentalną, mianowicie: czy w ogóle dopuszczalne jest używanie narkotyków? *Idzie tu o opowiedzenie się przeciw lub za człowieczeństwem samym w sobie*.

Co to znaczy: człowieczeństwo samo w sobie? Czym jest to coś, co domaga się poszanowania przez siebie samego i przez innych, to, co sprawia, że człowiek posiada pewne prawa i że różni się od innych istot żywych w sposób zasadniczy? Jest to dar jasnej świadomości, zdolność poznawania, decydowania, działania, życia i umierania z wiedzą o tym co się robi, z przyjęciem odpowiedzialności za swe postępkę, z uznaniem ich za swoje własne. W określonym miejscu olbrzymiego wszechświata, na planetce zwanej Ziemia, zamknięte w pudełku z kości mięści się wszystko, co jest niezbędne po to, by o wszechświecie tym można było *myśleć*, zastanawiać się, częściowo go rozumieć, kwestionować i podziwiać — i żeby powstawała w nim i toczyła się działalność, kierowana *wolą*. Jasność umysłu i woli wydaje mi się najistotniejszym składnikiem tego uczucia podziwu i wdzięczności. Jeśli wychowanie może mieć w ogóle jakiś sens, to jest nim właśnie pobudzanie namiętnej potrzeby i religijnej czci dla tego daru jasności.

Skłonność do narkotyków jest bardzo często odruchem ucieczki od tego kultu jasności w bierność świadomości zaludnionej tworam fantazyjnymi i nierzeczywistymi. Nie jest przypadkiem, że mamy z tym do czynienia w czasach, w których swego rodzaju nienawiść do wszystkiego co ludzkie (świetnie dająca się pogodzić z werbalnym wszech-współczuciem) usiłuje za po-

średnictwem humanistyki udającej nauki ściśle — bez należytego ich zrozumienia skądinąd — myślenie i wolę zredukować do gry mniej lub bardziej prymitywnych odruchów, nie mających nic wspólnego z jasnością umysłu.

Opowiada się nam o alkoholu i tytoniu, mówi się, że są to takie same narkotyki jak i inne, niekiedy nawet mówi się: niebezpieczniejsze niż inne. Uważam, że to ostatnie twierdzenie jest zbrodnicze. Sądzę bowiem, że gdyby zużycie istniejących środków psychotropowych osiągnęło w krajach zachodnich poziom konsumpcji tytoniu i alkoholu, katastrofa naszej cywilizacji byłaby całkowita.

Patrząc z punktu widzenia, który tu przyjmuję — jasnego myślenia i jasnej decyzji — istnieje pewien element wspólny, łączący alkohol, tytoni i narkotyki: jest nim zniewolenie, jakie narzucają konsumentom. Kryterium, jakie stosować winien człowiek wolny jest następujące: może on sobie pozwolić na wypalenie papierosa czy napięcie się alkoholu dopóki *odczuwa przyjemność, ale nie odczuwa ich potrzeby*, powinien z nich zrezygnować z chwilą, gdy zaczyna odczuwać ich brak. W praktyce rzecz oczywiście wygląda inaczej. Lecz doświadczenie wykazuje, że „twarde” narkotyki — do których mogą doprowadzić narkotyki „miękkie” — wiodą do nałogu znacznie szybciej i bezwzględniej niż tytoni czy alkohol, i że popada się w ich niewolę — biorąc pod uwagę stopień rozpowszechnienia — znacznie częściej i radykalniej.

Istota sprawy tkwi jednak w czymś innym. Zasadnicza różnica między alkoholem i tytoniem z jednej strony, a narkotykami z drugiej leży w intencji. Jest jasne, że nie pali się po to, by popaść w odurzenie. Ani też — w większości wypadków — nie po to pije się alkohol. Przez wieki i aż do najnowszych czasów punktem honoru każdego pijącego było zachowanie świadomości i chodzenie prosto mimo nadmiaru trunku. Upicie się upokarzało, chociaż zwyczajowo stan ten traktowany był wyrozumiale. Dowodem tego nastawienia są obrzydliwe zawody pijackie, w których chodzi o to, kto najdłużej utrzyma się na nogach.

Postawa współczesnych narkomanów jest inna. Chodzi im właśnie o „podróż”, o ucieczkę z normalnej świadomości. To, że ucieczka ta ma im dostarczyć intensywniejszych wrażeń i różnego rodzaju doznań krańcowych nie zmienia faktu, iż poszukiwany cel stanowi tu wyrwanie się z przyrodzonego stanu człowieczeństwa.

Ta różnica intencji jest z moralnego, tzn. ludzkiego punktu widzenia zasadnicza. Jeśli zły użytek tytoniu czy alkoholu prowadzi do fizycznego zniewolenia, to ucieczka w odurzenie narkotyczne zasługuje na miano — mówiąc językiem tradycyjnym — grzechu przeciw duchowi. Jest to dosłownie grzech przeciw duchowi, bo chodzi tu o *dobrowolne zniszczenie jasnej świadomości*.

Ci, którzy starają się „uzasadnić” używanie narkotyków nie dostrzegają rażącej sprzeczności między swymi teoriami a postę-

powaniem. Utrzymują, że narkotyki pozwalają im wyzwolić się spod „manipulacji społeczeństwa mieszczańskiego” i władzy pieniądza; w istocie oddają się całkowicie, ciałem i duszą, we władzę najwstrętniejszego z istniejących przemysłów i w ręce najpodlejszych handlarzy; szybko też usiłują — z konieczności — wciągnąć w to swych przyjaciół. Potwierdzają swą wolność — najbezwzględniejszą niewolą. Zaś pozabawione kośćca, życzliwe i wyrozumiałe społeczeństwo skłonne jest przyznać im prawo do samozagłady. Pod pretekstem tolerancji odmawia im się pomocy, czyli *konsekwentnych i określonych wymagań i surowości*, bez których jednostka na skraju przepaści jest zgubiona.

Najlepszym środkiem zapobiegawczym przeciw narkotykom jest miłość rodzicielska — ponieważ sens życia wyrasta z tej właśnie gleby. Istnieje jednak tyle fałszywych rodzajów miłości i tylu rodziców niegodnych tej nazwy, że nie warto się na ten temat rozpisywać. Sądzę jednak, że na przyszłość należałoby dokonać dwóch poważnych wysiłków, w dwóch kierunkach. Co prawda gotowych recept nie posiadam.

Należałoby przede wszystkim przywrócić w całym społeczeństwie znaczenie *wymaganiom, jakie stawia się każdej jednostce ludzkiej*. Brzmi to paradoksalnie, gdyż przyzwyczailiśmy się już traktować Prawa Człowieka jako coś, czego każdy może domagać się od innych, tzn. od społeczeństwa. W istocie jednak człowiek czuje się w pełni człowiekiem tylko wówczas, gdy inni, czyli społeczeństwo, oczekują lub wymagają od niego postępowania godnego człowieka. Wymóg ten podtrzymuje, kształtuje, nadaje człowieczeństwo. Jego brak unicestwia. Traci się rangę, ponieważ traci się funkcję i godność. Nawet nie jest się w stanie zawieść niczyich nadziei. Tym tłumaczy się impuls wewnętrzny, skłaniający niekiedy przestępcę do domagania się kary dla siebie. Chodzi nie tyle o pokutę, co o uznanie za człowieka.

W tym miejscu pojawia się pewna trudność. Presja społeczna, wymogi zachowania godności ludzkiej narzucane przez zbiorowość jeśli są logiczne i konsekwentne, pomagają w walce z narkotykami, ponieważ stanowią jeden z czynników utrudniających dostęp do trucizny. Pomagają więc zdrowej młodzieży. Z drugiej jednak strony pogarszają sytuację tych, którzy już nią zostali naznaczeni, ponieważ utrudniają ich „położenie spadającym na nich potępieniem moralnym. Jest to dialektyka, którą należy rozwikłać, ponieważ ma ona brzemiennie konsekwencje nie tylko w odniesieniu do narkotyków, ale także i wielu innych problemów społecznych, dyskutowanych współcześnie na wielu płaszczyznach: moralnej, prawnej, medycznej — należy tu na przykład sprawa, czy kara ma być odpłatną za zło czy ma mieć charakter leczniczy, a zatem, czy przestępstwo jest sprawą natury moralnej czy patologicznej. Rozważmy ten problem w związku z kwestią narkotyków.

Rozpatrując ją teoretycznie, jasno widzimy cały proces: zainteresowanie narkotykiem, użycie go, chęć ucieczki, dalsze wypadki użycia, nałóg, niewola, rozprzestrzenianie nałogu, osta-

teczny upadek. Z tego punktu widzenia poszczególne etapy rozkładają się niejako panoramicznie, jak gdyby przebiegały na jednej płaszczyźnie. Tymczasem w procesie naprawdę *przeżytym* zachodzi fundamentalna różnica pomiędzy sytuacją *zanim* i *później*, czyli znajdowaniem się w stanie nałogu (podobnie pod tym względem ma się rzecz z alkoholem). *Zanim* — dany osobnik jest — nawet jeśli ma słaby charakter — z reguły człowiekiem wolnym, moralnym podmiotem, zasługującym na stawianie mu wymagań, które są mu potrzebne i do których ma prawo. Społeczeństwo jest obowiążane do ich stawiania, a w wypadku potrzeby — do zastosowania sankcji, jakimi obwarowuje swe prawa. *Później* — osobnik taki jest chorym, zasługującym na zrozumienie i współczucie i posiadającym prawo do pomocy ze strony społeczeństwa z uwagi na to, że podmiot moralny w nim może jeszcze zostać przywrócony do istnienia w całej jego godności i prawach. Jako obrońca chorego występuje lekarz. Dąga się dlań współczucia i wyrozumiałości, potrzebnych w czasie leczenia. Postępując tak, lekarz spełnia całkowicie swą rolę. Nie powinien on jednak zakresu swej działalności obrońcy rozszerzać na całe społeczeństwo, ani nawet na całą osobę chorego. Społeczeństwo jako całość winno stać na stanowisku, że składa się z ludzi wolnych i odpowiedzialnych, stanowiących podmioty i przedmioty uzasadnionych i koniecznych wymagań i że chory, nawet najciężej, pozostaje potencjalnie przynajmniej wolnym i odpowiedzialnym człowiekiem; to właśnie ta godność ludzka w nim nadaje sens i znaczenie pełnej współczucia wyrozumiałości lekarza. Wyrozumiałość stosowana profilaktycznie może mieć katastrofalne następstwa. To co jest konieczne *później*, może być zabójcze *zanim*. Ostatnio w wielu dziedzinach dochodzi do takiego pomieszania pojęć, takiej generalizacji, takiego obniżenia wymagań w zakresie społecznym i w zakresie jednostkowej godności ludzkiej — jak gdyby nagle cała ludzkość zamarzyła o przeniesieniu się do jakiegoś gigantycznego superszpitala, wdrygając się równocześnie przed utożsamionym w nim bezsenssem życia.

Trzeba więc znaleźć sposób na zapewnienie chorym nałogowcom niezbędnego zrozumienia ich sytuacji, a równocześnie przywrócić znaczenie ludzkiej godności i żądaniom stawianym przez społeczeństwo; jest to niezbędnym krokiem dla zachowania odporności zdrowych na pokusy narkotyków (*zanim*).

Lecz rzeczą jeszcze bardziej niezbędną jest systematyczne rozwijanie u dzieci i młodzieży *zamiłowania do życia w pełni świadomości, radości z posiadania umysłu zdolnego do jasnego myślenia i jasnej decyzji*. Nie chodzi o uczenie jakiejś filozofii, lecz o pobudzenie pewnej wrażliwości, odczucia, czy wręcz doznania. Dla Greków „żyć” znaczyło „oglądać światło dnia”. Zbyt szybko zarzuciliśmy suche, nie sercem tylko zasilane „łańcuchy rozumowania” kartezyjańskiego racjonalizmu. Toteż nie pojmujemy już religijnego zachwyty jaki zdolna jest wzbudzić jasna myśl, przejrzysty i ścisły wywód logiczny, wydzierający ciemnościom

zwątpienia kawałek prawdy. Filozofowie okresu klasycznego wierzyli, że w ten sposób jednoczą się z boskim umysłem. Zadaniem szkoły jest umożliwić naszym dzieciom przeżycie choćby odłasku tej radości, tego zachwyty.

Uczucie to jest ważniejsze od samego przedmiotu nauczania. Jego pobudzeniu może i powinna służyć *wszelka nauka, studia językowe, poznawanie literatury, zgłębianie matematyki i nauk ścisłych*.

Niewątpliwie sama ta jasność i nic ponadto, to za mało by egzystencji naszej nadać sens i ją wypełnić. Lecz najgorszą perwersją jest odurzenie narkotyczne podane jako doświadczenie mistyczne. To prawda, że Bóg jest istotą nieznaną, a nasz los i nasz wszechświat spowite są ciemnością, nieskończoną i nieunikloną. Lecz tylko spragniona, jasna myśl, która w niej się zanurza, potrafi nam objawić jej głębię.

Jeanne HERSCH

(Przekład z francuskiego)

## “POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO  
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

## Historia

### Zbiory krzemienieckie

Niedawno dopiero — dłuższe podróże stanęły na przeszkodzie — miałem możliwość zaznajomienia się z artykułem p. Kołesnyka o księgozbiornie krzemienieckim i z *post-scriptum* p. Danilewiczowej w nrze 286-287 *Kultury*.

Choć od ich ukazania się minęło już kilka miesięcy, szybko postępująca odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie sprawia, że kwestia zbiorów krzemienieckich jest nie tylko ciągle aktualna, ale powinna być często przypomniana.

Artykuł E. O. Kołesnyka zatytułowany jest „Książkowe zbiory krzemienieckie” ale autor rozszerza nieco temat. To samo robi p. Danilewiczowa, z którą całkowicie należy się zgodzić, że artykuł Kołesnyka wymaga uzupełnień i sprostowań i to tytu, że przekroczyłyby to możliwości opublikowania ich w *Kulturze*. Nie sądzę natomiast, że wiele wnosi nowych danych. Poza losami zbiorów w czasie ostatniej wojny właściwie nic, co nie byłoby już znane z literatury dotyczącej Krzemieńca lub Kijowa.

Poruszę więc jedynie najistotniejsze nieścisłości i dodam niewiele uzupełnień, znowu rozszerzając temat.

P. Kołesnyk pisze, że księgozbiór wraz z innymi zbiorami przeniesiony w całości do Kijowa „włączony został do jego biblioteki uniwersyteckiej”.

Jest to nieścisłość — i chyba świadoma.

Nie mogło to mieć miejsca gdyż wówczas Uniwersytet w Kijowie jeszcze nie istniał. Powstał on dopiero później — jako nowa faza dziejów Liceum.

Liceum Krzemienieckie — tak przemianowano w roku 1819 dawne Gimnazjum Wołyńskie — było więcej niż średnim zakładem naukowym. Hugo Kołłątaj nazywał je „małym uniwersytetem”.

Po zamknięciu Liceum za karę<sup>1</sup> (za udział studentów w Powstaniu Listopadowym) i przeniesieniu go do Kijowa, otwarto w roku 1834 — inauguracja miała miejsce 15 czerwca — w nowej postaci, jako już „duży”, pełnoprawny Uniwersytet im. Św. Włodzimierza. Księgozbiór krzemieniecki nie został więc włączony do nieistniejącej biblioteki nieistniejącego Uniwersytetu, a stał jej podstawą.

P. Kołesnyk zna archiwum Krzemieńca. Wymienia dekryty, których oryginały widział, cytuje ich treść, daty dotyczące założenia Gimnazjum Wołyńskiego z roku 1805<sup>2</sup> i przekształcenia go w Liceum z roku 1819.

Dziwne się przeto wydaje, że nie wspomina dokumentów przekształcających Liceum w Uniwersytet:

1. Ukazu z dn. 31 października 1833, na którym Mikołaj I własnoręcznie dopisał: „Zgadzą się, lecz z warunkiem aby istniały tylko dwa wydziały: filozoficzny i prawniczy; lekarski mieć na widoku, teologiczny zbyteczny, gdyż temu celowi służy Akademia Duchowna”.

2. Najwyższego ukazu z dn. 8 listopada 1833 roku wydanego Rządzącemu Senatowi w sprawie założenia Uniwersytetu w Kijowie, zawierającego następujące zdanie:

„Zwracając nieustannie naszą uwagę na postępy ogólnego prawdziwie narodowego wychowania w państwie, uznaliśmy za dobre po przeniesieniu wołyńskiego liceum z Krzemieńca do Kijowa przekształcić je w wyższy zakład naukowy”<sup>3</sup>.

Ponownie awansowana uczelnia wołyńska miała więc służyć celom wychowania państwowego, narodowego rosyjskiego. „Buntownicze”<sup>4</sup> ideologiczne podstawy opracowane przez Komisję Edukacji Narodowej, to najstarsze Ministerstwo Oświaty, zastąpiły wytyczne hr. I. I. Uwarowa, cesarskiego ministra oświaty w latach 1833-1849. Streszczały się one w tych słowach: *prawosławie, samodzielnawie, narodność*.

1. Na Podolu, Wołyniu i w Kijowszczyźnie zamknięto wówczas około 20 gimnazjów, 13 szkół powiatowych, 230 szkół ludowych, łącznie około 260 polskich zakładów naukowych stworzonych głównie przez Czackiego. Pozostało ich zaledwie 20. Uniwersytet w Charkowie (założony w 1809 przez Seweryna Potockiego) którego ustawa oparta była na zasadach ustalonych przez Komisję Edukacyjną, zruszczono i zreformowano w myśl formuły Uwarowa.

2. Była to uczelnia raczej ogólnokształcąca jak to stwierdza p. Danilewiczowa. Język grecki był nieobowiązkowy. Natomiast uczono m.in. szermierki, tańca, konnej jazdy — na zakończeniu roku miały miejsce popisy: karuzel, konkursy hipiczne etc. Dawała więc obok gruntownego wykształcenia również staranne wychowanie towarzyskie.

3. *Obrazczają bezpieriwnoje wnimanie nasze na uspiewi obszczago istinno narodnago wospitania w gasudarstwie, przinali my za blago po pierewodzie wołyńskiego liceja iz Kremienca w Kijew priobrazował onyj w Wyższeje Uczelnoje Zawiedienije*.

4. Katarzyna II pisała do Repnina: „Nad szkołami w ziemiach zabranych Polsce trzeba mieć nadzór z powodu szkodliwego ich kierunku, opartego na zasadach burzliwego mędrkowania francuskiego”.

Ze pod nową nazwą była to jednak nadal uczelnia stworzona przez Czackiego, świadczy nie tylko ukaz ale i fakty: skład wykładowców i studentów pozostał ten sam.

„Cała prawie młodzież polska, którą zamknięcie Liceum Krzemienieckiego zastało na kursach, przeniosła się do Kijowa... W mury Uniwersytetu Kijowskiego zakradł się duch Krzemienieckiego Liceum i Wszechnicy Wileńskiej; tenże uniwersytet jako czynnik antycarski wyprzedził wszystkie inne w państwie rosyjskim”<sup>5</sup>. Studentami byli zwłaszcza w początkowym okresie, prawie wyłącznie Polacy. W roku 1839, gdy zamknięto Uniwersytet na rok — znów „za karę” — za sprawę Konarskiego — było na 267 studentów 211 katolików a więc Polaków.

A wśród pozostałych 56, innych wyznań, byli też Żydzi, unicy, a nawet prawosławni Polacy. Jeśli chodzi o skład profesorów — Rosja nie była w stanie zebrać potrzebnej ilości uczonych — pozostał cały zespół profesorów krzemienieckich<sup>6</sup> z paroma zaledwie wyjątkami: dwóch przyszło z Uniwersytetu Wileńskiego.

Zaistniała więc paradoksalna sytuacja. Rząd carski dla zlikwidowania szkodliwych wpływów kultury polskiej (a więc zchodniej) zniszczył znakomitą uczelnię krzemieniecką. Przeniósł ją do Kijowa i podniósłszy na wyższy szczebel powierzył ją tym samym „polonizatorom”, którzy przez szereg lat wykładają i wychowują młodzież przeciw nie w duchu formuły Uwarowa.

Bo o tym jaki panował duch na Uniwersytecie Kijowskim świadczy „Konarszczyzna” — Tow. Patriotyczne i Stowarzyszenie Ludu Polskiego — do roku 1839, Związek Trojniacki w okresie przed powstaniem styczniowym i udział jaki w nim wzięli studenci jak i mnóstwo innych faktów.

Te idee kontynuowała młodzież w latach osiemdziesiątych, domagała się często wprowadzenia a raczej przywrócenia języka wykładowego polskiego, m.in. za rektoratu prof. Bunge<sup>7</sup>.

Stwierdzają to zresztą również Rosjanie. Uwarow pisze w roku 1848: „Język rosyjski zaledwie dawał się słyszeć w tej ogromnej przestrzeni” — mając na myśli nowy gmach Uniwersytetu ukończony w 1843 roku.

Jeszcze w roku 1863 pisze minister Chomiakow do ówczesnego rektora, prof. Maksimowicza: „Czas aby Kijów żył i mówił po rosyjsku. Jestem przekonany, że słowo i myśl pewniej zwyciężają niż szabla i proch”.

A więc kwestia językowa na Uniwersytecie Kijowskim była stałym problemem dla władz rosyjskich. Ciekawy, a jak stwier-

5. Wacław Lasocki, *Wspomnienia z mego życia*. Kraków 1933.

6. Ignacy Ablamowicz, Antoni Andrzejewski, Jan Babrynowski, Willibald Besser, Grzegorz Hreczyna, Maksymilian Jakubowicz, Paweł Jankowski, Bonawentura Klembowski, Józef Korzeniowski, Wojciech Lidl, Aleksander Mickiewicz, Franciszek Uniechowicz, Józef Mikulski, Józef Osieczkowski, Antoni Plançon de Rigny, Stefan Wyżewski, Stefan Ziemowicz. Z Uniwersytetu Wileńskiego: S. Daniłowicz i ks. J. Chodykiewicz.

7. Władysław Mieczysław Kozłowski, *Ze wspomnień studenckich* (w rękopisie).

dziłem mało znany szczegół mogą tu dorzucić. Dotyczy języka wykładowego w pierwszych latach istnienia Uniwersytetu Kijowskiego.

Przeglądając kiedyś archiwum mego dziada (Stanisława Michała Kozłowskiego), wychowanka Liceum Krzemienieckiego a następnie Uniwersytetu Kijowskiego, zeszła na rok 1864, natknąłem się m.in. na grube pliki nieoprawionych arkuszy tzw. kancelaryjnego formatu. Zapisane równym starannym pismem dotyczyły różnych tematów: historii filozofii, klasyków łacińskich i greckich, prawa rzymskiego, prawa polskiego, historii i literatury polskiej. Spisane były po łacinie.

Ze dziadek znał świetnie języki starożytne i miał zamiłowanie do klasyków, wiedziałem od ojca i pozostałej po nim biblioteki zawierającej m.in. wielki zbiór oryginałów greckich, łacińskich i ich tłumaczeń francuskich. Pozostały też fragmenty jego tłumaczeń — Iliady z greckiego na łacinę, czym się zabawiał w wolnych chwilach. Ale po co tłumaczył, jak sądziłem, na łacinę rzeczy o tak rozmaitej treści i raczej przeciętnym poziomie? Zapytałem więc ojca o te łacińskie zapiski.

Okazało się, że są to notatki uniwersyteckie dziadka z wykładow Aleksandra Mickiewicza, Józefa Korzeniowskiego i innych jego profesorów kijowskich a przedtem wychowawców krzemienieckich.

Ponieważ Uniwersytet Kijowski stworzony został w celu unicestwienia wpływów polskich, nie mogło być mowy aby językiem wykładowym pozostał nadal polski. Ale okazało się, że ani studenci, ani profesorowie nie znają rosyjskiego. Wybrnięto z tej sytuacji w ten sposób, że wykłady odbywały się po łacinie, którą wychowankowie krzemienieccy oczywiście biegle władali.

Wyjątkiem była katedra teologii, kurs trzyletni (dogmatyka, etyka i historia kościoła), która (do roku 1864) miała wykłady w języku polskim.

Biblioteka nowoutworzonego Uniwersytetu Kijowskiego składała się początkowo jedynie ze zbioru krzemienieckiego, ocenionego wówczas na 60.000 rubli. Dodano do niej później księgozbiory Uniwersytetu Wileńskiego, Bazylianów z Humania, Karmelitów z Berdyczowa i inne poklasztorne i prywatne.

Największą i najcenniejszą jej częścią była biblioteka Stanisława Augusta. Znana z licznych opisów, starannie dobiekana przez króla-bibliofila, pięknie oprawiona, ze złożonymi superexlibrisami, umieszczona była w szafach projektowanych i wykonanych przez artystów. Na jej pomieszczenie mecenas kultury dobudował całe nowe skrzydło do Zamku. Wzniesione w latach 1779-82 według planów Merliniego z główną salą długości około 60 metrów, jest jedyną częścią Królewskiego Zamku, jaką dziwnym zbiegiem okoliczności ominęła zagłada w 1944 roku.

Zbiory krzemienieckie przeniesione do Kijowa obejmowały i inne skrzętnie zgromadzone przez ostatniego monarchę kolekcje.

Zbiór mineralogiczny (z dołączonym zbiorem Hugona Kołła-



taja) liczył 16.000 okazów. Zbiory numizmatyczne 18.000. Gabinet sztuki zawierający, zdaniem Czackiego, „obrazy, które znalazłyby miejsce cenniejsze we wszystkich galeriach”<sup>8</sup>. Gabinet zoologiczny oceniony był na kilkadziesiąt tysięcy rubli. To samo dotyczy laboratorium chemicznego, gabinetu fizycznego i astronomicznego.

Łącznie majątek ruchowy Liceum oceniony był na kilkaset tysięcy rubli. Milionową fortunę zagrabił poza tym rząd carski w nieruchomościach i zapisach należących do Liceum.

Zbiory Stanisława Augusta mają jeszcze jeden aspekt niezmiernie interesujący dla historii naszej kultury. Są pierwszymi zbiorami typu muzealnego. Są relikwiami początków naszego muzealnictwa. Król był prekursorem muzeologii. Jego inicjatywa i przykład stały się bodźcem do stworzenia zbiorów Czartoryskiej w Puławach, Jabłonowskiej w Siemiatyczach, Radziwiłłowej w Arkadii. Miały one spełniać funkcję społeczną. Według projektów de Rieule'a (1766) i Mniszcha (1775) miały „wychowywać przez zgromadzenie pamiątek narodowych i kształcić na okazach przyrody i wzorach techniki”.

Zamek Królewski w Warszawie taki, jakim go pamiętamy, jest nierozdzielnie związany z ostatnim królem. Wnętrza są prawie całkowicie jego dziełem. Są najbardziej typowym przykładem polskiej odmiany stylu klasycystycznego nazwanego „Styłem Stanisławowskim” — gdyż tyle jest w nim osobistego wytwornego smaku króla.

Powrót zbiorów przechowywanych w Kijowie przyczynił się znakomicie do powiększenia autentyków z takim trudem i często narażeniem życia zbieranych i ratowanych od zagłady w czasie okupacji, z celem umieszczenia ich z powrotem w miejscu im należnym.

W odbudowanym Zamku nie może zabraknąć zbiorów Stanisława Augusta, tak jak nie mogło zabraknąć arrasów Jagiellońskich na Wawelu.

Przed kilku laty zbiory wawelskie powróciły z kanadyjskiej emigracji. Wraz z nimi insygnia koronacyjne Stanisława Augusta. Będą one umieszczone w skarbcu Zamku Warszawskiego.

Powinny teraz powrócić jego zbiory naukowe, na które oczekuje wspaniale odrestaurowana sala biblioteczna.

Powinny też powrócić z Wołczyna jego zwłoki i spocząć w najwłaściwszym dla nich miejscu, w kaplicy zamkowej.

Stanisław LIS-KOZŁOWSKI

8. „Obrazy ze zbiorów Stanisława Augusta stały się załącznikiem galerii w Dulwich pod Londynem” — pisze p. Maria Danilewiczowa (*Kultura* Nr 286-7, str. 218).

## Książki

### Dzisiejsze czasy

Książka Raymonda Arona „Postęp i rozczarowanie”<sup>1</sup> jest próbą systematyzacji tego, co zawiera się w bezradnie-ogólnym powiedzeniu: „*wie pan, dzisiejsze czasy...*” i towarzyszących mu gestach: dziarskich, zrezygnowanych lub oskarżycielskich. Jak większość książek „ogólnych” należy ona do tej specyficznej kategorii, którą określić można jako „ciekawe, ale nudne”; choć może właśnie ze względu na tę nudność — tzn. brak nieodpowiedzialnych rewelacji — godna jest uwagi. Jest to spokojna ocena plusów i minusów współczesnej cywilizacji przemysłowej i jej reperkusji zarówno w „bycie” jak i świadomości ludzkiej. Aron nie neguje „konfliktowości” współczesnej sytuacji historycznej; przeciwnie, uważa, że jest ona naturalnym składnikiem rzeczywistości: „*Ludzkość zawsze żyła niebezpiecznie*”. Termin „niebezpieczeństwo” oznacza możliwość katastrofy, przechybu w tę lub inną skrajność — innymi słowy oznacza, że równowaga jest tylko wypadkową pomiędzy tym, co marksiści nazywają „sprzecznościami”, a co można też określić jako współistniejące, choć rozbieżne tendencje w tym samym układzie powiązanych elementów.

Książka poświęcona jest analizie trzech par takich tendencji. Są to: 1) tendencja do *równości*, egalitaryzmu, nie tylko „oficjalnie głoszona”, lecz *de facto* przyjęta przez większość jako aksjomat — i przeciwstawna tendencja do tworzenia, utrzymywania i przestrzegania *hierarchii*; 2) tendencja do rozszerzania *wolności indywidualnej*, „pożywania” owoców egalitaryzmu — i tendencja do zwiększania *dyscypliny*, produktu ubocznego kolektywnej produkcji przemysłowej; 3) tendencja do *ujednoczenia* społeczeństw poprzez zwiększone możliwości komunikacji

1. Raymond Aron, *Progress and Disillusion*. The Dialectics of Modern Society. The New American Library (A Mentor Book), New York & Toronto, 1968.

fizycznej i symbolicznej — a równocześnie tendencja do wzrostu *róźnicowania*, poczucia silnej odrębności poszczególnych grup (por. wzrost nacjonalizmów, konfliktów rasowych, etc.).

Oceny współczesności są bardzo różne u różnych obserwatorów; wynika to stąd, że siła poszczególnych przeciwstawnych tendencji wartościowana jest niejednakowo; niekiedy też *róźnicowanie* sięga głębiej, wieloznaczność terminów-ideałów ulega rozszerzeniu i jest źródłem odmiennych interpretacji. Taki los najczęściej spotyka termin „równość”, który może oznaczać *równy start* dla wszystkich (i implikuje nierówność wynikającą z zachowania się zawodników na bieżni, np. ekonomicznej), a może też oznaczać wyrównanie *poziomu nagród* (czyli nierówność traktowania stosunku: zasługa — nagroda). Takie dwie interpretacje leżą m.in. u podstaw podziału na zachodni kapitalizm i system sowiecki. W obu systemach istnieje ponadto rozbieżność między ideałem a rzeczywistością — rozbieżność ta wyraża się istnieniem (i konsekwencjami) *stratyfikacji* społecznej. Tzw. w skrócie Zachód dąży do zmniejszenia *handicapu* pochodzeniowego drogą reform, Wschód zaś drogą dosłownie „radykalną”, likwidując korzenie, czyli same „klasy”. Zabieg ten opiera się o marksistowską definicję tego pojęcia, czyli w oparciu o problem własności środków produkcji. Upaństwowienie wszystkich środków produkcji winno automatycznie zlikwidować podział na klasy; formalny podział własności na państwową i „spółdzielczą” pozostawił w Związku Sowieckim jedynie tzw. „klasy nieantagonistyczne” (robotników i kołchoźników). Pomijając to, że pojęcie klasy nieantagonistycznej jest marksistowskim *horrendum* (klasa jest *ex definitione* antagonistyczna wobec innych), rzecz jest żonglerką semantyczną wobec faktu, że w Związku Sowieckim nadal istnieje rozwarstwienie społeczne (rozpiętość płac w skali 1 : 20; świadomość „my” i „wy”; fakt, że ok. 50 % studentów wywodzi się z ok. 20 % ludności, etc.).

Stwierdzenia te nie są w pracy Arona wyrazem *Schadenfreude*, lecz służą do wykazania, że brak recept globalnych. W obu systemach istnieje system mieszany (ideał: wymogi rzeczywistości), oba też są dwoma różnymi „aspektami” cywilizacji przemysłowej, którą najkrócej scharakteryzować można jako: produkcja + rozwój nauki; oba są wypadkową dwóch konktretów: wpływającej z potrzeb produkcji zasady „najlepszy wygrywa” — i zakorzenionych w historii struktur, przesądów i ideologii. W jakim stopniu mówić można o rzeczywistości „konwergencji” — która to koncepcja tak złości sowieckich ideologów — jest na razie sprawą nierozstrzygalną. Faktem jest szereg cech wspólnych (choć w różnym stopniu realizacji): redukcja liczby zatrudnionych w rolnictwie; zmniejszenie kosztów żywności (w porównaniu z innymi wydatkami); urbanizacja; przedłużenie średniego czasu nauki; skrócenie tygodnia pracy; powstanie nowych przemysłów (elektronika), etc. Wydaje się, że wymienione cechy są wspólne wszystkim społeczeństwom o cywilizacji prze-

mysłowej; Aron nazywa więc współistnienie Wschodu i Zachodu dialogiem — choć często jest to dialog głuchych.

Rozwój cywilizacji przemysłowej jest nierównomierny — i jest to immanentna prawidłowość: jakkolwiek bowiem poszczególne wskaźniki rozwoju są dyskusyjne („żelazo na głowę”, produkcja energii, wydajność pracy), sam rozwój stał się wielością wymierzalną ilościowo — a zatem grupy ludzkie, dotychczas *jakościowo* różne, stały się *takimi samymi* zawodnikami na tej samej bieżni. Jest to szczególnie widoczne w odniesieniu do tzw. Trzeciego Świata — kraje dotychczas „egzotyczne” stały się krajami „rozwijającymi się”; ujęcie to zakłada milcząco jednolite kryterium „rozwoju”. Jest nim niewątpliwie to samo, czym definiuje się cywilizację przemysłową: produkcja + nauka.

Ten sam mechanizm pozwala objaśnić inną „sprzeczność” tej cywilizacji: wzrost odrębności grup w pozornie homogenizującym się świecie. Zbiorowości, stanowiące dotychczas przysłowio- wy „materiał etnograficzny”, przy użyciu wspólnego miernika postępu uzyskują swą świadomość: „nierówność”, czyli odległe miejsce w peletonie wyścigu, i „upośledzenie”, tzn. nieprzystawalność tego stanu rzeczy i ideału egalitarnego. Budzą się resentymenty, samousprawiedliwienia i oskarżenia („kolonializm”, „dyskryminacja”, „neokolonializm”, etc.) — działa psychologiczny odruch obrony. Akcja ta wywołuje reakcję — i wzrost napięcia między poszczególnymi grupami. Aron przyjmuje, że jest to ogólną prawidłowością: współczesna sytuacja sprzyja wyrównywaniu różnic *wewnątrz* suwerennych — czy wyodrębnionych — grup, i zastraszaniu różnic *między* grupami. Konflikt rosyjsko-chiński jest tego znamionną ilustracją. W efekcie era przemysłowa nie oznacza „końca historii”: wprawdzie równowaga strachu, narzucona przez tabu atomowe zabezpiecza — jak się zdaje — przed wojną totalną, nie ma gwarancji totalnego pokonania.

Rosnąca spójność wewnętrzna grup — „usołecznienie” — prowadzi do trzeciej „sprzeczności”, najboleśniej odczuwanej przez zawodników, jadących w czołówek: mowa o konflikcie między jednostką, a „dehumanizacją stosunków międzyludzkich”. Mówiąc słowami Arona jest to konflikt między tendencją anarchiczną jednostek, a dyscypliną narzucaną przez społeczeństwo przemysłowe; w terminach marksistowskich nazywa się to często „alienacją”. Jak świadczy mnogość proponowanych rozwiązań — mniej lub bardziej utopijnych — *nikt nie zna idealnego rozwiązania*.

Większość rozwiązań ma taki czy inny związek z tym, co Aron nazywa *mitem kolektywizmu*. Mit ten, tłumaczony na politykę, pomija fakt, że każda rzeczywistość polityczna jest *oligarchiczna* — i różnice polegają jedynie na różnicy doboru oligarchów, lub na tzw. derywacjach (termin Pareto). Kolektywizm sowiecki opiera się na wątpliwym równaniu: całe społeczeństwo = partia = Komitet Centralny = Politbiuro (ewentualnie: = Gensek). Konflikt jednostki i społeczeństwa nie jest zresztą konfliktem

wyłącznie politycznym; występują tu momenty wręcz metafizyczne. Wystąpiło to najwyraźniej w interpretacji jaką Sartre nadał terminowi „alienacja” (u Marksa na zmianę: *Entäusserung* i *Entfremdung*) i w jakim przyjął się on w żargonie tzw. zaangażowanych intelektualistów. Chodzi tu o różnicę pomiędzy „esencją” człowieka, którą — zdaniem Sartre’a — jest „czysta wolność”, a tegoż człowieka „egzystencją” w społeczeństwie, która jest skrepowaniem; według Sartre’a zjednoczenie esencji i egzystencji — czyli zniesienie alienacji — nastąpi dopiero po „prawdziwej rewolucji” (w sensie „wypełnienia dziejów”). Pomijając kwestię trafności słowa „esencja” (co to takiego?) i kierunku nadziei (komunizm — co tłumaczy dziwaczny sojusz marksistów z egzystencjalistami), sprawa „alienacji” rzuca pewne światło na bolączki cywilizacji przemysłowej. Po wyłączeniu problemów psychiatrycznych („czysta wolność” jest koncepcją infantylnodespotyczną, dobrze znaną tej nauce), pozostaje istotne pytanie: jak znaleźć drogę pośrednią pomiędzy pełnym *konformizmem* (przyjęciem wszystkich norm otoczenia), a skrajną *anomią* (czyli odrzuceniem wszelkich norm)?

I tu brak jednoznacznej odpowiedzi. Aron wyróżnia trzy postawy wobec tego zagadnienia: *neutralno-pragmatyczną* (cywilizacja przemysłowa jest *faktem*, szukać wyjątków indywidualnych); *reformatorską* (łagodnie tarcia, zwolnić „szczyrzy wyścig”, itp.), i wreszcie — *skrajnie radykalną*. Tę ostatnią reprezentuje np. Herbert Marcuse i różne koncepcje „przeciwkulturalne” (*hippies*); z książki Marcuse „*Jednowymiarowy człowiek*” wyciągnąć można konkluzję, że każda cywilizacja „alienuje”, bo wszędzie (w systemie sowieckim i na Zachodzie) wolność zostaje ograniczona na rzecz dyscypliny, a przyjemność na rzecz pracy.

Można tu zauważyć, że postawy nie-pragmatyczne żywią się mitem, jakoby możliwe było życie w społeczeństwie bez podporządkowania (*się i czegoś czemuś*), a także, że „zjednoczona ludzkość” będzie zdolna do „ujęcia swego losu we własne ręce”.

W rzeczywistości los ludzki zdaje się leżeć poza zasięgiem jakiegokolwiek ręki. Zderzenie technologii — powiązanych działań zmierzających do realizacji wytkniętego celu — i historii stwarza wrażenie, że technologia daje człowiekowi wszechmoc, a zatem, że ludzkość czegoś nie dopełnia, że „*gdyby tak postępować rozsądnie, to...*”. Przeczenia się przy takiej postawie technologii — bo „technika historii” nie istnieje; nie docenia historii — jest to silny system determinant zakorzenionych w ludzkiej podświadomości i społecznej „nadświadomości” — i zapomina o Nieprzewidywalnym, które rodzi się w każdym momencie.

Dzieje ludzkie są splotem biologii i metafizyki, bo człowiek ma instynkt przetrwania, ale nie za *wszelką* cenę — jedynie za cenę sensu swego istnienia. Świat składa się ze zbiorowisk jednostek, które *poza swoją zbiorowością* nie widzą sensu (i dlatego ludzie godzą się umierać za wiarę czy za ojczyznę). Pytanie czy nieprzerwana ewolucja takiego świata ma sens, jest bez

sensu — ale świadomość tej ewolucji ułatwia znalezienie swego sensu jednostkowego. Czyli zwiększa szanse przetrwania całości.

M. BRONSKI

## “Przeżyte i przemysłane”

Czytam:

„... Między współczesnym *burżuazyjnym* państwem a państwem *social-demokratycznym* istnieje wielka różnica i to bynajmniej nie na korzyść tego ostatniego. W państwie *burżuazyjnym* zarządzanie tylko niektórymi sprawami jest skupione w ręku rządzącego ośrodka; w *ludowym* natomiast wszystko. Współczesny rząd (*burżuazyjny* — J.L.) jest gospodarzem tylko pewnej części materialnych środków kraju, 'ludowy' zaś jest gospodarzem wszystkich sił wytwórczych... Obecnie obywatele poddani są dyscyplinie tylko w koszarach, poza koszarami zaś tylko pośrednio; równoległe do oficjalnej nauki i oficjalnych szkół mogą istnieć i nieoficjalne, obywatel jest nie tylko poddanym ale i człowiekiem w sobie. Natomiast w państwie *ludowym* dyscyplina państwowa byłaby wprowadzona w fabrykach, w warsztatach, słowem — wszędzie. Tam — wszystko jest państwowe, wszystko oficjalne, i nauka i prasa i wychowanie. W granicach fizycznych możliwości musi nastąpić zatarcie indywidualności, nie ma indywidualności, są tylko funkcjonariusze państwowi. Jednym słowem — monotonia, ten ideał jedności państwowej, zapanowałaby w pełnym blasku i majestacie. Jedność niesłychana i niespotykana nie tylko w monarchiach lecz i w państwach teokratycznych”.

Proponuję rozwiązanie zagadki: Kto jest autorem wyżej przytoczonego tekstu? I kiedy został on napisany?

Jeśli czytelnicy pójdą drogą najmniejszego oporu, to będą prawdopodobnie podejrzewali o autorstwo kogoś z burżuazyjnych polityków, wystarczająco prawnicowego, by utożsamiać państwo urzeczywistniające program social-demokratyczny z państwem sowieckim, wystarczająco reakcyjnego, by apoteozować państwo burżuazyjne, które, jak przecież wiemy, wcale nie jest idealne. Treść cytatu w każdym bądź razie usprawiedliwia takie wnioski.

Jeśli jednak poszlibyśmy wyżej wskazaną drogą skojarzeń, nie ustalilibyśmy autora cytatu. Okazuje się, że tekst ten powstał zupełnie bez znajomości praktyki ustrojowej Związku Socjalistycznego i krajów demokracji ludowej, nie mówiąc już o Chinach. Tekst ten został napisany w... 1878 roku, czyli równo stulecie temu.

Ale nie mniej zaskakująca jest osoba autora. Okazuje się ni mniej ni więcej, że napisał te zdania... Paweł Akselrod. Tak,

słynny rosyjski rewolucjonista, narodnik, przywódca organizacji „Czornyj Pieriediel”, przyjaciel legendarnego Żelabowa, Wiery Zasulicz, Plechanowa, jeden z najinteligentniejszych i najsłabszych — zdaniem Deutschera — ludzi epoki, która przecież obfitowała w formaty!

Pisząc ten tekst, Akselrod krytykował program niemieckiej socjal-demokracji z pozycji bardziej lub mniej anarchistycznych. Nie należy przypuszczać, że był entuzjastą ustroju Szwajcarii, gdzie spędził długie lata emigracyjne, zarabiając na życie jako mleczarz, ani tym bardziej bismarkowskich Niemiec. A jednak widział, że realizacja postulatów programowych niemieckiej socjal-demokracji, połączenie w ręku państwa władzy politycznej z posiadaniem środków produkcji byłaby potwornym regresem.

Tekst Akselroda brzmi bardzo współcześnie, wręcz zaskakująco współcześnie. Nic dziwnego. Jest to bowiem głos w dyskusji, która na dobre rozgorzała kilkadziesiąt lat później i trwa po dzień dzisiejszy, dyskusji, czy to wszystko co nazywamy „sowietyzmem”, „stalinizmem”, „neostalinizmem” lub wreszcie „doktryną Breżniewa” jest nieuchronnym wynikiem urzeczywistnienia doktrynalnych założeń socjalizacji czy też na odwrót, konsekwencją aplikacji dobrej doktryny w złych, zupełnie nieodpowiednich warunkach wschodniego zacofania, wypaczającego treść szczytnej idei. Jest wreszcie głosem w dyskusji, jak daleko może iść proces odchodzenia od wytworzonych wzorców ustrojowych w ramach pewnych sztywnych założeń. Akselrod nie miał w tej sprawie wątpliwości. Jego zdaniem, rezultat socjalizacji musi być jednakowy nie tylko w wypadku deprawacji, których istnienia nie podejrzewał, ale nawet, gdyby „ta potworna, obrzydliwa konstrukcja ‘ludowo-państwowych’ koszar opierała się o... demokratyczny fundament bezpośredniego prawodawstwa”.

Jest w tym jeden dziwny paradoks: Minęło bowiem kilka lat i Akselrod odszedł od narodnictwa i anarchizmu, by wraz z Plechanowem stać się jednym z założycieli rosyjskiego ruchu socjalistycznego. A ponieważ z tego ruchu począł się i bolszewizm był więc w jakiejś mierze i prekursorem panującego w ZSSR ustroju!

Paradoks ten jest jednak tylko pozorny. Paradoksu nie ma. Po pierwsze carat różnił się dość znacznie nie tylko od Szwajcarii, o czym wiedział nawet Benia Krzyk, ale i od bismarkowskich Niemiec, w związku z czym dylemat mał inną postać i prowadził do innych rozwiązań. Po drugie — i to jest chyba nawet istotniejsze — nawet będąc socjalistą Akselrod nie wyrzekł się swojej krytyki. Rewolucja socjalna nie była dla niego środkiem dla koncentracji władzy i dóbr w ręku molocha-państwa, lecz drogą do zbudowania społeczeństwa demokratycznego, ruch socjalistyczny — ruchem klasy robotniczej.

1. Co prawda w o wiele mniejszej mierze niż przypisuje mu to cytowany Deutscher w biografii Trockiego.

Akselrod dożył do rewolucji październikowej. Był już wówczas starym, schorowanym, bezwładnym człowiekiem. Napisał wówczas piękną książkę o swych towarzyszach i o sobie. Nazwał ją „przeżyte i przemyślane”. Powtórzył w niej to, co stwierdził przed 40 laty<sup>2</sup>.

Józef LEWANDOWSKI

2. Akselrod P. B., *Pierieżitoje i pieriedumannoje*. Księga I, Berlin 1923. Cytaty pochodzą ze str. 238, podkreślenia w oryginale.

## Nadesłane nowości wydawnicze

CIOŁKOSZOWIE (Lidia i Adam).

*Zarys dziejów socjalizmu polskiego*. Tom II. Str. 658 i 80 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1972, cena: £5.75).

*Modlitewnik kalwaryjski*. Dla pątników opracował O. Augustyn Chadam. Str. 411 i 3 nlb. (Wyd. „Verum”, Warszawa, 1971).

ŚLIWIŃSKI (K. E.), KETRZYŃSKI (W.), MURAWSKI (E. W.), MIKKE (J.), MICEWSKI (A). *Kierunki zaangażowania społecznego*. Str. 177 i 1 nlb. (Wyd. „Verum”, Warszawa).

CZAPSKA (Maria). *Une famille d'Europe Centrale. 1772-1914*. Texte adapté du polonais par A. M. Bohomolec et l'auteur. Préface de Philippe Ariès. Str. 329 i 7 nlb. (Wyd. Librairie Plon, Paryż, 1972).

PUGET (Roger), MOND (Georges). *Consultation et expertise externe. Spécificité*. Str. 170-184. (Nadbitka z *La consultation dans l'administration contemporaine* — ouvrage publié sous la direction de Georges Langrod, Ed. Cujas, Paryż, 1972).

MOND (Georges H.). *Jaques Lévesque, Le Conflit sino-soviétique et l'Europe de l'Est; ses inciden-*

*ces sur les conflits soviéto-polonais et soviéto-roumains*. Les Presses de l'Université de Montréal, 1970. Recenzja. (Nadbitka z *Canadian Slavonic Papers*, str. 97-101).

*Studies in Polish Civilization*. Selected papers presented at the First Congress of the Polish Institute of Arts and Sciences in America, November 25, 26, 27, 1966 in New York. Redakcja Damian S. Wandycz. Str. 549 i 3 nlb. (Wyd. Institute on East Central Europe, Columbia University and The Polish Institute of Arts and Sciences in America, cena dol. 7,50).

STACHIEWICZ (Wanda M.). *Copernicus and His World. A Biographical Sketch*. Str. 64 (Wyd. Polish Institute of Arts and Sciences in America, Canadian Branch, Montreal - New York, 1972).

PASZKOWSKI (Lech). *John Stanislaw Kubary — Naturalist and Ethnographer of the Pacific Islands*. (Nadbitka z *The Australian Zoologist*, vol. 16, part. 2 1971 and Proceedings of the Royal Zoological Society of New South Wales for the years 1969-1970 (published 1917), Sydney, str. 43-70).

W czerwcowej Kulturze drukując w tym dziale notkę dot. liryk Antoiniego Libertta, *Król konwaliowy* podaliśmy omyłkowo, że książka liczy str. 11 i 2 nlb., podczas gdy zawiera ona str. 114 i 2 nlb., co niniejszym prostujemy.

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

**8-4-72**

W Warszawie zmarli: Zygmunt Jan Wasserab, lat 82, b. żołnierz Legionów Polskich i więzień w procesie Marmarosz-Szygiet w 1918 roku, pułkownik WP, dyrektor centrali BGK w Warszawie, żołnierz A.K. oraz Maria Jonkajtysowa, lat 80, pedagog, sybiraczka, wychowawczyni wielu pokoleń dzieci polskich w Mińszczyźnie, a po drugiej wojnie światowej w Szklarskiej Porębie.

**25-4-72**

Zmarł w Warszawie, w wieku 83 lat, Stanisław Szreniawa-Rzecki, żołnierz Legionów Polskich, artysta rzeźbiarz, malarz i grafik — scenograf.

**29-4-72**

Zmarł w Warszawie Stanisław Piotrowski, lat 70, przedwojenny działacz Związku Akademickiej Młodzieży Ludowej „Posiew”, „Wici” i PSL „Wyzwolenie”, w okresie okupacji współpracownik delegata Rządu na kraj w zakresie spraw ukraińskich, członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

**1-5-72**

Sąd Najwyższy w PRL ustalił sprawę legalności sprzedaży bonów PKO osobom postronnym. Karze podlegają jedynie ci, którzy nie będąc do tego uprawnieni skupują je w celu dalszej odsprzedaży z zyskiem.

**9-5-72**

15-tu baptystów zgłosiło się do ambasady amerykańskiej w Moskwie stwierdzając, że są ofiarami prześladowań religijnych i prosząc o interwencję ambasady w tej sprawie u władz sowieckich. Baptysty ci, pochodzący z Syberii centralnej, opuścili 10 maja br. ambasadę po uzyskaniu przez nią dla nich od władz sowieckich listu żelaznego.

**11-5-72**

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 76, Stanisław Furmanik, krytyk literacki, emerytowany profesor uniwersytetu poznańskiego i wrocławskiego, wykładowca na tajnym studium dziennikarskim w okresie okupacji.

**14-5-72**

Zmarł w Warszawie Aleksander Marian Kubicki, dziennikarz, literat i poeta.

**15-5-72**

Duże poruszenie w środowisku literackim w Warszawie wywołała decyzja mianowania Bohdana Drozdowskiego redaktorem naczelnym *Poezji*. Nominacja ta, mająca nastąpić w jesieni br., wywołała gwałtowne protesty zarówno ze strony członków zespołu *Poezji* jak i wśród poetów ze względu na oblicze moralne p. Drozdowskiego. Mimo tych protestów i zapowiedzi bojkotu pisma władze nie zamierzają cofnąć swojej decyzji. ■ Witold Olszewski, redaktor zlikwidowanych, paryskich *Horyzontów*, który powrócił do Polski, został współpracownikiem *Hejnatu Mariackiego*, pisma propagandowego, przeznaczonego dla emigracji polskiej na Zachodzie. ■ Luna Brystygierowa, b. płk UB, szef osławionego departamentu 5-go MSW w okresie hierutowskim — po przejściu na emeryturę po 1956 roku zajęła się

bezpośrednio literaturą wydając książki pod pseudonimem Julia Prajs. Ostatnio została przyjęta do Związku Literatów Polskich, którego regulamin wymaga, by kandydat miał wydane 3 książki. Jak widać ani strona moralna kandydata, ani poziom książek nie odgrywają tutaj roli. ■ Około 30 tys. Żydów, obywateli sowieckich, ma w tym roku wyjechać do Izraela. W roku ubiegłym wyjechało 12 tys.

**20-5-72**

Nowe nominacje w PRL: dr Bronisław Ostapczuk został mianowany podsekretarzem stanu w Urzędzie Rady Ministrów: w związku z włączeniem tematyki organizacji zarządzania w jednostkach gospodarki narodowej i administracji państwowej do zakresu działania Urzędu Rady Ministrów. Inż. Wiesław Waniewski, dotychczasowy dyrektor generalny w Urzędzie Rady Ministrów, został podsekretarzem stanu w tym Urzędzie. Teresa Andrzejewska, Edward Wiszniewski, Zbigniew Januszko, Tadeusz Miciak, Augustyn Piotrowski, Zdzisław Siedlewski zostali mianowani podsekretarzami stanu w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego i Usług. Ponadto Karol Nowakowski został mianowany dyrektorem generalnym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 73 lat, Leon Domański, wybitny ekonomista, przed wojną dyrektor Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych, Związku Eksporterów Zboża RP, Państwowego Monopolu Spirytusowego i in.

**25-5-72**

Ministerstwo Finansów zaniechało postępowania wyjaśniającego i ustalania dochodów ze źródeł nieujawnionych w wypadkach nabycia gospodarstw rolnych, uruchamiania nowych zakładów gastronomicznych i usługowych, wnoszenia wkładów do spółdzielni mieszkaniowych, budowy i nabywania domków jednorodzinnych oraz kupna samochodów. ■ Wybrano nowe władze Polskiego PEN-Clubu: Jan Parandowski — prezes, Jerzy Zagórski i Jerzy Żuławski — wiceprezesi, Władysław Bartoszewski — sekretarz generalny, Michał Rusinek — skarbnik. ■ Laureatami tegorocznych nagród literackich im. Stanisława Piętaka zostali: Edward Stachura za powieść „Siekierzada” (Czytelnik, 1971), Tomasz Burek za tom esejów „Zamiast powieści” (Czytelnik, 1971), Krzysztof Nowicki za tom szkiców „Pertraktacje” (L.S.W., 1971). ■ Papież mianował ks. Kazimierza Kluzę biskupem sufraganiem diecezji gdańskiej. Bp Kluz ma lat 47, ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a święcenia otrzymał w roku 1951. ■ Komunikat MSW w *Trybunie Opolskiej* podaje, że władze bezpieczeństwa ujęły dwu podejrzanych o dokonanie aktu dywersji — wysadzenie w powietrze auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu w dniu 6 października 1971 roku. Aresztowanymi są Jerzy Kowalczyk (lat 30) i Ryszard Kowalczyk (lat 35), obaj urodzeni w Rzęśniku (woj. warszawskie). Akt oskarżenia w najbliższym czasie zostanie wniesiony do sądu.

**26-5-72**

Rada Państwa PRL ratyfikowała układ między PRL a NRF o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków z 7. 12. 1970 r. ■ W Warszawie zmarł nagle, w wieku 68 lat, Michał Choromański, literat, dramaturg i prozaik. Jego książka „Zazdrość i medycyna”, wydana w 1933 roku była jego największym sukcesem i była tłumaczona na wiele języków. ■ Ustalono, że tegoroczny VII festiwal artystyczny młodzieży akademickiej FAMA-72 ma odbyć się w Świnoujściu w okresie od 8 do 24 lipca br. Festiwal ma być konfrontacją dorobku artystycznego studenckich teatrów, zespołów muzycznych i zespołów pieśni i tańca.

**28-5-72**

Rada Państwa PRL mianowała 95-ciu sędziów Sądu Najwyższego. Pierwszym prezesem Sądu Najwyższego został ponownie Jerzy Bafia. Prezesami zostali: Jan Pawlak, Franciszek Wróblewski, Franciszek Rusek, Bogdan Dziegiel i Marian Mazur. ■ W ciągu najbliższych dwóch lat ma nastąpić w Związku Sowieckim wymiana legitymacji wszystkich członków KPZS.

**31-5-72**

Jednocześnie odbyły się w Pradze i w Bratysławie konstytucyjne zebrania nowostworzonych związków pisarzy. Sekretarzem generalnym związku słowackiego został Andrej Plavka, zaś w Pradze, po dwudniowych debatach, prezesem został Jan Kozak, a sekretarzem Josef Rybak. Statut związków przewiduje, że członkami nie mogą być pisarze, którzy byli organizatorami rewizjonistycznych akcji antysocjalistycznych. P. Kozak w swym przemówieniu stwierdził, że początkiem „Wiosny praskiej” był odczyt Edwarda Goldstückera o Kafce, który miał miejsce w 1963 roku. ■ Przed wizytą prezydenta Nixona w Warszawie, władze osadziły „prewencyjnie” w więzieniu, na okres 3 dni: Jakuba Karpińskiego, Adama Michnika, J. Lityńskiego i in. Wraz z nimi zatrzymano ok. 3.000 tzw. chuliganów.

**1-6-72**

Granica polsko-czechosłowacka miała być z dniem 1. 4. br. otwarta dla swobodnej turystyki, analogicznie jak z NRD. Do tej pory nie zostało to wprowadzone w życie na skutek sprzeciwu Moskwy, która obawia się, że może to umocnić istniejący w Czechosłowacji opór i doprowadzić do większego zbliżenia obu narodów. ■ Na odcinku kulturalnym w PRL następuje coraz większe zaciesnienie. Ostatnio minister kultury, Wronski, powołał w charakterze konsultanta ministerstwa osławioną p. Zatorską, która była usunięta z ministerstwa w 1968 roku. ■ Ambasada sowiecka w Warszawie zaprotestowała przeciwko ukazaniu się książki Andrzeja Kijowskiego „Listopadowy wieczór” i B. Cywińskiego „Rodowody niepokornych”. ■ Artykuł atakujący Sołżenicyna za ostatnią jego książkę „Sierpień 1914”, który ukazał się we wrocławskim *Tygodniku Katolickim* i był szeroko przedrukowany przez prasę sowiecką, został przywieziony z Moskwy przez Bolesława Piaseckiego. Został on pospiesznie i z licznymi ruscycyzmami przetłumaczony, podobno przez Jerzego Jędrzejewicza, i podpisany nazwiskiem Jerzego Romanowskiego, funkcjonariusza PAX-u. ■ W Stowarzyszeniu PAX nastąpił kryzys. Po odejściu z wiceprezury Stowarzyszenia Jerzego Hagnmayera (powód: kliniczny alkoholizm) stanowisko to nie zostało obsadzone ze względu na rywalizację panów: Przetakiewicza i Reiffa. By zażegnać kryzys stworzono wieloosobowy sekretariat. Nadal więc jedynym arbitrem i czynnikiem decydującym jest Bolesław Piasecki. Pewne koła PAX-u myślą o następstwie wodza. Typowanym kandydatem jest jego syn — Jarosław Piasecki. ■ Aresztowania i rewizje odbywają się w PRL coraz częściej. Największą sensację wywołały rewizje u 8 generałów i pułkowników dokonane przez specjalnie upoważnionych pełnomocników MSWewn. Przyczyną rewizji są nieznanne. Przypisuje się je rosnącej rywalizacji między min. Szlacheicem a gen. Jaruzelskim. Dokonano rewizji u Lesława Bartelskiego likwidując mu zbierane archiwum, dotyczące Konfederacji Narodu z okresu okupacji. Odbyły się również rewizje u szeregu dziennikarzy w Lublinie, Łodzi i Katowicach. Rzekomo łączy się to ze sprawą organizacji „Ruch”. ■ W okresie zamordowania J. Gerharda odbyło się włamanie do mieszkania M. Naszkowskiego, gdzie rozpruto kasę pancerną zabierając dokumenty. Włamanie odbyło się w czasie nieobecności domowników. Służąca, która przypadkowo wróciła wcześniej i zastała włamywaczy przy pracy, została zastrzelona z rewolweru Naszkowskiego. ■ Na rynkach światowych zwraca uwagę masowe

zakupywanie cukru przez PRL. Zakupy w tej skali są zupełnie niezrozumiałe. Możliwe, że idzie tu o zapasy MOB dla Związku Sowieckiego. ■ Nowe przesunięcia w PRL: Uchodzi za pewne, że w najbliższym czasie St. Trepczyński, podsekretarz stanu w Min. Spraw Zagranicznych, zostanie ministrem na miejsce Stefana Olszowskiego. Olszowski należy do frakcji zwalczającej Gierka. Adam Willman, niedawno usunięty ze stanowiska podsekretarza stanu w MSZ, został mianowany pełnomocnikiem PRL na konferencję Bezpieczeństwa. ■ J. Strykowski, który został faktycznym redaktorem *Twórczości*, przejawia tego rodzaju serwilizm wobec władz i urzędów, że coraz więcej osób wspomina z nostalgią okres, w którym pismem bardziej zajmował się jego formalny redaktor — Jarosław Iwaszkiewicz. Anegdota o rabinie i kozie jest w PRL stale aktualna. Można ją zastosować tak samo do Putramenta od czasu gdy jego miejsce zajął płk Zb. Załuski. ■ Druk książki Jerzego Andrzejewskiego „Miazga” został wstrzymany z powodu „braku papieru”. ■ Komitet Nauk Filozoficznych PAN zdecydował opracowanie w ciągu najbliższych lat nowego podręcznika filozofii marksistowskiej, przeznaczonego przede wszystkim dla młodzieży studiującej.

**4-6-72**

Warszawska *Kultura* podaje, że socjologzy z Instytutu Zachodniego w Poznaniu zbadali społeczne konsekwencje otwarcia granicy między Polską a NRD dla ruchu turystycznego. Wyniki badań świadczą o postępującej integracji ludności obu krajów (?).

**5-6-72**

W najbliższym czasie ma nastąpić zlanie się wszystkich organizacji młodzieżowych w jedną, na wzór Komsomołu. Dotyczy to Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej, Zrzeszenia Studentów Polskich. Jest dyskutowana sprawa włączenia również do nowej organizacji harcerstwa.

**6-6-72**

Od roku 1970 władze PRL udzieliły Kościołowi 20 zezwoleń na budowę kościołów. Zezwolenia te w dużym stopniu są fikcyjne, gdyż w wielu wypadkach dotąd nie udzielono zezwoleń na zakup materiałów budowlanych. Episkopat oblicza zapotrzebowanie na budowę nowych kościołów na ponad 500. O naglącej potrzebie budowy nowych kościołów świadczy fakt, że na terytorium samej diecezji przemyskiej ludność, mimo represji, zbudowała nielegalnie 27 kaplic. ■ NRD przeżywa ciężki kryzys ekonomiczny spowodowany nadmiernym przeinwestowaniem w dziedzinie automatyzacji przemysłu. ■ Ułatwiony sposób pisania książek przez ministrów PRL: w Warszawie powszechnie się mówi, że książka ministra kultury Wronskiego i Zwolakowej pt. „Żydzi i Polacy” zawiera m.in. materiały, które w czasie rewizji UB zabrało W. Bartoszewskiemu.

**8-6-72**

Gen. Jan Czaplą został mianowany wiceministrem Spraw Zagranicznych PRL. Poprzednio pełnił on funkcje szefa zarządu politycznego Wojska, które to stanowisko objął obecnie gen. Włodzimierz Sawczuk, członek Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej.

**15-6-72**

Edward Gierek po swej wizycie we Francji, w październiku rb., uda się bezpośrednio do Bonn. Nie będzie to wizyta protokolarna, ale *visite d'affaires*. Gierek zamierza domagać się od NRF 3 rzeczy: znacznych długoletnich kredytów bezprocentowych, odszkodowań na sumę 4 miliardów marek za straty poniesione przez Polskę w okresie okupacji i pomocy w uzyskaniu

dla PRL pozycji we Wspólnym Rynku na wzór Rumunii. P. Józef Czyrek, przewidziany na pierwszego ambasadora PRL w Bonn, przebywa w Niemczech gdzie negocjuje powyższe punkty. W PRL od dłuższego czasu zbiera się dokumentację mającą uzasadnić sprawę odszkodowań. Panuje powszechna opinia że suma 4 miliardów jest sumą „przetargową”: PRL gotowa jest zaakceptować 2 miliardy DM. Biografia przyszłego ambasadora PRL w Bonn jest typowa dla polskiej dyplomacji: p. Czyrek zaczął swą karierę jako referent wydziału dezinformacji w Ministerstwie Bezpieczeństwa, potem funkcjonował w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie w okresie Tykocińskiego. Po odwołaniu powrócił do Min. Spraw Wewnętrznych i po dwóch latach przeszedł do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**17-4-72**

W Brooklynie zmarł, w wieku lat 71, Jan Ciepliński. Znakomity choreograf przebywał w Stanach Zjednoczonych od 1959 roku.

**1-5-72**

W Galerii Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku odbył się wernisaż polskiego surrealisty Konstantego Gorbatowskiego.

**6-5-72**

W Brukseli staraniem miejscowego Koła S.P.K. odbył się wieczór poświęcony pamięci Cypriana Norwida z okazji 150-ej rocznicy jego urodzin. Odczyt wygłosił Kazimierz Sowiński.

**13-5-72**

W Springfield (USA) zmarł, w wieku lat 78, gen. bryg. Michał Gałązka, żołnierz Józefa Piłsudskiego, b. dowódca artylerii armii „Modlin”.

**15-5-72**

W paryskim periodyku *Annales* nr 2 z br. ukazała się recenzja Michała Borwicza o książkach dotyczących Katynia, które ostatnio ukazały się we Francji. Są to: Józef Czapski „Terre inhumaine”, Henri de Montfort „Le massacre de Katyn” i J. K. Zawodny „Katyn — massacre dans le foret”.  
■ W Monachium powstał komitet wyłoniony przez polskie organizacje i instytucje, który ma zająć się odnowieniem lub odbudową historycznego grobu powstańców 1863 roku na cmentarzu w Monachium. Przewodniczącym komitetu został ks. prałat Paweł Kajka. Ofiary należy kierować na adres: Komitet Odbudowy Pomnika Powstańców 1863 roku w Monachium, 8 München 13, Infanteriestr. 15.

**17-5-72**

Emigranci litewscy wręczyli w Białym Domu w Waszyngtonie petycję z 75.000 podpisów, prosząc o nieuznanie inkorporacji Litwy do ZSSR i osobną petycję z 17.000 podpisów proszącą o wstawiennictwo w Moskwie o uwolnienie z łagru marynarza Simasa Kudirka, wydanego Sowietom przez Amerykanów. ■ Litwini kanadyjscy złożyli petycję to rządowi o wstawiennictwo w sprawie aresztowanych księży litewskich. Na petycję tę premier Trudeau odpowiedział odmownie, dodając, że gdy osiągnie się dobre stosunki z Rosją, to wówczas, przy okazji, będzie można mówić o tych sprawach.

**18-5-72**

Premier Włoch, Andreotti, wręczył reprezentatowi polskiej f-my „Agros” — „Złotego Herkulesa” — odznaczenie przyznawane artykułom cieszącym się

największym powodzeniem w handlu. Wyróżnienie to otrzymał „Agros” za czystą wyborową. ■ Patriarcha rosyjskiego kościoła prawosławnego, Pimen, przybył do Jerozolimy na pokładzie specjalnego samolotu, jako gość patriarchy Benedykta. W Jerozolimie jest około 60-ciu gmin chrześcijańskich i wszystkie one wysłały delegacje na powitanie z patriarchą rzymskokatolickim Giacomo Beltritti na czele. Jedna tylko gmina nie uczestniczyła w tych uroczystościach, a mianowicie biali Rosjanie.

**19-5-72**

Staraniem Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie odbył się „Zjazd 50-ciu” w Kartuzy Lodge. Zjazd był poświęcony przedyskutowaniu następujących tematów: Polska w świecie; sytuacja w Polsce; polska diaspora; Polonia Kanadyjska — zagadnienia ogólne, zagadnienia organizacyjne i młodzieżowe, spojrzenie w przyszłość.

**22-5-72**

Josif Brodskij, poeta i tłumacz, został ekspulsowany ze Związku Sowieckiego. Przy wyjeździe odebrano mu wszystkie rękopisy. Brodskij przebywa we Wiedniu i zamierza osiedlić się w Stanach Zjednoczonych. Wiersze Brodskiego, otrzymane potajemnie ze Związku Sowieckiego, *Kultura* drukowała w przekładach na język polski w latach 1966 i 1967 w zeszytach 207/8, 209, 213/4 i 234. Ponadto w Nrze 201/202 z lipca-sierpnia 1964 r. *Kultura* drukowała stenogram z procesu Josifa Brodskiego. Razem z Brodskim zostali ekspulsowani: Aleksandr Jesienin-Wolpin, filozof i poeta, Jurij Szejn, członek Komitetu Obrony Praw Człowieka stworzonego przez A. Sacharowa — szwagier Aleksandra Sołżenicyna oraz malarz Jurij Titow. W czasie kontroli celnej bagaży Titowa na lotnisku w Moskwie wszystkie jego obrazy zostały celowo zniszczone, mianowicie oblane je kwasem solnym.

**23-5-72**

Nagroda dziennikarska, ufundowana przez Związek Dziennikarzy w Londynie, została w bieżącym roku przyznana Wojciechowi Wasiutyńskiemu.

**24-5-72**

Uniwersytet wiedeński przyznał nagrodę im. Joachima Gottfrieda Herdera polskiemu malarzowi Henrykowi Stażewskiemu.

**26-5-72**

P. Danuta Mostwin, profesor na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie i znana pisarka, przebywa obecnie w Europie i miała szereg wieczorów autorskich: w Genewie, w Bernie i Zurychu zorganizowanych przez Kiermasz Książki Polskiej S.P.K., i w Paryżu — zorganizowany przez Związek Dziennikarzy.

**28-5-72**

W Dortmundzie (NRF) odbył się Kongres polonijny, zorganizowany przez Związek Polaków w Niemczech. ■ Ogłoszenie handlowe w monachijskim *Abendzeitung*: „Specjalne spadochrony dla uprowadzających samoloty. Do noszenia pod płaszczem bez zwrócenia uwagi. Nadaje się także jako spadochron ratunkowy. Sztuka 450 marek. Ikarus Fallschirmverbund, München, J. Hagenbackerstr. 4”.

**29-5-72**

Prof. Henryk Skolimowski został mianowany pełnym profesorem na uniwersytecie Michigan (Ann Arbor). Prof. Skolimowski wykładał podczas zimowego semestru polską filozofię XX wieku na hebrajskim uniwersytecie

w Jerozolimie, a w dniach 29. 5 - 5. 6. br. miał serię wykładów — seminariów poświęconych filozofii technologii na uniwersytecie w Enschede w Holandii.

### 1-6-72

Stacja naukowa Polskiej Akademii Nauk w Paryżu przygotowuje dla Gierka *dossier* dotyczące Biblioteki Polskiej w Paryżu. Gierek zamierza w czasie swojej jesiennej wizyty w Paryżu poruszyć z władzami francuskimi przekazanie Biblioteki Polskiej PRL-owi. ■ W polskim kołach kościelnych w Rzymie mówi się, że po ratyfikacji umowy polsko-niemieckiej, Watykan jednostronnym aktem podzieli obecną diecezję gorzowską na trzy biskupstwa: Gorzów, Szczecin, Koszalin. Terytorium archidiecezji wrocławskiej będzie się pokrywało z granicą polsko-niemiecką. ■ Zmarł nagle na Hawajach Michał K. Pawlikowski, pisarz i rusycysta. M. K. Pawlikowski mieszkał stale w Stanach Zjednoczonych i do niedawna wykładał na uniwersytecie kalifornijskim. ■ W kołach waszyngtońskich mówi się, że sekretarka senatora Fullbrighta jest członkiem partii komunistycznej. Jeśli to prawda — byłoby to dostatecznym wyjaśnieniem akcji senatora przeciw rozgłoszom Free Europe i Liberty.

### 3-6-72

W Londynie toczą się rozmowy zjednoczeniowe między tzw. Zamkiem, a Radą Jedności Narodowej. Komisja, w skład której wchodził p. M. Dolanowski, gen. L. Żabkowski i B. Podoski opracowała „zasady porozumienia”. Zostały one zaakceptowane przez Ligę Niepodległości, Niezależną Grupę Społeczną, Polskie Stronnictwo Ludowe, i PPS (grupa A. Ciołkosza) ale pod warunkiem, że p. A. Urbański (socjalista, członek Rady Trzech) zostanie premierem, a amb. Edward Raczyński następcą Prezydenta. O ile kandydatura p. Urbańskiego została zaakceptowana, o tyle kandydatura amb. Raczyńskiego wzbudza zastrzeżenia sfer zamkowych. Sfery zamkowe typują gen. St. Maczka. Zabiega o to stanowisko Stefan Soboniewski z S.P.K. Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy kategorycznie odmówiły swego udziału.

### 8-6-72

W Londynie odbył się odczyt Danuty Mostwin pt. „Czy polskość jest narodowością, urządzony staraniem Związku Pisarzy Polskich.

### 9-6-72

Witold Leitgeber przekazał w Paryżu spuściznę artystyczną po Konstantym Brandlu pełnomocnikowi Muzeum Narodowego w Warszawie, dr Irenie Jakimowicz z przeznaczeniem dla zbiorów muzealnych w Polsce.

### 11-6-72

Staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu odbyło się coroczne nabożeństwo na cmentarzu polskim w Montmorency.

### 15-6-72

Odbył się kolejny wieczór dyskusyjny Twa Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie. Referat na temat „Współczesny Teatr i Film Polski” wygłosił Ludomir Gąsowski-Garczyński.

## Listy do Redakcji

Dn. 13 maja 1972 r.

PT. Redakcja „Kultury”.

Niniejszym chciałbym się ustosunkować krótko do dwóch listów, opublikowanych w nrze 5/296. Jeden dotyczy „Żywych” Andrzeja Brychta, drugi — ekologii.

Pan Lachocki, podobnie jak pan Szrednicki, zdaje się widzieć jedną tylko stronę medalu, mianowicie formę w całkowitym oderwaniu od treści. A przecież dzięki tej formie treść staje się szczególnie komunikatywna. Dzięki niej zarówno utwory Marka Hłaski, jak i wspomniana nowela Brychta, to są dokumenty. To teksty źródłowe do poznania bardzo istotnego oblicza tzw. Polski Ludowej. Żadna deklaracja na ten sam temat nie wrazi się tak sugestywnie w pamięć, jak właśnie wizja literacka, choćby naturalistyczna. Obawiam się, że „Żywi” zawierają prawdę. Czy obaj krytycy są innego zdania? Ich pisanie o formie z pominięciem treści naraża ich na zarzut minięcia się z prawdą. Albowiem prawda jednostronna, niecałkowita, to nie jest prawda...

Pan Tyminiński sądzi, że sprawa w zakresie ekologii nie jest sprawą polityczną i nie wymaga środków politycznych. To nieporozumienie. Cały szereg elementów ekologii, jak skażenie środowiska, przeludnienie, wysychanie dotychczasowych źródeł cywilizacji przemysłowej, produkcja rolniczo-hodowlana, są to wszystkie zagadnienia o skali *światowej*. Nie darmo planuje się pod auspicjami ONZ konferencję na temat stanu środowisk. Dlatego rozwiązanie spoczywa w rękach polityków (nie tylko!), którzy winni podjąć wspólne decyzje. Inaczej wysiłki ludzi dobrej woli, m.in. ekspertów z zakresu poszczególnych specjalności, mogą pójść na marne. Specyfikę tego politycznego problemu stanowi fakt, że jego rozpatrywanie służy zbliżeniu w skali międzynarodowej.

Łączę wyrazy szacunku,

J. BELMAN

(prawdziwe imię, nazwisko, adres — znane redakcji).

Fryburg, 21 maj 1972.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Niech wolno mi będzie, w związku z ogłoszeniem przez p. Leopolda Kielanowskiego artykułu o księdze ofiarowanej (z moją dedykacją) 18. II. 1940 Mussoliniemu („Dzieje jednej Księgi” w „Na Antenie” X, Maj 1972, Nr 110) przypomnieć wydarzenia z tą księgą związane. Wydaje mi się, że są one mało znane.

Chodzi o działalność komitetu polskiego dla pomocy więzionym profesorom polskim. Komitet ten powstał w Rzymie, na pewno po moim przy-



byciu do tego miasta. (9. XII. 1939). Składał się z naukowców polskich obecnych w Rzymie. Jego sekretarzem i z daleka najczynniejszym członkiem był ks. prof. Walerian Meysztowicz z Uniwersytetu Wileńskiego. Komitet stawiał sobie za cel uzyskanie interwencji dyplomatycznych od państw neutralnych, względnie zaprzyjznionych z Rzeszą, na korzyść więzionych profesorów polskich. Pisaliśmy wiele listów do szefów państw — pamiętam m.in. że podpisywałem list do Królowej Holenderskiej — i odwiedzaliśmy ambasady w Rzymie. Żywo stoi mi w pamięci negatywna, aby nie powiedzieć tehrzowska, postawa wielu dyplomatów z krajów, które miały niedługo po tym same paść ofiarą agresji niemieckiej. Jeden z nich — *nota-bene* dobry mój znajomy, uciekał truchtem przede mną na ulicy. Natomiast pełne zrozumienie i poparcie znaleźliśmy m.in. u Amerykanów i Włochów. Jeśli o pierwszych chodzi, ambasador USA zapewnił mnie, że nasza petycja będzie w biurku prezydenta nazajutrz. Także ówczesny minister spraw zagranicznych Włoch, Ciano, odniósł się do sprawy życzliwie, i, o ile wiem, to on uzyskał ostatecznie zwolnienie naszych profesorów, tj. 103 spośród nich.

Mam wrażenie, że komitet wykonał pożyteczną pracę i przyczynił się do uratowania tych ludzi. Fakt, że ja dedykowałem księgę Mussolinemu, tłumaczy się okolicznością, że byłem jedynym członkiem Uniwersytetu Jagiellońskiego (docentem) w Komitecie.

Nie posiadam żadnych zapisów dotyczących jego działalności i powyższe szczegóły podaję z pamięci.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku,

I. M. BOCHENSKI, O.P.

Newport, Vic., 9 maja 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Adam Nasielski w rubryce „Sprawy Bieżące” w *Tyg. Polskim* z dnia 6. 5. 72 porusza sprawę losów szkolnictwa polskiego w Australii i sprawę Funduszu Wieczystego Polonii Australijskiej.

Określając sytuację szkolnictwa, rozpoczyna ją słowami p. Krystyny Jackiewiczowej: „Coś się psuje w państwie duńskim” (już się dawno popsulo T.T.), zaś w sprawie Funduszu Wieczystego, powołując się na komunikat Rady Naczelnej, wykazujący sumę zebranego funduszu \$ 4.442,08, przytacza opinię p. Redlera, że jest to wynik mizerny.

Dla uwypuklenia mizeroty akcji zbiórkowej na Fundusz Wieczysty w Australii p. Nasielski porównuje ją z podobną akcją Polonii w Kanadzie, która zebrała ponad \$ 200.000!

P. Nasielski zapytuje jakie są przyczyny tych smutnych faktów?

Czy kanadyjscy Polacy są lepsi od nas?

Pytania te gnębią nie tylko p. Nasielskiego, ale każdego, komu dobro spraw polskich leży na sercu. Myli się p. Nasielski pisząc, że zbiórka na Fundusz Wieczysty rozpoczęła się dopiero w roku 1970. Rozpoczęła się ona wiele, wiele lat wcześniej i w związku z tym niech mi wolno będzie powołać się na pewne wydarzenie, które wiele wyjaśni, a które ja nazywam wydarzeniem fantastycznym.

Byłem obecny na walnym zebraniu członków Domu Polskiego w Melbourne dn. 29. 10. 1967 roku. Zarząd Domu Polskiego, którego prezesem był p. inż. Zbigniew Czech, wniósł projekt zmiany statutu spółdzielni. Paragraf 25 projektu przewidywał, że w razie likwidacji spółdzielni czysty majątek stowarzyszenia Dom Polski nie może być przekazany udziałowcom, a tylko może być przeznaczony na jakąkolwiek dobroczynność...

... shall not be paid to or distributed amongst the members of the

society but shall, subject to the approval of the Governor-in-Council pursuant to section 38/4 of the Act, be applied only to any charitable purpose or for promoting co-operation or any community benefit.

Jeden z udziałowców obecnych na zebraniu, p. Tadeusz Godlewski, zaproponował przeciwko projektowi, a zwłaszcza jego pospiesznej formie realizowania i to w obecności tylko 50 udziałowców, kiedy spółdzielnia ich liczy około 1.300 (!) i dodał: gdyby jednak obecni na sali udziałowcy uważali, że na tym zebraniu należy zmiany statutu dokonać, to prosił zebranych, ażeby w paragrafie 25 projektu już teraz, kiedy jeszcze żyją ci, co dali pieniądze — wymienić na jakie cele polskie ma być użyty kapitał po zlikwidowaniu spółdzielni.

Chodziło o sumę ponad 100.000 dolarów i że decyzji w tej sprawie nie wypada oddawać w ręce dygnitarza australijskiego — p. Godlewski zaproponował FUNDUSZ WIECZYSTY i POLSKĄ MACIERZ SZKOLNĄ.

Na pięćdziesiąt kilka osób, biorących udział w zebraniu, tylko SZESĆ osób, znanych mi osobiście, w jawnym głosowaniu podniosło rękę opowiadając się za wnioskiem p. Godlewskiego.

Wniosek upadł.

W posiadaniu zarządu Domu Polskiego jest podpisana przez przybyłych na zebranie udziałowców lista obecności — do tych osób należy się zwrócić, Panie Nasielski, po odpowiedź na pańskie pytania i... jedno moje: dla kogo tak znaczny fundusz, wytracony z rąk polskich, został zarezerwowany?

Na odwrotnej stronie wielu deklaracji członkowskich, wysyłanych w formie odezwy zapraszającej do wykupywania udziałów, są wypisane zapewnienia jaką dobrą lokatą kapitału będą udziały w przyszłości. Takie same zapewnienia płynęły z ambony. P. Czech w *Tyg. Polskim* napisał na ten temat co najmniej dziesięć artykułów. W art. *Tyg. Pol.* z dn. 5. 12. 64, str. 13, p. Czech pisał że: „W 7 lat kapitał wzrósł 10-krotnie i wyzwał do wykonania najważniejszego zadania: wykupienia reszty udziałów, kończąc artykuł dosłownie:

„Więc: Razem, hej-ho! — Zbigniew Czech.

W art. z 20. 2. 65, str. 16, pisał: „Faktyczna wartość udziału przekracza pięciokrotnie jego wartość nominalną i może być oceniana w chwili obecnej (7 lat temu — T.T.) na funtów 25. Porównując „wielokrotności” udziałów z tych dwóch dat tylko, inteligentny czytelnik musi się zastanawiać: w którym z tych dni p. Czech był pod gazem?”

W art. z 1. 5. 65, str. 16, pisał: „Z prawego punktu widzenia wszyscy udziałowcy są współwłaścicielami proporcjonalnie do ilości posiadanych udziałów” i... na walnym zebraniu udziałowców w dniu 29. 10. 67 przeprowadził zmianę statutu przy poparciu „50-wytrwałych”... żeby dłużej tymi właścicielami nie byli! Pozbawił udziałowców „wielokrotności” udziałów, własności narosłego i narastającego majątku. Są oni już tylko UŻYTKOWNIKAMI domu, właścicielem będzie — *any charity of public benefit* — i to według uznania urzędnika australijskiego, bo tego udziałowca, który majątek chciał zabezpieczyć na cele polskie — p. Czech + 50 — przegrali.

Kto nie wykonuje świącie zobowiązań zaciągniętych publicznie wobec własnego społeczeństwa, ten świadomie podcina egzystencję życia narodowego.

Panie Redaktorze, Pan jest właściwym ekspertem do oceny czy troski, wyrażone w liście Nasielskiego (*Tyg. Pol.*, 6. 5. 72, str. 3) i moim liście niniejszym, zasługują na przewentylowanie na łamach wolnej prasy emigracyjnej, za jaką pismo Pańskie uchodzi?

W tym właśnie celu list ten do Pana skierowuję.

Łączę wyrazy poważania,

T. TAMOWICZ

## Humor krajowy

Gierek, Moczar i Gomułka poszli razem do spowiedzi. Pierwszy spowiadał się Gierek. Kiedy ksiądz odpukał, wstał, ucałował stufę, położył na tacy pieniążek i odszedł. Następny spowiadał się Moczar. Skoro ksiądz odpukał, pocałował stufę i chciał odejść.

— A gdzie ofiara? — zapytał ksiądz.

— Stoi za nami — odpowiedział Moczar, wskazując palcem na Gomułkę.

W czasie wyborów:

— Niech mi Pani da inną kartkę. Nie, nie tę — tamtą.

— A dlaczego tak panu na tym zależy?

— Chciałbym mieć wrażenie, że coś wybieram...

Polacy dzielą się jak pierogi: na śląskie, ruskie i leniwe...

W czasie małej towarzyskiej popijawy gospodarz zapytuje kolegów:

— A napilibyście się „gierkówki”?

Wszyscy się zdziwili, zawahali, a potem powiedzieli:

— No, dobra, napijemy się!

Gospodarz wyciągając z kieszeni 10 zł. zawołał — pomóżcie!

Gierek idąc ulicą zauważył stojący samochód i wystające spod niego nogi. Zaciekawiony zajrzał i zobaczył Gomułkę majstrującego coś przy motorze.

— Co ty tam robisz? — zapytał.

— Motor mi się popsuł i nie mogę go zreperować.

— Puść mnie, może mnie się uda.

Po chwili Gierek wylazł spod samochodu, usiadł za kierownicą i samochód ruszył.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taki mechanik — zdziwił się Gomułka.

— To wcale nie trudno, trzeba było tylko trochę odkręcić, potem naoliwić, znów mocno przykręcić i już jedzie.

W Moskwie zmarł główny rabin i NKWD miało kłopot w znalezieniu jego następcy. Pierwszy kandydat bowiem, z wielu względów odpowiedni, nie znał hebrajskiego, drugi — znał co prawda język hebrajski, ale za to nie był marksistą, natomiast trzeci — i znał hebrajski i był marksistą, ale jak się okazało, nie był Żydem...

Zebrała Zofia HERTZ

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 3<sup>e</sup> Trimestre 1972.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.  
Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg .....	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 .....	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000 .....	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23 .....	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523 .....	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA: Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24 Facer Str., St. Catherines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon. 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 .....	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ....	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 .....	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1601 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165 .....	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA: P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. ....	£ 0,60	£ 3,50	£ 6,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.  
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,  
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA « KULTURY »

**TOM 221 — SERIA „DOKUMENTY”  
(ZESZYT 39-ty)**

## **SĄD ORZEKŁ...**

Tom zawiera autentyczne dokumenty dotyczące najgłośniejszych procesów politycznych w PRL: PROCES HANNY RĘWSKIEJ; DRUGI PROCES K. MODZELEWSKIEGO i J. KURONIA; PROCES „TATERNIKÓW”; PROCES ORGANIZACJI „RUCH” Z 1971 R.; POSTĘPOWANIE REWIZYJNE W SPRAWIE J. KARPINSKIEGO i M. SZPAKOWSKIEJ; PROCES PISKI O TRAKTAT RYSKI, jak również szereg opracowań i komentarzy.

Str. 320.

Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)



**TOM 220 — TOMASZ STALIŃSKI**

## **ROMANS ZIMOWY**

Trzecia powieść krajowego autora.

Str. 208.

Cena F. 24 (dol. 6,00; £.2.00)



**TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN**

## **KRĄG PIERWSZY**



Wydanie drugie

Tom drugi w przygotowaniu.